

W dalekiej Kornwalii jest miejsce, które uzdrowi poranione dusze

SARAH HARVEY

WICHROWE ŁĄKI



*Idealna lektura
dla miłośniczek
„Domu nad rozlewiskiem”*

Sarah Harvey

Wichrowe łąki

Tłumaczenie: Agnieszka Hofmann

OLÉ



Owenowi i Helen

12.11.2011

I

Magna, amerykański koncern wydawniczy z siedzibą w Nowym Jorku, oprócz Paryża i Hongkongu miał filię w Londynie. Dwudziestodwupiętrowy biurowiec przy Euston Road należał do tego typu budynków, które odbijają naturalne światło otoczenia, przez co, choć zbudowane z solidnej stali i szkła, wyglądają niezwykle filigranowo. Od śmierci Roba ten budynek był właściwie moim domem – w każdym razie bardziej niż dom jednorodzinny, w którym razem mieszkaliśmy.

Od sześciu lat pracowałam w redakcji czasopisma dla kobiet „Naked”, jednego z największych periodyków Magny. Praca zawsze dużo dla mnie znaczyła, głównie dlatego, że to dzięki niej spotkałam dwoje ludzi, którzy wywarli największy wpływ na moje życie: najpierw Petrę, która od samego początku wzięła mnie pod swoje skrzydła, a potem Roba.

Roba poznałam przy okazji pisania artykułu o mężczyznach w zdominowanym przez kobiety świecie baletu. Był ambitnym dyrektorem teatru i jednym z moich ostatnich rozmówców, z którymi przeprowadziłam wywiad do tego materiału. Niewiele brakowało, a wcale byśmy się nie spotkali, ponieważ on odwołał nasze pierwsze spotkanie, a ja drugie. Kiedy podjęliśmy trzecią próbę, miałam już właściwie dość materiału i mogłam się zabrać za pisanie, ale coś mnie powstrzymało od wymówienia się od wywiadu.

Z perspektywy czasu lubiłam się ludzić, że połączyło nas przeznaczenie, ale jeśli miałam być całkiem szczerą, to wtedy po prostu nie chciałam być nieuprzejma.

Kiedy się wreszcie spotkaliśmy, Rob przyszedł z dziesięciominutowym spóźnieniem i przeprosił, że kazał mi czekać, ale jego uśmiech był tak ujmujący, że nie potrafiłam o nim zapomnieć. Przez całe trzy tygodnie. Do chwili, gdy on w końcu zebrał się na odwagę, żeby zadzwonić do mnie i zaproponować wspólną kolację.

Dzięki pracy w „Naked” poznałam zatem mężczyznę, który nauczył mnie kochać i za to będę wdzięczna po wieki. Od jakiegoś czasu czasopismo znaczyło dla mnie więcej niż kiedykolwiek. Było moim kołem ratunkowym.

Przez ostatnie dwadzieścia miesięcy praktycznie nie robiłam nic innego poza pracą. Dwadzieścia miesięcy.

Nie do wiary, że upłynęło już tyle czasu. Czas zdawał się przeczyć wszelkim prawom fizyki, pędził szybciej niż najszybszy sprinter, a jednocześnie stał w miejscu. Nasza rocznica ślubu, Boże Narodzenie, urodziny Roba, rocznica wypadku... Wszystko przychodziło i mijało, jakby działało się gdzieś poza rzeczywistością.

Byłam na dnie, pozbierałam się, otrzepałam spodnie z kurzu i od tamtej chwili brnęłam przez życie jak lunaticzka. Ponieważ nie radziłam sobie z tym, co się wydarzyło, próbowałam odwrócić jakoś swoją uwagę. Harowałam od rana do nocy, ciężiej niż kiedykolwiek w życiu, a potem wycieńczona padłam na łóżko. Ale nie mogłam zasnąć. W mojej głowie krążyło tyle myśli, że nie miałam czasu na uczucia. Ani czasu, żeby pomyśleć o Robie.

Petra również była moim kołem ratunkowym.

Petra James, łebska dziewczyna, ekspertka od wyceny dzieł sztuki. Jej opinia była rozchwytywana jak bilety na finał Wimbledonu. Stanowisko zastępcy dyrektora artystycznego w „Naked” było ważniejsze dla prestiżu magazynu niż dla niej samej. Jej nazwisko regularnie pojawiała się na naszej okładce i miało za zadanie przyciągnąć czytelników jak magnes.

Dla mnie liczyło się przede wszystkim to, że była moją najlepszą przyjaciółką.

Petra była Amerykanką, miała metr osiemdziesiąt wzrostu i włosy płomienne jak liście

buku purpurowego. No i dysponowała zdrowym poczuciem własnej wartości. Może i sprawiała wrażenie nieprzystępnej, ale pod twardą skorupą krył się najżyczliwszy, najbardziej taktowny człowiek, jakiego znałam. To ona przez cały czas od wypadku Roba dawała mi siłę.

Petra dzieliła swój czas między Londyn a Nowy Jork, regularnie latając do tych metropolii. W Londynie wynajmowała ładne mieszkanie w starym, zabytkowym domu przy Regent's Park. Przez ostatnie dwadzieścia miesięcy właściwie mogła je sobie darować i zaoszczędzić na czynszu, ponieważ po wypadku praktycznie się do mnie wprowadziła.

Tego wieczoru jak zwykle wróciłam późno z pracy. Petra czekała na mnie z daniem kupionym u Chińczyka i butelką schłodzonego białego wina. Przywitała mnie w drzwiach, odebrała ode mnie segregatory, które wzięłam do domu, a zamiast nich wręczyła mi kieliszek chardonnaya. Dopiero potem pozwoliła mi zdjąć buty i powiesić płaszcz.

– Dziś wieczorem nie pracujemy, Nat – oznajmiła i odłożyła moje rzeczy na stolik pod telefon. – Wieczór jest po to, żeby odpocząć. Znasz w ogóle takie słowo? Od-po-cząć.

Chciałam zaprotestować, bo zamierzałam coś jeszcze przeczytać, ale Petra przerwała mi gestem w pół słowa.

– Elaine za mało ci płaci, żebyś harowała siedem dni w tygodniu po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Więc nie ma dyskusji. A teraz sio na górę i załóż coś wygodnego... Tylko się pośpiesz. Mam dla ciebie niespodziankę.

Z wdzięcznością umoczyłam wargi w winie, oddałam Petrze kieliszek i posłusznie potruchtałam na górę.

Kiedy wróciłam, Petra stała w kuchni. Chowała coś za plecami, a na jej twarzy malował się uśmiech od ucha do ucha.

– Co tam masz?

Prawie wykręciłam sobie szyję, chcąc zobaczyć, co chowa.

– Przyniosłam ci prezent.

Powoli odeszła na bok, odsłaniając stojącą na blacie wielką szklaną kulę napełnioną wodą. W środku pływała samotna złota rybka.

– Ryba – stwierdziłam z osłupieniem.

– Nieee, papuga – ironizowała. – Nazywa się Meryl.

I znowu posłała mi uśmiech.

– Skąd wiesz, że to dziewczynka?

– Bo gdyby to był chłopczyk, to nazywałby się Bob czy jakoś tak, prawda?

Petra podsunęła mi pod nos słój ze złotą rybką, a ja z niejakim wahaniem wzięłam go w ręce.

– Dziękuję.

– Myślisz, że zwariowałam, prawda?

– Tak, ale to nie ma nic wspólnego z rybką – odparłam, obserwując, jak Meryl prześlizguje się pod małym niebieskim mostkiem, a potem, widząc, że zaglądam do jej słoika, chowa pośród zielska.

Rybka na moment wlepiła we mnie ślepką i podpłynęła do szklanej ścianki.

– Widzisz? Lubi cię! – zawołała z wesołością Petra.

Poczułam, jak uśmiech unosi do góry kąciki moich ust. Do wielu cech, które tak w niej kochałam, zaliczała się zdolność doprowadzania mnie do śmiechu, niezależnie od tego, jak fatalnie się czułam. Bez niej nie przeżyłabym tego czasu. Z niemal telepatyczną intuicją wyczuwała, kiedy jej potrzebowałam, a kiedy wołałam zostać sama. Myślała o rzeczach, o których ja zapomniałam, uzupełniała zapasy w lodówce, odbierała ciuchy z pralni, a nawet wyczarowywała świeże mleko, kiedy jego ostatnia kropla zniknęła w setnym kubku z kawą. I była zawsze gotowa mnie

wysłuchać, nawet jeśli wszystko opowiedziałam jej już tysiąc razy.

Po kolacji usadowiliśmy się wygodnie na kanapie w salonie. Butelka wina stała przed nami na stoliku, a obok w słoju niestrudzenie krążyła Meryl.

Kiedy tak przypatrywałam się małej złotej rybce, poczułam, że łączy mnie z nią jakaś osobliwa więź. Czy ja też tak krążyłam w nieskończoność? Ze strachu, że mogłabym zastygnąć w bezwładzie, gdybym zatrzymała się choć na chwilę... A wtedy poszłabym na dno i utonąła. Więc nie ustawałam w ruchu i wszystko chowałam w sobie, głęboko, żebym nie mogła tego dosięgnąć i żeby to nie mogło sięgnąć po mnie. Niezbyt zdrowy sposób na moją sytuację. Wiem. Byłam w ciągłym ruchu, ale nie posuwałam się naprzód, bo tak bardzo obawiałam się bólu, że nie mogłam go do siebie dopuścić, a tym samym uwolnić się od niego.

Petra rozumiała, że sobie tym szkodzę. Próbowwała nakłonić mnie do rozmowy o Robie, do otwarcia się i uleczenia. Nie chciałam z nią o nim rozmawiać, nie chciałam o nim myśleć, ale wino rozwiązało mi język i wreszcie podjęliśmy rozmowę, o którą Petra zabiegała przez cały wieczór – nie, przez cały rok.

– Tak bardzo mi go brakuje.

– Tak, wiem.

– Wiesz, kiedy odczuwam to szczególnie dotkliwie?

Petra nie odpowiedziała. Milczeniem zagrzewała mnie do mówienia. Pozwoliłam sobie na jeszcze jeden łyk wina, a potem zwróciłam się do niej z niewyraźnym uśmiechem.

– Kiedy marzną mi stopy.

– Marzną ci stopy?

Popatrzyła na mnie zdumiona.

– Tak. Zanim poznałam Roba, zawsze marzły mi w łóżku stopy. On mi je rozgrzewał. Trzymając je między swoimi. Zupełnie jakbym spała pod elektrycznym kocem. Pod żywym kocem.

Wspomnienia.

Tego dnia, kiedy zmarł, kochaliśmy się w niewyraźnym świetle zimnego lutowego poranka, w półśnie, powoli i z rozkoszą. Obudziły mnie pocałunki w kark, delikatna dłoń zsunęła się po brzuchu w dół do miękkich zakamarków między udami, rytmicznym pulsującym dotykiem wydobyła moje zmysły ze snu, aż zaczęłam dyszeć z rozkoszy.

Następnego ranka obudziłam się o tej samej porze. Musiałam zapaść w sen, tylko na parę minut, ale to wystarczyło, żeby zapomnieć o wypadku – zapomnieć o tym, że Rob nie będzie już leżeć przy mnie, kiedy wyciągnę ku niemu rękę. Nigdy więcej.

Czasami wydaje mi się, że wtedy byłam innym człowiekiem. Rzeczywiście zmieniłam się przez ostatnie dwadzieścia miesięcy. Siłą rzeczy. Mówi się, że czas leczy wszystkie rany. W pewnym sensie jest to prawda. Ból maleje, z ciągłego fortissimo przechodzi w nieustanną huśtawkę uczuć. Czasem dane ci jest odetchnąć, może nawet potrafisz się śmiać i cieszyć się choć trochę, ale potem smutek dopada cię z całą siłą.

– Brakuje ci seksu? – Nagle głos Petry wyrwał mnie z zamyślenia.

Zamrugałam, otworzyłam oczy i patrzyłam na nią przez moment, zanim odpowiedziałam.

– Brakuje mi seksu z Robem. Dalej na razie w ogóle nie sięgam myślą.

– W ogóle?

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą. – Wiesz, tak a propos brania się w garść, zupełnie niedawno zastanawiałam się nad sobą, tak na poważnie. Zachodziłam w głowę, kto lub co mogłoby mi pomóc poradzić sobie z tą sytuacją. I uświadomiłam sobie, że jedynym człowiekiem, który mógłby mi pomóc, jest akurat ten, który... – urwałam, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

– Już dobrze, wiem, co masz na myśli.

– Gdyby był tutaj Rob, wyciągnąłby mnie z tego.
– Co by powiedział, gdyby tutaj był?
– Weź się w garść, nie załamuj się, zacznij żyć, korzystaj w pełni z życia.
– I miałby rację, Nattie. Byłby niepokieszony, widząc, jaka jesteś nieszczęśliwa.
– Ale ja chcę być znowu szczęśliwa, Petro, naprawdę. Na samym początku przechodziłam fazę, w której nie chciałam odczuwać radości, nigdy więcej. Chciałam się tylko zwinąć w kulkę i zniknąć, po prostu przestać istnieć. Chciałam być z Robem, gdziekolwiek by to miało być. I nadal tego chcę, ale przestałam już tak bardzo łaknąć zapomnienia.

Petra delikatnie wzięła mnie za rękę i trzymała chwilę.

– Brakuje mi muzyki – wyznałam, żeby zmienić temat. – Nie mogę już słuchać muzyki. W każdym razie nie tych starych piosenek, których słuchaliśmy razem. Nowe kawałki jeszcze tak, ale nie o miłości, co skreśla trzy czwarte zwykłej muzyki.

– Mogę ci załatwić parę krążków z heavy metalem.

Petra uśmiechnęła się niepewnie.

– Pewnie nie jest teraz łatwo być moją przyjaciółką.

– Nigdy nie było łatwo być twoją przyjaciółką. – Pokazała mi język. – Co właściwie planujesz w Boże Narodzenie, Nat? Zastanawiałaś się już?

– W Boże Narodzenie? – powtórzyłam, jakbym nigdy przedtem nie słyszała tego wyrażenia.

Nie do wiary, ale całkowicie udało mi się wymazać z głowy fakt, że już za parę tygodni były święta. Reklamy, dekoracje w sklepach i na ulicach, obwieszane kolorowymi lampkami choinki mrugające ze wszystkich okien, kartki z życzeniami, które już teraz piętrzyły się na stole przy wejściu – wszystko to ledwie dostrzegałam.

– Do świąt już tylko pięć tygodni.

– Myślę, że w tej chwili będzie dla mnie najlepiej, jeśli po prostu je zignoruję.

– Nie można ignorować Bożego Narodzenia!

– Dlaczego? W zeszłym roku przecież też to zrobiłam.

– Wiem. Nadal nie mogę pojąć, że pracowałaś przez całe święta. – Pokręciła głową Petra.

– Wiele osób pracuje w święta.

– Jasne. Bo mają dyżur w szpitalu albo coś w tym stylu, ale przecież nie dla głupiego czapismasa.

– No wiesz, ty byłaś w Nowym Jorku...

– Ale pytałam cię, czy chcesz jechać ze mną – przerwała mi prędko.

– ...a Cassie wyjechała na narty.

– Twoja mama zaprosiła cię do Kornwalii.

Nie odpowiedziałam.

– A w tym roku? Co z Cassie? Chyba ma niedługo urodziny, prawda?

– Tak, ale w zeszłym roku też jej nie widziałam w jej urodziny. Wolą spędzić ten dzień z przyjaciółkami.

– Przyjedzie na święta do domu?

– Wątpię. Prawie tu nie bywa, odkąd... – Z westchnieniem odgarnęłam włosy z twarzy. – Sądzę, że nie traktuje już tego mieszkania jak swojego domu. Pewnie pojedzie do jakiejś przyjaciółki. W każdym razie tak planowała. Nie wyobrażam sobie, żeby nagle zapragnęła spędzić Boże Narodzenie ze mną. Ty chyba też nie? Rok temu wolą pojechać na narty, byle nie musieć być tutaj.

Milczenie Petry wystarczyło mi za odpowiedź. Obie wiedziałyśmy, że Cas robiła, co mogła, żeby schodzić mi z drogi. A przecież byłam jej prawnym opiekunem.

Tak bardzo starałam się traktować tę rolę pozytywnie, być wsparciem dla Cas, ale ona mnie nie akceptowała. Nawet kiedy żył jeszcze Rob, nie miałam łatwego życia jako macocha. W obecności Cas odnosiłam wrażenie, że dźwigam na swoich barkach cały ciężar problemów związanych z macierzyństwem, ale nie dostaję w zamian typowych małych nagród za te wysiłki: zero sympatii, żadnego przytulania i całusów, dumy i poczucia, że tworzymy rodzinę.

Cas robiła wszystko, żeby mi uzmysłowić, że nie jestem członkiem rodziny. Umiała po mistrzowsku wznosić ściany separujące mnie od niej i jej ojca, mury nie do przebycia. Z upodobaniem wybierała sposoby spędzania wolnego czasu, które mnie wykluczały – najczęściej wycieczki do wesołego miasteczka albo parków rozrywki, gdzie na karuzeli siedziało się obok siebie we dwójkę, tak że ja tkwiłam samotnie z boku i czekałam, aż ona i jej ojciec roześmiani, ręką w rękę wylądują z powrotem na ziemi.

Starałam się nie brać tych nietaktów do siebie i pamiętać, że Cassie wcześniej straciła matkę i z tego powodu automatycznie negowała każdego, kogo ojciec darzył jakimś uczuciem. Powtarzałam jak mantrę: „To jeszcze dziecko”. Liczyłam na to, że z czasem przyzwyczai się do mnie. Przecież nie oczekiwałam, że zaakceptuje we mnie zastępczą matkę, ale miałam nadzieję, że pewnego dnia zostaniemy przyjaciółkami. Teraz miała już prawie szesnaście lat i wciąż traktowała mnie na dystans.

Nienawiść Cassie była prawie namacalna. Podczas gdy ja rzucałam się w wir pracy, żeby móc żyć dalej, Cassie żywiła się nienawiścią do mnie. Szukała kozła ofiarnego i z jakiegoś powodu to mnie obarczała winą za swoją stratę, a nie pijanego kierowcę, który jechał niewłaściwą stroną drogi prosto na Roba, zmuszając go do gwałtownego manewru, nie gołodędź, przez którą samochód Roba wpadł w poślizg.

Wina leżała po mojej stronie.

Wyłącznie.

W ciągu dwudziestu miesięcy od śmierci Roba widziałyśmy się dokładnie pięć razy, z tego raz na pogrzebie, a kolejny raz u adwokata. Internat Cassie regularnie informował mnie, co się z nią dzieje, ale ona sama w ogóle się nie odzywała.

Najwyraźniej była przekonana, że ojciec jeszcze by żył, gdyby mnie nie poznał. Niekiedy mnie samą ogarniało takie uczucie, co tylko pogarszało sytuację.

Czy zrobiłam coś, co doprowadziło do jego śmierci?

Czy mogłam zrobić cokolwiek, żeby nie dopuścić do tego wypadku?

Gdyby tylko Rob...

Gdybym tylko...

Gdyby, gdyby, gdyby...

Zawsze kochałam swoją pracę. Namiętnie. Wywalczyłam sobie każdy szczebel do stanowiska, które zajmowałam, i to dawało mi niejaką satysfakcję, której nie odczuwałabym, gdyby wszystko przyszło mi bez trudu.

„Naked” zaliczało się raczej do poważnych magazynów. Na naszych łamach nie roztrząsano, jak dodać pieprzu swojemu życiu erotycznemu albo jak w cztery dni wytresować chłopaka, a prymitywa przerobić na boga seksu. Nie, poruszaliśmy poważne tematy – pisaliśmy o polityce, społeczeństwie, biedzie, głodzie, chorobach – a dla urozmaicenia zajmowaliśmy się sztuką piękną.

Ludzie, z którymi współpracowałam, byli dla mnie jak rodzina. Niektórych lubiłam, innych wolałam widywać tylko od święta, raz do roku.

Dora należała do tych, z którymi byłam zżyta. Jej owalna twarz przypominała matrioszkę: blada cera, różowe policzki i kruczoczarne loki. Mała, okrągłutka, czerstwa i śliczna. Zawsze ładnie pachniała, rzadko pozwalała sobie zjeść coś innego niż surówkę, a jej cera miała ten aksamit-

ny połysk osiągnęły wyłącznie przez kobiety, które mają na biurku dwulitrową butelkę wody i rzeczywiście wypijają ją każdego dnia. Kiedy podziwiała się jej silną wolę, śmiała się tylko i wyjaśniała, że nie trzeba wielkiej siły woli, żeby nie traktować siebie jak kosz na śmieci.

Żałowałam, że jeśli chodzi o jedzenie, nie potrafiłam wyznawać jej filozofii. To, co ona określała mianem śmieci, dla mnie było pożywieniem dla duszy. Jeśli w ogóle pamiętałam o tym, żeby coś zjeść, to zawsze było to coś niezdrowego. W górnej lewej szufladzie przechowywałam aktualnie dwa pączki z dżemem i opakowanie marsów. Tym bardziej zdumiewający był fakt, że wbrew żywieniowym nawykom schudłam ponad sześć kilo. Sięgnęłam po pączka i odgryzłam wielki kęs.

– Telefon do ciebie, Nattie.

– Kto? – zapytałam bezgłośnie i zlizalam z brody dżem.

– Przepraszam, jakaś kobieta. Przedstawiła się wprawdzie, ale nie zrozumiałam nazwiska.

Chciała rozmawiać z panią Forester.

– Ach tak? – Moje serce zabiło szybciej.

– Tak – potwierdziła Dora. – Pewnie właśnie dlatego umknęło mi nazwisko. Ze zdumienia, że nazwała cię panią Forester.

Kiedy wyszłam za mąż za Roba, koniecznie chciałam zachować panięskie nazwisko. Dlaczego miałabym z niego zrezygnować? Przecież nie byłam kimś podrzędnym w stosunku do mężczyzny tylko dlatego, że podpisaliśmy akt małżeński. Rob i ja byliśmy partnerami. Wprawdzie myśleliśmy o podwójnym nazwisku, ale prędko doszliśmy do wniosku, że nie chcemy się nazywać ani Dunne-Forester, ani Forester-Dunne. Uznaliśmy, że żadne nie zmieni nazwiska. Rob zostanie Robertem Alexandrem Foresterem, a ja Natalie Dunne. Teraz żałowałam, że byłam taka wycieczona.

Dora przełączyła rozmowę.

– Pani Forester? – Usłyszałam nieznajomy głos.

– Przy telefonie.

– Mówi Eleanor Brice z Cheal.

Upłynęła chwila, zanim skojarzyłam rozmówczynię. Eleanor Brice była dyrektorką internatu Cassie. Nigdy nie poznałam jej osobiście, ale często słyszałam jej nazwisko, najpierw w rozmowach z Robem, a potem z adwokatami. Nakreślone dystyngowanym charakterem pisma widniało na korespondencji i świadectwach. Mówiła cichym, prawie monotonnym głosem, ale po-brzmiewała w nim szczególna siła. Sądząc z tego, co o niej wiedziałam, kobieta miała w sobie mnóstwo energii.

– Przykro mi, że muszę pani przeszkodzić w pracy, ale niestety miał miejsce pewien incydent.

– Czy coś się stało Cassie? – wpadłam jej w słowo, czując, jak mnie zatyka.

– Mogę panią zapewnić, że Cassie nic nie dolega pod względem fizycznym – oznajmiła po krótkim wahaniu pani Brice. – Ale niestety jej zachowanie stwarza pewne problemy.

– Tak?

– Powiedziałabym, że znaczne problemy.

„Nie tylko pani”, westchnęłam w duchu współczująco.

Następnego dnia pojechałam do Cheal. Byłam umówiona z Eleanor Brice na jedenastą. Przez telefon dyrektorka była dość lakoniczna i powiedziała tylko, że wolałaby przekazać mi szczegóły odnośnie „niewłaściwego zachowania” Cassie osobiście.

Zachodziłam w głowę, co mogła takiego zmalować. Nie widziałam Cassie od lata. Podczas wakacji przemożła się i spędziła u mnie w Hampstead cały tydzień. Prawdziwy rekord.

Po śmierci Roba Cassie coraz bardziej opuszczała się w nauce. Przypatrywałam się temu

z mieszanią frustracji, obawy i poczucia winy, dobrze wiedząc, że powinnam coś z tym zrobić, ale nie miałam pojęcia co. Z dystansu przyglądałam się, jak dziewczyna coraz bardziej się pograża.

Nie byłam zaskoczona, że wezwano mnie do szkoły, raczej rozczarowana – rozczarowana sobą, bo ze strachu, że Cassie znenawidzi mnie jeszcze bardziej, powstrzymałam się przed wszczęciem jakichś kroków.

W osiemnastym wieku Highdown House położone w sercu hrabstwa Sussex było wiejską posiadłością pewnego znanego ministra, natomiast od dwustu lat mieściła się tu Sandra Cheal School of Dancing. Prywatny internat dla dziewcząt szczylił się znakomitą renomą. Oprócz pierwszorzędnej edukacji szkolnej oferowano tu bezkonkurencyjne wykształcenie taneczne i teatralne. Głównie dlatego Cassie uczęszczała do tej szkoły.

Cas zamierzała pójść w ślady matki i obsesyjnie dążyła do tego celu. Eve, pierwsza żona Roba, była tancerką, primabaleriną. Kiedy się poznaliśmy, nad kominkiem w jego salonie wisiał obraz z jej wizerunkiem. Rzucił mi się w oczy natychmiast, kiedy przekroczyłam próg pokoju. Eve Forester miała eteryczną urodę, jak mityczna istota zaklęta w ramach obrazu.

Eve zmarła, kiedy Cassie miała zaledwie dwa latka. Jej śmierć była równie dramatyczna, co jej życie. Ale Eve nie umarła na scenie, tylko za kulisami, w oczekiwaniu na występ. Tętniak mózgu. Wrodzona skłonność w połączeniu z napiętym grafikiem doprowadziły do śmierci tancerki. Cassie darzyła uwielbieniem nieżyjącą Eve znacznie bardziej, niż podziwiałaby matkę żywą. Z tego, co mówiono, Eve była trudna i zapatrzona w siebie. Dla Cassie jednak zawsze była piękna i bez skazy, niczym anioł.

W przeciwieństwie do mnie, złej macochy.

Eleanor Brice emanowała taką samą akuratnością i rzeczowością, jak jej gabinet. Ubrana w schludną garsonkę od Windsora oczekiwała mnie za dębowym biurkiem z blatem pokrytym zieloną skórą.

Dyrektorka odchyliła się na oparcie krzesła i bez słowa mierzyła mnie wzrokiem z taką samą ciekawością, z jaką ja rozglądałam się po pokoju. W końcu gestem wskazała mi miejsce na przeciwko.

– Pani Forester? Eleanor Brice.

Uniosła się lekko i wyciągnęła wąską dłoń.

Uścisnęłam ją nerwowo, mając nadzieję, że moja ręka nie jest zbyt wilgotna i nie dygocze z przejęcia.

– Dziękuję, że tak prędko zareagowała pani na mój telefon. Mam nadzieję, że dojechała pani bez przeszkód. Czy mam powiedzieć sekretarce, żeby przyniosła coś dla orzeźwienia? Może kawy?

Skinęłam z wdzięcznością głową, bo na samą myśl, że za chwilę zobaczę Cassie, zaschło mi w gardle. Pani Brice wydała krótkie polecenie.

Dyrektorka miała srebrzyste, jasne włosy do ramion, spływające miękkimi falami. Jej twarz była dość atrakcyjna i doskonale symetryczna, jakby jedna połowa była odbiciem drugiej. Mimo drobnej postawy promieniowała spokojnym autorytetem. Mogłam sobie wyobrazić, że kobieta ma niezłomną wolę, ale przy tym jest sprawiedliwa. Wydała mi się dość sympatyczna. W każdym razie w niczym nie przypominała piły o ciętym języku, która rządziła moją szkołą.

Sekretarka przyniosła kawę, a Eleanor Brice zaczęła, aż zamkną się za nią drzwi.

– Niezmiernie mi przykro, że musiała pani pofatygować się tak nagle.

– Co się właściwie stało?

– Myślę, że powinniśmy poczekać na Cassandrę, zanim wyjawię pani szczegóły tego dość... nieszczęśliwego zajścia.

– Wolalabym dowiedzieć się przedtem, o co chodzi, żeby móc się odpowiednio przygotować.

Eleanor Brice namyśliła się chwilę, stykając palce obu dłoni i ściągając usta. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.

Do środka weszła dziewczyna. Ledwie poznałam w niej tamtą nachmurzoną piętnastolatkę, którą widziałam prawie cztery miesiące temu. Jej długie wówczas włosy koloru bladego złota przeszły zdumiewającą metamorfozę. Teraz były ostrzyżone na zapałkę i ufarbowane na platynowy blond. Radykalna fryzura nadawała Cassie jeszcze bardziej kruchy i elfi wygląd, a jej niebieskie oczy błyszczały z oburzenia i wstydu. Miała ten sam kolor oczu, co jej ojciec, ale oczy Roba były spokojne jak jeziora, a jej przywodziły na myśl rozszalałe morze.

Cassie schudła, ale może tylko tak mi się wydawało, bo urosła co najmniej ze cztery centymetry. Obrączka po matce, którą nosiła zawieszoną na łańcuszku na szyi, pasowała już na prawy środkowy palec. A spojrzenie, jakie mi rzuciła, było przepełnione nienawiścią. Jak zwykle.

Patrzyła oskarżycielsko, a w jej oczach widniało nieme pytanie: czego ona tu chce? Najwyraźniej jednak odczuwała pewien respekt przed Eleanor Brice, bo nie powiedziała tych słów na głos.

– Usiądź, Cassandro. – Dyrektorka rzuciła spojrzenie Cassie, a dziewczyna natychmiast ugięła nogi w kolanach i przycupnęła na krześle, składając się jak scyzoryk.

Eleanor Brice zwróciła się do mnie.

– Przejdźmy zatem do rzeczy, pani Forester. Cassandra zamieściła na pewnej stronie internetowej fotografię, adres e-mail i numer telefonu komórkowego swojej koleżanki. Na stronie, ujmijmy to w ten sposób, o mocno nieprzyzwoitym charakterze.

Pani Brice sięgnęła do szuflady i wyjęła teczkę, a z niej arkusz papieru, który podsunęła mi z opanowaną miną.

Sięgnęłam po kartkę, próbując pohamować drżenie rąk, i skupiłam się na treści. Był to wydruk jakiejś strony pornograficznej. Głowa dziewczyny o jasnych, krótkich włosach, piegach i złośliwym spojrzeniu tkwiła doczepiona do ciała, które wyraźnie do niej nie należało. Kobięce ciało miało wymiary Pameli Anderson i szeroko rozłożone nogi, tylko prawa ręka w dość sugestywny sposób przykrywała krocze. Jarzeniowy nagłówek umieszczony nad arogancką twarzą głosił: Libby Labia, lubieżna laska. Pod spodem widniała lista oferowanych aktów seksualnych, od grzecznych po obrzydliwie obsceniczne. Wraz z cenami.

Uświadomiłam sobie, że rozdziawiłam usta z przerażenia, ale zamiast się oburzyć, poczułam, jak w gardle narasta mi kompletnie niestosowny chichot. Przełknęłam ślinę parę razy, a kiedy i to nie pomogło, zatuszowałam wzbierający śmiech kaszlem. Zakryłam usta i połowę twarzy dłonią, dopóki nie opamiętałam się na tyle, że mogłam z poważną miną spojrzeć na Eleanor Brice i Cassie.

Dyrektorka przyglądała mi się. Najwyraźniej oczekiwała, że zganię Cassie. Cóż, właśnie tak reagowali w takiej sytuacji rozsądni rodzice.

– Dlaczego to zrobiłaś, Cas?

„Co ci do tego?“, zapytała spojrzeniem Cassie, ale ponieważ Eleanor Brice i ja nadal ją obserwowaliśmy i czekałyśmy na odpowiedź, odparła w końcu zdawkowo, niemal łamiącym się głosem:

– Bo byłam maksymalnie wkurzona.

Obiecałam sobie, że poszukam w sieci fotomontażu z moją osobą. Pewnie gdzieś tam w sieci widniałam jako Nienasycona Natalie, która za sześć funtów daje się wylizać psu.

Cała ta sytuacja była tym bardziej kłopotliwa, że wciąż z trudem pohamowywałam śmiech. Dla poszkodowanej dziewczyny ta sprawa była przykra, bez dwóch zdań, ale ja sama

w szkolnych czasach wycierpiałam wystarczająco dużo ze strony zołzowatych koleżanek, żeby współczuć Cassie – tak, a nawet więcej niż to. Prawie chciałam jej pogratulować, że w tak spektakularny sposób dała nauczkę swojej antagonistce. Przypomniały mi się numery, jakie wycinałam w wieku Cassie, ale nigdy nie miałam na tyle odwagi, żeby atakować w tak jawny sposób.

– To naprawdę nie jest błahostka, pani Forester.

Dyrektorka najwyraźniej wywnioskowała z mojego zachowania, że musi przypomnieć mi o powadze sytuacji. Wzięłam głęboki wdech, ponownie usiłując przybrać poważną minę, i słuchałam jej dalej.

– Jesteśmy zdania, że zostało poważnie zagrożone osobiste bezpieczeństwo naszej uczennicy. Dlatego nie mamy innego wyboru, jak zawiesić Cassandrę w obowiązkach ucznia do końca roku.

– Zawiesić?! – zawołałam zaskoczona.

Naprawdę wołałabym, żeby ktoś mnie na to przygotował. Choćby dlatego, że zawieszenie w obowiązkach ucznia oznaczało, że Cassandra wróci do domu. Moja pasierbica i ja będziemy mieszkać pod jednym dachem po raz pierwszy, odkąd Rob...

– Ma szczęście, że nie usunęliśmy jej ze szkoły, pani Forester. – Dyrektorka nachyliła się ku mnie. – Ale uwzględniliśmy trudną sytuację, w jakiej Cassandra znalazła się w zeszłym roku...

– Trudną sytuację? – powtórzyłam osłupiała.

Moje egoistyczne obawy przed powrotem Cassie do domu ulotniły się bez śladu. Jak ona mogła określić tragiczną śmierć ojca „trudną sytuacją”?

Poczułam, że moja sympatia do Eleanor Brice słabnie. Byłam wściekła na siebie, że traktuję Cassie jak problem, a nie jak człowieka. Zapewne nawet nie umiałam sobie wyobrazić, co dziewczyna musiała przechodzić po śmierci Roba w szkole.

W tej starej szkole – starej w dosłownym tego słowa znaczeniu. Tu nie okazywało się uczuć. Choćby twój cały świat legł w gruzach, otrzyj łzy, wydmuchaj nos i rób swoje. Mogło być gorzej.

Nikt nie umiał sobie wyobrazić, nawet mgliście, co przeszła Cassie. Czułam wprawdzie wstyd z tego powodu, ale musiałam przyznać, że nawet nie chciałam sobie tego wyobrazić. Dzielący nas dystans był po prostu dla mnie wygodny. Zawiodłam Cassie. Zawiodłam Roba.

Moja nieodparta chęć chichotania jak podlotek ulotniła się bezpowrotnie. Siedziałam na krześle wyprostowana jak struna i starałam się emanować takim samym spokojnym autorytetem jak Eleanor Brice.

– Nie wierzę, żeby Cassandra zrobiła coś tak... drastycznego, jeśli nie została do tego sprowokowana – oznajmiłam, kłamiąc bez zmrżenia oka. Na podstawie własnych doświadczeń z Cassie byłam przekonana, że dziewczyna mogłaby zrobić zupełnie bez powodu znacznie drastyczniejsze rzeczy. – Mam nadzieję, że uczyniono wszystko, żeby wyjaśnić wszystkie aspekty tego incydentu, a nie tylko rolę, jaką odegrała w nim Cassie.

– Owszem, rozmawialiśmy z panną Lansford na temat jej rzekomego mobbingu.

– A czy panna Lansford również została zawieszona w obowiązkach ucznia? – zapytałam.

– Niestety w tym wypadku dysponujemy jedynie ustnym zeznaniem Cassandry obciążającym pannę Lansford, podczas gdy przeciwko Cassandrze istnieje widoczny dla wszystkich dowód jej ciężkiego przewinienia.

Dla podkreślenia swojej dezaprobaty Eleanor Brice wypowiedziała słowa ciężkie przewinienie grobowym tonem. Mimowolnie jeszcze raz rzuciłam okiem na dowód rzeczowy, który wciąż miałam w ręku. Spreparowane zdjęcie było tak komiczne, że tylko z trudem i największym wysiłkiem udało mi się powstrzymać kolejny atak śmiechu. Musiało to sprawiać wrażenie, jak-

bym dostała czkawki. Jednocześnie starałam się przybrać minę pełną potępienia.

– Nie mamy innego wyboru, jak przejściowo odesłać Cassandrę do domu. Mamy nadzieję, że wykorzysta ten czas na przemyślenie swojego występku oraz konsekwencji swojego zachowania i ewentualnego wydalenia ze szkoły – konsekwencjach dla jej przyszłości w Cheal oraz poza szkołą. Żałowalibyśmy, gdybyśmy musieli pożegnać się z Cassandrą, ponieważ była dobrą uczennicą. Ale nie możemy tolerować takiego zachowania.

Mimo iż dyrektorka rozmawiała o Cassie ze mną, przez cały czas wpatrywała się w dziewczynę, jakby upewniając się, że jej słowa trafiają pod właściwy adres.

Cassie siedziała obojętna, z kamienną twarzą.

Eleanor Brice przeniosła wzrok na mnie.

– Mamy nadzieję, że Cassie, naprawiwszy swoją postawę, wróci do nas po feriach świątecznych. Zwolnienie z obowiązków ucznia wchodzi w życie od zaraz. Cassandro, idź po swoje rzeczy, proszę. Pani Forester, czy zaczeka pani w sekretariacie? Może pani zabrać pasierbicę od razu.

– A jeśli to koliduje z moimi planami? – Prychnęłam z irytacją. – Nie uprzedziła mnie pani. A jeśli nie mogę dziś zabrać Cassie?

Spojrzenie dyrektorki pozostało nieugięte.

– A jest tak, pani Forester? – odpowiedziała pytaniem.

Nie miałam powodu nie zabierać Cassie do domu. Ale nie podobało mi się, że tak po prostu podjęto za mnie decyzję. I dlatego, zanim udałam się do sekretariatu, żeby poczekać na Cassie, jeszcze raz dałam upust swojemu niezadowoleniu.

Odkąd przyjechałam, dziewczyna nie odezwała się do mnie ani słowem. Nie złamała swojego milczenia nawet w drodze do samochodu. Łączył nas tylko bagaż, który dźwigałyśmy wspólnie.

– Podejrzewam, że Libby Lansford dostała słuszną karę – powiedziałam, kiedy jechałyśmy z powrotem długą drogą dojazdową do szosy. – Jeśli cię to pocieszy, to na twoim miejscu zrobiłabym to samo.

Cassie wzrokiem dała mi do zrozumienia, że bym sobie przypadkiem nie wyobrażała, że mogę się wkupić w jej łaski takimi odzywkami. Potem znowu utkwiała ponure spojrzenie w widoki za szybą. To nieprzyjazne milczenie utrzymywało się przez całą jazdę i stawało coraz bardziej napięte, im bardziej zbliżyłyśmy się do domu w Hampstead. Na myśl o tym, że czeka na nas Petra, czułam bezgraniczną ulgę. Kiedy podjechałyśmy pod dom, właśnie wyglądała na zewnątrz w oczekiwaniu samochodu.

Cassie najwyraźniej nie cieszyła się z obecności Petry tak bardzo jak ja. „A ty tu czego”, mówiło jej spojrzenie, to samo, którym przywitała mnie w biurze dyrektorki. Moja nowa współmieszkanka natychmiast wbiegła z tupotem na górę, do swojego pokoju, nie zniżając się do tego, żeby odezwać się do nas choć słowem. Bagaż zostawiła u stóp schodów. Nieporządna sterta walizek i toreb podróжных jeszcze dobitniej świadczyła o jej wściekłości niż trzaśnięcie drzwiami.

– Wyleciała ze szkoły. Przejściowo, w każdym razie – odpowiedziałam na nieme pytanie Petry.

– Nie może być. – Moja przyjaciółka zrobiła wielkie oczy, wyraźnie pod wrażeniem. – Za co? Patrz, a wygląda tak niewinnie. Co takiego zmalowała, że ją wywalili? Przejściowo, w każdym razie.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Wykorzystując zdjęcie gołej modelki, doprawiła głowę koleżanki. Swoje dzieło umieściła na Pussypinboard, łącznie z numerem telefonu i cenami usług seksualnych.

Petra parsknęła śmiechem.

– Ach, Nat, przepraszam! To właściwie wcale nie jest śmieszne.

– Zareagowałam tak samo. Musiałam siłą się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem przy dyrektorze. Ładnym świecę przykładem, co?

– Szkoda, że Cassie nie pojmuje, jak bardzo jesteście do siebie podobne. Może wtedy lepiej byście się rozumiały.

Wzruszyłam ramionami. Wiedziałam, co ma na myśli Petra, ale obawiałam się, że Cas nigdy nie będzie tego widzieć w ten sposób.

– Chodź, zjemy coś.

Petra wzięła mnie za rękę i zaciągnęła do kuchni. Na stole stała otwarta butelka wina, dwa kieliszki i taca wypełniona kanapkami.

– Gdybym wiedziała, że przywieziesz Cassie, przygotowałabym oczywiście trzydaniowy obiad. – Petra wzruszyła ramionami.

– Przecież ty gotujesz tylko wtedy, gdy już w ogóle nie da się tego uniknąć.

– Głodna jesteś? A co z Cassie?

Potrząsnęłam głową.

– Nie, dzięki, i sądzę, że Cassie najlepiej zostawimy na jakiś czas w spokoju.

– To może lampkę wina?

– Chętnie.

Z roztargnieniem wzięłam kanapkę z szynką i ogórkiem. Ugryzłam kawałek i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że jednak byłam głodna jak wilk. Przez cały dzień miałam tak ściśnięty żołądek, że nawet nie pomyślałam o jedzeniu.

– Przecież mówiłaś, że nie jesteś głodna – przekomarzała się Petra, kiedy sięgnęłam po drugą kanapkę, chociaż jeszcze nie zjadłam do końca pierwszej.

– Bo nie byłam. – Westchnęłam głęboko.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem, czuję się dziwnie.

– Bo po tak długim czasie zobaczyłaś Cassie? Wiadomo, to nie błahostka.

– Hm. Ale to nie tylko to. Ona jest... jest taka podobna do Roba. Czuję się z tym nieswojo.

– Mam zostać na noc?

Popatrzyłam na nią z wdzięcznością.

– A mogłabyś?

– No jasne.

Petra objęła mnie, w drugiej ręce trzymając kieliszek z winem.

Do środka weszła Cassie, trzasnęła drzwiami i popatrzyła na nas ponuro. Bez komentarza podeszła do lodówki i otworzyła ją z takim impetem, że z półki na drzwiach spadło jajko i rozbiło się na podłodze. Ignorując to, dokonała inspekcji zawartości i skrzywiła się. Najwyraźniej nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Rozejrzała się po kuchni w poszukiwaniu czegoś, co bardziej odpowiadałoby jej gustom.

Jej wzrok spoczął na butelce z winem. Wyjęła z szafki kieliszek, podeszła do stołu, sięgnęła po butelkę i naląła sobie wina. Byłam w rozterce. Upomnieć ją czy dla świętego spokoju przymknąć oko? Zwyciężyła opcja tchórzliwa. Nie odezwałam się. I gardziłam sobą za to.

Petra jednak się nie patyczkowała.

– Masz dopiero piętnaście lat. – Wyjęła Cassie kieliszek z ręki. – Już i bez tego masz nierówno pod sufitem. Jeśli do tego zaczniesz pić, kompletnie ci odwali, jak dorośniesz.

Cassie z oburzeniem otworzyła usta, ale zamiast zaprotestować, tylko zmiażdżyła Petrę

spojrzeniem i wściekła wypadła z kuchni.

Z salonu dobiegł mnie jęk sprężyn, kiedy z impetem usiadła na kanapie. Chwilę potem ogłuszyły nas przekorne dźwięki Avril Lavigne.

Wstałam i przymknęłam drzwi do kuchni, co odrobinę stłumiło dudnienie muzyki.

– Dzięki za interwencję.

– Czy słyszysz sarkazm w twoim głosie?

– Nie, przecież ktoś musiał jej coś powiedzieć.

– Ale nie w taki delikatny sposób jak ja, co? Nie bój się podejmować autorytarnych decyzji, Nat. Jeśli Cassie ma zostać tutaj przez jakiś czas, to musi trzymać się pewnych reguł. Im więcej jej będzie uchodziło na sucho, tym dalej będzie próbowała się posunąć. Dzieci potrzebują granic, przeciwko którym mogą się buntować.

– Wiem, ale to takie trudne. Zupełnie jakby testowała swoje granice wyłącznie na mnie. Cassie często spędza ferie u swojej najlepszej przyjaciółki, Emily. Parę razy rozmawiałam z matką Emily, żeby omówić kwestie pieniężne i praktyczne i żeby jej podziękować. Piała z zachwytem nad Cassie, mówiła, że to anioł, nie dziewczyna, i że to wielka radość móc ją gościć.

– Robisz, co możesz, Nat, biorąc pod uwagę te trudne okoliczności.

– Tak myślisz? Naprawdę robię, co mogę? Nie jestem tego wcale taka pewna. Przecież zostawiłam ją samą. Wiem, że Cassie nie chce ze mną przebywać, więc trzymałam się na dystans, ale to przecież nie jest właściwa droga, prawda? Ach, sama nie wiem... Chyba po prostu jestem jeszcze za młoda na piętnastoletnią córkę.

– Teoretycznie nie.

– No dobrze, ale w takim razie rodząc ją, sama byłabym jeszcze dzieckiem. Chodzi mi o to, że może zbyt wygodnie to sobie urządziłam. Jestem jej opiekunem prawnym, może powinnam jednak obstawać przy tym, żeby spędzała wakacje w domu. Jak mamy pogłębić swoje relacje, skoro nigdy się nie widzimy? Ona nie chce tu przyjeżdżać, a ja to akceptuję, bo łatwiej mi żyć bez niej. A przecież to jest jej dom. Wiesz, w tej chwili wydaje mi się to dziwne, że ona tu jest, a przecież to był jej dom, zanim się tu w ogóle wprowadziłam. A skoro dla mnie jest to nie do wytrzymania, to co dopiero ona musi czuć? Czy to biedne dziecko w ogóle ma jeszcze grunt pod nogami? Przecież nie mogę zgodzić się na to, żeby w ferie błąkała się od jednej koleżanki do drugiej.

– Nie bądź dla siebie taka surowa, Nattie – uspokajała mnie Petra. – Miałaś dość własnych problemów, którymi musiałaś się zająć.

– Ale właśnie w tym rzecz. Muszę się również zająć Cassie. Jestem za nią odpowiedzialna. A do tej pory po prostu to ignorowałam.

Godzinę później Cassie znowu zjawiała się w kuchni. Nie zwracając na nas uwagi, obsłużyła się sama, wyjmując z lodówki grecki jogurt i butelkę soku pomarańczowego. Na koniec wzięła jeszcze z szafki paczkę chipsów z solą i octem, a potem zniknęła.

Słyszałam, jak tupiąc nogami, wchodzi po drewnianych schodach i z wielkim trzaskiem zamyka drzwi do swojego pokoju.

Twarz Petry stężała.

– Zachowuje się, jakby cały dom należał do niej – powiedziała z dezaprobatą.

– Teoretycznie tak właśnie jest.

Petra popatrzyła na mnie pytająco.

– Majątek jest zarządzany komisarycznie, dopóki Cassie nie ukończy osiemnastu lat. Do tego momentu wolno mi tu mieszkać, ale potem, jeśli zechce, z dnia na dzień będzie mogła wyrzucić mnie na bruk. Pod warunkiem, że wytrzymam do tej pory.

– Pewnie nie może się tego doczekać.

– Początkowo chciałam się wyprowadzić do swojego starego mieszkania, ale jednak zdecydowałam się je wynająć.

– Nie wiedziałam o tym.

– Wytrzymałam tam zaledwie dwa dni. Byłam kompletnie rozdarta, chciałam jednocześnie zostać tu i odejść. Nie wiedziałam, co lepsze: że wszystko przypominało mi tu Roba czy że u mnie zupełnie nic mi go nie przypominało. Potem uznałam, że ten dom będzie dla mnie właściwym miejscem, przynajmniej na razie. I że tak będzie prościej, bo Cassie będzie mogła wracać na ferie do domu. Czego do tej pory nie zechciała zrobić. Zresztą teraz też nie jest tu z własnej woli.

– A zostanie?

– Sądzisz, że znowu ulotni się do jakiejś koleżanki? Nie sądzę. Rodzina Emily wyjeżdża na święta do krewnych w Genewie, a do końca roku oczywiście będzie chodziła do szkoły.

– Więc przez święta Cassie będzie tutaj?

– Na to wygląda. Cassie jeszcze się nie wypowiedziała. To trudny temat, abstrahując od tego, że właściwie ze sobą nie rozmawiamy.

– A twoja praca?

– Cassie jest już na tyle duża, że w ciągu dnia mogę zostawić ją samą, choć nie wiem, czy to dobry pomysł. Jutro jest sobota. Zobaczę, jak się zaaklimatyzuje przez weekend, a potem zdecyduję, co dalej. Może mogłabym wziąć urlop. Myślę, że powinnam poświęcić jej trochę czasu.

– Święta Natalia – zakpiła Petra, ale bez złośliwości. – Skąd u ciebie tyle wyrozumiałości? Ja myślę, że ta twoja Cas to chodzący koszmar.

– Ach, Petro, nie chciałam, żeby to zabrzmiało wyniośle, ale żal mi jej. – Wzruszyłam ramionami. – Straciła Roba... Naprawdę wiem, jakie to uczucie.

Wiedziałałam też, jak to jest, kiedy w dzieciństwie traci się ojca. Jakby walił się cały świat. Mój ojciec zmarł, kiedy miałam sześć lat, tak samo niespodziewanie jak Rob. Sprawiał wrażenie zdrowego, czerstwego, ale parę dni przed swoimi trzydziestymi siódmymi urodzinami dostał zawału i zmarł. Nie umiałam sobie z tym poradzić, a mama była tak zrozpaczona, że nie potrafiła mnie pocieszyć.

– Petro, Cassie straciła oboje rodziców. Matki raczej nie pamięta, była jeszcze za mała, ale potrafisz sobie wyobrazić, co ona czuje? Ile udręk nosi w sobie?

Petra pokiwała głową z namysłem.

– A co ty robisz w święta? – zapytałam.

– Psi syn wybiera się ze swoją sekutnicą na urlop – odpowiedziała z udawaną lekkością Petra. Miała na myśli swojego kochanka oraz jego małżonkę. – Lecą nad Zatokę Meksykańską. Mam nadzieję, że ta franca tam utonie albo śmiertelnie popali ją słońce. – Petra wyjęła z torebki pogniecioną paczkę marlboro, podejrzanie drżącą ręką zapaliła papierosa i zaciągnęła się mocno. – Chyba zażyczę sobie w charakterze prezentu pod choinkę jakiegoś słodkiego chłoptasia i będę baraszkować z nim przez cały dzień.

Zaciągnęła się ponownie i odprężyła wyraźnie.

– W ramach rekompensaty zaoferował mi wyjazd do jakiegoś luksusowego i pioruńsko drogiego hotelu spa, gdzieś pod prażącym słońcem. Albo chce mnie w ten sposób pocieszyć, albo się mnie pozbyć; jedno z dwojga.

Petra usilnie starała się sprawiać bez troskie i radosne wrażenie, ale widziałam, że jest przybita.

– A jak ci się w ogóle z nim układa? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Zastanawiam się, co ty w nim w ogóle widzisz.

Sięgnęłam z westchnieniem po wino.

– Też się nad tym zastanawiam, ale na przekór wszystkiemu utrzymujemy ten związek. W końcu on ma też swoje dobre strony.

– Na przykład?

– No wiesz, wprawdzie zajmuje dwa miejsca w samolocie, ale za to spokojnie może sobie na nie pozwolić. – Mrugnęła do mnie.

Wiedziałam, że to tylko poza. Owszem, pieniądze były dla niej bardzo ważne, ale sama zarabiała wystarczająco i nie była zdana na niczyją kasę. Miałam własną teorię, dlaczego ciągnęła ten pozbawiony perspektyw związek. Tamten mężczyzna dawał jej poczucie, że ktoś za nią tęskni, a jednocześnie pozostawiał jej dużo swobody. A przede wszystkim nie musiała nikomu oddawać swojego serca, tylko nadal mogła pilnie go strzec.

– Wiem, że wcale tak nie myślisz – powiedziałam.

– Ach, nie?

– Nie. Masz jeszcze jedno podejście.

– No dobra. – Powoli ciągnęła dalej: – Jest wyższy ode mnie, a ciężko znaleźć kogoś takiego. Wiesz, jak to jest, kiedy w butach na obcasach ma się metr dziewięćdziesiąt? A butów na płaskim nie założę, choćby dla samego Toma Cruise'a.

Zachichotałam, a kiedy już raz zaczęłam, nie potrafiłam przestać. Wreszcie mogłam się uwolnić od napięcia, które się we mnie spiętrzyło.

Nagle śmiech uwiązał mi w gardle.

W drzwiach stała Cassie. Jej twarz i oczy płonęły oburzeniem, dziewczyna cała się trzęsła.

– Co ty tu w ogóle robisz? – zapytała jak matka besztająca niesforne dziecko. – Recho-czesz jak głupia i złopiesz wino z piwniczki taty jak gdyby nigdy nic. Był ci kompletnie obojętny! Mam rację, prawda?

Odstawiłam kieliszek niczym obciążający dowód.

– Nie był mi ani trochę obojętny – zaprzeczyłam. – Twój ojciec był dla mnie ważniejszy niż ktokolwiek inny na całym świecie.

– Jak możesz żyć dalej tak po prostu? Jak możesz udawać, że wszystko jest tak jak do tej pory?

Upłynęła chwila, zanim znalazłam właściwie słowa. Kiedy jej odpowiedziałam, czułam się, jakbym słyszała je po raz pierwszy w życiu.

– Nie rozumiesz? Mogę albo żyć tak jak do tej pory, albo nie żyć wcale. To całkiem pro-ste. Kiedy umarł twój ojciec, życzyłam sobie śmierci razem z nim.

– No to witamy w klubie – prychnęła Cassie i wypadła na korytarz.

Zatrzasnęła za sobą drzwi z takim impetem, że zabrzęczały kieliszki na stoliku. Wystra-szone wymieniliśmy z Petrą spojrzenia.

To była prawda – pragnęłam umrzeć wraz z nim i to napawało mnie lękiem. To nie były puste słowa, ja rzeczywiście chciałam włożyć sobie w usta lufę pistoletu i nacisnąć spust. Po-wstrzymywało mnie przed tym wyłącznie tchórzostwo. Nie wiedziałam dokładnie, czego się bałam. Na pewno nie śmierci. Kary boskiej? Być może. Bólu? Nie, bólu się nie bałam. Nic nie jest bardziej bolesne od udreki rosnącej we mnie jak nowotwór żywiący się przekonaniem, że nigdy więcej nie zobaczę Roba i nigdy więcej go nie dotknę, że już nigdy nie powącham cudow-nego zapachu jego skóry.

Ale jak mogłam, tłumiłam te uczucia i żyłam dalej. Musiałam żyć dalej jak zawsze, nor-malnie, choć nic już nie było dla mnie normalne.

Cassie unikała mnie przez całą sobotę. Nie zeszła ani na śniadanie, ani na obiad. Wynu-

rzyła się ze swojego pokoju dopiero wieczorem, kiedy ogarnęłam się i wyszłam po parę czasopism. Kiedy wróciłam, zza zamkniętych drzwi salonu dobiegały dźwięki telewizora.

Talerz z obiadem dla Cas, który przedtem był w lodówce, stał na stole wyjedzony do połowy, najwyraźniej podgrzany uprzednio w mikrofalówce. Ta była otwarta, błyskając światłem. W jej wnętrzu eksplodowała marchewka i ziemniaki, bo Cassie nie przykryła talerza. Na blacie, w odległości zaledwie pół metra od kosza na śmieci, leżał pusty karton po soku, a obok szklanka z resztką napoju. Sprzątnęłam to wszystko i usiadłam przy stole zła na siebie, że jestem zbyt wielkim tchórzem, żeby otworzyć drzwi salonu i usiąść obok Cassie.

To były tylko drzwi, ale równie dobrze mogła to być granica między dwoma wrogimi państwami, patrolowana przez uzbrojonych w karabiny żołnierzy prowadzących na smyczy złe owczarki niemieckie.

– Tchórz – złałam się i sięgnęłam po stertę czasopism.

Potrzebowałam półtorej godziny, żeby zaspokoić głód informacji. Potem długo jeszcze siedziałam w kuchni, delektując się lampką wina. Kiedy zegar na ścianie pokazał wpół do jedenastej, zebrałam się wreszcie na odwagę i nacisnęłam klamkę.

Jedynym źródłem światła w pokoju był migający ekran telewizora. Dźwięk był ściśniony, pilot nadal tkwił w ręku Cassie. Dziewczyna leżała na kanapie, pogrążona w mocnym, głębokim śnie. Zobaczyłam ślady łez na jej bladych policzkach. Obiema rękoma, jakby chciała się pocieszyć, przyciskała do siebie wielką, aksamitną poduchę.

Długo siedziałam i przypatrywałam się mojej śpiącej pasierbicy, słuchałam jej cichego oddechu, szmeru telewizora i sporadycznego warkotu przejeżdżającego samochodu. Cassie nie poruszała się. W końcu wyłączyłam telewizor, przyniosłam koc z pokoju gościnnego i ją przykryłam.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, Cassie znikła z kanapy, a drzwi jej pokoju były zamknięte.

W poniedziałek rano zadzwoniłam do Elaine i oznajmiłam, że przez parę dni będę pracować w domu. Potem pojechałam do najbliższego supermarketu.

Kupując artykuły spożywcze, nie udało mi się uciec przed przedświątecznym rejwachem. Choć przecież nadal był listopad, kiedy skręcałam na parking, rzuciła mi się w oczy dziesięciometrowa choinka. Jej widok nieuchronnie przywiódł mi na myśl Roba.

Znowu Boże Narodzenie bez ciebie. Mieliliśmy dla siebie tylko dwa Boże Narodzenia.

Czułam się tak, jakby mnie okradziono. Bolesna pustka, którą w sobie nosiłam, nie miała nic wspólnego z tym, że nie jadłam od wczorajszego poranka.

Po ślubie postanowiliśmy urządzić rodzinne święta. Rob, ja i Cassie. Zaprosiłam nawet swoją mamę, Laurę. Nie odwiedzałam jej w święta już od wielu lat i do ostatka zwlekałam z telefonem do niej. Naturalnie miała już inne plany, ale jej szczery żal, że nie mogła ich już zmienić, wywołał we mnie cień skruchy.

Odkąd starałam się dotrzeć jakoś do Cassie, stałam się mniej krytyczna wobec Laury. W tamto pierwsze Boże Narodzenie zainwestowałam mnóstwo czasu i wysiłku w znalezienie prezentów, które naprawdę spodobałyby się córce Roba. Była to z mojej strony próba wkupienia się w łaski Cassie. Ale ona wszystkie moje podarki skwitowała pogardliwym uśmiechem albo zimnym, obojętnym spojrzeniem.

Pamiętam, że Rob wziął mnie potem w ramiona i podziękował za starania.

– Za rok będzie lepiej – mruknął i złożył lekki pocałunek na mojej głowie.

Myślałam o Cassie, jaka była krucha, myślałam o jej smutnych oczach. Musiała czuć się tak samo zagubiona i załęczona jak ja. Poczulałam nagłą potrzebę przygotowania czegoś w rodza-

ju świąt. Wróciłam do pominiętych uprzednio regałów i wrzuciłam do wózka na zakupy paczkę krakersów. Kupiłam nawet małą, sztuczną choinkę, której gałązki błyskały kolorowymi lampkami. Sama nie wiem dlaczego; była szkaradna.

Próbowałam zgadnąć, co spodobałoby się Cas. Nawet nie wiedziałam, co lubiła. Większość nastolatków preferowała frytki, chipsy i mrożoną pizzę, ale czy ona też? Załadowałam wózek jogurtami i sokami owocowymi, które pakowała w siebie bez opamiętania, do tego makaron, sałatę, czekoladę. Jeśli Cassie nie je takich rzeczy, to przynajmniej się nie zmarnują.

Wracając do domu, zatrzymałam się w McDonalddie. Nie wiedziałam, czy Cas lubi śmieciowe jedzenie, ale wzięłam dla niej zestaw Happy Meal. Aż się uśmiechnęłam na widok nazwy zestawu, bo naprawdę pragnęłam, żeby posiłek uczynił ją szczęśliwą.

Kiedy wróciłam do domu, Cas wyłoniła się ze swojego pokoju jak dzikie zwierzę zwabione zapachem jedzenia. Wręczyłam jej torebkę z McDonalda. Najpierw popatrzyła na mnie, jakbym była jakąś terrorystką, która chce wcisnąć jej tykającą bombę. Ale w końcu wyciągnęła szczupłą rękę.

– Och, dziękuję.

Zaskoczona patrzyłam, jak wzięła torebkę i z hałasem poszła na górę. Drzwi do pokoju zatrzasnęły się za nią jak zazwyczaj.

Był wieczór, a ja jak zwykle siedziałam na kanapie w wygodnym szarym dresie i grubych skarpetach. Rozległ się dźwięk komórki.

Dzwoniła Petra.

– Co robisz?

– Piję wino i oglądam telewizję.

– A gdzie diabelskie nasienie?

– Nie mów tak na nią, Petro. Jest u siebie w pokoju i głośno słucha muzyki. – Otworzyłam drzwi i nadstawiłam słuchawkę telefonu, żeby uświadomić jej, jak głośno Cassie rozkręciła Eminema.

– Naprawdę głośno – zgodziła się Petra, kiedy znów przyłożyłam telefon do ucha i kopniakiem zamknęłam drzwi. – Co oglądasz? – zapytała.

– Powtórkę *Spraw inspektora Morse'a*.

– A jakie wino pijesz?

– Wspaniałe Châteauneuf-du-Pape.

– Zostało coś jeszcze?

Podniosłam butelkę i sprawdziłam zawartość.

– Jakaś jedna trzecia.

– W takim razie przyniosę jeszcze flaszkę.

Rozłączyła się.

Pół godziny później usłyszałam szcęk zamka i do domu weszła Petra. Z pokoju Cassie wciąż dobiegał nieznośny łomot muzyki. Drzwi do salonu otworzyły się i wpuściły do środka ogłuszającą falę. Po ich zamknięciu zrobiło się nieco ciszej, ale mimo to czułam przenikające przez sufit wibracje basów. Jakby domem wstrząsało małe trzęsienie ziemi.

Petra obdarzyła mnie szerokim uśmiechem, zdjęła płaszcz i rzuciła go na oparcie kanapy. Ubrana była w połyskującą złotą nitką sukienkę z głębokim wycięciem na plecach od Josepha, która przylegała do ciała tam, gdzie trzeba. Wspaniałe podkreślała jej muskularne, opalone plecy, nieskończenie długie nogi i godny pozazdrosczenia obfity biust.

– Wyglądasz super.

– Spędziłam wieczór z Peterem – odparła, zrzuciła ze stóp szpilki na rzemykach i usiadła obok mnie.

– I o dziesiątej jesteś z powrotem?
– Wcześniej zjedliśmy kolację – przyznała otwarcie – i chcieliśmy się gdzieś zaszyć, ale zadzwonił telefon i Peter musiał się pożegnać.
– Aha.
Petra wykrzywiła twarz.
– Wiem. Tak to jest, jak się ma romans.
Przez chwilę panowało zgodne milczenie. Coś w telewizji przykuło uwagę Petry.
– Przemyślałam to sobie – powiedziałam w końcu. – Sprawę Bożego Narodzenia.
– I? – zahaczyła, nie patrząc na mnie.
– Postanowiłam, że zostanie ze mną.
– Kto, Cas?
– Tak.
– Myślałam, że nie chcesz obchodzić świąt.
– Zmieniłam zdanie.
– Tylko mi nie mów, że nawiedził cię duch zmarłego Marleya... Och, przepraszam cię. – Petra z przerażeniem odwróciła się do mnie. – Tak mi się głupio wyrwało.
– Nic się nie stało – uspokoiłam przyjaciółkę. – Wiesz, co szczególnie w tobie cenię? Że rozmawiasz ze mną jak z kimś normalnym.
Uśmiechnęła się.
– Słodczy ty moja, zapewniam cię, że jeszcze nigdy nie rozmawiałam z tobą jak z kimś normalnym. – Ścisnęła mnie za rękę. – No to co planujesz? Znaczą w Boże Narodzenie?
– Zamierzam dopilnować, żeby Cas miała miłe święta, i to rodzinne. Żeby nie czuła się jak bezpański pies albo dziecko bez dachu nad głową i nie musiała siedzieć przy jakimś obcym stole.
– To bardzo chwalebne, ale pomyśl: niektóre bezpańskie kundły potrafią niezłe dziabnąć. Już was widzę nad wielkim, faszerowanym indykiem.
– Tak, a Cassie chwyta za nóż i mówi: no to zaczynamy. I rzuca mi się do gardła. – Spoważniałam nagle. – Odwołaj swój wyjazd i spędź święta z nami – poprosiłam.
Omam zachłysnęła się winem.
– Ach, ty jeszcze nic nie wiesz – wypaliła. – Mam supernowiny. Nie lecę na Barbados.
– Nie?
– Nie. Mam coś o wiele lepszego. Sekutnica Petera leci dziewiętnastego grudnia do siostry, na Florydę. Powinnaś kiedyś zobaczyć tę siostrę. Przeszła tyle operacji plastycznych i wchłonęła taką dawkę słońca, że jej cera wygląda jak stara irchowa szmatka do okien. W każdym razie właśnie sprawia sobie nowego męża, szóstego z kolei, o ile się nie mylę. Jest tak bogaty, że będzie mogła znowu zrobić sobie nowe cycki... Biorą ślub w sylwestra, dlatego cała rodzina leci na dwa tygodnie do Stanów.
– I to ma być ta dobra wiadomość? – zapytałam.
– Jasne, bo huncwot ze względu na pracę nie da rady się wyrwać aż do dwudziestego trzeciego. Obiecał, że doleci do nich w Wigilię, ale – trzymaj się mocno – przyrzekł mi, że coś wymyśli i spędzi ten dzień ze mną. Czy to nie cudowne? Poleci dzień później i wciśnie gadkę szmatkę, że samolot się zapalił czy coś w tym stylu. Będziemy mieli dla siebie całą Wigilię. Czy to nie cudowne? – powtórzyła Petra, jakby sama nie mogła uwierzyć we własne szczęście.
– Owszem, cudowne – powiedziałam powątpiewająco, bo doskonale wiedziałam, że obietnice Petera są bardziej kruche niż skrzydła motyla.
– Ale poza tym chętnie spędziłabym ten dzień z wami.
Petra pocieszającym gestem nakryła dłonią moją rękę, interpretując wyraz malujący się

na mojej twarzy jako rozczarowanie.

– Nie przejmuj się tym. Coś wymyślę – uspokoiłam ją.

Trzy dni później, po niespokojnej nocy, kiedy udało mi się zdrzemnąć dopiero nad ranem, obudził mnie telefon przy łóżku. Właściwie nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale od śmierci Roba mało kto dzwonił do mnie, prawdopodobnie dlatego, że po wypadku przestałam odbierać telefony. Miałam wtedy okropną fazę: wydawało mi się, że kiedy odbiorę, usłyszę jego głos. To było dziwne. Dobrze wiedziałam, że to niemożliwe, ale za każdym razem, gdy słyszałam w słuchawce obcy głos, byłam rozgoryczona do głębi.

Przyjaciele dzwoniли do mnie przeważnie na komórkę, żeby od razu widziała, kto dzwoni.

Wysunęłam rękę spod kołdry i wymacałam słuchawkę na nocnym stoliku.

– Halo? – wychrypiałam.

– Natalie?

Oprzytomniałam w okamgnieniu i usiadłam wyprostowana jak struna. Mama. Nie wiedziałam jej od pogrzebu. Parę razy rozmawialiśmy ze sobą sztywno, bo żadna z nas nie wiedziała, co powiedzieć. Naprawdę próbowała mi pomóc, ale jak zwykle nie dopuściłam jej do siebie, niestety. Wielokrotnie mnie do siebie zapraszała, ale ja za każdym razem odmawiałam. Nie chciałam też, żeby przyjechała do mnie do Londynu. Nigdy jej się nie zwierzałam, nasze relacje nie nadawały się do tego. Właściwie od śmierci ojca nie utrzymywałyśmy ze sobą kontaktu.

Wtedy czułam się, jakbym straciła oboje rodziców naraz, tak radykalnie zmieniła się wówczas moja matka. Wprawdzie była przy mnie, ale odnosiłam wrażenie, jakby jej nie było.

Zapytała, co u mnie, a potem zaczęła ostrożnie wypytywać, ignorując moje zwykłe, monosylabowe odpowiedzi. Jej głos brzmiał tak spokojnie, tak kojąco, że niespodziewanie wyrzuciłam z siebie wszystko. Opowiedziałam jej całą historię z Cassie. Pocieszyło mnie, że roześmiała się, słysząc o zdjęciu porno.

– Też tak zareagowałam – powiedziałam. – Cieszę się, że nie tylko ja uważam, że to śmieszne.

– A zatem jesteś skazana na rolę złej macochy – skwitowała Laura. – Pewnie jesteś zachwycona, co?

– Założę się, że Cassie obdzwaniania właśnie koleżanki, żeby wprosić się gdzieś na święta. Podejrzewam, że wolałaby zjeść indyka razem z Libby Labią niż ze swoją złą macochą.

Laura zaśmiała się znowu.

– A ty, czego ty byś chciała?

– Chciałabym spędzić święta razem z nią. W końcu jestem teraz jej najbliższą rodziną. – Westchnęłam.

– Nat, chciałabym ci coś zaproponować. Ale bądź całkiem szczerą. Jeśli nie będziesz chciała, to powiedz, dobrze? Obiecuję, że się nie obrażę.

– Wal śmiało.

– Przyjedźcie obie do Kornwalii.

– Do ciebie? Na święta?

– Tak. Chętnie was u siebie ugoszczę. I po co czekać? Przyjedźcie od razu. Zastanawiałaś się, co z począć z Cassie. Po prostu przywieź ją z sobą. Bardzo bym się cieszyła, gdybyście obie przyjechały.

– Naprawdę?

– Ależ oczywiście – odpowiedziała mama. – Przyjedźcie do Kornwalii – powtórzyła uparcie. – I tak chciałam was zaprosić na święta. Nie byłam tylko pewna, czy wam się u mnie spodoba. Boże Narodzenie w Kornwalii pewnie wypada nudno w porównaniu ze świętami w Londynie.

– Nudno? To brzmi dokładnie tak jak to, czego mi trzeba – odpowiedziałam bez namysłu.

– To jak? Przyjedziecie?

– Tak. Tak, dziękuję. – Usłyszałam własny głos. – Myślę, że przyjedziemy.

Przy śniadaniu, które w drodze wyjątku zjadłyśmy razem, wprowadziłam w milczeniu, ale siedząc naprzeciwko siebie przy jednym stole, obwieściłam, że jedziemy do Kornwalii. Cassie z niezmaconym spokojem obierała pomarańczę. Zdjąwszy skórkę, starannie skubała owoc z białych farfocli. Następnie podzieliła go na cząstki i ułożyła z nich wzór na talerzu. Nie zjadła ani jednej. Sama też nie miałam apetytu. Bicie dziesięć minut mieszałam w miseczce łyżkę płatków zbożowych, próbując zebrać się na odwagę. Tak trudno było znaleźć właściwe słowa.

Uznałam, że najsmardziej będzie udawać, iż sama jestem niechętna temu pomysłowi. Jeśli Cassie uzna, że mam chęć jechać do Kornwalii, prawdopodobnie będzie się opierać, byle zrobić mi na złość.

– Moja matka zaprasza nas na święta – zaczęłam.

Włożyłam w swoje słowa tyle niechęci, ile zdołałam.

Cas mnie zignorowała.

– To rozwiążanie jest oczywiście dalekie od ideału. Próbuję właśnie wynaleźć jaką wymówkę. Jak myślisz? Masz jakiś pomysł, dlaczego mogłybyśmy odmówić?

Cas wzruszyła ramionami.

– Nie?

Znowu wzruszenie ramion.

– A chciałabyś pojechać?

– Bo ja wiem.

– Wolałabyś zostać tutaj?

Tym razem spojrzała na mnie przez stół.

– Nie – zaprzeczyła energicznie.

– Więc mam przyjąć jej zaproszenie? Pojedziemy do Kornwalii?

– Niech będzie.

Kiedy zadzwoniłam do mamy, Cas jeszcze była w kuchni. Spodziewałam się, że może przerwać rozmowę i jednak odmówić. Ale zamiast spodziewanego oporu zauważyłam tylko zmęczoną rezygnację.

Po skończonej rozmowie odwróciłam się do niej.

– No to ustalone. Wyjeżdżamy w najbliższy weekend.

Chcąc sprzątnąć talerz z zeschniętymi cząstkami pomarańczy, rozpoznałam, co ułożyła: V jak victory. Zwycięstwo.

Złożyłam wniosek o urlop, który Elaine, moja szefowa, przyjęła nadspodziewanie obojętnie. Przypuszczalnie nadal nie mieściło jej się w głowie, że tak prędko po pogrzebie Roba wróciłam do pracy, i uznała, że smardziej będzie dać mi wolne, niż trzymać w zespole potencjalną pacjentkę psychiatryczną. Może też kombinowała, że zatrudni kogoś na zastępstwo, co w tej chwili i tak mało by mnie obeszło.

Byłam wycieńczona, a perspektywa dłuższego urlopu stała się o wiele bardziej atrakcyjna, niż sądziłam. Poza tym mogłam przecież pisać i w Kornwalii, może nawet przyjąć parę dodatkowych zleceń. Z pewnością byłoby fajnie, gdybym dla odmiany sama mogła decydować o swojej pracy. Elaine była dobrą szefową, ale otwarcie przyznawała się do obsesji na punkcie kontroli, a tekst dopiero wtedy zyskiwał jej aprobatę, gdy znalazło się w nim choć trochę jej korekt – choćby miała to być tylko zmiana tytułu czy interpunkcji.

Do świąt pozostało jeszcze trzy i pół tygodnia, więc miałam pięć tygodni wolnego, zanim będę musiała wrócić do pracy w nowym roku. Po raz pierwszy w moim zawodowym życiu zapo-

wiadał się taki długi urlop. Zważywszy, że w minionym roku praca stanowiła mój życiowy eliksir, zdumiewało mnie, jak bardzo cieszyłam się na wyjazd, z dala od Londynu i wszystkiego, co znajome.

Farma, na której mieszkała moja mama, nazywała się Wichrowe Łąki. Była naszym ostatnim wspólnym domem. Tylko czy „dom” było właściwym słowem? Stara farma była domostwem, do którego wprowadziłyśmy się po śmierci mojego ojca – po szeregu kolejnych przeprowadzek. Tam też nie czułam się jak u siebie.

Dziwne, ale kiedy myślałam o domu, zawsze przychodził mi na myśl ten, w którym mieszkaliśmy przed śmiercią taty. Całą trójką. W tamtym domu mama była szczęśliwa, tam się śmiała, tańczyła i śpiewała. Jej nieustanny dobry humor był aż przyjemnie męczący.

Nie wiem, jak moi rodzice odnaleźli siebie. On był niewysoki, skromny, prawie nieśmiały – ona wysoka i dwa razy ładniejsza od niego. Byli w sobie bardzo zakochani i zlaknieni pieśczęt; całowali się niemal bez przerwy. Wprawiało mnie to w zakłopotanie, ale mimo to wydawało mi się to sympatyczne. Cała nasza rodzina lubiła się przytulać. Gdy dwoje trzymało się w objęciach, natychmiast przyłączało się trzecie.

Każdej niedzieli wdrapywałam się do łóżka rodziców. Leżałam między nimi, ciepła, bezpieczna, podczas gdy tata czytał niedzielną gazetę, a mama przeglądała piśmka o modzie.

Kiedy tata zmarł, miałam wrażenie, że straciłam oboje rodziców. Z mojego życia zniknęła nie tylko ojciec, ale i tamta matka, jaką znałam.

Wkrótce po jego śmierci przeprowadziłyśmy się. Myślę, że mama długo żałowała tego nieco pochopnego kroku. Uciekła przed wspomnieniami, które przywoływał dom, ale początkowo ulga ustąpiła prędko głębokiemu poczuciu straty. Mama była pogrążona w smutku nad stratą domu, który stworzyli razem z tatą.

Między innymi dlatego właśnie wprowadziłam się z powrotem do domu Roba. Do naszego domu. Wprawdzie Rob mieszkał tu razem ze swoją rodziną na długo przed tym, jak mnie poznał, ale zawsze dawał mi odczuć, że to nasz wspólny dom. Przebywanie w nim było jednocześnie rozdzierające i kojące, jakbym miała na sobie stary sweter Roba, pachnący jeszcze jego wodą po goleniu.

Zawsze starałam się wspominać dobre strony naszego wspólnego życia. To była jedna z niewielu rzeczy dających mi siłę.

W pewnym sensie mama wróciła po śmierci taty do swoich korzeni, do czasów wędrownego teatru warieté. Bez wytchnienia ciągnęła z miejsca na miejsce. Nigdzie nie zagrzała go dłużej, nigdzie nie zapuściła korzeni, nigdzie nie nawiązała przyjaźni.

Z bezosobowego mieszkanka w Brighton, gdzie zamieszkałyśmy najpierw – miałam wtedy siedem lat – powędrowałyśmy na południe, jak wędrowne ptaki w poszukiwaniu cieplejszego klimatu. Z Brighton przeniosłyśmy się do Portsmouth, z Portsmouth do Bournemouth, z Bournemouth do Exmouth, z Exmouth do Plymouth, z Plymouth do Falmouth, aż w końcu wylądowałyśmy w Stormy Meadows, niedaleko przylądka Land's End. Stąd nie można już było wędrować dalej, chyba że przemierzyłybyśmy morze.

W Stormy Meadows mieszkała około roku, zanim sama przeprowadziłam się do Londynu.

Pamiętam tylko jedno jedyne Boże Narodzenie na farmie. Od drugiego dnia świąt do Nowego Roku byłyśmy kompletnie zasypane śniegiem.

Właśnie wtedy, gdy tkwiłam uwięziona z matką w domu, postanowiłam, że zaraz po egzaminach końcowych ucieknę. Z powrotem do miasta, które zachowałam w pamięci jako prawdziwy dom.

Do Londynu.

Byłam słodką szesnastolatką z dwustoma funtami na koncie, bez pracy, bez dachu nad głową, ale z determinacją, która przyćmiewała wszelkie obawy przed nieznanym. Znalazłam sobie tanie schronienie w noclegowni i przez trzy tygodnie przemierzałam pieszo cały Londyn, zaliczając wszystkie redakcje, od „Guardiana” po „Islington Christian Time” w poszukiwaniu pracy, jakiegokolwiek zaczepienia, żeby wspiąć się na pierwszy szczebel kariery w branży wydawniczej.

A ponieważ nie poddawałam się tak łatwo, dzięki trzem dorywczym zajęciom ostatecznie zdołałam sfinansować sobie studia dziennikarskie. Wstawałam codziennie o szóstej, żeby podawać wygłodniałym kierowcom ciężarówek śniadanie w Grepsy Spoon w Watford, potem od dziewiątej do szesnastej byłam na zajęciach, a pięć wieczorów w tygodniu dorabiałam w knajpie na rogu, na czarno i nielegalnie, bo przecież byłam jeszcze niepełnoletnia. W soboty i niedziele sprzątałam biura.

Tamte lata należały z pewnością do najbardziej wyczerpujących w moim życiu, ale i do najpełniejszych. Miałam przed oczami cel, na który pracowałam z ogromnym zapałem. Nie mam pojęcia, czy dziś zdolna byłabym przejść przez to wszystko. Chyba jako szesnastolatka byłam silniejsza niż teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat. Byłam twardą smarkulą, błyszczącym kasztanem w kolczastej skórce.

Zmięklam przez te lata.

Zmięklam też przez Roba.

To za mało, żeby zgrywać bezwzględną dziennikarkę. Tak, kiedy poznałam Roba, stępił mi się pazur, ale za to zyskałam szerszą perspektywę, a to wyszło na dobre mojej dziennikarskiej pracy. Rob nauczył mnie powściągliwości i umiejętności słuchania. Miałam znakomity słuch i potrzebowałam go, żeby wykonywać dobrą robotę. Ale często słyszałam jakby przez filtr. Zanim poznałam Roba, zawsze zadawałam rozmówcom pytania według przygotowanego schematu, opartego na zebranych informacjach. Z niego starałam się wyłowić konkretne rzeczy. Rob nauczył mnie, jak podchodzić do wywiadu z otwartością i widzieć pełnię sytuacji. Tak można było dowiedzieć się o człowieku więcej, niż się wydawało.

Rob pokazał mi mnóstwo rzeczy, a ja nawet po jego śmierci wciąż jeszcze uczyłam się od niego.

Powtarzał mi, że powinnam budować mosty, zamiast je za sobą palić.

Ostatniego dnia listopada wyruszyliśmy do Stormy Meadows. Ku mojej uldze Cassie przez większość jazdy spała. Obudziła się dopiero wtedy, gdy przejeżdżaliśmy przez Bodmin Moor, z wyraźnym wstrętem przyglądając się monotonnej, pogrążonej w deszczu okolicy. Zamknęła z powrotem oczy, ale nie żeby spać dalej, tylko żeby uniknąć rozmowy.

Monotonna jazda w szarym deszczu była nużąca. Ledwie cokolwiek widziałam. Nie dlatego, że tak mocno padało, tylko dlatego, że mijane samochody miały na przednią szybę strugi wody. Wycieraczki były wprawdzie przydatne, ale ich miarowy, wahadłowy ruch działał usypiająco.

Zatrzymałam się w zajeździe Little Chef przy trasie A30, spragniona kofeiny. Usiadliśmy z Cassie na czerwonych plastikowych krzesłach i wyglądaliśmy przez zasłonięte cukierkowymi firankami okno na mokradła porośnięte paprociami. Dzielnie wlałam w siebie trzy filiżanki kawy z dużą ilością mleka, podczas gdy Cassie skubała skórkę hamburgera. Obracała go przy tym obiema rękoma, jakby był zębatym kółkiem jakiejś skomplikowanej maszyny. Nie wiedziałam, czy po prostu nie była głodna, czy robiła to, żeby mnie wkurzyć. W końcu zostawiłam ją przy szarym stoliku i stanęłam na końcu kolejki zmęczonych, przemoczonych podróżnych, którzy chcieli zapłacić. Poblążliwie uśmiechnęłam się na widok starszej pary w identycznych płaszczach przeciwdeszczowych. Trzymali się za ręce przez cały czas, nawet kiedy jedli na spółkę naleśnika z wiśniami. Nawet wtedy, gdy mężczyzna z wysiłkiem wydobywał wolną ręką portfel z tylnej kieszeni spodni, nie puszczał chudej dłoni żony.

Cassie zostawiła nagryzionego hamburgera i poszła do toalety, żeby się odświeżyć. Włosy urosły jej już trochę i dodawały uroku. Było jej wyjątkowo do twarzy w tej fryzurze, zważywszy, że wykonała ją własnoręcznie. Może nawet trochę żałowała, że rozstała się z długimi puklami, choć nigdy by się do tego przede mną nie przyznała.

Kiedy dotarliśmy w pobliże Land's End, deszcz ustał. Ciemna warstwa chmur nad nami pękła i słaby promień słońca przeciął długą, złotą strzałą rozległą przestrzeń przed nami.

Stormy Meadows leżało między przylądkami Lands's End a Cape Cornwall. Posiadłość obejmowała jakieś osiem hektarów poszatkowanej połaci łąk i pól, ograniczonej od północnego zachodu Atlantykiem. Kiedy dotarliśmy do wysokich, białych wiatraków wykorzystujących wiatr znad Atlantyku, uświadomiłam sobie, że byliśmy prawie na miejscu. Już sam ten widok sprawił, że poczułam się bardziej nieswojo.

Kiedy w końcu zjechałam z wąskiej szosy na wyboistą drogę wijącą się w stronę farmy, Cassie znów spała.

Nagle przednie koło wpadło w dziurę, brutalnie budząc szarpnięciem dziewczynę. Popatrzyła wokół z irytacją.

– Gdzie jesteśmy? – wychrypiała.

– Na miejscu.

– Gdzie?

– Na końcu świata – odpowiedziałam zdawkowo.

Mama czekała na nas przy bramie przed wjazdem na farmę. Jak zawsze ogarnęło mnie zdumienie, bo obojętne, ile się nie widziałyśmy, ona zdawała się nie zmieniać. Kiedyś była dla mnie najpiękniejszą kobietą na świecie. W latach siedemdziesiątych, kiedy świat mody opanowały szkaradne spodnie-dzwony i bezkształtne kaftany, mama ignorowała najnowsze trendy i ubierała się, przynajmniej w moich dziecięcych oczach tak to wyglądało, jak gwiazda filmowa,

jak Ava Gardner albo Katharine Hepburn. Lubiła zwiewne kobiece sukienki z podkreśloną talią i buty, które bardziej pasowałyby do życia w Londynie, a nie na farmie. Nosiła się klasycznie i elegancko.

Laura zyskała bujniejsze kształty, ale wyglądała szykownie jak zawsze. Jej włosy w kolorze karmelu opadały miękkimi falami prawie do ramiona. Ubrana była w spodnie z szarej wełny z paskiem, purpurowy, przylegający golf i kalosze. Jej dłonie okrywały skórzane jeździeckie rękawiczki, a usta były perfekcyjnie umalowane purpurową pomadką. Do jej nóg kleił się ładny, biało-czarny border collie podążający za nią krok w krok.

Kiedy Laura dostrzegła samochód, zaczęła machać z ożywieniem ręką. Uśmiechnięta otworzyła bramę i zaraz ją za nami zamknęła. Zatrzymałam się przed domem stojącym po prawej stronie wybrukowanego podwórza.

Budynek był podłużny i szary jak polny kamień, z drzwiami wejściowymi dokładnie pośrodku. Jak na dziecięcych rysunkach okna pierwszego piętra umieszczone były tuż pod zwieszającym się nisko dachem i przypominały czworokątne oczy spoglądające spod długiej grzywki.

Mimo pory roku podwórze było pełne kwiatów. Wszystko, co choć trochę przypominało donicę, zostało obsadzone roślinnością: od starego zlewu spoczywającego na ceglach, poprzez wielkie drewniane cebrzyki, w których kwitł obficie jaśmin nagokwiatowy, po zwykłe skrzynki na kwiaty i niekonwencjonalne wiszące donice wykonane z koszyków.

Przy drzwiach rozpychała się w starej cynkowej wannie kwitnąca na biało i różowo kalina. Wokół drzwi i kuchennego okna piął się klematis. Jego kremowobiałe, pstrokate kwiaty, poruszone lekkim wietrzykiem, delikatnie pukały do szyb. Tylko w korycie stojącym za stajnią po drugiej stronie podwórza nic nie rosło. Pływała w nim samotna dzika kaczka, ładny samczyk z ciemnozieloną szyją. Na ogrodzonym siatką wybiegu, tuż obok kojca z trzema tłustymi gęśmi, grzebały w ziemi kury.

– Jesteście już! Witajcie! – Laura przystanąła przy drzwiach pasażera i przywitała nas serdecznie. – Jak podróż? Mam nadzieję, że na A30 obyło się bez korków. Wczoraj wydarzył się tam straszny wypadek, podobno bardzo długo trwało, zanim trasa znów była przejezdna.

Otworzyła drzwi po stronie pasażera.

– Cześć, Cassie. Witaj w Stormy Meadows.

Cas wysiadła ostrożnie. Z szyderczą miną omiotła wzrokiem mokry bruk podwórza i zwierzęcy inwentarz, nie zwracając uwagi na moją matkę. Ale Laura na szczęście była zbyt zaferowana, żeby to zauważyć. Przeszła na moją stronę.

– Witaj w domu, Nattie – powiedziała z lekkim wahaniem, kiedy wysiadłam i poczułam na twarzy lekki kapuśniaczek.

Skwitowałam to wymuszonym uśmiechem, bo w tej chwili nie wiedziałam, gdzie jest mój dom.

Laura objęła mnie, a ja utonąłam w miękkim kaszmirze. Pachniała chanel. Kiedy odstąpiła w tył, na moim czarnym swetrze widać było delikatne purpurowe włoski.

Uśmiech stęzał nieco na jej twarzy. Wystraszyła się, jak bardzo schudłam od naszego ostatniego spotkania, widziałam to w jej wzroku. Moje luźne ubranie trochę to tuszowało, ale obejmując mnie, wyczuła, że zostały ze mnie skóra i kości. Przyjrzała się wnikliwie mojej twarzy, zauważyła wystające kości policzkowe i nowe fałdki między skrońmi a oczami.

– Pewnie nie możecie się doczekać herbaty. Może coś przekąsicie – powiedziała w końcu, jakby chciała od razu zacząć nas tuczyć.

Pokręciłam głową.

– Zjadłyśmy po drodze.

– To może najpierw zaniemiemy do kuchni wasze rzeczy i pokażemy Cas farmę, co? Chcę

wam przedstawić całą ferajnę.

Wyjęłyśmy bagaże z samochodu i w milczeniu podążyłyśmy za Laurą do domu. W kuchni pachniało gorącą, słodką herbatą, cynamonem, pomarańczami i ciepłem. Pomieszczenie było duże i niskie. Oświetlał je ogień płonący w ogromnym kominku.

Schyliłam się w niskich drzwiach, choć wiedziałam, że nawet całkiem wyprostowana miałam nad głową prawie dziesięć centymetrów zapasu. Może wydawało mi się, że nie tylko wyrosłam, ale i urosłam, odkąd się stąd wyprowadziłam.

Dziwnie znowu tu być. Omal nie zebrało mi się na łzy. Ostatnio miałam oczy w mokrym miejscu i byłam jakoś bardziej przeczulona. Pogardzałam sobą za tę słabość. Wzięłam głęboki wdech i rozejrzałam się wokół, starając się znaleźć ukojenie w znajomym otoczeniu.

W kuchni dominował ogromny kominek, wyszorowany do białości drewniany stół, przy którym mogło się pomieścić dziesięć osób, i gigantyczny kredens, w którym przechowywano mydło i powidło, od agrafek poprzez plastry, taśmę klejącą, koperty, po czasopisma o modzie i owocowy placek.

Na ścianach, pomalowanych na ciemny złoty odcień, wisiały czarno-białe fotografie. Dużo fotografii. Nie pamiętałam, żeby znajdowały się tu podczas moich ostatnich odwiedzin, ale w końcu minęły już prawie trzy lata.

Matka zauważyła moje zaskoczenie.

– Zrobiłam porządki na strychu. Zdjęcia znalazłam w albumie leżącym na samym dnie skrzyni i pomyślałam, że tutaj będzie dla nich lepsze miejsce.

Cas przyglądała się właśnie ujęciu przedstawiającym grupę aktorów na scenie. Trzymali się pod ręce i tryskali radością, jakby coś świętowali.

Dziewczyna po raz pierwszy okazała coś w rodzaju zainteresowania. Podeszła do zdjęcia i zaczęła studiować je wnikliwie.

– To ty?

To były jej pierwsze słowa od przyjazdu.

Na dźwięk jej głosu Laura się odwróciła. Zmrużyła oczy, żeby rozpoznać, co miała na myśli Cassie. Potem podeszła bliżej i rozpromieniła się. Rzeczywiście była na zdjęciu, w kabaretkach, czarnym kostiumie do tańca i białym wiązonym sweterku.

– Tak, to ja. Miałam wtedy zaledwie dziewiętnaście lat.

– A ten facet obok ciebie, który cię obejmuje, wygląda jak Freddie Davies¹.

Uśmiech Laury stał się jeszcze szerszy.

– Owszem, to jest Freddie Davies we własnej osobie.

Cas odwróciła się do nas. Jej oczy wyrażały zdumienie.

– Ale to był przecież najlepszy tancerz jazzowy świata.

– Wiem, a oprócz tego bardzo sympatyczny młody pan.

– Naprawdę go znałaś?

– Tańczyliśmy razem przez cały jeden sezon, w Hammersmith Palais.

Cassie jeszcze raz obejrzała zdjęcie, a potem zwróciła się z ciekawością do Laury.

– Byłaś tancerką?

– Nie, właściwie nie, nie tak jak ty. Byłam aktorką, skarbie – zagruchała Laura. Mówiąc to, przewróciła oczami. – Ale uwielbiałam tańczyć. I umiałam wyrzucać nogi tak wysoko jak tancerki rewiowe.

Wyglądała, jakby chciała nam to zademonstrować; z promiennym uśmiechem przeniosła ciężar ciała na lewą nogę i wysunęła prawą do przodu, wykonując mały wymach.

– Oczywiście teraz nie sięgam tak wysoko jak kiedyś, ale wtedy mogłabym tańczyć w Moulin Rouge, gdybym tylko chciała.

Mina Cassie była trudna do odczytania. Nie umiałam powiedzieć, czy jej uśmiech był przyjazny, czy szyderczy. Przeszła do kolejnej fotografii.

Popatrzyłam jednocześnie z nią na zdjęcie i poczułam, jak ogarnia mnie ciepło.

– Kto to jest?

Był to czarno-biały portret niewysokiego, ale przystojnego mężczyzny. Spoglądał prosto w obiektyw.

Laura otworzyła usta do odpowiedzi, ale uprzedziłam ją.

– Mój ojciec.

Podeszłam bliżej i moje serce zabiło mocniej, kiedy zobaczyłam wyraźniej jego piękną, radosną twarz. Jego oczy jaśniały śmiechem, ale w spojrzeniu kryła się również odrobina zażenowania. Nie lubił być fotografowany, w przeciwieństwie do Laury.

Po raz pierwszy od szesnastu lat widziałam twarz ojca. Nie miałam żadnych jego zdjęć. Kiedyś ich nie chciałam, nie chciałam przechowywać żadnych materialnych pamiątek po nim. Myślałam, że mogę zachować jego twarz w głowie i sercu. Dziwnie było widzieć go teraz tutaj. Zupełnie jakby był kimś obcym.

W portfelu nosiłam zdjęcie Roba z obawy, że wspomnienie męża wyblaknie kiedyś jak wspomnienie ojca. Twarz na fotografii na ścianie stała się nagle tak realna, że poczułam ukłucie.

Nie miałam pojęcia, czy Laura wiedziała, co czułam. Niespodziewanie nam przerwała.

– Dość nurzania się we wspomnieniach – rzuciła i wzięła Cassie za rękę.

Cas cofnęła się jak spłoszone źrebie. Spojrzała z przerażeniem na rękę matki i była prawie pewna, że strzepnie ją klapssem jak owada. Laura jednak niczego nie zauważyła, tylko pociągnęła dziewczynę na sobą na zewnątrz.

– Obiecałam przedstawić wam swoją ferajnę – oznajmiła z przejęciem, kiedy truchtem podążyłam za nimi.

Ferajną były jej zwierzęta.

Matka kolekcjonowała zwierzęta. Zawsze kiedy przyjeżdżałam do Stormy Meadows, witała mnie nowa, kolorowa, przypadkowo dobrana gromadka.

Minęły już prawie trzy lata, odkąd byłam tu ostatnim razem. W tym czasie wiekowy owczarek Rufus zdechł, a jego miejsce zajęła suczka collie chodząca za matką krok w krok.

Z tyłu podwórza znajdowały się wybiegi zamieszkiwane przez upierzonych przyjaciół Laury, a raczej „upierzonych wrogów”, jak nazywałam ptactwo przed laty, kiedy musiałam je karmić co rano. Wybiegi powstały w miejscu długiej, niskiej szopy o kilku drzwiach. Siatka i metalowe słupki odgradzały od siebie drób. Pośrodku królowały trzy ogromne, kłótlive gęsi, po lewej stronie mieszkały kaczki, a duży kurnik, stojący najbliżej domu, zajmowało około dwudziestu kur.

Po lewej stronie podwórza, naprzeciwko domu, znajdowały się stajnie. Wszystkie boksy były puste, z wyjątkiem jednego. Ze środka wyglądała kasztanowa klacz kiwająca rytmicznie łbem i czekająca, aż się z nią przywitamy.

Laura podeszła do niej i poklepała klacz po pysku, ale ona schyliła łeb i wsunęła chrapy w jej dłoń, parszkając i szukając smakołyków.

– To jest Szansa – wyjaśniła Laura.

Przyłożyła płaską dłoń do pyska konia i zaczęła go drapać po grzywie.

– Głupie imię – burknęła zgryźliwie Cassie.

Wciąż pocierała przegub dłoni, jakby chciała zetrzeć z niej dotyk Laury.

Podczas oglądania fotografii nastrój Cas znacznie się poprawił, jednak teraz znowu się naburmuszyła.

– Nie ja wybrałam to imię – odparowała wesoło Laura. – To była kiedyś klacz wyścigo-

wa. Nawet dość dobra. Teraz jest na emeryturze. Zgadza się, staruszko? – Matka poklepała Szansę po szyi, a klacz szperała włochatym pyskiem po kieszeniach w poszukiwaniu czegoś do chrupania. – Ma tu dobre życie.

– Cassie, ty chyba jeździsz na koniu, prawda? – zapytałam.

Byłam zażenowana jej utrzymującym się milczeniem i chciałam wciągnąć ją trochę do rozmowy. Mruknęła coś niezrozumiałego, co chyba miało być potwierdzeniem.

Laura zwróciła się do Cassie.

– Możesz na niej pojeździć, jeśli chcesz. Ruch dobrze jej zrobi. Sama nie wyprowadzam jej zbyt często, mam zbyt dużo zajęć.

Znudzona Cassie wzruszyła ramionami. Ale kiedy wraz z Laurą ruszyliśmy dalej, zauważyliśmy, że dziewczyna została przy boksie Szansy. Poczęstowała klacz czymś, co wyjęła z kieszeni, i podrapała ją po kasztanowym łbie.

Laura otworzyła drzwi jednego z bokсів, które wydawały mi się puste. W dwóch odseparowanych kojcach mieszkały dwie kozy z gromadką pięciu kozłatek.

– Nie są moje – wyjaśniła Laura, kiedy zwierzęta otoczyły ją w nadziei na karmę. – Mieszkają tu tylko chwilowo. Opiekuję się nimi w imieniu przyjaciółki, która wyjechała na urlop. Trzyma je u siebie w ogrodzie. Twierdzi, że kozy są o wiele bardziej pożyteczne niż kosiarka, zwłaszcza teraz, gdy ma już swoje lata. Pod koniec przyszłego tygodnia je odbierze.

– Bogu dzięki! – Cas dołączyła do nas w słabo oświetlonej części stajni. – Jedzie od nich jak nie wiem co.

Zdegustowana gryzącym zapachem ciepłych i trochę wilgotnych kóz, zmarszczyła z obrzydzeniem nos i przymrużyła oczy.

– Ja tam uważam, że są całkiem fajne – powiedziałam do Laury, ignorując słowa Cassie i jej nieszczęśliwą minę.

– Muszę przyznać, że rzeczywiście pachną trochę... Jak to powiedzieć? – Laura pogładziła z namysłem podbródek.

– Obrzydliwie? – podsunęła Cassie.

– Mniej więcej tak jak przejrzała gorgonzola – zgodziła się Laura, a Cassie roześmiała się, ale tylko krótko. – Ale są całkiem praktyczne.

– Do czego? – zapytała z niedowierzaniem Cas.

– Doskonale zastępują śmietnik, bo jedzą niemal wszystko... – Laura powędrowała wzrokiem do mojej prawej kostki, a na jej twarzy wymalował się szelmowski uśmiezek.

Z przerażeniem zorientowałam się, że jedna z większych kózek z zadowoleniem skubie mankiet moich drogich, wełnianych spodni.

– Ty mała bestio – warknęłam i gwałtownie odstałam na bok.

Jednak moje oburzenie prędko się ulotniło, kiedy zobaczyłam, że Cas zapomniała o wkurzonej minie i niewiele brakowało, a by się uśmiechnęła.

Pospiesznie wyszłam ze stajni, a za mną Laura i Cas. Odniosłam wrażenie, że przez krótką chwilę zjednoczyły się ze sobą w złośliwej satysfakcji.

Po wyjściu z ciemnej stajni mętne światło dnia wydało mi się jaskrawe. Laura poprowadziła nas wzdłuż ostatniego boksu, a potem skręciła w lewo w przejście między dwiema podłużnymi murowanymi stodołami. Ta po prawej, w której mieścił się kurnik, była ogromna i miała dwoje drewnianych wrót mierzących po trzy metry wysokości. Matka przechowywała w niej, co tylko się dało: puste tekturowe pudła z napisem „ostrożnie szkło”, narzędzia, dwoje taczek, stary damski rower z plecionym koszykiem na kierownicy, a poza tym rozmaite worki z karmą – kukurydzą dla kaczek i gęsi, otrębami i granulatem dla Szansy, a także wielkie różowe solne bloki i wory z paszą dla niedużego stada krów, trzymanego na jednym z pastwisk.

Po lewej stronie długiego przesmyku, tuż za stajniami, znajdowała się otwarta stodoła. Tutaj składowano około pięćdziesięciu balotów siana poukładanych jeden na drugim jak zakurzone klocki lego. Przykrywała je ogromna niebieska, przymocowana do palików plandeka. Poza tym stały tu rozmaite maszyny rolnicze, stary czerwony traktor, zepsuty, jak wyjaśniła nam matka, oraz różne żelazne narzędzia do uprawy roli – ze swoimi ostrymi kolcami i z ostrymi krawędziami wyglądały niebezpiecznie.

Furtka na końcu przejścia prowadziła na opadającą stromo łąkę. Gdyby skręcić w prawo i pójść dalej, to po jakiejś mili dotarłoby się do klifów. W dole szumiał Atlantyk.

Dobrze pamiętałam tę łąkę. Unikałam jej, kiedy mocno wiało, bo wiatr od morza mógł zwalić z nóg. Ale kiedy było ładnie, schodziłam wieczorami na brzeg morza, patrzyłam na zachód słońca i chłonełam soczyste, żywe kolory. Rozległy widok i szum morza rozjaśniały mi umysł. To było jedyne miejsce w Wichrowych Łąkach, gdzie czułam się naprawdę dobrze. Siedziałam na skraju klifu, opierając się wichrom, które chciały mnie zepchnąć w przepaść, i snułam plany ucieczki z miejsca, które dla mnie leżało na końcu świata.

Tak, Wichrowe Łąki symbolizowały dla mnie kres, a kiedy w końcu opuściłam farmę, odcięłam się od swojego nieszczęśliwego dzieciństwa grubą kreską.

W długim przejściu między stodołami leżał obżarty i pogrążony w drzemce inny collie, wygrzewający się w wąskim paśmie słońca. Kiedy podeszliśmy bliżej, otworzył ślepia i zamachał przyjaźnie pokrytym długą sierścią ogonem, ale nie ruszył się z miejsca. Tylko szare kosmyki wokół błyszczących, czarnych ślepiów zdradzały jego wiek.

– Ten wspaniały, stary jegomość to Shep – powiedziała Laura, przystając, żeby go pogłaskać. – Właściwie wabi się Old Shep. A ten rozbrykany malec – Laura pokazała na młodszą kopię Old Shepa, ładnego collie, który kręcił się w kółko, goniąc za własnym ogonem – to jego syn, Young Shep.

– Ale oryginalnie. – Cassie przewróciła oczami.

– Aha, a to jest moja Meggie, w skrócie Meg. – Wskazała na sukę, która nadal deptała jej po piętach. – Mama młodego Shepa.

– Święta rodzina. Jakie to wzruszające – burknęła Cas za moimi plecami.

– Old Shep właściwie już tu nie mieszka. Wprawdzie jest przekonany, że tu jest jego dom – Laura delikatnie poklepała psa po łbie – ale tak nie jest. Należy do sąsiada, ale jest bez reszty zakochany w pięknej Meg. Prawda, moja słodka? – Pogłaskała jedwabisty łebek suczki. – Na szczęście z wzajemnością, czego dowodem jest tamten młodziak. On też tu nie mieszka, ale jest za głupi, żeby to pojąć. To wspaniałe psy, zazwyczaj bardzo mądre, ale Young Shep najwyraźniej odziedziczył po matce tylko wygląd, a nie inteligencję. Mimo to jest kochany. Przesympatyczny psiak.

Młody pies przestał gonić swój ogon. Wreszcie zorientował się, że ktoś przyszedł w gości, i podbiegł z dzikim szczekaniem, witając nas merdaniem. Skoczył na Cas i oparł swoje szerokie przednie łapy o jej brzuch, aż stęknęła z zaskoczenia i oburzenia. Nie mogłam wyjść ze zdumienia, kiedy roześmiała się, zamiast sarknąć. Niestety ten przebłysk dobrego humoru zaraz zgasł, kiedy odkryła brudne ślady po łapach na jasnej bluzie.

– Przeklęty kundel – warknęła.

Chciała przepędzić go lekkim kopniakiem, ale on tylko przypadł z zachwytem do jej kostki.

– Coś mi się zdaje, że cię lubi. – Uśmiechnęła się Laura.

– To jego problem – odparowała zjadliwie moja pasierbica.

Spróbowała wytrzeć ręką plamy, ale tylko je rozmazała. Laura wyjęła z kieszeni spodni haftowaną chusteczkę i mało skutecznie próbowała zetrzeć zabrudzenia.

– Chodźmy do domu i włóżmy to od razu do pralki.

Wróciłyśmy przesmykiem na podwórze. Towarzyszył nam koziołkujący z euforii Young Shep. Kiedy wyszliśmy zza węgła, usłyszałam warkot samochodu i charakterystyczne stukotanie poluzowanej rury wydechowej hałasującej na wybojach. Chwilę potem ciszę przerwał dźwięk klaksonu. Obok mojego niebieskiego bmw przystanął, sapiąc, stary ford capri. Mimo zimna szyby były całkowicie opuszczone, a z głośników dochodziło dudnienie Patsy Cline.

Crazy.

Kiedy kierowca otworzył drzwi jęczące na zardzewiałych zawiasach, muzyka buchnęła jeszcze głośniejsze, ale chwilę potem na szczęście umilkła, kiedy wyciągnął kluczyk ze stacyjki. Kluczyki wraz z breloczkiem w kształcie pistoletu zniknęły w luźnej kieszeni starych dżinsów.

Przed nami stanął stary tubylec o ogorzałej twarzy przypominającej pomarszczony kawałek skóry i oczach tak przejrzystych jak błękitne niebo w upalny dzień. Tak mi się przy najmniej wydawało, że mężczyzna był stąd. Z wyglądu równie dobrze pasowałby bowiem do któregoś z odcinków *Bonany*, pomijając fakt, że żaden z synów Cartwrighta nie jeździłby starym, zardzewiałym foldem capri z rogami byka na masce.

Samochód miał siedzenia obite czymś, co wyglądało jak futerko kucyka. Do pleców ko szuli w czerwona kratę, którą miał na sobie kornwalijski kowboj, przywarły drobne, czarne i białe włoski. Mężczyzna miał podwinięte do łokci rękawy ukazujące żyłaste i umięśnione przedramiona. Dżinsy przytrzymał szeroki, skórzany pas ze sprzączką w kształcie węża, a nogi tkwiły w znoszonych kowbojkach. Przybysz był szczupły, miał cherlawy tors i tak krzywe nogi, że ich pałaki przypominały ramę, przez którą przeświecały ciągle zmieniające się obrazy.

Mama zapomniała o bluzie Cassie i utkwiała promienne spojrzenie w przybyłego.

– Dziewczyny, to jest Hank. Dwa razy w tygodniu pomaga mi na farmie, więc będziecie go widywać dość często.

– Hi.

Hank uniósł swój kowbojski kapelusz i pokazał mocno już przerzedzone, siwe, kręcone włosy. Ogorzała twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, ukazując białe zęby.

Ramiona Cassie zatrzęsły się od powstrzymanego śmiechu.

– Cześć.

Podaliśmy sobie dłonie. Szorstkie, stwardniałe palce Hanka podrapały moją miękką dłoń. Uścisnął ją ze zdumiewającą siłą.

– Normalnie Hank nie przyjechałby dzisiaj, ale muszę tu trochę odgracić – wyjaśniła Laura.

Podeszła do poobijanego szarego land rovera, którego kupiła, kiedy sprowadziłyśmy się do Falmouth. Ten stanowiący zagrożenie dla życia wehikuł, upstrzony rdzawymi plamami, jakby cierpiał na ospę wietrzną, miał prawie tyle lat co ja. Jakim cudem udało mu się przejść badania techniczne?

Laura otworzyła z wysiłkiem klapę bagażnika.

– Przybyłyście w samą porę, żeby nam pomóc – oznajmiła. Wyjęła z kieszeni spodni ogromny czarny klucz i wręczyła go Hankowi. – Bądź tak dobry i przynieś ze stodoły, co trzeba. Dziewczyny pomogą mi umieścić pudła w bagażniku land rovera, a ty będziesz mógł je wywieźć do Truro.

Hank skinął głową i ruszył z miejsca. Idąc szerokim, rozkołysanym krokiem, przypominał marynarza chwiejącego się na pokładzie statku w czasie sztormu.

Laura opróżniła bagażnik z resztek wystrzępionych sznurków, pogryzionych psich smyczy, pustych pudełek i kilku opakowań po angielskim ciście fudge.

Te ostatnie skwitowała uśmiechem winowajczyni i wzruszeniem ramion.

– To moja słabość, niestety. Wchodzi w biodra.

Hank przyniósł pierwsze pudło i postawił je na ziemi obok samochodu. Schyliłam się po nie i jęknęłam mimowolnie, bo podniesienie go kosztowało mnie sporo wysiłku.

Cas, czekając na następny ładunek, obserwowała Laurę z dziwnym, niemal załęczonym wyrazem twarzy. Widziałam, jak taksuje ją wzrokiem, jakby poddawała ją analizie, szukając rozwiązania matematycznego równania. Pewnie chciała rozwiązać zagadkę jeszcze tego popołudnia. Ja znałam Laurę całe życie i nadal nie umiałam jej rozgryźć.

Było tego zaledwie dwanaście pudeł, ale załadunek zajął nam prawie godzinę. Najdłużej trwało czekanie na Hanka, ale mimo to Laura nie zaproponowała, żeby któraś z nas poszła mu pomóc, a ponieważ zapewne miała ku temu powody, sama też tego nie zaoferowałam.

Przyglądałam się, jak mama skraca sobie czekanie, gawędząc z Cas. Rozmowa z dziewczyną nie należała do najłatwiejszych, bo ta właściwie nigdy nie odpowiadała. Mimo wszystko Laura najwyraźniej była skuteczniejsza ode mnie. Kiedy skończyłyśmy załadunek, obie naprawdę ze sobą rozmawiały. Cas od czasu do czasu nawet się uśmiechała. Uśmiech był wprawdzie blady i smutny, ale zawsze to uśmiech.

Hank wrócił z ostatnim kartonem i sam załadował go na pakę samochodu.

Laura zatrzaskała klapę, zatarła ręce i z promiennym uśmiechem zwróciła się do wszystkich.

– Cóż, chyba dość się napracowaliśmy na dzisiaj. Cassie, bądź tak dobra i nastaw wodę na herbatę, dobrze? Hank pije ją najchętniej mocną i słodką, zgadza się? Takich właśnie facetów lubię najbardziej: mocnych i słodkich. – Delikatnie uszczypnęła go w policzek, a milkliwy męczyzna poczerwieniał aż po nasadę siwych kędziarów.

Ku mojemu zdziwieniu Cassie bez pytania i ponurych spojrzeń zrobiła, o co prosiła ją Laura. Kiedy parę minut później dołączyliśmy do niej w kuchni, czajnik stał na fajerce, a Cas wyjmowała właśnie herbatę z blaszanego pudełka. Potem sięgnęła po kubki.

– Ten jest mój – oświadczyła matka, wskazując na kubek z napisem Szef. – Ten z gwiazdkami, czy chcecie wierzyć, czy nie, jest Hanka, a z żółtego zawsze pije Luke. Jego też wkrótce poznacie. Wybierzcie sobie jakiś i zostańcie przy nim. Codziennie wypijamy litry herbaty, ale jesteśmy zbyt leniwi, żeby zmywać za każdym razem.

Zobaczyłam, jak Cassie zaciska z dezaprobatą usta, najwyraźniej nie dostrzegając szczypty ironii w głosie Laury. Stojąc przy zlewie, dokładnie zlustrowała kubek, po który sięgnęła. To też było niezwykle. W odróżnieniu od większości nastolatków, którzy po skończeniu trzynastego roku życia najchętniej otaczali się chaosem, Cassie uwielbiała porządek. Prawie obsesyjnie.

Jej pokój mógł spełniać wymogi najbardziej rygorystycznych koszar. W innych częściach domu pozostawiała po sobie pobojuwisko, ale wiedziałam, że to wbrew jej naturze i że robi to tylko po to, żeby doprowadzić mnie do szału. Kubek najwyraźniej zdał próbę czystości, ponieważ postawiła go razem z innymi na tacy. Czekają już na niej dzbanuszek na mleko z łąciatą krową i ogromny dzbanek na herbatę, który należał kiedyś do mojej babci ze strony matki.

Na stole stał już talerz pełen ciastek. Hank usiadł i wziął sobie garść herbatników. Cas i ja, zanim zajęłyśmy miejsca, zaczekałyśmy na moją matkę.

Laura najwyraźniej nie miała żadnych preferencji w tym względzie. Usiadła po prostu na pierwszym krześle z brzegu.

W trakcie podwieczorku trajkotała tylko moja matka. Hank nie odzywał się ani słowem. Laura opowiadała o farmie, o karmieniu zwierząt, o naprawach, o ogrodzeniu. Jeśli zadawała mu jakieś pytania, odpowiadał na nie skinieniem albo potrząśnięciem głowy. Pił herbatę i w zdumiewającym tempie pochłaniał jedno ciastko za drugim.

Cassie siedziała przy krawędzi stołu jak najdalej od nas. Trzymała kubek, ale nie piła, tyl-

ko w zdumieniu przypatrywała się niezwykle ubiorowi Hanka. Jej początkowy chichot ustąpił miejsca fascynacji pomieszanej z przerażeniem. Dziewczyna nie mogła oderwać od niego wzroku.

Dobrze rozumiałam, co czuła, bo sama też co chwila musiałam zerkać na osobliwe buciorry Hanka.

Za każdym razem, gdy na niego spoglądałam, mój wzrok automatycznie wędrował w dół.

Uśmiechnęłam się do Cas, chcąc dać jej do zrozumienia, że i ja byłam ubawiona wyglądem Hanka, ale ona udawała, że tego nie dostrzega.

– Teraz już mi lepiej – oznajmiła Laura po wypiciu trzeciego kubka. – Możesz jechać, Hank. Myślę, że to wszystko na dziś. Albo nie – mógłbyś jeszcze raz dwa rzucić okiem na zamek przy wybiegu dla gęsi? Chyba się poluzował.

Na znak, że zrozumiał, Hank zsalutował, skinął głową Cas i mnie, a potem krokiem marynarza opuścił kuchnię. Laura zakasała rękawy swetra i obdarzyła nas odrobinę zbyt promiennym uśmiechem.

– Dziękuję za pomoc. Przepraszam, że z miejsca zaprzęłam was do roboty, w końcu dopiero przyjechałyście, ale uwierzcie mi, przydałyście się. To może teraz zaniesiemy wasze bagaże na górę? – Pokazała ręką na stertę tobołów przy drzwiach. – I to już będzie koniec dźwigania, przynajmniej na dzisiaj. Pokażę wam najpierw, gdzie będziecie spać. Nattie, ty będziesz oczywiście gościć w swoim dawnym pokoju. A dla ciebie przygotowałam pokój na mansardzie, Cas. Pokój na poddaszu, czy to nie cudowne? Najpierw zaprowadzimy ciebie, dobrze? Chciałabym pokazać Nattie, jak zmieniłam ten pokój. Nie pozna go.

Ledwie pamiętałam, jak wyglądało kiedyś pomieszczenie na mansardzie, ponieważ w tym krótkim czasie, gdy mieszkałam w Wichrowych Łąkach, większość czasu spędzałam u siebie, słuchając melancholijnej muzyki i marząc o lepszej przyszłości gdzieś bardzo daleko od Kornwalii.

Z kuchni prowadziły schody na piętro. Weszłyśmy na górę. Zostawiłam bagaż w swoim dawnym pokoju, którego okna wychodziły na podwórze. Potem wróciłam na korytarz. Laura otworzyła drzwi przypominające drzwi szafy, jednak skrywające wąskie, strome schodki, prowadzące piętro wyżej.

Mama poszła przodem, za nią Cassie, a ja na końcu. Drewniane stopnie skrzypiały pod naszymi stopami. Znalazłyśmy się w pomieszczeniu zajmującym całą długość domu. Dachowe okna wychodziły po jednej stronie na podwórze, po drugiej na gąszcz, który kiedyś był naszym ogrodem, i jeszcze dalej na zachód.

Laura cały czas trajkotała jak najęta. Nigdy nie była taka gadatliwa, a ja nagle uświadomiłam sobie, że nasze odwiedziny wprawiają ją w takie samo zdenerwowanie, jak mnie.

Pokój miał wielkie okna po obu szczytowych stronach. Jedno wychodziło na ulicę, drugie, przeciwnie – na łąkirozciągające się między domem a morzem.

– Jeśli przesuniesz się w prawo, zobaczysz kawałeczek Atlantyku – powiedziała Laura, kiedy podeszłam do okna. – Ale ocean widać jeszcze lepiej, kiedy otworzy się okno i wystawi głowę na zewnątrz. Tylko uważaj, żebyś nie wypadła.

Otworzyłam okno i wychyliłam się ostrożnie. „Gdybym straciła równowagę i runęła w dół, byłby to szczęśliwy dzień dla Cassie”, pomyślałam i popatrzyłam w kierunku morskiego urwiska na krańcu opadających ukosem łąk.

Na jednym z pastwisk stało przy korycie zbite w gromadkę stado krów, a w oddali widać było mewy pikujące w dół na silnym wietrze niczym jojo. Pamiętałam, że to pomieszczenie było prawdziwym rajem dla takiej kolekcjonerki staroci jak Laura – zastawione pudłami i kartonami, wypełnionymi przedmiotami, które normalny człowiek nazwałby rupieciami. Dla mojej matki

były one „pamiątkami”. Ale z tej graciarni powstał prawdziwy pokój, ładny, jasny i przestronny, ze ścianami pomalowanymi na jasny malinowy kolor, z drewnianą podłogą i sufitem. Pod oknem, wychodzącym na podjazd i drogę, stały sosnowe biurko i krzesło. Przy obu ścianach, pod skośnym sklepieniem, stały dwa pojedyncze łóżka z narzutami w kolorze śliwki. Pomiędzy nimi był wciśnięty regał pełen książek, a na podłodze leżały dwa dywany: malinowy i kremowy. Poduszki były dobrane kolorystycznie.

– Ty zamieszkasz tutaj. – Laura uśmiechnęła się do Cas. – Mam nadzieję, że ci się podoba.

– Założę się, że nie – wyrwało mi się.

Moja mama usłyszała tę uwagę i uśmiechnęła się ze współczuciem.

Cassie stała pośrodku pokoju. Obróciła się powoli wokół własnej osi, ogarniając wszystko wzrokiem, a potem uśmiechnęła się do Laury. Uśmiechem pełnym radości, malującym się od ucha do ucha.

– Cool. Dzięki.

Prawie się przewróciłam z wrażenia. Musiała usłyszeć moje słowa. Byłam pewna, że podziękowała tylko dlatego, że wyraziłam przekonanie, iż pokój jej się nie spodoba.

Zbadałam wzrokiem jej twarz, próbując zgłębić, co myśli tak naprawdę, ale oczy w jej rozciągniętej uśmiechem twarzy były bez wyrazu, a ja nie umiałam czytać w myślach. Może niesłusznie ją oceniałam, może moje przypuszczenia opierały się na doświadczeniach z córką Roba. Przecież matka jej najlepszej przyjaciółki też powtarzała, że taka z niej urocza dziewczyna. Może Cas była nieznośna tylko w stosunku do mnie – no i Petry, jej pech.

Mansarda naprawdę była bardzo ładna. Pokój, o jakim marzą nastolatki. Gdybym to ja mieszkała tutaj wtedy, być może byłabym skłonna zostać dłużej. Co za myśl! Czułam się tutaj tak osobliwie, że zaczęły mi przychodzić do głowy dziwne myśli. Roztrząsanie, jak mi się tu mieszkało, kiedy miałam szesnaście lat, było całkowicie bezcelowe.

– Przygotuję kolację. Wy możecie się rozpakować, odświeżyć się i zejść na dół. – Laura wciąż jeszcze się uśmiechała.

Zastanawiałam się, czy musiała się zmuszać do tego uśmiechu i czy nasze spotkanie w głębi duszy jest dla niej trudne.

Matka zwróciła się do Cas.

– Łazienka jest na samym końcu korytarza po lewej stronie, piętro niżej. Jeśli się zgubisz, zawołaj.

Wzięłam szybki prysznic i zmieniłam ubranie, ale zamiast wypakować rzeczy, zesłam od razu na dół. Po Cas nie było śladu. Laura stała w kuchni i przygotowywała posiłek. Właśnie odkrawała zieleninę od pęczka marchewek ubrudzonych ziemią. Z nożem w ręku uniosła wzrok znad deski do krojenia i uśmiechnęła się z ociąganiem, ale zachęcająco.

– Wszystko w porządku? Znalazłaś wszystko, czego ci potrzeba?

– Tak, dziękuję. – Skinęłam głową.

– Kolacja zaraz będzie. Mam nadzieję, że wciąż lubisz zapiekankę pasterską.

– Co mogę zrobić?

– Widzisz butelkę wina na stole?

– Tak.

– W szufladzie po prawej stronie od zlewu jest korkociąg, zaraz za koszykiem ze sztuczkami. – Wskazała ręką za siebie.

– Mam.

– Dobrze. Otwórz butelkę i nalej nam po lampce. A potem usiądź i odsapnij. Musisz być wykończona po podróży i naszej akcji z kartonami.

Wiedziałam jednak, że nie usiedzę w spokoju. Krzątania Laury wywoływała we mnie nerwowość.

– Nie, czuję się znakomicie, naprawdę – zaproponowałam, powoli odkorkowując butelkę. – Choć rzeczywiście jestem trochę zmęczona – dodałam, bo mój organizm zmusił mnie właśnie do potężnego ziewnięcia. – Mimo to chciałabym ci pomóc. Nie masz nic, co mogłabym zrobić?

– Usiądź. – Laura uśmiechnęła się. – Odpocznij i poczytaj gazetę czy co.

Dzisiejsza „Daily Mail” leżała złożona na ogromnym stole. Rozlałam wino do kieliszków i podałam jeden matce. Usiadłam przy stole i zaczęłam przeglądać gazety, prześlizgując się wzrokiem po nagłówkach.

Nie czytałam gazet od trzech dni. Nie mam pojęcia, jak mi się udało to wytrzymać. Uwielbiałam czytać, a oprócz książek i czasopism pochłaniałam także większość dużych dzienników, bo praca wymagała, żebym była na bieżąco. Nawet podczas wakacji nie mogłam sobie pozwolić na przegapienie ważnych informacji.

Ale dziś najwyraźniej na świecie niewiele się wydarzyło: „Daily Mail” prezentowała trzeciorzędą historię o trzeciorzędnych aktorach ze świata show-biznesu. Zwykle coś takiego znalazłoby się dopiero na trzeciej stronie, a nie na tytułowej. Bez przekonania przeczytałam artykuł i poczułam dziwną ulgę, że nie przegapiłam niczego ważnego.

Wreszcie zeszła i Cassie. Założyła czyste dżinsy i grubą bluzę bez plam, a jej włosy były jeszcze wilgotne po kąpiel. Również i ona zapytała od razu, czy może pomóc, co mnie, prawdę mówiąc, trochę zaskoczyło. Najwyraźniej chciała pokazać się od najlepszej strony. Zastanawiałam się, jak długo potrwa ta faza.

Laura wręczyła jej parę marchewek, które właśnie oplukała.

– Możesz je zanieść Szansie, jeśli masz ochotę.

Cas wzruszyła ramionami.

– Jak chcesz.

– Weź moje kalosze, wtedy nie będziesz musiała iść na górę po buty. – Laura przeniosła wzrok na stopy dziewczyny. – Chyba masz ten sam rozmiar, co ja. Trzydzieści osiem, zgadza się?

Cas przytaknęła i założyła zielone gumowce, które pokazała jej Laura. Stały przy wyjściu z kuchni, pod wieszakiem uginającym się pod ciężarek kurtek, płaszczy, kapeluszy i szalików.

Cassie z niejakim trudem pchnęła ciężkie drzwi i stanęła jak wryta.

– O, Boże!

Cofnęła się do kuchni i patrzyła przerażonym wzrokiem na zewnątrz. Zamknęła starannie drzwi.

– Co się dzieje?

Podniosłam wzrok znad gazety, ale dziewczyna nie zwróciła na mnie uwagi.

– Na podwórzu jest potwór – powiedziała, jednocześnie śmiejąc się i płacząc.

– Potwór? – powtórzyła Laura nieporuszona. – Co masz na myśli, Cassie?

– Największy pies, jakiego w życiu widziałam. A może to wcale nie jest pies. Równie dobrze to może być zmutowana gigantyczna świnia.

– Ach, to pewnie Mac.

– Mac? – zapytałam zaskoczona, że tak prędko zidentyfikowała zwierzę na podstawie dość osobliwego opisu Cassie.

– Jest własnością Connora. – Laura uśmiechała się z zadowoleniem, jakbyśmy obie wiedziały, kim jest Connor. – Często przychodzi w odwiedziny.

– Kto? – zapytałam z ironią. – Connor czy Mac?

– Zwykle przychodzą razem, ale zdaje mi się, że Mac zadurzył się trochę w Meggie. Czasami zakrada się tu w pojedynkę.

– No to w takim razie najpierw będzie musiał dojść do porozumienia z Shepem. –
Wstałam z uśmiechem.

– Myślę, że w tym wypadku Shep wycofa się bez walki – mruknęła Cas, wyglądając przez okno. – W przeciwnym razie walka przypominałaby pojedynek boksera wagi piórkowej z Władimirem Kliczką.

Stałam obok niej przy oknie. Wpatrywała się w podwórze niepewna, czy może wyjść. Ogromny bulmastif podnosił właśnie potężną tylną łapę, żeby podlać jeden z kwietników Laury.

– Wow – mruknęłam.

– No – zgodziła się Cas, nie patrząc na mnie.

– Jest zupełnie niegroźny. Wręcz przyjacielski – odezwała się Laura zza moich pleców.

– Jesteś tego pewna? – upewniła się Cas.

Zamiast odpowiedzieć, Laura otworzyła drzwi i zawołała bydło, które z nosem przy ziemi właśnie chciało skrócić za stodołę. Mac zatrzymał się i uniósł łeb. Mama zawołała go jeszcze raz, a psisko najpierw powąchało Szansę, która akurat bardzo komunikatywnie wystawiła łeb sponad drzwi boksu, a potem przytruchtało nieśpiesznie do Laury. Z pyska, będącego niewiarygodnie pofałdowanym kłębowiskiem czarnych fafli i dziąseł, zwieszał się ogromny różowy jęzor.

– Nie do wiary – usłyszałam Cassie. Jej głos ze strachu zabrzmiał o oktawę wyżej niż zwykle. – Ona go jeszcze woła do środka!

Pies rzeczywiście wlaźł do kuchni. Najpierw przyjaźnie obwąchał mamę, potem spróbował tego samego z Cas, która cofnęła się przestraszona, i w końcu skierował swoją potężną masę na mnie.

Usiadłam ostrożnie na krześle i z ociąganiem wyciągnęłam do niego rękę. Polizał ją natychmiast.

– Chyba cię lubi – odezwała się Laura.

– Pewnie czuje czekoladę.

– Tak, on przepada za czekoladą.

Mac ponownie przejechał jęzorem po mojej dłoni, a potem oparł mi łeb na kolanach i wpatrzył się we mnie ogromnymi, czarnymi ślepiami.

– Zdaje się, że masz nowego przyjaciela – zauważyła mama z rozbawieniem.

– Przyjaciół nigdy za wiele – odparłam i podrapałam pofałdowane czoło Maca. – Oczywiście z wyjątkiem sytuacji, kiedy trzeba kupować prezenty na urodziny i pod choinkę. To naprawdę fajny pies.

– Zobaczymy, co powiesz na jego właściciela.

Laura rzuciła mi wymowne spojrzenie.

Chociaż wiedziałam, że kierowała się dobrą wiarą, to wkurzały mnie tego rodzaju aluzje. Jakby miały wyprzeć Roba.

– Skoro już jesteśmy przy tym temacie, czy nie powinniśmy odprowadzić Maca do domu? – zapytała Cas, wciąż z dystansem obserwując czworonożnego olbrzyma.

– Ach, Mac pewnie tu przenocuje. Często to robi. Jutro rano sam wróci do domu.

– A jego pan nie będzie się o niego martwił?

– Martwił? O Maca?

– Hm. Okej.

– Nie, nie, Mac jest bardzo samodzielny.

– To brzmi, jakby był człowiekiem.

– W końcu prawie nim jest, prawda, mój słodki? – zaszcebiotała Laura i podeszła bliżej, żeby czule podrapać potwora po łbie. – Musicie tylko postarać się prędko zasiąść do stołu, bo inaczej zajmie wam wszystkie miejsca.

Przy kolacji panowała nieprzyjemna cisza. Laura raz po raz kierowała jakieś pytanie do Cas, ale dziewczyna właściwie nie chciała odpowiadać. Trudno było znaleźć materiał do rozmowy, a szkoła była w tej chwili tematem tabu.

Laura spróbowała poruszyć temat muzyki.

Matka kochała muzykę. Pamiętam, że w moim dzieciństwie gdzieś bez przerwy grała muzyka. Obojętne, co robiła mama, we wszystkim towarzyszyło jej radio albo gramofon. Najbardziej lubiła jazz – Ninę Simone, Sarah Vaughan, Helen Carr, Julie London, a poza jazzem Franka Sinatrę, big bandy, swing, od czasu do czasu także odrobinę klasyki albo rock and rolla. Byłam zdziwiona, że w tej chwili nic nie grało. To byłoby lepsze od ciszy, która znów zapadła, kiedy Cas odpowiedziała mojej osłupiałej matce, że słucha chętnie Limp Bizkit, Dido i Sum 41.

– To jakieś zespoły popowe? – szepnęła do mnie Laura, nie wychodząc ze zdumienia.

– Mniej więcej – odparłam szeptem i nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Cas jak zwykle dziabnęła w talerzu widelcem, przesuwając jedzenie w tę i z powrotem, aż ostygło. Ja też nie byłam głodna, ale pod czujnym wzrokiem Laury starałam się pokazać wilczy apetyt.

Pomogłyśmy sprzątnąć kuchnię.

Po raz pierwszy widziałam, że Cas wzięła się do roboty bez ponaglania. Znów nie mogłam powstrzymać ziewnięcia. Musiałam przyznać, że długa jazda mnie wymęczyła. A ponieważ chciałam jeszcze rozpakować walizki, zaszyłam się u siebie w pokoju.

Chwilę potem usłyszałam, że Cas idzie na górę i trzasnęły drzwi. Za jakiś czas dobiegły mnie kroki Laury. Usłyszałam, jak zamyka drzwi swojego pokoju. Zaraz rozległy się znajome dźwięki *Radio Two*. Oparta plecami o drzwi stałam i rozglądałam się wokół. Westchnęłam głęboko.

Było tak dziwnie znowu tutaj być, w pokoju, który zamieszkiwałam jako szesnastolatka. Kiedy odwiedzałam Laurę w minionych latach, zawsze znajdowałam wymówkę, żeby przenocować w jakimś miłym pensjonacie we wsi, z dala od wspomnień. A teraz znów byłam w moim dziewczęcym pokoju.

Był przestronny. Miał kominek, a na szerokim parapecie pod wielkim oknem wychodzącym na podwórze można było siedzieć. Moje stare mosiężne łóżko i sosnowe meble wciąż stały na tych samych miejscach.

Jedyna różnica polegała na tym, że niegdyś różowe ściany pomalowano na o wiele ładniejszy, łagodny odcień ochry. Przypominał ściany w kuchni w kolorze starego złota. Zapewne Laura zmieszała resztkę farby z bielą i rozjaśniła go nieco.

Zmieniły się również zasłony i pościel. Kiedyś były we wzorek w różowe kwiatki: różyczki na białym tle. Nienawidziłam go, bo był tak okropnie dziewczęcy. Teraz były to żółte kwiatki na białym tle – nadal kiczowate, ale odrobinę nowocześniejsze. Jakoś się przemęczę przez te cztery czy pięć tygodni.

Mój bagaż leżał na łóżku – czekało mnie praktyczne zadanie. Przegnałam melancholijne myśli i powiesiłam ubrania w szafie, z której korzystałam jako nastolatka. Dopiero kiedy skończyłam i położyłam się wreszcie do łóżka, poczułam znowu ten dziwny, prawie niewytłumaczalny niepokój. Jakby jakaś zimna ręka gładziła mnie po plecach.

Mimo serdecznego przyjęcia przez Laurę czułam się nie na miejscu. Pragnęłam być u siebie w domu, we własnym łóżku, w naszym wielkim, wspólnym łóżku. Kiedy zdecydowałam się tu przyjechać, pobyt na farmie wydawał mi się o wiele bardziej kuszący niż Boże Narodzenie z Cas w Londynie. Nie umiałam wyobrazić sobie świąt bez Roba w naszym wspólnym domu. W zeszłym roku udało mi się przeżyć święta, udając, że ich nie ma.

Ale w tym roku musiałam stawić im czoła, i to nie tylko ze względu na Cassie.

Kiedy utraciło się kochanego człowieka, myślało się o własnej śmiertelności, o istotnych wartościach i o tym, co naprawdę jest ważne. Najwyższa pora, żebym odnalazła matkę. Zanim będzie za późno, zanim utracę jeszcze jednego człowieka, na którym mi zależało.

Poczułam dziwną ciasność w piersi, jakbym miała na sobie bezlitośnie wąsko zawiązany wiktoriański gorset. Potrzebowałam pocieszenia. Sięgnęłam po telefon. Zasięg był bardzo słaby, ale kiedy usiadłam na parapecie i wystawiłam głowę przez okno, czując na twarzy zimne, przejrzyste nocne powietrze, udało mi się złapać jedną kreskę. Był tylko jeden człowiek, do którego mogłam zadzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Petra? Cześć, to ja.

– Nattie! – Ucieszyła się. – Jak dojechałaś? Dlaczego nie zadzwoniłaś wcześniej? Już się martwiłam. Jak się masz?

– Jest bardzo dziwnie.

W tle usłyszałam muzykę i jakiś ruch, a chwilę potem Petra ściszyła ton.

– Wyobrażam sobie, skarbie. A co u twojej mamy?

– Wygląda na to, że wszystko w porządku.

– A u ciebie?

– Już mnie o to pytałaś.

– Ale mi nie odpowiedziałaś.

Byłam zmęczona, ale nie mogłam spać.

Byłam u jedynej spokrewnionej osoby, jaka mi została, ale czułam się tak samotnie, jakbym była sama jak palec. Chciałam płakać, ale nie mogłam, bo moje gruczoły łzowe najwyraźniej nie funkcjonowały. Od wypadku nie płakałam ani razu. Moje oczy były podrażnione, pełne soli, ale nie zwilżały ich łzy, które mogłyby tę sól wypłukać. W ciągu ostatnich dwudziestu miesięcy tak bardzo pograżyłam się w pracy, że teraz ogarniała mnie panika, bo nie miałam tu żadnego zajęcia. Wróciłam do domu, w którym przez cały długi rok planowałam ucieczkę, bo nie mogłam już w nim wytrzymać.

Wzięłam głęboki wdech.

– W porządku – skłamałam.

– Szczerze?

– Szczerze. Chciałam ci tylko powiedzieć, że dotarliśmy bez przygód na miejsce, i zapytać, co u ciebie. Odezwe się za parę dni, dobrze?

– No dobra. Skoro naprawdę wszystko w porządku...

Odłożyłam telefon na nocną szafkę. Dlaczego nie przyznałam się Petrze, jak się czułam? Może dlatego, że nie chciałam tych uczuć? Gdybym przyznała się do nich przed kimś innym, stałyby się jeszcze bardziej realne, jeszcze bardziej uporczywe.

Nie było sensu kłaść się do łóżka. Byłam taka spięta, że nie zdołałabym zmrużyć oka. Powędrowałam spojrzeniem po pokoju, jakbym czegoś szukała. Zwykle, kiedy tak się czułam, rzucałam się w wir pracy. Pisałam, żeby przegnać wewnętrzny niepokój.

Na toalecie leżała teczka z papeterią, jeszcze nierozpakowaną z folii – jeden z tych prezentów, które chętnie kupuje się innym, ale samemu właściwie nigdy z nich nie korzysta.

Wzięłam teczkę i wróciłam na miejsce na parapecie, zwabiona klarowną nocą, tak orzeźwiająca, jak szklanka zimnej wody w upalny dzień. Rozerwałam folię, wyjęłam arkusz papieru listowego i utkwiałam wzrok w pustej stronie. Był tylko jeden człowiek na świecie, z którym tak naprawdę chciałam teraz porozmawiać.

Zaczęłam pisać.

Najukochańszy Robie!

Minęło już tak niewiarygodnie dużo czasu, odkąd widziałam Cię ostatni raz. Bez Ciebie wszystko jest takie trudne, a ja jestem taka samotna. Czuję się zagubiona – sama w świecie, w którym nie ma dla mnie miejsca. Tak bardzo się starałam żyć dalej bez Ciebie, pogrzeżyłam się w pracy, nadałam jej większe znaczenie, niż na to zasługuje, próbowałam wypełnić ogromną lukę, jaką zostawiłeś w moim życiu, wypełnić ziejącą dziurę w moim sercu. Wciąż tak bardzo Cię kocham i tak strasznie za Tobą tęsknię. Nie mogę uwierzyć, że nigdy więcej Cię nie zobaczę. Brakuje mi naszej zażyłości, naszej przyjaźni. Uczyniłeś mnie taką szczęśliwą, czułam się taka kochana. Za to teraz czuję się otepiała, otumaniona, oderwana od wszystkiego i rozbita. Nie rozumiem, co się stało, Rob. Dlaczego to się stało. Dlaczego wyrwano Cię nam, mnie i Cassie, w tak okrutny sposób.

Biedna Cassie. Bardzo tęskni za Tobą, a ja wiem, że czuje się tak samo samotna, jak ja. Przeraza mnie, ile złości się w niej nagromadziło. Wiem, zawsze miałaś nadzieję, że z czasem zbliżymy się do siebie, ale odkąd Cię nie ma, jeszcze bardziej się ode mnie oddaliła. Chciałabym mieć jej pomoc, dać jej tyle miłości, ile Ty dałeś mnie, ale obawiam się, że ona nie chce mnie w swoim życiu. Chciałabym mieć doprowadzić ją do śmiechu, uczynić ją taką szczęśliwą, jaką Ty uczyniłeś mnie. Jestem Ci to winna. W tak krótkim czasie dałeś mi tyle szczęścia. Ale czy wspomnienie tego szczęścia wystarczy na resztę życia bez Ciebie?

Wiem, że chciałbyś, abym żyła dalej, Rob, żebym w pełni korzystała z życia i znów była radosna. Ale najwyraźniej chyba nie umiem się od tego odciąć. Muszę zachować pod kontrolą uczucia, bo zwariuję.

Nigdy nie sądziłam, że będę mogła żyć dalej bez Ciebie. Myślałam, że się załamie, ale jakimś cudem nadal jestem, żyję, o ile można nazwać moją egzystencję życiem.

Jestem teraz na farmie Wichrowe Łąki, a Cassie przyjechała ze mną. Nie do wiary, prawda? Wiesz, zawsze chciałam zabrać ją tutaj pewnego dnia. Kiedy nadejdzie właściwy czas. Ale my, ludzie, nie możemy panować nad czasem. Twoja śmierć mi to uświadomiła. Gdybym umiała panować nad czasem, byłbyś teraz ze mną.

Tak bardzo sobie tego życzę.

Na zawsze Twoja N.

Złożyłam list, nie czytając go, wsunęłam do koperty i napisałam na niej imię męża. Na poręczy krzesła w kącie wisiał płaszcz, a ponieważ nie przysłała mi do głowy żadna lepsza kryjówka, schowałam list do jego kieszeni.

Choć byłam kompletnie wyczerpana, długo nie mogłam zasnąć. Leżałam w łóżku, lampka nocna rzucała matowe światło w mrok pokoju, a kiedy wreszcie osunęłam się w sen, spałam niespokojnie. Słyszałam każdy najmniejszy dźwięk, dochodziły mnie nawet zapachy. Na zewnątrz coś szurało w ciemności. Wiedziałam, że to zwierzęta w obejściu, ale ogarnął mnie irracjonalny lęk, że wokół domu skradają się jakieś ciemne typy.

We śnie nawiedziły mnie upiory. Okropne koszmary pełne zmiażdżonych samochodów... Zerwałam się, jakby poraził mnie prąd, i krzyknęłam głośno. Za późno zatkałam sobie usta.

Ze zgrzytem, powoli, otworzyły się drzwi mojego pokoju. Zawstydziałam się, że najwyraźniej kogoś obudziłam. Ale wtedy usłyszałam stukanie pazurów na gładkich deskach podłogi

i kiedy w moją dłoń wsunęła się wilgotna morda, uświadomiłam sobie, że odwiedził mnie Mac.

Położył swoje ogromne przednie łapy na kołdrze i przysunął zatroskany pysk do mojej twarzy, tak blisko, że jego morda zostawiła wilgotny ślad na policzku, gdzie mnie wachał. Potem z głębokim westchnieniem uwalił się obok mnie na łóżku.

Przez moment nie ruszałam się osłupiała i niepewna, czy pozwolić przenocować u siebie nieproszonemu gościowi. Może powinnam odesłać go z powrotem do kuchni, na ciepły kocyk przy kominku, w którym dogorywał ogień? Ale potem odprężyłam się uspokojona miarowym oddechem psa. Wtulona w jego ciepłe ciało zapadłam wreszcie w głęboki sen.

Kiedy się obudziłam, było już jasno. Zbyt jasno. Spojrzałam na budzik stojący na nocnej szafce i stwierdziłam z przerażeniem, że jest wpół do dwunastej. Od niepamiętnych czasów nie zdarzyło mi się spać tak długo.

Mac zniknął.

W koszuli nocnej zeszłam na dół i podążyłam za jazgotem radia do kuchni, gdzie Laura zmywała naczynia.

– Dzień dobry – wymamrotałam i przetarłam oczy.

Laura podniosła wzrok znad zlewu wypełnionego pianą.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś?

– Bo pilnie potrzebowałam odpoczynku.

Wyjęła ręce z wody i starannie wytarła je ściereczką wiszącą na uchwycie szerokiej, czarnej kuchenki AGA. Nie pytając, naląła mi herbaty i włożyła dwie kromki chleba do tosterka.

– Dobrze spałaś?

– Nieźle, dziękuję.

Laura sobie również naląła herbaty i przysiadła się do mnie.

– Zauważyłam, że w twoim łóżku spał w nocy obcy facet.

Popatrzyłam na nią skonsternowana, a potem skojarzyłam, że miała na myśli Maca.

– Ach tak. – Ze śmiechem podmuchałam herbatę. – Nieproszony nocny gość.

Toster z głuchym uderzeniem wyrzucił kromki lekko zrumienionego chleba. Laura zerwała się z miejsca i postawiła przede mną tosty i masło. Kiedy zignorowałam jedzenie i tylko dalej siorbałam herbatę, na jej twarzy wymalowało się rozczarowanie.

– Gdzie Cas? – zapytałam.

– Wysłałam ją na dwór.

Mama lekko uniosła brwi. Z tonu jej głosu wywnioskowałam, że wczorajsze dobre zachowanie dziewczyny nie utrzymało się długo.

– Chcesz powiedzieć, że za karę wypędziłaś ją za drzwi? – upewniłam się.

Laura uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu widać było pewną surowość.

– Ach, to nie jest głupia dziewczyna. Jej kąśliwe komentarze mają nawet w sobie coś błyskotliwego, jak na kogoś w jej wieku.

– Ojej. Twarda z niej sztuka, co?

Laura pokiwała głową.

– Przepraszam, jeśli zachowywała się niezdanie.

– A spodziewałaś się czegoś innego?

– Owszem, zwykle odnosi się grzecznie do wszystkich, poza mną.

– W takim razie mogę się łudzić, że jestem wyjątkowa. Właściwie wcale nie było tak źle.

– Nie?

– Nie, nie była wprost niegrzeczna, po prostu ma wyrobione zdanie na większość tematów.

– To prawda.

– A w tej chwili jej opinia odnośnie wielu spraw nie jest zbyt pochlebna.

– Przykro mi.

– Nie musi. Potrafię o siebie zadbać.

Uniosłam pytająco brwi.

– Kazałam jej nakarmić gęsi.

– Nie nazwałabym tego karą – zaczęłam, ale potem zauważyłam, że w uśmiechu Laury kryło się coś sadystycznego.

Już chciałam zapytać o więcej, gdy nagle, jak na zawołanie, ciszę przerwał przenikliwy krzyk. Zaraz potem z głośnym brzękiem uderzyła o ziemię miska z karmą. Wielkie ptaszysko rozgęgało się z oburzeniem.

Pognałyśmy do drzwi, żeby ujrzeć, jak ogromna gęś goni Cassie po podwórzu. Ptak rozpostarł skrzydła i unosił je tak wysoko, że niemal szybował nad ziemią.

– To jest Gertrude – wyjaśniła mama z wesołością. Zauważyłam, że nie była ani trochę zaniepokojona. – Jak widzisz, nie jest zbyt przyjaznym stworzeniem.

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś biegł tak szybko.

Cassie rzuciła się do land rovera zaparkowanego tuż pod oknem kuchni, wsiadła do środka i zatrzaskała drzwiczki w tym samym momencie, gdy gęsi dziób wystrzelił naprzód, żeby capnąć ją za nogę. Laura spokojnie obserwowała, jak oba mniejsze ptaki, dopełniające gęsiego stadka, pośpiesznie czmychają przez otwartą furtkę. Wprawdzie westchnęła leciutko, ale jej uśmiech nie zgasł, nawet kiedy za przykładem gęsi poszły najpierw kury, a potem powolniejsze kaczkę.

– Droga Cassie – zawołała do mojej pasierbicy z okna kuchni – mówiłam ci przecież, żebyś zamykała furtkę.

Cassie świdrowała nas ponurym wzrokiem z wnętrza samochodu.

Laura chwyciła za laskę ze stojaka na parasole i wyszła na podwórze. Kiedy była już w połowie podwórza, odwróciła się do mnie.

– No chodź, Nattie! Pomóż mi powyłapywać dziewczynki! Nie gryzą – ponagliła, kiedy się zawałałam.

Dziarskim krokiem podeszła do gęsi, która przy boksie Szansy wydziobywała zastraszająco długim i silnym dziobem okruszki ostatniego posiłku klaczy.

– Na pewno nie gryzą? – upewniłam się.

– Nie mogą cię ugryźć, bo nie mają zębów – zawołała w odpowiedzi Laura, kiedy nadal nie ruszyłam się z miejsca. – Ale mogą nieźle uszczypać – dodała radośnie.

– Tylko nie myślcie, że wyjdę i wam pomogę! – zawołała Cassie przez opuszczoną o całą szybę w samochodzie. – Zostaję tutaj, dopóki... dopóki ten... rottweiler w gęsiej postaci nie znajdzie się za kratkami.

Opornie założyłam kalosze. Szorstkie wkładki dotykały zimną i lepłą powierzchnią moich gołych stóp. Narzuciłam na kuszą koszulę nocną starą, sztywną kurtkę barbour Laury i poszukałam w stojaku na parasole najsolidniejszej laski. Wybrałam grubą, sękatą i wypolerowaną na błysk kostur z drewna orzecha włoskiego, z rzeźbioną rączką w kształcie sówiej głowy, i wyszłam za matką na podwórze.

Laura zapędziła już gęś numer jeden do kojca i postanowiła wypłoszyć Cassie z land rovera, żeby nam pomogła.

– Wyłaż stąd, ty tchórz. – Chciała otworzyć drzwi samochodu, ale Cassie wcisnęła od środka blokadę zamka. – Nie możesz okazywać im strachu – wyjaśniła cierpliwie Laura. – Tylko tak można sobie z nimi poradzić.

– A kto, przepraszam bardzo, powiedział, że chcę sobie radzić z tymi paskudnymi ptaszyskami? – zapytała Cas, nie ruszając się z miejsca. – Na pewno nie ja. Dopóki chodzą wolno, nie wyciągniesz mnie stąd nawet końmi.

A zatem to mnie i Laurze pozostało powyłapywać resztę pierzastego towarzystwa.

Postanowiłam chwycić byka za rogi, a raczej ptaka za dziób, i podczas gdy mama umiejętnie zapędzała do kojca drugą gęś, wzięłam się za przewodniczkę stada. Naśladując postawę matki, zaczęłam podchodzić Gertrude. Z twardym spojrzeniem i rozłożonymi ramionami, z wyciągniętym kosturem w lewym ręku, chciałam zagonić ją w prawo. Ale Gertrude, zamiast dać się spokojnie wmanewrować z powrotem do grodzi, postanowiła przejść do ataku. Groźnie wysuwając do przodu szyję, rozłożyła skrzydła i zasyczała.

Zanim się obejrzałam, sama zwiewałam przed Gertrude, która zasuwiała za mną szybciej, niż można było posądzać o to jakąkolwiek gęś. Świat stanął na głowie. Całej sprawy bynajmniej nie ułatwiało, że Laura turlała się ze śmiechu. Ani ona, ani Cas nie kwapiły się przyjść mi z pomocą.

Nie było łatwo pomykać w za dużych gumowcach. Kiedy silny dziób z rozkoszą uszczypnął mnie w mój miękki tyłek, wrzasnęłam na całe gardło.

Laura przyszła mi wreszcie z pomocą. Spokojną ręką pokierowała wściekłą Gertrude do wybiegu. Zaraz potem wróciła na miejsce i kacza rodzinika. Kury zostały zwabione miską kukurydzy i na koniec Laura, wciąż śmiejąc się do rozpuku, zwróciła się do mnie. Cas nadal tkwiła w land roverze. Przykucnęłam za samochodem, chroniąc swój sponiewierany kuper.

– To nie jest śmieszne – poskarżyłam się na widok szerokiego uśmiechu Laury. – Krwawię, prawda? – Próbowałam wykręcić szyję, żeby zbadać swoje obrażenia, ale na próżno.

Mama podeszła bliżej, wciąż szeroko uśmiechnięta. W tym czasie udało mi się przynajmniej odsunąć na bok poły ciężkiej kurtki. Z pełną satysfakcją odkryłam plamę krwi na jasnoszarej koszuli nocnej.

– Widzisz? Mówiłam! To wcale nie jest zabawne! Ja krwawię!

– Krew to osobliwy płyn – zachichotała Laura. – Chodź, pokaż.

Bez ceregieli podniosła koszulę i zaczęła się przyglądać swojej pupie.

– Boże Świąty, nie wiem, co bardziej zawstydzające. Najpierw zostałam starta na miazgę przez gęś, a teraz to – westchnęłam, kiedy mama wyjęła z kieszeni okulary, żeby lepiej widzieć.

Nawet Cas opuściła szybę w samochodzie. Porzuciła naburmuszoną minę i śmiała się w kułak.

– Ts, ts – zacmokała Laura. – Nie jesteś już małą dzidzią. To tylko draśnięcie.

– Draśnięcie? Ale boli jak diabli! Gdybym miała w tym miejscu kość, to na pewno byłaby złamana.

– Przestań już się mazać, bo znowu wypuszczę Gertrude, żeby ci podmuchała i zaśpiewała „A w szpitalu powiedzieli: takiej bekisy nie widzieli”.

– Ta krwiożercza bestia zbliży się do mnie wyłącznie jako pieczeń, na widelcu!

– Nie widziałam z bliska twojej pupy, odkąd przestałaś być dzieckiem – zauważyła Laura z figlarnym uśmiechem.

– Co ty w ogóle robisz tam z tyłu? – burknęłam ze złością. – Chcesz mi popudrować tyłek?

Spojrzałam z góry na Laurę, a ona na mnie z dołu. Wciąż trzymała brzeg uniesionej koszuli. Przez moment mierzyłyśmy się wzrokiem, zaciskając usta, a potem obie parsknęłyśmy śmiechem.

Przerwało nam dyskretne kaszlnięcie. Najpierw ciche, po chwili głośnie.

Odwróciłam się przerażona. Nie tylko Laura i Cas podziwiałały moje siedzenie pokryte gęsią skórą. Twarz płonęła mi tak samo jak lewy póldupek.

– Dzień dobry.

Usłyszałam roześmiany głos z wyraźnym irlandzkim zaśpiewem.

Przy bramie stał mężczyzna. Jego niebieskie oczy błyszcząły z uciechy.

– Widzę, że księżyc wcześniej dziś wzeszedł. Ale zimą to nic niezwykłego.
Mama, która na moment zamarła tak samo jak ja, parsknęła śmiechem i puściła wreszcie koszulę.

– Chyba zaraz umrę – wymamrotałam, nie poruszając ustami.

– Nie wygłupiaj się, to przecież nic wielkiego – odparła Laura.

– To zależy, czy masz na myśli dziabnięcie, czy pupsko – zawołała na całe gardło Cassie z bezpiecznego wnętrza samochodu, przypatrując mi się ze złośliwą satysfakcją.

– Szukam swojego psa – wyjaśnił mężczyzna przy bramie.

Zanim Cassie zdążyła pośpieszyć z kolejną bezczelną uwagą, rzuciłam jej ostrzegawcze spojrzenie. Nie wiedziałam, czy mam uciec, czy próbować zachować godność. Parę kroków dalej były otwarte na oścież drzwi do kuchni. Stłumiłam pokusę, by po prostu zdezerterować i z największym opanowaniem, na jakie mogłam się zdobyć, wyciągnęłam rękę ku przybyszowi, który w tym czasie wyrósł przede mną. Zachowywałam się tak, jakby było rzeczą najbardziej naturalną na świecie, w zimowy dzień stać na podwórzu w koszuli nocnej i gumiakach.

– Pan Connor, jak się domyślam.

– A pani pewnie trochę marznie – odparł ubawiony.

Dźwięki, jakie wydawała z siebie Cassie, przypominały gdakanie.

Nagle golizna, widoczna między brzegiem koszuli a starymi gumowcami, wydała mi się bezkresna jak Wielki Kanion. Poczzerwieniałam jak burak, bo facet musiał widzieć, że nie mam na sobie gaci. Czulałam palący wstyd, ale on tylko odwrócił się do Laury i powiedział:

– Zdaje się, że Mac znowu się wprosił.

Laura skinęła głową.

– Chrapie w kuchni.

– Stary leniwiec. – Connor zaśmiał się z czułością. – Ale wybrał nieodpowiedni moment na wycieczkę. Wybieram się dziś do Plymouth i pomyślałem, że poszukam go, zanim wyruszę, żeby nie stał przed zamkniętymi drzwiami.

– Możesz go zostawić u nas.

– Dziękuję, na to liczyłem. Prowadzisz już psi hotel, co? – Connor pokazał na Shepa, który właśnie prześliznął się pod bramą, pragnąc odwiedzić suczkę Laury Meg. – Wracam dopiero późnym wieczorem. Mogę go wtedy odebrać?

– Kiedy ci tylko odpowiada. Jeśli nie będzie nas tutaj, znajdziesz nas w Ship.

Dopiero kiedy Connor zaczął zbierać się do odejścia, Cas raczyła wyjść z samochodu. Mężczyzna przystanął i popatrzył na nią z udawanym zaskoczeniem, jakby nie zauważył wcześniej, jak wychylała się ciekawie przez okno.

– A ty skąd się tu nagle wzięłaś? – zapytał przyjaźnie.

– Stchórzyła. Schowała się w samochodzie przed Gertrude – wtrąciła Laura.

– A z kim mam przyjemność? – podjął Connor.

Moja pasierbica zachowała czujność.

– Cassie – powiedziała tylko.

– Ach, tak, Laura opowiadała mi o tobie. A zatem to ty jesteś Cassie. Od jakiego imienia pochodzi ten skrót?

– Od Cassandry.

– Ładne imię.

– Mama je wybrała – przyznała lojalnie Cassie.

Dobrze wiedziałam, że go nienawidziła. Zawsze się wściekała, kiedy ktoś zwracał się do niej pełnym imieniem.

– W mitologii greckiej Cassandra była trojańską królewną.

– Tak. – Pokiwała głową Cas. – Porwał ją Agamemnon i zabrał jako kochankę do Grecji, gdzie została zamordowana przez jego zazdrosną żonę, Klitajmestrę. – Czy mi się wydawało, czy Cas zerknęła przy tych słowach na mnie?

– Aha, więc znasz się na mitologii, fantastycznie. Miło było cię poznać, Cassie. – Connor wyciągnął do niej rękę, a ona uściśniła ją krótko. – Panią również miło było widzieć. – Odwrócił się i mrugnął do mnie. – Cześć, Lauro. Zobaczymy się później.

Laura pomachała mu, a on wolnym krokiem wrócił do samochodu zaparkowanego przed zamkniętą bramą. Bóg jeden wie, jak długo ten facet stał za moimi plecami. W każdym razie nie słyszałam silnika wozu. Zresztą, nic dziwnego, bo kiedy Laura wreszcie zagoniła Gertrude za kratki, gęś narobiła piekielnego hałasu.

– Na litość boską – prychnęłam, kiedy Connor odjechał. – Nie wierzę, co tu się przed chwilą wydarzyło.

– Herbata! – zawołała radośnie Laura, zapraszając nas gestem do kuchni. – Nie wiem, jak wy, ale ja potrzebuję teraz herbatki. – Poszła przodem i nalała wody do czajnika.

Mac podniósł wzrok ze swojego posłania, kiedy weszliśmy za mamą do kuchni, ale nie ruszył się z miejsca, tylko zamerdał krótko przyciętym ogonem.

Mama krzątała się przy czajniku, wrzuciła do dzbanka torebki z herbatą i wzięła nasze kubki z parapetu. Potem wyjęła z blaszanego pojemnika spory kawałek ciasta z owocami i pokroiła go na kawałki.

– No, to się nazywa z rozmachem rozpocząć dzień.

Zaśmiała się cicho, położyła na talerzu kawałek ciasta i podetknęła go Cas. Dziewczyna zdjęła kalosze i przycupnęła przy posłaniu Maca. Z roztertaniem drapała go za uszami. Już się nie bała ogromnego psiska.

– Wiesz, nie sądziłam, że dasz się zastraszyć i to akurat przez gęś – przekomarzała się delikatnie Laura. – Przecież tak w ogóle nie boisz się konfrontacji.

– Ja niczego się nie boję – zakomunikowała Cas, wysuwając przekornie podbródek. – Naprawdę – dodała. – Ale ta... – szukała właściwego słowa, żeby opisać Gertrude – ta bestia była naprawdę rozjuszona. Głupotą byłoby się do niej zbliżać.

W drodze wyjątku w pełni przyznałam rację swojej pasierbicy.

– Tylko ktoś szalony mógł się podjąć zagonienia tego potwora do kojca – ciągnęła Cas.

Wydlubała wiśnię z ciasta i wsunęła ją do ust. Patrzyła przy tym na mnie.

– Dziękuję – rzekłam sucho.

Laura zwietrzyła wiszącą w powietrzu niebezpieczną zmianę nastroju i zaczęła się śmiać.

– Nie wiem, co w tym takiego śmiesznego – powiedziałam urażona. – Mogłabym złożyć na ciebie doniesienie, że nie panujesz nad niebezpiecznym zwierzęciem.

– Ach, przestań, Nattie, przecież musisz dostrzec w tym zabawną stronę.

– Zabawna strona jest taka, że wszyscy widzieli tylną stronę Natalie – mruknęła Ca ze złośliwym uśmiechem.

Mama zganiała ją wzrokiem.

– Jeśli cię to pocieszy – odezwała się do mnie, stawiając na stole tacę z herbatą – to straszna Gertrude jest na umowie śmieciowej.

– Co masz na myśli?

– Święta za pasem, a gąska jest coraz tłściejsza... – Laura przejechała palcem po gardle.

– Chcesz powiedzieć, że już zmierza na szafot? – odpowiedziałam pytaniem i zdałam sobie sprawę, że drgają mi kąciki ust. – Czyli wcale wiele się nie pomyliłam, mówiąc, że dopuszczę ją do siebie wyłącznie w formie pieczenia.

– Cóż, szczerze mówiąc, zasłużyła sobie na to – przyznała w końcu mama. – Gdyby była

psem, zapewne już dawno zostałaaby uśpiona. Albo zastrzelona. Mam wrażenie, że w całym swoim życiu nie spotkałam równie awanturniczej istoty.

– I teraz mi to mówisz – poskarżyłam się, biorąc do ręki kubek z gorącą herbatą. – Nie mogłaś mnie ostrzec, zanim rzuciłam się na nią w pojedynek?

– Ależ mówiłam przecież, że nie jest zbyt przyjacielsko nastawiona.

– Niedomówienie dziesięciolecia – prychnęła ze złością Cassie, karmiąc Maca sporym kawałkiem swojego ciasta.

Laura znowu stłumiła śmiech.

– To nie jest śmieszne – jęknęłam.

– Nie? – Mama nie mogła się powstrzymać. – Trzeba było widzieć twoją minę!

Próbowałam zachować obrażoną minę, ale wbrew sobie parsknęłam śmiechem.

– Wiesz – przyznałam, chichocząc – o wiele bardziej przejmuję się tym, kto właściwie widział mój tyłek!

Cas zawahała się przez chwilę. Wyglądała, jakby chciała zmarszczyć brwi, ale w końcu i ona rozciągnęła twarz w uśmiechu.

Tego wieczoru kolacja przebiegła w trochę bardziej swobodnej atmosferze. Zająłam się obieraniem i krojeniem, mama gotowaniem, a Cassie nakrywaniem do stołu. W ten sposób doskonale się uzupełniałyśmy.

Okazało się, że dziś nie będę mogła znowu uciec wcześniej do łóżka, bo Laura zakomunikowała podczas zmywania, że spodziewają się nas w pubie w Trenrethen.

– Żona Hanka, Orlaithe, jest tam szefową i prosiła, żebyśmy wpadły o ósmej. Firma stawia jedną kolejkę – wyjaśniła Laura i podała mi talerz do wytarcia.

Kwadrans przed ósmą wyjechałyśmy land roverem do wsi. Cas i ja siedziałyśmy stłoczone na fotelu pasażera. Nigdy przedtem tak bardzo nie zbliżyłyśmy się cieleśnie do siebie. Wyczuwałam sztywność Cas, ale jedyną alternatywą była podróż na pace, siedząc na odwróconym do góry dnem wiadrze. Na każdym zakręcie przetaczałybyśmy się z boku na bok jak puste puszkę po napojach, bo mama pruć jak kierowca formuły jeden.

Z Wichrowych Łąk do pubu były niecałe trzy mile, ale jazda zdawała się trwać w nieskończoność, w dodatku zarobiłyśmy podczas niej parę siniaków. Wreszcie pokonałyśmy ostatnie wzgórze, zjechałyśmy w dół nabrzeżną drogą i skręciłyśmy na parking. Laura zaciągnęła ręczny hamulec, a potem wetknęła do kieszeni mały śrubokręt pełniący funkcję kluczyków i uśmiechnęła się radośnie. Oderwałyśmy zaciśnięte kurczowo dłonie od uchwytów i zaczęłyśmy normalnie oddychać.

Parking zbudowano na skraju urwiska. Z jednej strony ograniczała go stroma skalna ściana, z drugiej klif opadał pionowo do morza. Kiedy wysiadłam, usłyszałam fale rozbijające się z hukiem o czarną wulkaniczną skałę i poczułam smak słonych maleńkich kropelek wody. Podążyłyśmy za mamą przez pochyły parking ku ścieżce wijącej się wokół skały i ginącej w mroku.

Mama maszerowała pierwsza, pogwizdując wesoło piosenkę Franka Sinatry. Od czasu do czasu oglądała się za siebie i upewniała, że jeszcze za nią idziemy, i nie poślizgnęłyśmy się i runęłyśmy do kipiącego dwadzieścia metrów niżej oceanu. Poczułam ulgę, kiedy na wprost nas wyłonił się wreszcie jasno oświetlony budynek. W oddali, w odległości jakiejś pół mili w linii prostej, błyszczały światła Trenrethen.

Ship był kiedyś domem kapitana portu. Był pomalowany na białą, miał łupkowy dach, a szesnaścioro okien zdobiły zielone okiennice. Budynek, górujący nad niedużą przystanią, przyleżał się do skał, a mimo dobrze widocznych tablic ostrzegawczych niejeden pijany gość padł już ofiarą fal Atlantyku.

Zanim weszliśmy do środka, przystanęłam na chwilę i zapatrzyłam się w ciemny ocean. W oddali groźnie majaczyła w mroku wysepka wulkaniczna.

– Zapiera dech w piersiach, co? – Usłyszałam tuż za sobą głos Laury. – W przewodniku piszą, że to jeden z najpiękniejszych punktów widokowych w całej Kornwalii. Orlaithe wynajmuje pokoje i zawsze ma komplet.

Hank i Orlaithe, opowiadała matka, zajmowali mieszkanie na drugim piętrze Ship Inn, na poddaszu. Zostawiłyśmy za sobą wieczorny chłód i weszliśmy do ciepłej izby z płonącym w kominku ogniem, wykładziną w czerwony wzór i ciemnym drewnem na ścianach. We wnętrzu zwracało uwagę zbiorowisko przedmiotów związanych z nautyką: ściany zdobiły wysłużone sekstanty, koła sterowe, kotwice i zakonserwowane ryby w słojach. Z belek stropowych zwieszała się rybacka sieć, w której zaplatało się parę plastikowych rybek, muszli i rozgwiazd.

Nie miałam pojęcia, jak mogła wyglądać żona Hanka. Mężczyzna nie był zbyt rozmowny i ograniczał się do absolutnie niezbędnych słów.

Ale jeśli Hank był gwiazdą filmu niemego, to jego żona, wbita w oślepiająco czerwoną suknię, z której głębokiego dekoltu wylewał się obfity biust, okazała się Mae West. Prędko uświadomiłam sobie, że Orlaithe Doyle była w takim samym stopniu gadatliwa, w jakim jej mąż małowówny. Była pełną temperamentu, rudowłosą Irlandką z hrabstwa Cork i wyglądała na czterdzieści lat, ale musiała być starsza. Jej cera była biała i miękka jak gęsta śmietana, a oczy miały barwę bursztynu. Zadarty nosek zdobiły piegi.

Ledwie przestąpiliśmy próg, rzuciła się na nas i przycisnęła do swojego potężnego biustu, jakbyśmy byli dawno zaginionymi przyjaciółkami, a nie nowo poznanymi znajomymi.

– Ach, jak miło, że wreszcie mogę poznać was osobiście. Chociaż, mam wrażenie, że znamy się już od dawna, bo twoja mama tyle mi o tobie opowiadała, Nat. A ta młoda dama to zapewne Cassie. Biedne dziewczynki. Co za tragedia. Chodźcie, usiądźcie, napijcie się ze mną, to się rozgrzejecie.

Orlaithe wypuściła nas ze swoich objęć pachnących Anaïs i pchnęła w stronę stołków przy zapelnionym barze. Przeszła na drugą stronę kontuaru, podeszła do stojaków na butelki i dozowników i napełniła cztery szklaneczki bushmillsem. Laura, Cas i ja dostałyśmy po jednej.

Cassie, rozradowana, nie mogła uwierzyć we własne szczęście i przyjęła szklaneczkę. Ale Orlaithe w porę spostrzegła swoją pomyłkę. W mig odebrała Cas whisky i przelała alkohol do własnej szklanki. Otworzyła butelkę coli light, wcisnęła ją dziewczynie do ręki, a widząc jej rozczarowanie, wzięła z półki dwie paczki czekoladowych kulek Maltesers i wsunęła je Cassie do drugiej ręki. Potem wyszła zza baru, posadziła swoje niebagatelne ciało na stołku i zachęciła, żebyśmy się do niej przysiadły, poklepując dłonią stołki po swojej prawej i lewej stronie.

– Tyle przeszłyście – powiedziała. – Ale spokojna głowa, tutaj jesteście w dobrych rękach. Już my się wami zaopiekujemy, prawda, Lauro?

Mama potaknęła.

– W każdym razie będziemy bardzo się starać, ale ostrzegam cię, one są bardzo samodzielne.

– Bzdura, każdemu dobrze zrobi odrobina hołubienia. – Dotknęła przedramienia Cassie. – Laura mówiła, że jesteś tancerką. Baletnicą, jak słyszę. Kiedy byłam w twoim wieku, też tańczyłam, ale tylko irlandzkiego jiga, ot co! – Wybuchła perlistym śmiechem dochodzącym z głębi jej trzewi i wprawiającym w podrygi zwały tłuszczu. – Śpiewasz? – zapytała prędko.

Laura nachyliła się do Cassie i szepnęła jej do ucha, że Orlaithe śpiewa.

– Ach, teraz już rzadko.

Orlaithe usłyszała słowa Laury. Poklepała się po biuście ozdobioną pierścionkami dłonią o polakierowanych na różowo paznokciach i starała się przybrać skromną minę.

– Rzadko? – Mama uniosła brwi.

– No, właściwie to całkiem często! – Znow rozległ się jej dochodzący z trzewi śmiech. – Jak tylko uda mi się dorwać mikrofon.

Dowiodła tego godzinę i parę bushmillsów później. Zawołała przez całą izbę do nowo przybyłego mężczyzny:

– Denzel, szykuj się! Może byś tak nam coś zabrzędał na swoim starym pianinie?

Nieduży, łysy człowieczek w za dużym garniturze, wyglądającym jakby był wzięty z darów Czerwonego Krzyża, kiwnął głową i klapnął na stołku przy starym, czarnym pianinie. Wyłamał kostki z tak głośnym trzaskiem, że aż się wzdrygnęłam. A potem, zamiast spodziewanej ludowej pijackiej przyspiewki, zagrał, ku mojemu ogromnemu zdumieniu, dojrzałą wersję klasycznej piosenki *Rainy Night in Georgia*. W dodatku zaśpiewał głosem brzmiącym, jakby od sześćdziesięciu lat był oliwiony mocnym piwem.

Deep South Blues.

Kiedy skończył, Orlaithe dała się namówić na przejęcie mikrofonu.

– Nie, ale nie mogę... w żadnym wypadku... cóż, no dobrze.

Witana burzliwymi oklaskami ustawiła się przy pianinie i odśpiewała kawałek w stylu country. Jakąś piosenkę Dolly Parton, jak zgadywałam, o kobiecie, która kradnie innej mężczyznę. Śpiewała naprawdę niezłe.

Nawet Cas przyłączyła się do oklasków, żeby zachęcić ją do drugiej piosenki. W końcu ośmielona w ten sposób Orlaithe uszczęśliwiła nas co najmniej czterema kolejnymi kawałkami.

Jeszcze nie skończyła śpiewać, kiedy otworzyły się drzwi i do pubu wszedł mężczyzna, a wraz z nim wtargnął do środka zimny podmuch wiatru, wprawiając w taniec płomienie w kominku. Mama powitała przybysza uśmiechem. Rozpoznałam go od razu: był to Connor. Ku mojemu zdumieniu, odpowiedział na powitanie Laury, skierował się w naszą stronę. Udałam, że muszę pilnie wyjść do toalety, i precyzyjnie się przez śpiewający tłum.

W odróżnieniu od przystrojonej morskimi dekoracjami izby damskie toalety utrzymane były w tonacji różowej. Różowy dywanik, różowe ściany i plastikowe kwiatki w różowych wazonikach. Nawet odświeżacze powietrza ozdobił kwiecisty wzorek. Orlaithe miała wyjątkowo niewieści gust.

W spokoju poprawiłam fryzurę. Miałam nadzieję, że Laura w tym czasie skończyła rundę powitalną, a ja będę mogła wśliznąć się na swoje miejsce bez konieczności rozmowy z mężczyzną, któremu pokazałam się przed południem od tak niekorzystnej strony.

Okazało się, że nie mogłam wybrać bardziej niedogodnego momentu. Orlaithe stanęła z powrotem za barem, ale Denzel wciąż śmigał palcami po klawiaturze. Akompaniował nowemu wokaliście, którego artystyczną ekspresję znacznie ograniczał fakt, że facet był pijany w sztuk. Poza tym zachowywał się, jakby regularnie występował w Las Vegas: zszedłszy z niewielkiego podestu, przechadzał się po pomieszczeniu, zagadując wybranych gości. Kiedy weszłam do izby, gwiazda karaoke szukała kolejnej ofiary. Zamiast dyskretnie wrócić na miejsce, wpadłam prosto w jego objęcia.

Usiłowałam przemknąć obok, ale on chwycił mnie za rękę. Chwiejąc się i chuchając mi w twarz piwnym odorem, wyśpiewał serenadę. Na wpół zamroczona i sparaliżowana z zakłopotania sterczałam na środku z wymuszonym uśmiechem. Wydawało mi się, że piosenka trwa całą wieczność, a kiedy w końcu umilkła, śpiewak uniosł moją dłoń ku swoim sinofioletowym ustom i wycisnął na niej obrzydliwie lepki pocałunek.

Cas zauważyła moje skrępowanie i uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją. Kiedy zorientowałam się, że i Connor był świadkiem tej żenującej sceny, miałam ochotę schować się w mysiej dziurze. Oczy mężczyzny błyszczały z uciechy. Z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Za-

uważył, że na niego patrzę, i ze współczuciem przewrócił oczami. Dobre i to.

Wydawało mi się, że wszyscy się na mnie gapią, cały pub. Kabaretowy numer z moczymordą i czerwoną jak burak kobietą stał się gwoździem programu. Najchętniej odwróciłabym się na pięcie, ruszyła z powrotem do łazienki i wyszła dopiero wtedy, gdy cała publiczność będzie tak pijana, żeby zapomnieć o moim krótkim występie. Zamiast tego z podniesioną głową i pogodnym uśmiechem pomaszerowałam na miejsce. Miałam nadzieję, że moja czerwona twarz nie zdradzała, jak bardzo się wstydziłam.

W tym momencie usłyszałam cichy i zaskakująco piękny głos, śpiewający mi prosto do ucha fragment piosenki pijaka. Tuż przy mnie wyrósł Connor.

– Wpadła mu pani w objęcia, prawda? – odezwał się promiennie.

– Dziś nie jest mój dzień – odpowiedziałam, uśmiechając się sztywno.

– Jeśli to panią pocieszy, dla mnie była pani, jak by to ująć... interesującym początkiem dnia.

Zniesmaczona jego nietaktem zmrużyłam oczy. Connor parsknął śmiechem.

– Przepraszam, nie mogłem sobie darować – powiedział. – Chyba powinienem się oficjalnie przedstawić. Z zachowaniem wszelkich form. Przed południem nie było to możliwe.

– Nie, błagam pana – wymamrotałam. – Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie to dla mnie było krępujące.

– Czy to pomoże, jeśli powiem, że nic nie widziałem?

– To byłoby kłamstwo.

Przytaknął.

– Ale jeśli dzięki temu poczuje się pani lepiej: nie widziałem ani pani siedzenia, ani nie-wielkiego uszkodzenia w lewym pośladku.

Connor znów stroił sobie ze mnie żarty, ale jednocześnie uśmiechał się tak przyjaźnie i beztrzesko, że moje skrępowanie powoli ustępowało. Odwzajemniłam uśmiech.

– Tak już lepiej. – Wyciągnął rękę. – Connor Blythe. A właściwie tylko Connor.

Ucisnęłam mu dłoń.

– Natalie Dunne. Ale może mi pan mówić Nattie.

– Miło cię poznać, Nattie. Właściwie wszystko już o tobie wiem, od twojej matki. – Connor zerknął nad moim ramieniem, potem schylił głowę i wyszeptał konspiracyjnie: – Muszę cię ostrzec, twój nowy przyjaciel zmierza w naszym kierunku.

Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam zataczającego się w moją stronę zapijaczonego śpiewaka.

– I to jest właściwy moment, żeby pojechać do domu – oświadczyłam i przeniosłam wzrok na Cas.

Znużona dziewczyna już ledwie siedziała, dzięki czemu bez trudu przekonałam Laurę, że powinniśmy na dzisiaj skończyć.

Problem polegał jednak na tym, że matka nie mogła usiąść za kółkiem, bo zdecydowanie za dużo wypila.

– To wina Orlaithe i jej niewyczerpanych zapasów bushmillsa. – Uśmiechnęła się przeprasząco. – Pół godziny zajęło mi rozwiązanie zagadki, dlaczego nic mi nie ubywa ze szklaneczki. Ale wtedy miałam już w czubie dobre trzy whisky, więc nie miało sensu przestawać. Wrócimy do domu pieszo, a Hank podrzuci nam jutro land rovera.

– Szukacie kogoś, kto was zawiezie do domu?

Wmieszał się do naszej rozmowy śpiewak karaoke, z takim impetem wpadając na Laurę, że ta prawie spadła ze stołka. Musiała przytrzymać się mosiężnego drążka biegnącego wzdłuż kontuaru.

– Nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby pozwolić samotnie wyruszyć w długą drogę do domu takim ślicznym, młodym paniom. W dodatku pieszo!

Sięgnął znowu po moją dłoń, ale tym razem byłam szybsza i w mig schowałam ręce w kieszeniach płaszcza.

Podeszła do nas Orlaithe i wsparła wstawioną Laurę.

– Davey tyle wyzłopał, że runie z urwiska przy wyjeździe z parkingu.

Popatrzyłam z przerażeniem na zapijaczonego faceta. Skąd pomysł, żeby w takim stanie siadać za kierownicą?

Uratował nas Connor.

– W porządku, Davey, ja byłem szybszy. Obiecałem Laurze i dziewczętom, że zawiozę je do domu.

Laura pokiwała skwapliwie głową. Widać było, że z ulgą przyjęła propozycję.

Orlaithe, widząc moją zniesmaczoną minę, szepnęła mi do ucha, że Davey zdeponował kluczyki u niej i dostanie je dopiero jutro.

– Ty już dziś nigdzie nie pojedziesz – oznajmiła surowo.

– Nie? – Zataczając się, obrócił się ku Orlaithe. – W takim razie wychylę jeszcze kropelkę twojego zacnego trunku, zgoda? – Oparł się o kontuar i zamówił whisky oraz półkwartę bittera na popitkę. Potem odwrócił się i uchylił wyimaginowanego kapelusza. – Moje panie, życzę dobrej nocy.

Skłonił się, chwycił za rękę Cassie, pociągnął do ust i wycisnął na jej dłoni mokrego całusa.

Tym razem to mnie było do śmiechu. Cassie skrzywiła się i ukradkiem wytarła dłoń o spodnie.

Connor również jeździł land roverem, ale nie dało się go porównać z wrakiem mojej matki. Prawie nowy samochód był wielki, błyszczał czarnym lakierem i miał na wyposażeniu wszelkie nowoczesne bajery, łącznie ze sprzętem audio, który przewyższał jakością moją domową wieżę. Poza tym miał na szczęście więcej miejsca – ciemnoszarych, skórzanych foteli, które ani nie cuchnęły wilgocią, ani nie były oblezione psimi kłakami. W dodatku prowadził o wiele lepiej od Laury, sprawnie pokonując krętą drogę.

Ledwie Laura otworzyła drzwi do kuchni, ze środka wyskoczył Mac, pakując się przez otwarte drzwi do samochodu. Podziękowałyśmy chórkami i Connor odjechał.

– Co za sympatyczny mężczyzna – westchnęła Laura, czknęła i pomachała mu na odjeździe.

– Bardzo, bardzo, bardzo sympatyczny mężczyzna – przedrzeźniała ją Cassie, biorąc pod rękę. – W każdym razie sympatyczniejszy od taksówkarza, który zdarłby z nas skórę.

Weszliśmy do domu i pomogliśmy zataczającej się Laurze wejść po schodach do jej sypialni. Pokój był urządzonej w stylu Laury Ashley: ściany w odcieniu lila, kwieciste tkaniny w kolorach rózu i bzu, a do tego pasujące dywaniki na deskach podłogi. Staroświeckie, żelazne łóżko zdobiła wielka kapa w fioletowe kwiaty, a na parapetach i toaletce stały eleganckie wazon z suszonymi bukietami. Nad krzesłem w kącie wisiał kapelusz przeciwsłoneczny udekorowany margerytkami, a ładne lampy witrażowe na nocnych stolikach po obu stronach łóżka zdobiły motyle.

W pomieszczeniu nie było szafy na ubrania, ponieważ Laura miała osobną garderobę. Potrzebowała jej, inaczej w sypialni nie byłoby już miejsca na łóżko. Mniejszy pokój, znajdujący się naprzeciwko mojego, został przerobiony na pokój garderobiany. Był wypełniony od podłogi po sufit garsonkami i spódnicami, eleganckimi bluzkami, świetnie skrojonymi spodniami, miękkimi swetrami i sukniami wieczorowymi. Wszystkie ubrania były utrzymane w ciepłych, pa-

stelowych kolorach i znakomicie harmonizowały z brzoskwińową cerą Laury.

Matka nie miała dużo pieniędzy, ale nigdy niczego nie wyrzucała. Dbała o wszystko, co miała. Kolekcję swoich ubrań gromadziła przez trzy dziesięciolecia.

W pokoju garderobianym najbardziej przyciągał wzrok trzypiętrowy stojak zajmujący całą ścianę. Był wypełniony niezliczonymi parami butów.

– Sama Imelda Marcos pękłaby z zazdrości na ten widok – skomentowała Cassie, kiedy po raz pierwszy przekroczyła próg tego ciuchowego raję.

Laura padła na łóżko i jęcząc, poprosiła o filiżankę kawy. Ale kiedy ją zaparzyłam i zaniosłam do pokoju, twardo spała, pochrapując cicho.

Cas również się położyła.

Zauważyłam, że przedtem zdjęła Laurze buty i starannie przykryła ją kołdrą.

Następnego ranka lało jak z cebra. Po śniadaniu, które upłynęło w milczeniu, Laura zwróciła się do Cassie.

– Jadę do wsi. Potrzebujemy paru rzeczy ze sklepu. Wybierzesz się ze mną?

Nie czekając na odpowiedź, matka wzięła kurtkę Cassie z wieszaka przy drzwiach. Potem przyniosła jej jeszcze i buty. Ku mojemu zdumieniu dziewczyna posłuchała bez komentarza, założyła buty i kurtkę i wyszła za Laurą na podwórze.

Nasłuchiwałam ich głosów, ale kiedy wsiadały do land rovera, podrzuconego rankiem przez Hankę, zachowywały się podejrzanie cicho. Słysząc tylko zgrzyt metalu, kiedy otworzyły i zatrzasnęły zardzewiałe drzwiczki. Silnik zakaszłał i zapalił, a ja z westchnieniem opadłam na krzesło, które zwolniła przed chwilą Cassie.

Przez chwilę wpatrywałam się w mokry bruk podwórza. Nagle poczułam przemożną potrzebę wyjścia z domu. Chwyciłam płaszcz, torebkę i kluczyki i wyszłam na strugi deszczu. Nie mając pojęcia, dokąd właściwie jadę, opuściłam podwórze i pojechałam długą dojazdówką do głównej drogi. Skręciłam w prawo i jechałam przed siebie, nie patrząc dokąd. Mechanicznie zdążałam przed siebie, pogrążona w myślach.

Zostawiłam za sobą Trenrethen i Sennen i pojechałam zgodnie z drogowskazami do Land's End. Wciąż nie miałam przed sobą celu. Ponieważ nic lepszego nie przyszło mi do głowy, skręciłam w końcu na parking parku krajobrazowego. Zgasiłam silnik, ale zostałam w samochodzie. Nagle ogarnęła mnie tak głęboka cisza, że prawie słyszałam bicie własnego serca.

Dopiero po dłuższej chwili wysiadłam, założyłam płaszcz i opłaciłam postój. Wielki parking był praktycznie pusty. Idąc zwirową nawierzchnią w stronę wejścia do parku, naliczyłam za ledwie dwadzieścia samochodów, choć mogłoby tu stanąć pięć razy tyle.

To już nie było to Land's End, które miałam w pamięci. Cypel kupili parę lat temu Amerykanie i zamienili go w atrakcję turystyczną z karuzelami, grammi hazardowymi i sklepikami sprzedającymi T-shirty, dzemy i ciasto fudge – wszystko z nadrukiem „Land's End”.

Dziś nieliczni zwiedzający szukali schronienia przed deszczem w sklepach. Kilka pojedynczych wodoodpornych sylwetek szarpało się z zamkami błyskawicznymi płaszczy przeciwdeszczowych i przytrzymywało ręką kapelusze, żeby nie odleciały z wiatrem jak latawce.

Skierowałam się między sklepiki, podążając w kierunku cypla.

Przy słynnym drogowskazie pokazującym, że do Nowego Jorku jest 3147 mil, do John O'Groats 874 mile, a do Londynu 323, stała gromadka zmokniętych japońskich turystów fotografujących się nawzajem. W restauracji siedziało paru klientów, rodzin z małymi dziećmi i par. Jedli, pili i śmiali się, jakaś para się kłóciła. Oczywiście nie mogłam ich słyszeć, ale widziałam ich ściągnięte usta wypowiadające nieme słowa. Kobieta spoglądała złym wzrokiem w jedną, a mężczyzna w drugą stronę. Wściekle bębnił palcami o stół, żeby się uspokoić, podczas gdy jego partnerka udawała, że poprawia szminką usta, a w rzeczywistości zerkała w lusterko, żeby prze-

konać się, czy on na nią patrzy.

Najchętniej wpadłabym do środka i potrząsnęła nimi. Zażądała, żeby nie traktowali się jako oczywistości. Uzmysłowała im, że wspólny czas jest niekiedy o wiele cenniejszy od zasad. Ale powstrzymałam się. Nie zwracając uwagi na tablice ostrzegające przed stromym urwiskiem, brnęłam dalej przez kamienie i trawę aż do krawędzi klifu. Popatrzyłam na morze, potem na skały u moich stóp. Nie myślałam o niczym, tylko patrzyłam, czułam, jak świat wokół mnie burzy się, szaleje i kipi, jakbym nie była jego częścią.

Wierzyłam, że każdy z nas szuka tego jednego człowieka, który będzie rozumiał nas w sposób absolutny. Człowieka, któremu nie będziemy musieli niczego wyjaśniać i który nie zrozumie opacznie tego, co powiemy lub zrobimy.

Rob był dla mnie takim człowiekiem i nie sądzę, żeby kiedykolwiek ktoś mógł go zastąpić.

Rob mnie znał.

Znał mnie na wskroś, a ja jego. Potrafiliśmy porozumieć się jednym jedynym spojrzeniem, spojrzeniem, które często mówiło więcej niż tysiące słów. Tej zażyłości brakowało mi bardziej niż czegokolwiek innego.

Zdawałam sobie sprawę, że to brzmiało jak oklepany frazes, ale brakowało mi cząstki siebie. Kiedy jest się z kimś tak blisko, człowiek staje się częścią drugiej osoby.

Tak bardzo za nim tęskniłam.

Cassie też. Widziałam to po jej zaciekłości. Dziewczyna z bezsilnej rozpaczycy uciekała we wściekłość, bo sądziła, że nikt nie może zrozumieć jej bólu.

Gdyby wiedziała, gdyby umiała dostrzec, że jej uczucia odbijają się w moich oczach...

Zamiast wrócić na parking, ruszyłam ścieżką wzdłuż wybrzeża. Szłam przed siebie, prawie biegłam, jakbym mogła wszystko zostawić za sobą, gdybym tylko poruszała się wystarczająco szybko. Wiatr smagał mi twarz, a włosy przesłaniały oczy. Kiedy tak ślepo pędziłam przed siebie, widziałam już tylko okruchy skał, o które się potykałam. Uderzenia wichru były tak silne, że huczały mi w uszach jak odgłosy eksplozji.

Dopiero, kiedy nogi nie miały już siły mnie nieść, uspokoiły się moje myśli. Zatrzymałam się i rozejrzałam dokoła. Nie miałam pojęcia, jak daleko zaszłam, ale miałam za sobą długą drogę. Jeśli brnęłabym dalej, wkrótce dotarłabym do Sennen Cove, potem minęłabym Ship i w końcu wylądowałabym w Wichrowych Łąkach.

To byłoby pewnie najmądrzejsze. Mogłam zostawić samochód na parkingu i poprosić matkę, żeby mnie tam jutro podrzuciła. Nagle poczułam nieskończone zmęczenie. Deszcz ustał, już tylko siąpiło. Wokół nie było widać ani domów, ani drogi. Chciałam gdzieś usiąść, żeby odpocząć chwilę, a potem ruszyć w drogę powrotną. Powrót do domu bez samochodu spowodowałby pytania, na które nie chciałam odpowiadać. Wracając, mogłam zatrzymać się przy wiejskim sklepie, a potem wytłumaczyć, że dopadła mnie niepohamowana chęć na coś, czego nie miałyśmy w domu.

Próbowałam zorientować się w terenie. Na wprost mnie stał nieduży, szary domek. Tabliczka informowała, że jest własnością *National Trust*, ale nie zdradzała, co się mieści w środku. Czarne okiennice były zabezpieczone kłódkami przed atakami zachodniego wiatru. Zapewne był to niegdyś domek huera. W przeszłości był to samotny, ale niezbędny zawód. Huer zwoływał głośnymi okrzykami rybaków, gdy tylko odkrył upragnioną ławicę sardynek. Budynek dawał mu schronienie, kiedy wypatrywał ryb.

Mnie domek nie dał dziś schronienia, minęłam go zatem i zesłam niżej z boczem do krawędzi urwiska, do stóp szarego usypiska skał, przypominającego ruiny domu. Między skałami wiła się wąska ścieżka w dół. Poszłam nią aż do ukrytego przejścia i znalazłam się w zagłębieniu

otoczonym skałami i chronionym przed żywiołem. Za ledwie metr dalej skała opadała pionowo w dół. Zrobiłam krok naprzód, prawie dotykając palcami stóp krawędzi. Uderzył we mnie podmuch wiatru.

Ze skały mogłam spoglądać bezpośrednio na morze dwadzieścia metrów pode mną. Fale rozbiły się o poszarpane głązy, jakby wyciągały po mnie ręce.

Odkąd nie miałam dla kogo żyć, nie bałam się śmierci. Posunęłam się jeszcze trochę do przodu, dobrze wiedząc, że skała jest śliska od kropelek rozbijającej się w dole wody i wilgotnych porostów. Jeden podmuch wiatru mógł mnie strącić w przepaść, pchnąć prosto w rozległy, wzburzony wichrem ocean.

Rozłożyłam szeroko ramiona i odrzuciłam głowę do tyłu. I zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam do wiatru, aż moje płuca wypełniła próżnia. Ale ten krzyk został mi wyrwany z ust, połknięty przez wycie wiatru i huk morza, i nikt oprócz mnie nie usłyszał mojego bólu. A jednak wydawał mi się on głośniejszy niż tysiąc decybeli. Odsunęłam się w tył, w nieckę, aż poczułam pod plecami twardy granit. Skalny nawis chronił mnie przed deszczem. Kucnąwszy, podciągnęłam kolana do piersi i złożyłam głowę na ramionach.

Rob kochał morze. Ilekroć mogliśmy, jechaliśmy w weekend na wybrzeże, przesiadywaliśmy godzinami na plaży, zetknięci ramionami i nogami. Czasem opierałam mu głowę na ramieniu, czasem on kładł mi głowę na kolanach, i razem słuchaliśmy i patrzyliśmy.

Zahipnotyzowani. Zafascynowani. Cisi.

Morze miało w sobie coś magicznego. Coś, co przykuwało wzrok i myśli. Coś tajemniczego. Nigdy nie udało mi się przyprowadzić tutaj Roba. W pewnym sensie cieszyłam się, że nie byliśmy tu razem. Dzięki temu było mi teraz łatwiej, bo nie wszędzie czyhały na mnie wspomnienia.

Skały wokół chroniły mnie przed deszczem i wiatrem. Tak tu było spokojnie, tak cicho. Tak wyraźnie widziałam i czułam Roba, prawie jakby tu był. Gdybym zamknęła oczy, poczułabym jego kojącą dłoń na zimnym policzku, byłam tego pewna. Ale logika podpowiadała mi, że taka próba zakończyłaby się rozczarowaniem, dlatego trzymałam oczy otwarte i skupiałam się na pięknie szalejącego pode mną morza.

Samotność była kojąca tylko w otoczeniu piękna i bez smutnych myśli.

Dźwignęłam się na nogi i ruszyłam z powrotem.

Kiedy w końcu dotarłam do samochodu, zapadł zmrok, a ja z przestrawieniem stwierdziłam, że minęła już piąta. Wędrowałam sześć godzin.

Wypad na zakupy nie zająłby mi tyle czasu, postanowiłam zatem zatrzeć ślady, kupując w Land's End czekoladę. Po krótkim namyśle dołożyłam parę butelek wina oraz fish and chips dla nas trzech.

W kuchni było niebiańsko ciepło, a ogień w kominku pełgał, oświetlając ciemnozłote ściany. Cassie siedziała przy stole. Podciągnęła pod siebie nogi i rozłożyła wokół jakieś papiery. Kiedy weszłam do środka, podniosła wzrok, ale widząc, że to ja, natychmiast odwróciła spojrzenie, nie witając się ani słowem.

Matka stała przy zlewku i obierała ziemniaki. Odwróciła się, uśmiechnęła do mnie i wskazała na dzbanek z herbatą na stole. Gestem powiedziała mi: jest świeża herbata, poczęstuj się, jeśli chcesz. Nie pytała, gdzie byłam, tylko rzuciła mi spojrzenie pełne ulgi, że wróciłam cała i zdrowa.

– Kupiłam coś do jedzenia – oznajmiłam i pomachałam brązowymi torebkami.

– Ach, jesteś aniołem. – Laura odłożyła ziemniaka i symbolicznie wbiła w niego nóż. –

Dziś wieczorem naprawdę nie mam ochoty na gotowanie. Sama widzisz, że moje przygotowania do kolacji ograniczają się zwykle do obrania dwóch kartofli.

Splukała skrobię z rąk i wyjęła z szafki składniki potrzebne do dopełnienia uczty. Sól i ocet, sosy, świeży chleb, masło i własnej roboty marynowane cebulki.

Poczułam się jak w dzieciństwie. W piątki wieczorem tata zawsze przynosił do domu fish and chips. To było miłe wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa, a ja je po prostu wyparłam. A można by sądzić, że powinnam zachować je wszystkie w pamięci, skoro byłam tak pewna, że szczęśliwe momenty były wówczas tak rzadkie.

Cas nie odzywała się wiele. Jadła z apetytem, dawno jej takiej nie widziałam. Otworzyłam wino. Kiedy nalałam jej pół lampki, dziewczyna podziękowała krótko i popatrzyła na mnie przelotnie.

Po kolacji Laura sprzątnęła ze stołu, a Cas pomogła jej w tym bez proszenia. Kiedy Laura zabrała się za zmywanie, dziewczyna usiadła przy stole z nowym czasopiśmie, które musiała kupić we wsi, będąc z moją matką na zakupach.

Grało radio.

Laura odrzuciła moją propozycję pomocy. Stała przy zlewie i kołysała się na boki, jak zawsze, kiedy miała ograniczone prace ruchy. Jej ramiona wznosiły się i opadały w rytm muzyki. Nuciała cicho piosenkę Jill Ireland, potem jej głos nabrał siły i nagle cofnęła się o krok, kapiąc wokół pianą, i zawirowała.

Cas podniosła wzrok, na jej ustach przez moment błąkał się uśmiech, ale zaraz spoważniała, jakby zachowanie Laury wprawiało ją w zakłopotanie. W radiu zagrali szybki kawałek i Laura zaczęła tańczyć jive'a, i to tak dobrze, że Cassie wpatrywała się w nią z zafascynowaniem. Ale mama nie chciała tańczyć sama. Kiedy się zorientowała, że jej się przyglądam, z uśmiechem wyciągnęła do mnie ręce.

Zignorowałam jej zaproszenie, ale ona nie ustępowała. Pokręciłam głową, a ona zwróciła się do Cassie. Dziewczyna udała, że jest pogrążona w lekturze, ale zerkała kątem oka.

Laura chwyciła ją za ręce i pociągnęła do góry. Moment zaskoczenia i zamaszysty ruch nie dały jej szansy się oprzeć i sekundę potem matka tańczyła z moją pasierbicą. Początkowo Cassie sprawiała wrażenie poirytowanej i skrępowanej, poruszała się sztywno i ciągnęła za sobą stopy. Ale radość Laury była zaraźliwa i już wkrótce Cassie zaczęła robić jej konkurencję. Zabrzmiało tango i Laura zaczęła wirować z nią w rozmaitych obrotach i figurach. Nagle Cassie uśmiechnęła się, a potem, ku mojemu ogromnemu zdumieniu, jej uśmiech przerodził się w niepohamowany chichot.

Muzyka umilkła i czar prysł. Przez chwilę panowało skrępowane milczenie, tancerki zamaryły w bezruchu, nawet psy zdawały się na coś czekać – może na wybuch złości nieobliczalnej Cassandry. Ale Laura ze śmiechem wzięła ją w ramiona i przytuliła do siebie tak mocno, że dziewczynie zabrakło tchu.

Początkowo Cas opierała się temu niechcianemu zbliżeniu, ale potem jakby jej ciało westchnęło głęboko, odprężyło się i dziewczyna objęła moją matkę, opierając głowę na jej ramieniu. Kiedy oderwały się od siebie, Cassie uśmiechała się do niej. Po raz pierwszy widziałam kolory na jej zwykle bladej twarzy. Mama wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po krótkich włosach, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Uśmiech nie zniknął z twarzy Cas.

Moja mama umiała czarować.

Krótką zapowiedź piosenki przeszła w kolejny kawałek i Laura wróciła do zlewu. Cassie bez słowa chwyciła za ścierkę i stanęła obok.

Choć to Laura i Cassie odtanńczyły w kuchni szalony taniec, to mnie zrobiło się nagle gorąco. Cicho wstałam i wyszłam na podwórze. Noc była przejrzysta i chłodna, niebo usiane milionami gwiazd, a księżyc w oddali zdawał się tak samo nieosiągalny i zagadkowy jak Cassie.

Kiedy wydałam z siebie głębokie westchnienie, mój oddech poszybował w górę

obłoczkiem pary. Z oddali dobiegło mnie wycie psa i warkot starego samochodu, który piał się z wysiłkiem drogą do Sennen Cove.

Szansa usłyszała moje kroki i wyłoniła się z cienia. Powitała mnie przyjaznym parsknięciem. Podeszłam do niej, a ona zaczęła dmuchać swoim oddechem w moją twarz i włosy, macała wargami po kurtce, pewna, że przyniosłam jej smakołyk. Kiedy nic nie znalazła, parsknęła z rozczarowaniem. Ale zamiast wycofać się na miękką słomę w rogu boksu, wyciągnęła ponad półdrzwiami długą szyję i położyła pysk na moim ramieniu, przywierając do mnie policzkiem i wydychając ciepłe powietrze w kark.

Zamknęłam oczy i oparłam się z wdzięcznością o klacz. Zdjęła mnie samotność, tak głęboka, jakbym zapadała się w ciemność bez dna.

Nie wiem, jak długo tkwiłam w stajni, rozkoszując się ciepłym oddechem Szansy, który pachniał słodko sianem. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, spojrzałam prosto w końskie ślepie. Inteligencja, empatia i zrozumienie w jej wzroku wykraczały daleko poza zwykłe zwierzęce zdolności.

Właściwie powinnam podziękować Laurze.

W progi naszego gospodarstwa zawitało ciepło. Nawet jeśli ja sama byłem z tego niejako wykluczona, to jednak czułem wdzięczność, bo obserwowanie, jak Cassie staje się pogodniejsza, sprawiało, że moje życie stawało się znośniejsze.

Nie miałam pojęcia, jak Laura to osiągnęła, ale wiedziałam, że obie odbyły ze sobą rozmowę, kiedy ja włóczyłam się w deszczu i porywistym wietrze po Land's End. Matka zdradziła mi tylko tyle, bez szczegółów. Cokolwiek powiedziała lub zrobiła, najwyraźniej skruszyło to lodową skorupę, w której zamknęła się Cassie. Teraz łączyła je zażyłość.

Od czasu do czasu ogarniała mnie prawdziwa zazdrość, której w żadnej sposób nie umiałam pohamować. Mama zdołała w ciągu tygodnia nawiązać z Cassie lepsze relacje, niż ja przez całe trzy lata, odkąd ją znałam.

W dodatku bolało mnie, kiedy widziałam, że matka darzy Cas przychylnością, której ja sama w jej wieku łaknęłam tak rozpaczliwie. Próbowałam tłumaczyć sobie, że to już przeszłość, ale niełatwo było zachowywać się po dorostem, gdy w środku tkwiło małe dziecko pragnące tylko tego, żeby wziąć je na ręce i usłyszeć, że wszystko będzie dobrze.

W poniedziałek znów spałam do oporu. Kiedy zeszałam na dół, obie pokończyły już wszystko, co było do zrobienia. Nakarmiły i napoiły zwierzęta, wyjęły listy z amerykańskiej skrzynki pocztowej stojącej na wzgórzu przy drodze, a teraz przygotowywały śniadanie.

Laura podsmażała bekon. Odłożyła łyżkę do patelni i naląła mi herbaty.

– Trzeba mnie było obudzić, to bym wam pomogła – odezwał się nieco mruklawie, biorąc od niej gorący kubek.

– Spokojna głowa, wcześniej zaczęliśmy. Jedziemy dziś z Cas na zakupy do Truro. Cas potrzebuje paru drobiazgów.

Nie chciało mi się jeść. Trzymałam w dłoniach kubek, czekając, aż herbata ostygnie.

Za to Laura i Cas spałaszowały kompletne angielskie śniadanie. Jedząc, cały czas paplały z nową oczywistością. Byłoby miło, gdyby włączyły mnie do rozmowy. Czułam lekkie rozczarowanie, że nie zaprosiły mnie na swoją wyprawę. Kiedy wychodziły, odprowadziłam je wzrokiem, ale nawet się nie obejrzały.

Znowu musiałam sobie przypomnieć, że byłam dorosłą kobietą, a nie uczennicą urażoną, że nikt nie zaprosił jej na przyjemną wycieczkę.

Pogoda rzeczywiście się poprawiła. Po deszczu, który dokuczał nam przez długie dni, nie pozostało ani śladu. Na bładoniebieskim niebie świeciło nawet słońce, a gdyby nie zimne powietrze, można by nawet sądzić, że jest lato – sierpień, a nie grudzień.

Całkiem sama w domu czułam się jak w więzieniu, trawił mnie niepokój. Próbowałam zająć się pracą, ale nie potrafiłam się skupić. Przez pół godziny gapiłam się w pusty ekran laptopa i w końcu się poddałam. Postanowiłam przejść się dwie mile do Trenrethen i też zrobić małe zakupy.

Pomaszerowałam na przełaj przez łąki. Dopiero na skraju zabudowań natknęłam się na drogę i podążyłam nią dalej do centrum wsi. Trenrethen jest malowniczą miejscowością, typowo kornwalijską wioską z doskonale zachowanymi, typowymi domami i licznymi sklepikami z pamiątkami, sprzedającymi ciasto fudge i dzemy oraz miniaturowe pozłacane piskie: chochliki siedzące po turecku na niedużych odłamkach kornwalijskich skał. Wieś wtulała się w kotlinę, która niczym fałdka w krajobrazie zniżała się ku morzu. Po obu stronach długiej Main Street

stały domy przyklejone do łagodnie opadających stoków wzgórz.

Na zachodzie widziałam w oddali dach Ship, a na wschodzie, na wprost góry, królował na niewielkim wzniesieniu kościół. Na wschód prowadziła droga ku zbawieniu, na zachód – w przepaść.

Powałęsałam się po sklepach, co nie trwało długo, bo poza wiejskim sklepem spożywczym były tylko cztery inne lokale: poczta, piekarnia i dwa sklepy z pamiątkami. Jeden z nich był raczej tradycyjny, inny nieco ezoteryczny: sprzedawano tu kryształ, srebrne amulety, świece zapachowe i olejki do aromaterapii. W pierwszym kupiłam fudge z rumem i rodzynkami dla Laury, w drugim olejek o właściwościach kojących stres dla siebie. Na poczcie kupiłam gazetę i parę widokówek, a potem przeszłam na drugą stronę ulicy do kawiarenki, z której roztaczał się zapierający dech w piersi widok na piękną przystań, widoczną z Ship. Lokal był pusty, z wyjątkiem prowadzącej go pogodnej damy o rubensowskich kształtach. Sądząc po jej pulchnej figurze, jedzenie musiało być naprawdę dobre. Zamówiłam dzbanuszek kawy i solidny kawałek domowego ciasta. Jedno i drugie wzięłam na taras, gdzie usiadłam w słońcu.

Jadłam prędko, bo byłam głodna. Przyzwyczaiałam się już do obfitych śniadań Laury. Dziś jej odmówiłam, ponieważ – jak sobie właśnie uświadomiłam – byłam obrażona, że nie zamierzały zabrać mnie na zakupy. Żeby nie wrócić do środka po kolejny kawałek ciasta, odkręciłam kupiony flakonik i powąchałam. Olejek pachniał cudownie, ale ani nie zaspokoił mojego głodu, ani nie zmniejszył napięcia. W każdym razie nie od razu. Może potrzeba było trochę czasu, żeby zadziałał. Roztarłam na przegubach dłoni parę kropli i obiecałam sobie, że będę je wachać za każdym razem, gdy pomyślę o Cas.

Mrugając leniwie powiekami, patrzyłam na rzadkie promienie słońca, nalałam sobie drugą filiżankę kawy i wyjęłam z kieszeni widokówkę, które kupiłam przed chwilą na poczcie. Na pierwszej widniała duża owca z potężnym tyłkiem, pasąca się na krawędzi klifu Land's End. Chciałam wysłać kartkę Petrze, wraz z paroma zabawnymi słowami, które ją rozśmieszą.

Natalie rozważała, czy nie rzucić się ze skały, ale wiedziała, że jeśli wyląduje na tyłku, to odbije się od jak gumowa pileczka.

Uśmiechnęłam się do siebie, wyjęłam z torebki długopis i zaczęłam pisać. Kochan... Ale zamiast dodać „Petra”, moja ręka napisała inne imię.

Kochany, najukochańszy Robie.

Ach, szkoda, że Cię tu nie ma. Tak zwykle zaczynają się pocztówkowe pozdrowienia, ale ja jeszcze nigdy nie pragnęłam tego bardziej niż tutaj i teraz.

Jestem bez Ciebie taka samotna.

Z miłością, jak zawsze.

N.

Odchyliłam się na oparcie krzesła. Zdumiona patrzyłam na widokówkę. W tym momencie czyjś przyjazny głos zawołał moje imię.

– Natalie!

To była Orlaithe, która właśnie wychodziła z maleńkiej poczty naprzeciwko.

Pośpiesznie wetknęłam kartkę do kieszeni płaszcza. Wprawdzie czułam się głupio, ale tak było lepiej.

Orlaithe przeszła przez ulicę i podeszła bliżej.

– Tak mi się zdawało, że to ty! – zawołała radośnie. – Co ty tu robisz, taka samiutka?

Gdzie Laura i Cassie?

Przywitałam ją uśmiechem.

– Pojechały na zakupy do Truro.

– I zostawiły cię całkiem samą?

Uniosła współczująco brwi.

– Czasem człowiek potrzebuje odrobiny spokoju – skłamałam bez przekonania. – I dobrej kawy – dodałam. Staralam się, żeby moje słowa zabrzmiały nieco pogodniej. – Dla Laury kawa mogłaby nie istnieć.

– Wiesz co? To wypijmy razem jeszcze jedną. Chyba że musisz już lecieć?

– Nie, nie, nie śpieszy mi się. Dobry pomysł.

Chciałam wstać, ale Orlaithe gestem nakazała mi siedzieć.

– Siedź, przyniosę. Zaraz przyjdę.

Zniknęła we wnętrzu kawiarni i wróciła parę minut później z dzbanuszkami świeżej kawy i, niestety, również z dwoma talerzykami z ciastem czekoladowym. Ciasto postawiła bezpośrednio obok mojej filiżanki. Moje mało przekonujące protesty, że się najadłam jak bąk, zupełnie jej nie obeszły.

– Aj tam, wyglądasz, jakby miało ci się gdzie pomieścić, jesteś chuda jak patyk. – Orlaithe poklepała mnie po dłoni. – Wspaniały dzień, prawda? – Usiadła naprzeciwko mnie i z wyraźną rozkoszą wdychała klarowne, orzeźwiające powietrze. – To dużo lepsze niż ten okropny deszcz, ot co.

– Wspaniały – zgodziłam się.

– Myślałam, że już nigdy nie przestanie. Łało i łało, bez przerwy, od trzech tygodni. – Orlaithe chwyciła za widelczyk i oddzieliła polewę od biszkoptu. – Jak się czujesz, Nattie? Jak ci się żyje u mamy?

– Świetnie – odparłam uprzejmie.

– Wichrowe Łąki to naprawdę ładna farma, jest tak pięknie położona, tak blisko morza.

– Tak, to prawda. Zapomniałam, jak tutaj pięknie.

– Prędko się przyzwyczaisz do życia tutaj. I w końcu nadejdzie taki moment, że nie będziesz chciała wracać do swojego brudnego miasta. Nie, będziesz chciała tu zostać. A twoja mama zadba o ciebie tak, że nigdy nie będziesz chciała opuszczać tego miejsca.

– Jak długo już się właściwie znacie?

– Z twoją mamą? Och. – Orlaithe zasnurowała usta, namyślając się. – Będzie z dziesięć lat, odkąd przejeźliśmy z Francisem Ship Inn.

– Z Francisem? – zapytałam.

– Z Frankiem-Hankiem. Duszą Teksańczyk, ale właściwie rodowity Irlandczyk, w dodatku dobry katolik.

– Nie wiedziałam. Znaczy, że nie jest Amerykaninem. To widać na pierwszy rzut oka, ale...

– Nie, tylko nie to! – Orlaithe poderwała do góry rękę w udawanym przerażeniu. – Tylko mu nie mów, że przejrzałaś na wylot jego kunsztowne przebranie. To by go chyba załamało.

– ...ale ja sądziłam, że on pochodzi z Kornwalii.

– Cóż, ja sama pochodzę z hrabstwa Cork, a Francis, to znaczy Hank, jest z Dublina, ale od dzieciństwa mieszka w Kornwalii. Ja przeprowadziłam się tu później. Niech no się zastanowią... Tak, dwadzieścia trzy lata temu, nie do wiary, jaka ze mnie wtedy była piękna dziewczyna. Francis Doyle dobrze trafił, naprawdę.

Orlaithe uśmiechnęła się figlarnie, a jej oczy błyszczały z radości.

– Jest chyba sporo starszy od ciebie, prawda?

– Tak, o dwadzieścia lat.

– Dwadzieścia lat? Chyba żartujesz.

– Dwadzieścia lat, trzy miesiące i dwa dni – sprecyzowała.

– Ale to znaczy, że ma już...

– Siedemdziesiąt dwa lata. Nie wygląda na tyle, co? Jest tak sprawny, jakby miał połowę tego, mój Francis.

Przez chwilę obie popijałyśmy w milczeniu gorącą kawę.

– Więc twoja mama pojechała z Cas na zakupy?

Przytaknęłam.

– Ładna z niej dziewczuszka, ta twoja Cassie, co?

Moja Cassie. Dziwne, ale owszem, tak to musiało wyglądać dla postronnych. I ze zdziwieniem stwierdziłam, że mi się to podobało. Znowu pokiwałam głową.

– Choć pewnie wcale nie jest tak krucha i delikatna, jak wygląda. Na pewno potrafi być uparta jak osioł.

– Widać to po niej, prawda?

Zaśmiałam się sucho.

– Jasne, ale fajnie, że tak dobrze dogaduje się z Laurą.

– Tak.

Westchnęłam.

– A o tobie ma oczywiście dobre mniemanie – dodała Orlaithe, przyglądając mi się bacznie.

Odwzajemniłam jej spojrzenie, ale nic nie powiedziałam, bo byłam niestety odmiennego zdania.

– Powiedz, nie wydaje ci się dziwne, że znowu tutaj jesteś? – zapytała Orlaithe, kiedy nadal milczałam. – I to w dodatku z Cassie?

Otworzyłam usta, chcąc powiedzieć, że to fajne uczucie, ale po chwili przyłapałam się, jak pod spokojnym, życzliwym spojrzeniem Orlaithe przyznaję, że rzeczywiście czuję się tu dziwnie. Opowiedziałam jej, jakie osobliwe uczucie wywoływał we mnie powrót na stare śmieci, przebywanie w moim dawnym pokoju. O moim przekonaniu, że kiedy następnym razem przyjadę tutaj, przywozę ze sobą Roba. I że nie potrafiłam odnaleźć w pogodnej, uczynnej Laurze, która tak serdecznie przyjęła mnie i Cassie, tamtej smutnej, zamkniętej w sobie matki. I że doskwieraly mi wyrzuty sumienia, że tak długo mnie tu nie było. Wypowiadałam jej się ze wszystkiego, co ostatnio tak chętnie wyznałabym Petrze, ale w tamtej chwili nie umiałam tego ubrać w słowa.

Orlaithe słuchała w milczeniu. Potem wyciągnęła rękę przez stół i przykryła ciepłą dłonią moją zimną rękę.

– Dobrze cię rozumiem, serdeńko. Całe twoje życie stanęło do góry nogami. Ale twoja matka to wspaniała kobieta. Już ona dopilnuje, żebyś wkrótce poczuła się o sto procent lepiej. A jeśli chodzi o Cas, to w gruncie rzeczy jest to dobra dziewczyna. Kiedyś znajdziesz właściwe podejście do niej.

Kobieta odchyliła się na oparcie. Nagły podmuch wiatru od morza rozwiął jej miedziane loki jak wachlarz. Słońce skryło się za niską chmurą, a temperatura spadła nagle o co najmniej pięć stopni.

– Taaa, zimno się coś zrobiło – rzuciła Orlaithe, wzdygając się. – Gdzie zostawiłaś samochód?

- Przyszłam na piechotę.
- W takim razie podrzucę cię do domu, jak dopijesz kawę. Zobaczymy, czy tamte dwie już wróciły z zakupów.
- Nie, nie mogę się zgodzić. Znaczy, to bardzo miłe z twojej strony, ale to przecież całkiem w przeciwnym kierunku. Poza tym naprawdę lubię chodzić pieszo.
- Ale to żadna fatyga.
- Dziękuję, ale nie, wrócę pieszo. Chętnie się przejdę.
- Skoro nalegasz.
- Nalegam. Ale bardzo dziękuję za propozycję i kawę, i towarzystwo.
- Ależ nie ma za co, serce ty moje. Chyba zobaczymy się wkrótce w Ship, prawda?
- Na pewno.

Orlaithe wstała i pozbierała błyszczącymi od pierścionków rękoma siatki z zakupami. Podniosłam się razem z nią.

- Dziękuję, Orlaithe. Potrafisz wysłuchać człowieka.
- Cóż, kiedy od trzydziestu lat stoi się za barem, to jest to nieuchronne. Ale rozmowa z tobą sprawiła mi wielką przyjemność, Nattie, naprawdę. Uważaj na siebie. – Oparła ręce na moich ramionach i cmoknęła mnie jadownicie różowymi ustami w oba policzki.

Kiedy dotarłam do Wichrowych Łąk, Laura i Cassie rzeczywiście były już w domu. Na podłodze stało parę toreb z zakupami, a Cas właśnie nakrywała do stołu. Kolacja była prawie gotowa.

- Byłyśmy tak głodne, że nie mogłyśmy wypakować zakupów – wyjaśniła stojąca przy kuchni Laura. – Pomyślałyśmy, że najpierw zjemy.

Na kolację było ulubione danie Laury – wątróbka oraz boczek z piure z ziemniaków, z sosem cebulowym. Kiedy matka przyrządziła je pierwszy raz, Cas z przerażenia omal nie zemdląła i natychmiast zadeklarowała, że jest wegetarianką, choć jeszcze rano pochłonęła wielką kanapkę ze smażonym bekonem. Mimo to Laurze udało jej się ją nakłonić, żeby chociaż spróbowała.

Laura miała szczególne podejście do Cas. Chciałabym umieć choć trochę obchodzić się z nią w ten sposób. Matka była spokojna, ale stanowcza, nieugięta, ale zawsze lojalna, i to trafiło do Cassie. Kiedy przebywały ze sobą, uparta, impertynencka, krnąbrna nastolatka, jaką znałam, zamieniała się w całkiem inną osobę.

Od jakiegoś czasu Cassie troszczyła się nawet o gęsi i kury, choć początkowo wszystkie zwierzęta w obejściu, a w szczególności drób, były dla niej ohydne. A teraz już od paru dni dwa razy dziennie poila i karmiła całą ferajnę.

Poza tym Laura nakłoniła Cassie, żeby przejechała się na Szansie. Wprawdzie dziewczyna wciąż twierdziła, że nie interesuje się końmi, bo przecież zajmowanie się czymś takim było poniżej godności szesnastolatki pragnącej uchodzić za bardzo fajną, ale zgodziła się go trochę rozjeździć. Ale tylko, żeby pomóc Laurze, jak podkreśliła.

Już następnego ranka znalazłam je obie na dużej łące. Laura prowadziła Szansę na lonży, a Cassie galopowała na grzbiecie klaczy, zataczając wielki okrąg. Od czasu do czasu matka wołała do swojej uczennicy, żeby się wyprostowała albo opuściła niżej obcasy.

Znowu świeciło słońce, które wczoraj zaszczyciło nas krótko swoją obecnością. Wisiało na wyblakłym niebie, nieco blade i niewyraźne. Ziemia była jeszcze całkiem mokra, a Szansa rozbryzgiwała kopytami brudne fontanny, dobrodusznie zaliczając okrążenie za okrążeniem. Cas radziła sobie znakomicie. Miała – jak mówią koniarze – dobry dosiad. I, jak zauważyłam, miała również widownię.

O ścianę graniczącej z łąką stodoły opierała się drabina, a u jej stóp stał Hank. Przypatrywał się, jak Cassie lekko panuje nad wielkim zwierzęciem, i kiwał z uznaniem głową. Drugim

gapiem był stojący na dachu stodoły młody mężczyzna z potarganymi, wypłowiałymi od morskigo powietrza włosami. Choć nie było zbyt ciepło, miał na sobie tylko postrzępione dżinsy i wyblakły podkoszulek.

– Kto to jest? – zapytałam Laurę.

Ta odczepiła lonżę od uzdy i nakazała Cassie pojeździć po łące samodzielnie.

– To jest Luke.

– Luke?

– Młody człowiek ze wsi. Pomaga czasami Hankowi, kiedy jakaś robota go przerasta.

Choć Hank oczywiście nigdy by się nie przyznał, że coś go przerasta. Poluzowało się parę dachówek, dlatego Luke wszedł na dach, żeby je przymocować. Ale coś mi się zdaje, że w tej chwili bardziej interesuje go to, co się dzieje tutaj. Jeśli jeszcze bardziej się wychyli, kiedy Cassie przekłusuje dołem, to spadnie z dachu.

Ze zmarszczonym czołem wpatrywałam się w młodego blondyna na dachu i zaklinałam go w duchu, żeby wziął się za robotę, zamiast mizdrzyć się do mojej pasierbicy.

– Za tydzień skończy szesnaście lat.

Laura spoglądała na mnie ubawiona. Najwyraźniej czytała w moich myślach.

– Wiem. Ale jest jeszcze za młoda.

– A skoro już o tym mówisz, to co robimy?

– Z jej urodzinami?

– Właśnie.

– Nie mam pojęcia. Też już o tym myślałam, ale nie wiem, czy ona życzyłaby sobie wielkiego przedstawienia.

– Cóż, ja tam jestem zdania, że wręcz powinniśmy urządzić wielkie przedstawienie.

Możemy zorganizować prawdziwe przyjęcie.

– Tak, ale będzie się na pewno głupio czuła, tak bez przyjaciółek.

– Możemy zaprosić Luke'a. – Uśmiechnęła się Laura, przyglądając się, jak mierzę go nieufnym spojrzeniem. – No i będzie miała nas.

– Dobrze i to – mruknęłam.

Ale moja uwaga nie pomniejszyła entuzjazmu Laury.

– Poproszę Orlaithe, żeby upiekła tort. Ona piecze fantastyczne ciasta. Sama bym to zrobiła, ale pieczenie to nie dla mnie. Chyba że ty chciałabyś się tego podjąć?

Potrząsnęłam głową.

– W takim razie zapytam Orlaithe. Dobrze, a co jej damy? Jak myślisz, co sprawiłoby jej radość?

Wzruszyłam ramionami.

– Mnie raczej nie powinnaś o to pytać. Nie mam pojęcia, co jej podarować.

– No to się zastanów. Czego najbardziej jej potrzeba?

– Myślałam o czymś z ubrania.

– Dobrze, z tego może by się ucieszyła, ale czego jej potrzeba najbardziej? – drążyła Laura.

Przeniosłam wzrok na Cassie. Tak bardzo skupiła się na jeździe, że nie zdawała sobie sprawy, że rozmawiamy o niej. Dlaczego Laura nie wyrażała się precyzyjniej? Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi.

– Nic materialnego – odpowiedziała. – Żadnych ciuchów, żadnej elektroniki. Czego tej dziewczynie potrzeba najbardziej?

– Lepszych manier – burknęłam.

Laura się skrzywiła. Też zerknęła w kierunku Cassie, aby upewnić się, że dziewczyna nie

słyszysz, o czym rozmawiamy.

– Strzelaj dalej – upierała się. – Czego najbardziej jej brak, odkąd nie żyje Rob?

Milczałam przez chwilę, bo do głowy przychodziło mi tysiące odpowiedzi. Ale najsilniej odzywało się moje serce.

– Miłości – stwierdziłam cicho.

– Widzisz, i masz.

– Co mam?

– Odpowiedź. Cas potrzebuje miłości.

– Ale miłości nie można kupić.

– Nie, ale możesz jej kupić psa.

– Słucham? To chyba jakiś żart, prawda?

– Nie, mówię całkiem poważnie. Przydałby się jej pies.

– Ale to jest kompletnie niepraktyczne. Za parę tygodni wrócimy do Londynu, a Cassie znowu zacznie chodzić do szkoły.

– Ty możesz się nim zajmować. Miałabyś kogoś, kto będzie na ciebie czekał.

– Nie potrzebuję tego. Mam swoją pracę.

– Ale praca dwadzieścia cztery godziny na dobę? Tak się nie da.

– I mam Petrę... – urwałam, widząc wzrok matki.

– Petra sama jest bardzo zajęta.

– Poza tym jest jeszcze Meryl – dodałam cienkim głosem.

– Meryl? Kto to taki?

– Moja złota rybka. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Petra wpada czasem podczas mojej nieobecności, żeby ją nakarmić. No dobra, poddaję się. Potrzebuję kogoś, kto będzie czekał na mnie w domu, ale nie wydaje mi się, żeby pies był dobrym rozwiązaniem.

– Ależ owszem, pies byłby dla ciebie dobry, i dla Cas oczywiście też. Miałaby kogoś, o kogo musiałaby się troszczyć. Jej myśli przestałyby krążyć wyłącznie wokół niej samej. I jej problemów. Może w czasie roku szkolnego zaczęłyby nawet z radością wyczekiwać ferii w domu, u ciebie, a nie u jakiejś przyjaciółki, która akurat ma chęć ją przygarnąć.

Skinęłam głową z namysłem. Słowa Laury rzeczywiście brzmiały rozsądnie.

– Ale pies wymaga tyle uwagi – zaproponowałam. – I byłoby nie w porządku trzymać go w domu przez cały dzień.

– Mogłabyś utrzymywać, że to pies przewodnik osoby niewidomej i zabierać go do pracy.

– Żeby mnie chronił przed ślepym rzucaniem się w wir pracy? – Zaśmiałam się.

– Przemyśl to chociaż. Pies naprawdę byłby dobry dla Cas.

– Zapewne masz rację, ale taki czworonóg to mało praktyczny prezent – powtórzyłam.

– Obiecay mi przynajmniej, że się nad tym zastanowisz.

Spojrzałam na pełną nadziei twarz Laury i westchnęłam.

– No dobrze. Przemyślę to.

Laura wyjaśniała.

– Świetnie. Moja przyjaciółka ma fantastyczną suczkę labradora, która się oszczeniła dziesięć tygodni temu. Mieszka w Helston. Jeśli chcesz, zadzwonię do niej i zapytam, czy szczenięta są już do wzięcia. I powiem, że przyjedziesz, żeby je obejrzeć.

Odwróciła się, bo nadjechała klusem Cassie. Z zachwytem poklepała mokrą od potu brązową szyję klaczy. Cała promieniała.

– Świetnie, Cassie, byłaś super – pochwaliła ją moja matka.

I tym samym sprawa była rozstrzygnięta.

Dwa dni później wybrałam się do Helston. Jechałam powoli wzdłuż Orchard Driver, mi-

jając szeregi dużych domów jednorodzinnych i szukając numeru trzydzieści trzy, pod którym mieszkała Mary Ray.

Pod tym numerem stał bungalow z lat trzydziestych, z łukowato zadaszonym, wymurowanym czerwoną cegłą gankiem i sporymi wykuszami po obu stronach wejścia. Wykusze również zbudowano z czerwonej cegły. Pozostałe ściany pokrywał różowy tynk kamyczkowy, ładnie kontrastujący z ciemnozielonymi drzwiami. Dwa idealnie przystryżone bukszpany strzegły wejścia, a stopień przed nim przerobiono na niedużą rampę. Po prawej stronie od drzwi, tuż obok mosiężnego dzwonka, przymocowano metalową poręcz, niegdyś białą, ale teraz poszarzałą od częstego użytku.

Kobieta w kwiciastych kapciach, która otworzyła mi drzwi, miała najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu. Miała przygarbione plecy, a lewą ręką wspierała się ciężko na lasce.

Uśmiechnęłam się nerwowo i odgarnęłam włosy z twarzy.

– Pani Ray? Jestem...

Zanim zdążyłam dokończyć, przyjaźnie wyciągnęła do mnie rękę.

– Pani musi być Natalie.

– Owszem, to ja.

– Od razu widać. Jest pani podobna do matki.

– Naprawdę? – zdumiałam się.

– Tak, bardzo. Oczywiście ma pani ciemniejszą karnację, to pewnie po ojcu, ale jest pani niezaprzeczalnie córką Laury Dunne.

Jeszcze nigdy nikt mi nie powiedział, że jestem podobna do matki. Ale zbyt rzadko się z nią pokazywałam, żeby ktokolwiek miał możliwość porównania. Nie miałyśmy wspólnych znajomych, może z wyjątkiem Petry. Wprawdzie obie nie widywały się często, ale dobrze się dogadywały.

– Proszę wejść. – Pani Ray otworzyła szeroko drzwi. – Pani matka dzwoniła z wiadomością, że się pani do mnie wybiera. Psy są na tyłach domu, w oranżerii. Tam jest teraz nieco cieplej niż w pozostałej części domu. Ależ mieliśmy fatalną pogodę, prawda? Teraz przynajmniej już nie pada...

Pani Ray poprowadziła mnie przez nienagannie utrzymany salon z dywanami w kolorze pudrowego różu i ciemnymi dębowymi meblami, których matowy połysk mógł powstać tylko przez lata troskliwego traktowania szmatką i politurą do mebli. Przeszliśmy do oranżerii rozciągającej się wzdłuż całej szerokości domu. Roztaczał się stąd widok na wypieszczony, mimo pogody, trawnik.

Na przeciwległym końcu oranżerii stał pod grzejnikiem psi kosz. W środku, wyciągnięta na kocu, leżała duża, czarna labradorka.

Kiedy nas zobaczyła, uniosła łeb i na powitanie zamerdała lekko ogonem, ale nie kwapiła się, żeby podbiec.

– Biedulka jest kompletnie wyczerpana. – Mary Ray uśmiechnęła się z czułością. – W przeliczeniu na ludzkie lata jej latorośle przechodzą już wiek przekory. Ale to pewnie jej ostatni miot, bo ma już swoje lata.

Szczeniąt było pięcioro.

Dwoje leżało w koszu przy, a właściwie na matce i spało. Dwoje, szarpiąc dziko za stary jedwabny szalik, bawiło się w przeciąganie liny. Trójka była czarna, jeden biszkoptowy, a najmniejszy – brązowy.

– Chce pani psa czy suczkę? – zapytała Mary Ray, kiedy podeszliśmy bliżej.

– Właściwie jeszcze się nad tym nie zastanawiałam... Co by pani radziła?

– Jeśli płęć jest pani obojętna, to powinna pani wybrać szczeniaka, który najbardziej się

pani spodoba. I to jego powinna pani wziąć.

Schyliła się z trudem i podniosła grubego, szamoczącego się zwierzaka, jednego z tych, które ćwiczyły przeciąganie liny. Wręczyła mi psiaka, ale on nie był zainteresowany ani mną, ani pieszczotami, tylko chciał z powrotem do brata, który miał upragniony szal tylko dla siebie. Posadziłam go z powrotem na podłogę, a on w podskokach rzucił się do walki.

Popatrzyłam na oba małe śpiochy w koszyku. Były słodkie, ale tak rozkosznie wtuliły się w matkę, że nie miałam serca wyciągać ich z koszyka, nie mówiąc o tym, żeby całkiem odbierać je suce.

Piąty szczeniak, ten mały, brązowy, siedział trochę na uboczu. Popatrzyłam na niego, a on odwzajemnił spojrzenie swoimi wielkimi, brązowymi ślepiami, przechylił łeppek, a mnie ogarnęła fala matczynych uczuć. Zdumiało mnie to.

– Może ten? – zapytałam.

Schyliłam się i wyciągnęłam do niego rękę.

– Jest pani pewna? – zdziwiła się Mary. – Wprawdzie trochę ostatnio przybrał na wadze, ale to nasze chucherko, najsłabszy z miotu.

– Podoba mi się – odpowiedziałam.

Zwabiony ruchem palców psiak podszedł bliżej, obwąchał mi rękę i polizał ją maleńkim różowym języczkiem.

– Może nie jest najpiękniejszy, ale ma całkiem pogodne usposobienie.

– Wzięłabym go, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Mary Ray uśmiechnęła się szeroko.

– Skoro jest pani pewna, to chętnie.

– Mogę go zabrać od razu?

– Tak, maluchy są już dość duże. Jeśli chce go pani od razu... Pani matka mnie uprzedziła... – Załamał jej się nagle głos.

– Wszystko w porządku? – zapytałam z niepokojem.

Westchnęła i wzruszyła ramionami, jakby chciała odegnąć emocje.

– Wie pani, tyle razy już to przechodziłam, ale za każdym razem trudno mi się rozstać z maluchami, kiedy odchodzą do nowych domów. Ale jestem pewna, że pani dobrze o niego zadba. Przyniosę pudło i kocyk, a potem umościmy mu posłanie na drogę.

– Ile jestem pani winna?

– Nie, nie biorę pieniędzy za szczenięta. Wystarczy mi radość, że znalazły dobry dom.

– Ale to przecież rasowy pies!

Wiedziałam aż za dobrze, że w Londynie musiałabym zapłacić za takiego szczeniaka paręset funtów.

– Biorąc go, odda mi pani przysługę.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– W takim razie powiedzmy, że mam u pani matki dług wdzięczności. Bóg jeden wie, ile razy mi pomogła przez ostatnie lata. Ach, i jeszcze chciałabym, żeby pani wzięła coś dla niej, jeśli to możliwe.

– Dobrze zna pani Laurę?

Mary Ray przypatrywała mi się przez chwilę z namysłem i w końcu się uśmiechnęła.

– Napije się pani herbaty?

Godzinę później opuściłam dom przy Orchard Driver ze szczeniakiem i z innym nastawieniem. Spojrzenie na matkę z nieco innej perspektywy otworzyło mi oczy. Wobec mnie zawsze była raczej zamknięta i chłodna. Była matką, która, jak mi się zdawało, nie chciała mnie w swoim życiu. Ale dla Mary Ray była kochaną, wyrozumiałą przyjaciółką, na którą mogła liczyć, kie-

dy potrzebowała pomocy.

Uświadomiłam sobie, jak mało znam matkę. Zauważyłam to już w minionym tygodniu. Laura była inna, niż ją zachowałam w pamięci – ale na ile obiektywna była ocena nieszczęśliwej szesnastolatki? Wystarczyło tylko popatrzeć, jak traktowała mnie Cassie. Uświadomiłam sobie, że szesnastoletnia Natalie właściwie wcale nie знаła swojej matki.

Kiedy wróciłam do domu, po podwórzu przechadzały się z dumą cztery okazałe bażanty. Śnieżnobiałymi kołnierzami i nierównym chodem przypominały trochę gromadkę przelękłych prowincjonalnych księży.

Laura wspominała, że czasem zapuszczały się tu z pobliskiej posiadłości Treloar, kiedy chciały, czmychając przed myśliwymi, zwędzić naszym kurom trochę ziaren kukurydzy.

Gdy drzwi kuchni otworzyły się z impetem i na podwórze wypadła Laura, rozpierzchły się w panice.

– Przywiozłaś go?

Mama omal nie weszła do samochodu, kiedy mijałam bramę, tak się paliła do tego, żeby zajrzeć do pudła na przednim siedzeniu.

Kiedy się zatrzymałam, szarpnięciem otworzyła drzwi i zanurkowała do środka z pełnym oczekiwania uśmiechem.

– Och, jaki śliczny! Na pewno się ucieszy.

– Naprawdę tak myślisz?

– Nie rób takiej zmartwionej miny, Nattie. Tego malucha po prostu nie da się nie kochać.

– Ale to przecież prezent ode mnie.

– To on czy ona?

– On.

– Spokojna głowa, zakocha się w nim bez pamięci. Każdy lubi psy.

Laura wyjęła z samochodu pudło i zaniósła je do domu. Po drodze piesek próbował dać drapak.

Wysunął jedwabisty łepok z za krawędzi kartonu i polizał palce Laury.

Wysiadłam i poszłam za matką do kuchni. Wydobyła malucha z pudła i przytuliła do siebie, jaśniejąc z radości.

– Cassie pokocha go całym sercem. Taki mały, śliczny piesio, prawda? – Uniosła do góry wrywającego się zwierzątko i zachichotała, kiedy ten obsypał jej twarz mokrymi łusami. – Chłop z ciebie na schwał, mój mały.

– Gdzie ona jest?

– Na przejażdżce konno.

– Dostanie go, kiedy wróci.

– Nie, nie, to będzie nasza tajemnica. Dostanie go w dniu urodzin.

– Ale gdzie my go przechowamy do niedzieli?

– Hank może zabrać go wieczorem do domu. Przyniosą go z Orlaithe na przyjęcie.

– A Hank nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Wręcz przeciwnie. Myślę, że będziesz mogła mówić o szczęściu, jeśli w ogóle odda szczeniaka. Hank nie ma własnych dzieci, a młode psy wywołują w nim wielką czułość.

Nie potrafiłam jakoś sobie wyobrazić, żeby cokolwiek poza samochodem wzbudzało w Hanku silniejsze uczucia. Kochał swój monstrualny wehikuł, a nawet ochrzcił go imieniem Betsy.

– Ach, i jeszcze coś: masz pozdrowienia od Mary Ray. Dała mi to dla ciebie.

Wręczyłam mamie pakunek, który powierzyła mi Mary. Był ciężki, jakby w środku znajdowało się coś szklanego.

Laura z radością zdeponowała go na stole. Zanim go jednak otworzyła, zawołała Hanka, który majstrował w stodole przy silniku starego czerwonego traktora. Dziesięć minut później całkowicie zapomniał o traktorze, a Laura odesłała go do domu, nakazując, żeby przywiózł szczeniaka w niedzielę rano. Na widok maślanych oczu staruszka ogarnęły mnie jednak wątpliwości, czy mu się to uda.

Kiedy Hank odjechał ze szczeniakiem, Laura skierowała swoją uwagę na paczkę od Mary Ray i wyjęła ze środka flaszkę z płynem w kolorze śliwki.

– O, cudownie! – zawołała. – Miałam nadzieję, że to będzie to.

– Co to jest? Wino?

Laura potrząsnęła głową.

– Nalewka na ginie z tarniną. Mary robi najlepszą tarninówkę na świecie. Masz, spróbuj.

– Ale jest dopiero druga po południu – zaprotestowałam, kiedy mama otworzyła butelkę.

– To najważniejsza pora. – Nalała trunku do niedużego kieliszka i podała mi. – No już.

Kieliszeczek ci nie zaszkodzi.

Powąchałam ciemnofioletowy płyn. Był tak mocny, że rozkaszałam się od samego zapachu.

– Od tego urosną ci włosy na piersi, moja kochana – orzekła Laura.

Opróżniła już w połowie swój kieliszek i z rozkoszą oblizwała wargi.

– Nie, dzięki, mam już dość problemów z zarostem na twarzy – zażartowałam i upiłam ostrożnie kapkę.

– No i jak, smakuje? – zapytała Laura.

Poczułam, jak słodki alkohol rozchodzi mi się po języku, a potem spływa ciepłą stróżką do gardła i dalej do żołądka.

– Wow. Naprawdę pycha.

– Mówiłam, że robi najlepszą na świecie.

– Mhm.

Pokiwałam głową i ponownie przystawiłam kieliszek do ust.

Laura przypatrywała się, jak wlewam w siebie wszystko, a potem podetknęła mi flaszkę.

– Jeszcze po jednym?

Uśmiechnęłam się do niej lepkimi od słodczy, lekko mrowiącymi ustami.

– Lepiej nie.

– Nie pękaj. – Nalała sobie. – Wznieśmy toast. – Dołała i mnie, a potem podniosła kieliszek. – Wypijmy za to, że znów mam w domu córkę.

Chociaż następnego dnia znowu wstałam późno, byłam na nogach wcześniej od Laury. Po raz pierwszy od przyjazdu.

Nie mam pojęcia, jak w ogóle udało mi się zwlec z łóżka. Nie miałam pojęcia, z czego pędziła swoją nalewkę Mary Ray, ale odkąd razem z Robem uchlaliśmy się tequilą podczas naszej podróży poślubnej do Meksyku, nie miałam tak straszliwego kaca. Poprzedniego wieczoru przysiadłyśmy z Laurą i wyzłopałyśmy całą butelkę. Cas obserwowała nas przy tym ze zmarszczonymi brwiami i z zaciśniętymi ustami.

Nawet pobudzający, zimny prysznic nie mógł złagodzić bólu głowy. Kiedy zwlokłam się na dół, było mi siebie naprawdę żal.

Cas całkiem sama odbębniła całą robotę w obejściu i z miną męczennicy szykowała śniadanie. Zakradłam się do kuchni jak zbity pies, klapnęłam przy stole i podparłam głowę rękoma. Kiedy tylko przestaną mi się trząść nogi, nastawię wody na herbatę, obiecałam sobie. Zejście po schodach wykończyło mnie do reszty.

– Jak głowa? – zapytała moja pasierbica, nie patrząc na mnie.

Nie było to pełne troski pytanie, tylko reprimenda.

– Jeszcze ją mam. – Ostrożnie obmacałam palcami bolący łeb. – Takie przynajmniej mam wrażenie.

Cas cisnęła gorącą patelnię do wypełnionego wodą zlewu, gdzie utonęła z sykiem. Potem nałożyła rękawicę kuchenną i sięgnęła do ciemnych wnętrzości piekarnika. Zamknęłam oczy, ale zaraz je otworzyłam, kiedy dziewczyna z łomotem postawiła przede mną parujący talerz.

– Chcesz mnie dobić czy co? – jęknęłam.

Talerz był wypełniony po brzegi przysmażonym bekonem, grzybami, jajkami i kielbaskami. Dwa galaretowate jajka sadzone leżały jedno przy drugim jak żółte wybałuszone ślepia wwiercające się w mój ćmiący czerep.

– To nie takie proste – syknęła Cas.

Napełniła mój kubek herbatą i postawiła go z takim impetem, że brązowy płyn wylał się na stół.

Potem z założonymi na piersi rękoma oparła się o zlew i patrzyła, jak sceptycznie dziabię widelcem kielbaski. Było mi tak niedobrze, że nie mogłam się zdecydować, czy lepiej zjeść, czy jednak pozostać na czczo.

Najpierw jednak zacisnęłam drżące dłonie na kubku.

Cas wciąż mi się przypatrywała.

– Co jest? – burknęłam.

– Za dużo pijesz – odparła spokojnie.

– No i?

– To nie jest dla ciebie dobre.

– No i?

– To zachlaj się na śmierć, co mnie to obchodzi.

Rzuciła rękawicę na kuchenkę i głośno tupiąc, wyszła z kuchni i pognała na górę. Dało się słyszeć klekotanie zasuwki, kiedy próbowała zatrzasać za sobą drzwi, zbyt delikatne, żeby traktować je w ten sposób.

Pół godziny później Cas nadal bunkrowała się w pokoju, a Laura najwyraźniej wciąż odspiała. Czułam się chora, ale wiedziałam, że to tylko kac, a ponieważ wyglądało na to, że wszyscy mają zamiar spędzić ten dzień w swoich pokojach, postanowiłam pójść za ich przykładem.

Właściwie planowałam zrobić dziś szturm na sklepy i kupić coś dla Cassie na urodziny, ale dobijała mnie sama wizja, że miałabym stawić czoła plądrującym hordom kupujących.

Nie, nie wiedziałam nawet, czy moje nogi będą w stanie mnie nieść przez Truro. Przydałby się jakiś serwis zakupowy, który załatwiłby za mnie sprawę prezentów. Wysuplałam z torebki komórkę i przywarłam do szyby, żeby złapać zasięg.

– Cześć, Petra.

– Nat! Jak leci?

– Dobrze, a u ciebie?

– Ach, lepiej nie pytaj – jęknęła.

– Dlaczego? Co się dzieje? – zapytałam zaniepokojona.

– Święta za pasem – odburknęła.

– Tylko mi nie mów, że Peter zmienił zdanie.

– Nie, nieee, to nie to, choć w tej chwili prawie bym sobie tego życzyła. Ach, no coś ty, oczywiście wcale tak nie myślę.

– Więc w czym problem?

– Urządzam wigilię.

– O rany.

Petra nie umiała nawet ugotować jajek.
– Potrzebuję rady, Nat. Powiem ci, co już zrobiłam do tej pory, a ty mi powiesz, czy dobrze.
– Spróbuję.
– Nie wiedziałam, jak duży musi być indyk, więc zamówiłam takiego dziesięciokilowego.
Myślisz, że to wystarczy?
– Dla dwóch osób?
– Ach, widzisz, czyli jednak nie wystarczy dla nas dwojga, prawda? Powinnam była zamówić większego!
– Petro, uwierz mi, indyk będzie dość duży. Prawdopodobnie nie będziesz musiała kupować już nic na Wielkanoc, bo ciągle będziesz jadła jego resztki.
– Naprawdę nie miałam pojęcia. – Westchnęła. – Wiesz, jeszcze nigdy nie przyrządzałam kolacji wigilijnej.
– A nie możesz po prostu zamówić czegoś gotowego?
– Nie! – zawołała. – Sama muszę to przygotować. Chcę, żeby wyszło super. Lepiej niż super, musi być idealnie.
– W takim razie najlepiej byłoby, gdybyś zatrudniła kogoś, kto przyrządzi kolację za ciebie.
– Ach, masz rację, niestety... Nie potrafię usmażyć nawet jajek!
– Może najwyższa pora się nauczyć. Masz jakieś książki kucharskie?
– Chyba nie, ale nie możesz mi po prostu powiedzieć, co mam zrobić z tym cholernym indykiem? Z resztą jakoś sobie poradzę.
– Dobra. Najpierw musisz go nafaszerować.
Petra aż się zachłysnęła.
– Chcesz powiedzieć, że mam włożyć rękę do nieżywego zwierzęcia?
– No. A jak inaczej chcesz włożyć do środka nadzienie?
– Boże miłosierny. Nie wiem, czy mogę to zrobić, Nattie.
– Ale tak się przyrządza indyka.
– A zatem, jeśli chcę zrobić dobrą kolację, to muszę wsadzić rękę w tyłek martwego ptaka?
Roześmiałam, a Petra wraz ze mną.
– Wiesz co? – powiedziała. – Pójdę do delikatesów Harrodsa i zapytam, czy dostarczają potrawy do domu.
– Dobry pomysł. A co porabiasz tak w ogóle, poza tym, że uczysz się gotować?
– Znam ten ton. Chcesz czegoś ode mnie. Mam rację?
– Ja? Zadzwoiłam tylko, żeby odezwać się do mojej najlepszej, najukochańszej przyjaciółki. To wszystko.
– Ach, to miłe, słodczy ty moja. A teraz gadaj.
– No dobra. Zrobisz coś dla mnie?
– Dla ciebie wszystko. O co chodzi?
– Cassie ma w niedzielę urodziny. Kupiłam jej już parę drobiazgów, a właściwie całe mnóstwo rzeczy, ale chciałabym jeszcze podarować jej jakiś fajny ciuch. Rozglądałam się już trochę, jest tu nawet parę ciekawych sklepów, ale nie znalazłam nic, co odpowiadałoby moim wyobrażeniom.
– A jakie są twoje wyobrażenia?
– No właśnie nie wiem, w tym cały problem.
– Czy tu chodzi o ciuchy dla Cassie – ironizowała Petra – czy o samo życie?

– Prawdopodobnie o jedno i drugie. – Zaśmiałam się. – Kup po prostu coś wyjątkowego, dobrze? W końcu to jej pierwsze urodziny, jakie spędza ze mną po śmierci Roba, a ja chciałabym, żeby były jak najpiękniejsze.

– Po takiej tragedii wiele rzeczy dzieje się po raz pierwszy, Nattie. I dla ciebie, i dla Cas.

– Wiem – powiedziałam, wzdychając. – Ale mogłabyś to dla mnie zrobić? Bardzo byś mi pomogła. Będę ci winna przysługę.

– Podsuwasz mi pretekst do pójścia na zakupy i uważasz, że to ty będziesz mi coś winna? Ależ oczywiście, że to zrobię. Na kiedy to potrzebujesz?

– Musiałabyś to wysłać tak, aby doszło najpóźniej w sobotę.

– Jasne. Masz to jak w banku. Knightsbridge, nadchodzę!

Już następnego dnia moim oczom ukazał się rzadki widok czerwonej pocztowej furgonetki pokonującej krętą drogę do farmy. Podpisem potwierdziłam odbiór dużej, nadanej ekspresem paczki z Londynu. Petra spełniła moje życzenie w rekordowym tempie. Zniosłam pakunek do swojego pokoju, żeby nikt go nie odkrył i nie pytał, co to takiego.

Zamknawszy starannie drzwi, usiadłam na łóżku i odwinęłam z papieru dwa płaskie pudełka od Nicole Farhi. W pierwszym był prześliczny sweter z mięciutkiej owczej wełny w kolorze terrakoty. W drugim znalazłam ekstra kremowe spodnie z weluru i wiadomość od Petry: „Spodnie to prezent ode mnie. Powiedz jej, że to od cioci Petry. Miejmy nadzieję, że to ją tak zaszokuje, że przez co najmniej dzień nie otworzy jadaczki, przyczyniając się do tego, żeby to były pamiętne urodziny również i dla Ciebie!”.

Z uśmiechem wyjęłam papier do pakowania prezentów i kartkę z życzeniami, kupione przy okazji w Penzance, i pojedynczo zapakowałam oba pudełka. Następnie wyjęłam z wewnętrznej kieszeni walizki starą szkatułkę na biżuterię i ładnie ją opakowałam. Oba pakunki wsunęłam pod łóżko do pozostałych prezentów dla Cassie, a szkatułkę włożyłam do górnej szuflady szafki nocnej.

Nadszedł jasny i chłodny niedzielny poranek. W domu było podejrzenie cicho. Zwykle dały się słyszeć odgłosy jakiejś krzątaczki: Cas w łazience, Laura w kuchni, ale dziś cisza była niemal namacalna.

Cas ani słowem nie wspomniała o swoich urodzinach. Podejrzewałam, że liczyła się z tym, iż w tym roku po prostu urodziny się nie odbędą, choć to były jej szesnaste. Ponieważ wypadały tuż przed Bożym Narodzeniem, Rob zawsze się starał, żeby uczynić ten dzień wyjątkowym. Miał się odcinać od tej całej przedświątecznej gonitwy.

Choć ograniczały mnie okoliczności, to starałam się trochę pójść w ślady ojca Cassie. Jeśli chodzi o prezenty, to naprawdę się wysiliłam: kupiłam ich zbyt dużo i zupełnie nie liczyłam się z kosztami. To było idiotyczne, wiedziałam o tym, bo w ten sposób niejako próbowałam kupić sobie przychyłność pasierbicy. Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, nawet jeśli kategorycznie zaprzeczyłabym, gdyby ktoś inny nazwał to w ten sposób. Miałam świadomość, jak kontrolerska była moja hojność, a mimo to wsunęłam jeszcze do kartki z życzeniami dla Cassie czek na sto funtów i natychmiast zakleiłam kopertę, żeby nie było odwrotu.

Dziwne, ale ja też obchodziłam tutaj swoje szesnaste urodziny. Ale zamiast wydać otrzymane pieniądze na ciuchy, kosmetyki, czasopisma lub muzykę – na to, czego zwykle życzyły sobie nastolatki – kupiłam bilet na pociąg do Londynu. Bilet do wolności. A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Cas wyglądała jeszcze tak młodo. A jednak kiedy wyruszyłam w świat, żeby rozpocząć nowe życie, byłam w jej wieku. Mówi się, że dzisiaj dzieci szybciej dorostają, ale ja nie podzielałam tego zdania. Dzisiejsze nastolatki po prostu wywalczyły więcej swobód i głośniejsze niż kiedykolwiek wygłaszają swoje zdanie. Dzięki temu wydają się doroślejsze, niż są w rzeczywi-

stości.

Nie potrafiłam wyobrazić, żeby Cas była w stanie żyć samodzielnie. A może ona dlatego wydawała mi się taka młoda i niesamodzielna, że sama byłam teraz starsza?

Drzwi do kuchni były zamknięte. Kiedy je otworzyłam, wpadłam w ramiona Laury ustrojonej w kartonową czapeczkę. Zadęła przeraźliwie w rozwijaną dmuchawkę.

– Niespodzianka!!! – zawołała i obrzuciła mnie garścią konfetti. Jednak kiedy się zorientowała, że to ja, upuściła dmuchawkę na podłogę. – Ach, to ty. Już myślałam, że przegapisz najlepsze. – Zamknęła stopą drzwi i sięgnęła ręką za siebie, wyjmując coś z pudełka na komodzie. – Masz, załóż to. Cassie już godzinę temu wyszła z łazienki, więc powinna zejść tu lada chwila. Bóg jeden wie, co ona tam robi tak długo, w dodatku tak cicho.

Laura wręczyła mi kapelusik i plastikowy gwizdek.

Udekorowała kuchnię balonami i serpentynami, a nad kominkiem powiesiła transparent z napisem Happy Birthday. Na stole piętrzyły się prezenty, które pochowałyśmy po kątach w ubiegłym tygodniu, obok nich zaś stało pięć kieliszków, dzbanek z sokiem pomarańczowym i owinięta kokardą butelka szampana.

Wywęszyłam, że w piekarniku podgrzewają się świeże rogaliki, a na stole, ku mojej ogromnej radości, zamiast zwykłego dzbanka z herbatą stał stary ekspres do kawy, plujący wrzątkiem do filtra z mieloną kawą. Nawet Meg siedziała z wyczekiwaniem na kocyku przy kominku. Futro miała pięknie wyszczotkowane, a wokół szyi zawiązaną dobraną kolorystycznie kokardkę.

– Nieźle się narobiłaś, co? Trzeba mnie było obudzić, to bym ci pomogła – powiedziałam do matki.

– No tak, muszę przyznać, że nadmuchiwanie balonów zajęło mi trochę czasu. Ale kiedy zajrzałam nad ranem do ciebie, tak słodko spałaś, że nie miałam sumienia cię budzić. Dziwię się tylko, że Cassie jeszcze nie zeszła.

Wyobraziłam sobie, jak Cas siedzi sama w pokoju w swoje szesnaste urodziny, i nagle zrobiło mi się jej żal. Dobrze wiedziałam, jak samotnie czułam się wtedy w tym domu, a przecież ja przynajmniej miałam matkę, nawet jeśli trzymała się na dystans.

Tak, musiałam więcej czasu poświęcać Cassie. Posłałam Laurze uśmiech, założyłam czapeczkę i wzięłam pudełko z konfetti, którą matka odstawiła na komodę.

Na schodach dały się słyszeć ciche kroki.

– Prędko – syknęła Laura. Z przejścia szturchnęła mnie łokciem w bok. – Idzie.

Zakradłyśmy się cichaczem pod drzwi, do kąta, gdzie schowała się uprzednio Laura.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

– Niespodzianka!!!

Wyskoczyłyśmy z kryjówki, sypiąc konfetti. Zatrąbiła dmuchawka Laury, a ja zadęłam w gwizdek.

Przez chwilę Cassie wyglądała na przestraszoną i mniej więcej tak ucieszoną, jak królik, który widzi mknący na siebie rozpędzony samochód, ale potem na jej bladej twarzy pojawił się uśmiech.

– Wszystkiego najlepszego! – zawołałyśmy, biorąc ją w ramiona.

Cassie uścisnęła mocno moją matkę, a mnie przelotnie i natychmiast uwolniła się z moich objęć.

Laura zaprowadziła ją prędko do stołu uginającego się od prezentów.

– Moje najpierw! – zawołała, chwyciła pakunki, które leżały najbliżej i wcisnęła je Cassie w ramiona.

Książka o pielęgnacji koni, spodnie do jazdy konnej w miejsce znoszonych, starych

dżinsów, które dziewczyna zakładała do jazdy konnej, rękawiczki i kask jeździecki. Do tej pory Cassie pożyczała kask od Laury, ale był za duży i zdarzało się, że w krytycznych momentach zsuwał jej się na oczy.

Cas założyła kask, wywołując salwę śmiechu Laury.

Kiedy przyszła kolej na moją górę prezentów, Cassie z niedowierzaniem i sceptycyzmem otworzyła szerzej oczy.

Kupiłam jej sweter, parę szykownych, drogich skórzanych kozaków, w których dziewczyna zakochała się podczas wyprawy do Truro, co mi zdradziła Laura, poza tym parę lewisów, iPod-a touch i małe brylantowe kolczyki.

– Prawdziwe?

Cas przyłożyła je sobie do uszu i przejrzała się w lustrze nad kominkiem.

– Yhm. – Skinęłam głową. – Podobają ci się?

– Bardzo ładne. Pewnie wydałaś kupę pieniędzy.

Jej ton zabrzmiał w moich uszach karcąco. Traktowała moje prezenty z obojętnością, która wydawała mi się prowokująca i lekceważąca. Każdy nowy pakunek otwierała z wymownym spojrzeniem, jak Herkules Poirot wydobywający na światło dzienne dowody podpierające jego teorię dotyczącą mordercy.

Wiem, że chcesz mnie kupić, ale zapomnij o tym.

Wręczyłam jej ostatnią paczkę.

– To od Petry.

Popatrzyła na mnie zdumiona. Spodziewałam się prawie, że powie „jesteś pewna?”, ale ona po prostu wzięła prezent i go rozpakowała. Rzuciła mi przy tym nieufne spojrzenia, jakbym płatała jej psikusy, a pudełko miało za chwilę eksplodować.

Oczywiście nic takiego nie nastąpiło, a kiedy Cassie odwinęła welurowe dżinsy z warstw eleganckiego papieru, jej sceptycyzm ustąpił miejsca radosnemu zaskoczeniu.

– Są naprawdę ładne – orzekła.

– Będą pasować do nowego swetra.

– Dziękuję.

– Podziękuj Petrze, nie mnie. Przy okazji następnego telefonu, dobrze?

– Okej.

Skinęła głową bez przekonania.

Skrzekliwy klakson Betsy zapowiedział przybycie Orlaithe i Hanka, którzy mieli przywieźć szczeniaka. Mój nastrój poprawił się odrobinę. Cassie musiała polubić psiaka, był taki słodki. Tamtego wieczoru, kiedy Hank zabrał go do siebie, zadzwoniła Orlaithe i zapytała, skąd go mam, bo oboje zastanawiali się nad przygarnięciem jednego z jego rodzeństwa.

Laura otworzyła drzwi. Kiedy Orlaithe, ze swoimi miedzianorudymi włosami, uśmiechem i zaraźliwym humorem przestąpiła próg pomieszczenia, miało się wrażenie, jakby ktoś rozpylił w powietrzu gaz rozweselający. Tym razem, jak zwykle uśmiechając się od ucha do ucha, zaintonowała Happy Birthday, a Hank pomrukiwał basem w tle. Oboje przytaszczyli wielkie pudła, a na tym, które trzymała Orlaithe, leżała mała paczuszka. Pod pachą miała jeszcze jeden prezent.

– W jednym pewnie jest ciasto, a w drugim pies – szepnęła do mnie Laura z uśmiechem.

– Mam tylko nadzieję, że ich nie pomylimy i nie wyprowadzimy ciasta na spacer i nie wetkniemy świeczek w psa!

Był to cienki dowcip, ale byłam matce wdzięczna za tę próbę rozweselenia. Zblazowana reakcja Cassie na moje prezenty nie pozostała niezauważona.

– Serdecznie ci gratuluję, skarbie.

Orlaithe postawiła pudła na stole, wzięła Cassie w ramiona i cmoknęła ją w oba policzki. Hank stał niezdecydowanie w drzwiach. W wykrochmalonej koszuli i granatowych dżinsach wyglądał sztywno i zarazem trochę sztywno. Laura wciągnęła go do środka i zamknęła za nim drzwi. Potem, żywo gestykulując, dała mi znak, żebym odebrała od niego karton.

Orlaithe naprawdę się postarała. Okleiła karton bez wieka papierem, a kiedy zajrzałam do środka, zobaczyłam, że piesek miał wokół szyi wielką niebieską kokardę.

– Cas?

Dziewczyna zerknęła na mnie przez ramię Orlaithe.

– To ode mnie. I od Laury – dodałam, bo nie chciałam pominąć matki, w końcu to ona namówiła mnie na szczeniaka.

Laurę ucieszył ten gest. „Dziękuję”, powiedziała bezgłośnie. Cas podeszła z ociąganiem. Bycie w centrum uwagi i liczne prezenty zdawały się ją przytłaczać. Przejechała dłonią po włosach i wyciągnęła ręce po pudło, a potem natychmiast je cofnęła, bo dokładnie w tym momencie szczeniak podjął próbę ucieczki. Wyprostował się tak nagle, że wyglądało, jakby z pudełka wyskoczył diabełek na sprężynie.

Chwyciłam go delikatnie wpół, żeby nie wypadł na podłogę, i podałam go Cassie. Ale ona tylko tkwiła w bezruchu, gapiąc się na mnie, jakby miała gołymi rękoma wyrzucać gnój z boksu Szansy.

– Jeszcze jeden pies. Jakby mało było głupich kundli.

Wymieniłyśmy z Laurą prędkie spojrzenia.

Zmieszana sterczałam przed nią, wciąż trzymając szczenię. Nie zdając sobie sprawy z chłodnego przyjęcia przez nową panią, psiak próbował zlizać mi z twarzy makijaż.

Sytuację uratowała Orlaithe.

– Chodź, otwórz to. – Położyła Cassie rękę na ramieniu i pokierowała ją z powrotem do stołu. – To ode mnie i Hanka.

Laura wzięła ode mnie psa, podczas gdy ja z rozdziawionymi ustami odprowadzałam wzrokiem pasierbicę.

Mama potrząsnęła współczująco głową i położyła malucha na kocyku obok Meg, która raczej obojętnie obwąchała przybysza. Poczułam na ramieniu ciepły, kojący ciężar dłoni i obejmując się za siebie zaskoczona, słysząc nieznamy głos.

– Zobaczysz, jeszcze zmieni zdanie, i to prędko.

To były chyba pierwsze słowa, jakie Hank wypowiedział w mojej obecności. Nie wiedziałam, czy mam wiwatować, czy zemdleć z wrażenia, a może odejść w kąt i lizać rany. Cas z zachwytem podziękowała za prezenty Orlaithe i Hankowi, kompletnie ignorując małego labradora, który lekko się chwiejąc, stał na kocyku Meg i patrzył swoimi wielkimi, zdziwionymi ślepkami.

Tymczasem Cassie z wyraźną fascynacją oceniała srebrzysty łaśzek, który zgodnie z zapowiedzią Orlaithe miał być sukienką. Kolejnym prezentem była para srebrnych sandałów na wysokich obcasach, pasująca do sukienki. Cas natychmiast założyła je na różowe pasiaste skarpety i w kasku na głowie zaczęła przechadzać się po kuchni jak na szrudłach. Wszyscy ryknęli śmiechem.

Laura tak energicznie otworzyła szampana, że korek strzelił i uderzył o sufit, zostawiając w nim wgłębienie. Zawartość butelki rozlała się pieniście po podłodze, tylko Orlaithe przytomnie podstawiła pod nią kieliszek.

Kobiety rozdały szampana, uśmiechając się do mnie ze współczuciem. Orlaithe skierowała uwagę jubilatki na drugie pudło.

– A teraz to, co najważniejsze, nawet jeśli człowiek nie powinien się przechwalać. Fran-

cis, prosimy o werble.

Hank zabębnił mocnymi, palcami o blat stołu. Orlaithe otworzyła pudło i wydobyla na światło dzienne ogromny, różowy tort. Było to prawdziwe cacko, choć dopiero po chwili dotarło do mnie, co widniało na polewie: Orlaithe ozdobiła wypiek wizerunkiem naturalnej wielkości psa. Lśniący różowy szczeniak z czarnym językiem z czekolady.

– Ta-dam! – Wykonawczyni tortu pękała z dumy.

Ta wersja psa spotkała się ze znacznie lepszym przyjęciem niż oryginał.

– Psie ciasto! – zawołała z ekscytacją Cassie. – Ale przecież jestem już za stara na coś takiego!

Uśmiechała się jednak, a my wcale nie musieliśmy jej namawiać, żeby zdmuchnęła szesnaście świeczek. Wszyscy nagrodzili ją oklaskami.

Laura podała Cas duży nóż, żeby dobrała się lukrowanemu psu do skóry.

Wystrzeliły kapiszony, pofrunęły serpentyny, owijając się wokół głowy i ramion jubilatki. Błysnął flesz, kiedy matka zrobiła zdjęcie. Trąciliśmy się kieliszkami. Brzęczało szkło, rozlegały się śmiechy i wesołe nawoływania, a mimo to czułam tylko pustkę. Cassie była jedyną żywą osobą, która mi została po Robie, a ja wiedziałam, że ona nie czuje ani odrobiny tej miłości, którą darzył mnie jej ojciec. Nie, ona czuła do mnie wyłącznie pogardę.

Był wczesny wieczór. Hank i Orlaithe pojechali do domu, ona podchmielona szampanem, on syty po zjedzeniu co najmniej pięciu kawałków tortu. Laura siedziała ze śpiącym szczeniakiem na kolanach przy ogniu. Jej też zamykały się oczy. Była znużona dniem, ciepłem i szampanem. Cassie przycupnęła u jej stóp, ze słuchawkami w uszach, a poza blaszanym bzycczeniem zbyt głośnej muzyki i rzadkim trzaskaniem ognia w kominku nie dochodził żaden dźwięk.

Jednego prezentu jeszcze jej nie dałam. Przez cały dzień trzymałam go w kieszeni spodni, czułam jego ciężar na nodze, jakby chciał nieustannie przypominać mi o moim niezdecydowaniu.

Nie wiedziałam, czy naprawdę powinnam wręczyć jej ten ostatni prezent. Uczyniłabym to w dobrej wierze, ale to nie oznaczało, że ona właściwie to zrozumie. O ile znałam Cassie, znalazłaby coś, do czego mogłaby się przyczepić, i nie dostrzegła, że chciałam sprawić jej radość.

– Cas – powiedziałam, zanim zdążyłam się rozmyślić.

Laura zamrugnęła, ale dziewczyna mnie nie usłyszała.

– Cassie! – zawołałam głośniejszym głosem.

Podniosła wzrok i wyjęła z uszu słuchawki.

– Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent. – Podeszłam do niej i wręczyłam jej pudełeczko na biżuterię.

– Dałaś mi już dość prezentów – zauważyła.

– Weź, proszę.

Laura uniosła pytająco brwi, a ja obserwowałam twarz dziewczyny, kiedy rozpakowywała aksamitne pudełeczko, a potem je otworzyła. W środku był zegarek. Był to męski model, stary cartier z brązowym, skórzanym paskiem. Piękny okaz, nie tak bardzo męski, żeby nie mogła go nosić dziewczyna.

– Należał do twojego ojca.

– Wiem – wymamrotała i pogładziła palcem po szkiełku.

– Oddałam go do renowacji. Pomyślałam, że chciałabyś go mieć.

Do oczu napłynęły jej łzy.

– Mam nadzieję... znaczy, ja... chciałabym, żebyś miała coś od niego...

Cas precyzyjnie się obok mnie i podbiegła do drzwi, otworzyła je niezdarnie i uciekła na ciemne podwórze. Chciałam pobiec za nią, ale Laura powstrzymała mnie.

– Zostaw ją.

– Ale...
– Ona musi teraz побыć chwilę sama ze swoimi myślami. Rozumiesz to chyba, prawda?
To był wyczerpujący dzień.

– Dla mnie również! Myślisz, że nie wiem, że nie mogę spełnić jej największego życzenia? Jak myślisz, jak ja się z tym czuję?

Laura wzięła mnie w objęcia. Początkowo się wzbraniałam, ale w końcu oparłam głowę o jej ramię. Puściła mnie.

Pół godziny później Cas wróciła.

Cichusienko otworzyła drzwi, przemierzyła kuchnię i objęła Laurę, uścisnęła ją mocno, po czym oświadczyła, że jest kompletnie wykończona. Zapytała, czy mamy coś przeciwko temu, żeby już się położyła. Podziękowała za cały dzień i prezenty, a Laura cmoknęła ją lekko w czoło. Potem Cas odwróciła się do mnie i z wahaniem wyciągnęła rękę. Mrugając ze zdumienia, ujęłam ją i ścisnęłam delikatnie. Cas zrobiła prędko krok naprzód i objęła mnie na krótko. Oslupiałam do reszty.

Kiedy wyszła, uzmysłowiłam sobie, że na lewym ręku miała zegarek Roba.

Tej nocy znowu nie mogłam spać. O drugiej nadal siedziałam skulona na parapecie i wpatrywałam się w mrok. Moje ciało było potwornie zmęczone, ale w głowie kłębiły się myśli, nie dając mi spokoju.

Znów sięgnęłam po papier i długopis.

Kochany Robie!

Cassie miała dziś urodziny.

Staralam się, żeby ten dzień był dla niej piękny, ale obawiam się, że wszystko zniweczyłam. Chciałabym wiedzieć, jak uczynić ją szczęśliwą, co musiałabym zrobić, żebyśmy mogły zostać przyjaciółkami.

Wiem, że pod tą twardą skorupą kryje się zalękniona dziewczynka, która straciła prawie wszystko, co było jej drogie. Dobrze pamiętam, co czułam, kiedy w wieku sześciu lat straciłam ojca. Dla mnie to było straszne, ale dla nieszczęśliwej czternastolatki, zmagającej się z burzą hormonów, to musi być podwójnie ciężkie.

Ale nie wiem, czego ona ode mnie oczekuje.

Nie podejmuje najmniejszego wysiłku, żeby się ze mną zaprzyjaźnić, tylko ignoruje mnie, jak może. Nie wiem, co gorsze: że na mnie nie zwraca uwagi czy że mnie wyśmiewa, kiedy tylko raczy się do mnie odezwać.

Nie, ani trochę nie ułatwia mi tego, żeby ją pokochać czy choćby polubić. A mimo to bardzo tego chcę. Co gorsza chciałabym, żeby ona polubiła mnie. Nie dla mnie, tylko dla siebie. Wiem, jaka byłam zła na swoją matkę, kiedy byłam w jej wieku. Ale ja nie jestem matką Cassie. Właściwie nie wiem, kim dla niej jestem. Kłopotem – to na pewno! Jej zdaniem nie mam prawa mówić jej, co ma robić i jak się ma zachowywać. Uważa, że moje starania nie są dla jej dobra, tylko stanowią ingerencję w jej życie, bo mam z tego jakąś perwersyjną przyjemność. Gdyby tylko wiedziała, jak niechętnie to robię. Wycofałabym się i pozwoliła jej robić wszystko po swojemu, gdybym nie miała tej wewnętrznej potrzeby pokierowania ją we właściwą stronę.

Czuję się jak mała łódeczka żeglująca pod wiatr. Nieustannie myślę, że znalazłam się dalej, ale potem stwierdzam, że nie posunęłam się ani trochę do przodu. Chciałabym, żebyś tu był, Rob, bo Ty wiedziałbyś, co mam robić.

Z miłością

N.

Złożyłam arkusz, zakleiłam kopertę i schowałam ją tam, gdzie pierwszy list. Kiedy wśliznęłam się do łóżka, poczułam się nieco lepiej. Byłam gotowa podjąć kolejną próbę z Cassie i zachować upór, nawet jeśli miałyby wyglądać to tak, jakbym nie robiła najmniejszych postępów.

Dwa dni później Cassie, przecierając oczy, zwlokła się po schodach i weszła do kuchni. Włosy sterczały jej na wszystkie strony, a spod dżinsów wystawały spodnie od piżamy. Nalała sobie mleka do szklanki, zwędziła tost z talerza Laury i próbowała jednocześnie jeść, pić i zakładać kurtkę.

– Oporządziłam już zwierzęta – powiedziała Laura.

– Ach, dzięki.

– Szansę też już nakarmiłam i napiłam – dodała prędko matka, kiedy Cas przymierzyła się do założenia butów do jazdy konnej.

Cassie zatrzymała się i popatrzyła na nią pytająco.

– Ale dlaczego?

– Wybieramy się dziś na wycieczkę. Pomyślałam, że mogłybyśmy uczcić twoje urodziny.

– Ale przecież już była huczna impreza.

Cassie zmarszczyła czoło.

– Dobrze, w takim razie nazwijmy to pretekstem do pikniku – przyznała Laura z uciechą.

– Piknik? W środku zimy? Czy ty się dobrze czujesz?

– Przecież jest wspaniała pogoda. Idealna na piknik. – Mama zaciągnęła Cas do okna i wzięła głęboki wdech, jakby chciała napełnić płuca świeżym powietrzem, nie zważając na zamknięte okna. – Popatrz, jak pięknie świeci słońko.

Puściła rękę dziewczyny.

– A teraz szoruj pod prysznic i ubierz się ciepło, jeśli łaska. My z Nattie przygotujemy wszystko w tym czasie.

Cas skrzywiła się, ale posłusznie wspięła się po schodach. Ja siedziałam jeszcze przy stole.

– No chodź – powiedziała Laura. – Na co czekasz?

– Wyjątkowo przyznaję rację Cassie. Jest środek zimy i bynajmniej nie ma pogody na piknik.

Mama przechyliła głowę i popatrzyła na mnie tym swoim staroświeckim spojrzeniem. Tak zawsze spoglądała na Luke'a, chcąc odprawić go z kuchni i dać do zrozumienia, że przerwa na herbatę definitywnie się skończyła.

Postanowiłam nie reagować. Nie miałam najmniejszej ochoty siedzieć na jakiejś łące, trzęsąc się z zimna, podczas gdy mama w samym T-shircie będzie nas karmić sandwichami z ogórkiem i twierdzić, że marzniemy wyłącznie mentalnie.

– Nie psuj zabawy, Nattie. Będzie fajnie. W szafce pod zlewem znajdziesz przenośną lodówkę.

– Świetnie. Schowam się do niej, żeby się ogrzać.

Laura puściła mimo uszu mój sarkazm, otworzyła lodówkę i zajrzała do środka.

– To ustrojstwo może być odrobinę zakurzone, trzeba je wymyć. Nie używałam tego od Święta Dziękczynienia.

– Super. W środku pewnie jest jeszcze kupa zgniłych jarzyn.

– Nie, ale może parę butelek stelli.

– Co? Piwo w kościele?

– No jasne. Przecież czerwone wino też, nie? Dlaczego zatem nie piwo dla tych, którzy nie piją wina? Nasz wielbny Stanley jest ze wszech miar postępowym proboszczem. No wiesz,

kiedys nawet wspominał o tym, żeby umieścić na ołtarzu dozowniki i stojaki na butelki dla tych, którzy woleliby coś mocniejszego podczas komunii. W końcu trzeba jakoś zwabić na niedzielną mszę pijaków. Lepiej to, niż gdyby mieli przesiadywać przy barze.

Przez chwilę gapiłam się na Laurę zszokowana, dopóki nie dotarło do mnie, że ta jej opowiadanie z życia parafii była tylko żartem. Matka odwróciła się do mnie przodem i zatrzasnęła drzwi lodówki pupą.

– A poważnie to piwo było przeznaczone na kolację w domu parafialnym. Proboszcz jest wprawdzie dość otwarty, ale przemiana kościoła na pub nie byłaby w jego stylu. Swoją drogą to sympatyczny człowiek. Musisz go poznać. Myślę, że byś go polubiła. Jako przyjaciela – dodała prędko, widząc, jak zwręża mi się wzrok. – Nie, wyłącznie jako przyjaciela. On jest żonaty i ma dziewiętnaścioro dzieci.

Laura wzięła ode mnie turystyczną lodówkę, otworzyła ją i zajrzała do środka.

– Piwa nie ma – westchnęła z rozczarowaniem. – To znaczy, że będziemy musiały zatrzymać się gdzieś po drodze. – Wytarła wewnątrz pojemnika i włożyła do środka spore, owinięte papierem śniadaniowym pakunki, które przed chwilą wyjęła z lodówki. – Nat, w twoim pokoju na szafie leży stary kosz piknikowy. Mogłabyś go przynieść?

Poszłam na górę. Kiedy dotarłam do swojego pokoju, Cas właśnie schodziła z poddasza i przemknęła do kuchni. Jej włosy były jeszcze wilgotne po kąpiel. Ubrała się w ciepłe, bordowe sztruksy i, jak stwierdziłam ze zdumieniem, sweter, który podarowałam jej na urodziny. Odniosłam wrażenie, że jej się nie spodobał, ale kiedy ją w nim ujrzałam, mój nastrój znacznie się poprawił.

Na szafie poza koszem znalazłam coś jeszcze: zielone pudełko po butach, bardzo stare, ale na jego ścianie wciąż widniała etykieta z nazwą obuwia, które niegdyś zawierało. Półbuty na obcasie o stylowej nazwie Olivia. Najwyraźniej należały do matki. Karton owinięto bladozieloną wstążką, a na wierzchu widniał skreślony pismem mamy napis: *Ważne, nie wyrzucać!!!*

Zaciekawilo mnie to, ale powstrzymałam się. W środku pewnie były zdjęcia. W każdym razie raczej nie buty – pozostawienie ich nieużywanych w pudełku byłoby dla mojej matki świętokradztwem. Buty należało nosić i pokazywać światu jak dzieła sztuki.

Ściągnęłam z szafy zakurzony koszyk piknikowy, zawahałam się krótko, czy nie zajrzeć do pudełka, ale jednak zesłam z powrotem na dół. Otwarte drzwi powiedziały mi, że Cas była na zewnątrz. Matka właśnie odłożyła na bok telefon.

– Pomyślałam, a niech to będzie impreza na całego – wyjaśniła, jednak nie zdradziła, do kogo dzwoniła.

Laura sprawdziła zawartość kosza, uzupełniła sól i pieprz w małych pojemniczkach i umyła sześć talerzy oraz sztućce. Ja w tym czasie wzięłam z wieszaka swoją najgrubszą kurtkę i wyszłam na podwórze, żeby załadować pełną lodówkę turystyczną na pakę land rovera.

Cas dokładała właśnie świeżego siana do siatkowego paśnika Szansy, mimo iż Laura dała kłaczy rano dość siana. Zajęcie umilała sobie paplaniną. Klacz dmuchała jej w dłoń przekonana, że w niebieskiej siatce znajdzie się jeszcze miejsce dla jej pyska. Skończywszy, Cas powiesiła siatkę z powrotem w boksie, na haku przy drzwiach. Nachyliła się ku skubiącej siano Szansie. Rękawem swetra wartego sto funtów wytarła grube, zielonkawe zlepki śluzu w kąciakach ślepi kłaczy.

Moja radość z tego, że dziewczyna nosi prezent ode mnie, gwałtownie zgasła. Dlaczego nie kupiłam jej poliestrowego swetra z taniej sieciówki, jakie noszą jej rówieśnice? Poczułam, jak narasta we mnie złość. To była blahostka i nie powinna właściwie odgrywać roli, ale dowodziła, z jaką pogardą traktowała mnie Cas. Już chciałam coś do niej zawołać, ale spostrzegłam, że dziewczyna sama uzmysłowiła sobie, co zrobiła. Wystraszona wpatrywała się w rękaw,

wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i zaczęła wycierać jak szalona wełnianą tkaninę. Jednocześnie wymamrotała z wyrzutem do Szansy, że zapaskudziła jej nowy, szykowny sweter.

Nagle rozzłościłam się na siebie, nie na nią. Naprawdę musiałyśmy ze sobą porozmawiać. Nie mogłam dopuścić, żeby moja frustracja narastała we mnie niczym gorąca lava we wnętrzu wulkanu, czekając tylko na erupcję i pożogę. Problem w tym, że jeszcze nigdy ze sobą nie rozmawiałyśmy.

Na podwórze wyszła Laura. W lewej ręce trzymała ciężki kosz piknikowy, prawą zamknęła za sobą drzwi kuchni. Przekręciła w zamku wielki, mosiężny klucz i schowała go do blaszanego wiadra z zimowymi kwiatami przy drzwiach. Popatrzyła na mnie promiennie.

– Możemy ruszać? Gdzie psy?

Laura rozejrzała się za Meg. Skądś nadbiegł Young Shep. Najwyraźniej akurat przebywał u nas dłużej.

Cas przechrzczyła młodego psa po swojemu. Orzekła, że jeden Shep wystarczy, a poza tym nic dziwnego, że Young Shep zachowuje się jak nastoletni przygłup, skoro nie ma imienia, z którego mógłby być dumny. Wołała teraz na niego Jasper, a właściwie Jas, bo przypominał jej „durnego młodszego brata” najlepszej przyjaciółki. Śmiałam wątpić, czy zmiana imienia podbudowała ego biednego zwierzaka.

Laura była zdania, że nowe imię zamiesza psu we łbie, ale Cas rozbroiła ten argument stwierdzeniem, że zwierzak i tak ma pomieszane we łbie, więc nieco większe zamieszanie nie sprawi mu różnicy. A ponieważ i tak nie reagował, obojętnie, jak się go wołało, sama zdecydowałam, że będzie się wabił Jas, bo to było łatwiej krzyczeć, a poza tym nie brzmiało tak żenująco jak Young Shep.

Odebrałam od Laury kosz piknikowy i umieściłam w terenówce obok lodówki.

Nie wiadomo skąd pojawiły się Meg i Jasper, precyzyjnie się obok mnie i usadowiły na pace. Szczęrzyły się radośnie, jak to psy, i ziały z podekscytowania, gdyż wyczuwały instynktownie, że będzie wycieczka. Turystyczna lodówka przypuszczalnie potwierdzała ich przeczucia, a Jasper natychmiast przytknął wilgotną mordę do niebieskiego pojemnika, żeby wywęszyć, co jest w środku.

Laura już siedziała za kierownicą, wyjęła czerwony śrubokręt ze schowka i wetknęła go do zepsutej stacyjki. Wśliznęłam się na fotel pasażera.

– Pewnego dnia wetkniesz go za głęboko i porazi cię prąd – mruknęłam zaniepokojona.

– Jak wygram w totka, kupię sobie nowy.

– Samochód?

– Nie, śrubokręt.

– Naprawdę przydałby ci się nowy samochód – stwierdziła Cas, wpychając się obok mnie.

Przyciskała do piersi wyrrywającego się szczeniaka. Na szczęście założyła najpierw starą kurtkę.

– Cóż, w takim razie czym prędzej leć do salonu kupić nowiutkie ferrari.

– Pożyczę ci pieniądze. Mam wystarczająco dużo.

Obie z mamą zerknęłyśmy prędko na Cassie, ale dziewczyna wpatrywała się tępo przed siebie. Po raz pierwszy zrobiła aluzję do spadku. Dziedziczyła po ojcu spory majątek, ale większa jego część podlegała komisarycznemu zarządowi, dopóki dziewczyna nie skończy dwudziestu pięciu lat. Dostawała hojne miesięczne kieszonkowe, ze spadku opłacano jej chesne, a ja otrzymywałam do dyspozycji kwotę pokrywającą moje wydatki, kiedy dziewczyna mieszkała u mnie: na ubrania, jedzenie i tym podobne. Większość tych pieniędzy wpłacałam na konto założone na jej nazwisko, bo przecież niemal jej nie widywałam. Oczywiście istniały klauzule zezwalające na

korzystanie z majątku za zgodą zarządcy komisarycznego – czyli mnie – gdyby potrzebowała większej sumy, na przykład na samochód, gdyby zrobiła prawo jazdy, albo na wyjazd wakacyjny, albo na wycieczkę klasową – wydatki, których nie mogłaby opłacić z kieszonkowego. Dotychczas jednak Cassie nigdy nie prosiła o pieniądze ani nawet nie wspominała, że istnieją.

Laura patrzyła na mnie z uniesionymi brwiami, a potem posłała uśmiech Cassie.

– Dzięki, Cas, to miło z twojej strony. Ale jesteśmy razem z tą zardzewiałą skorupą już od bardzo dawna. Prawda, skarbie? – Z czułością poklepała zakurzoną deskę rozdzielczą. – Byłyśmy ze sobą na dobre i na złe. Myślę, że jeszcze trochę ze sobą pobędziemy.

Zatrzymałyśmy się przed wiejskim sklepikiem, żeby kupić piwo. Weszłam do środka razem z Laurą, a kiedy ona myślała nad tym, które piwo wziąć, ja zapakowałam do koszyka parę butelek wina, tani korkociąg i plastikowe kubki. Przy kasie poprosiłam ekspedientkę, żeby podała mi z regału sporą bombonierkę.

A niech tam, skoro już miałam odmrażać sobie tyłek, to przynajmniej z klasą. Cierpkie chianti sączone z białych plastikowych kubeczków, które łamały się w dłoniach, jeśli się je ścisnęło zbyt mocno, czekanie, aż rozgrzeją się zmarznięte palce u nóg, gorączkowe szukanie ustronnego miejsca za krzewem. Do tego czekoladki – czego więcej mogła życzyć sobie kobieta?

Laura pojechała w kierunku Land's End i koło Sennen skręciła w wąską, nabrzeżną drogę prowadzącą w dół do zatoki.

– Tutaj często pływają delfiny – wyjaśniła i nacisnęła na szwankujący hamulec, żeby ostro skręcić w prawo na parking.

– Naprawdę? – zapytała Cassie i natychmiast zapatrzyła się w morze.

– Naprawdę. Sama je tu widziałam parę razy.

Laura zatrzymała samochód przy kruszącym się murku z szarych, polnych kamieni, zaciągnęła zawodny ręczny hamulec i wysiadła. Wyjęła zza fotela kierowcy cegłę i wsunęła ją pod prawe tylne koło. Wróciła, sięgnęła do schowka na drzwiach i wyjęła z niego skórzany futerał.

– Lornetka – wyjaśniła i podała ją Cas. – Na wypadek, gdybyśmy miały szczęście.

Kiedy wysiadłam, zobaczyłam, że parę miejsc postojowych dalej stoi Betsy. Na plaży zauważyłam Orlaithe. Siedziała na różowym kocu, a jej płomiennie rude włosy powiewały na wietrze. Kiedy się obejrzała, dostrzegła naszego land rovera i pomachała energicznie.

Laura otworzyła tylną klapę. Psy wyskoczyły z radosnym ujadaniem. Puściły się pędem, przesadziły niski murek i śmignęły w dół, pognały przez plażę, syjąc piachem, a potem rzuciły się do wody. Potem, ociekając wodą, zawróciły, otrząsnęły z wody długą, czarno-białą sierść i zaczęły węszyć przy koszu z wiktuałami.

Trzymając w jednej dłoni torbę z winem i czekoladkami, wyjęłam lodówkę turystyczną. Przeszłam na przód wozu i zaczęłam, aż Laura i Cas powyjmują ze środka resztę.

Sennen Cove było moim zdaniem jednym z najpiękniejszych miejsc w całej Anglii. Po lewej stronie zaczynała się długa promenada i nieskończony ciąg małych, szarych i białych domków z wielkimi oknami. Na końcu znajdowała się stacja ratownictwa morskiego, chroniona zielono-brązowym łukiem portowego muru. Na prawo rozciągała się plaża: Whitesands. Biała, piaszczysta plaża, ciągnąca się przez prawie milę pięknym łukiem wzdłuż wybrzeża, tak urzekająca, że nawet szalejące fale Atlantyku traciły przy niej swoją dzikość i głaskały ją czule.

Tutaj nigdzie nie było ostrych pionowych klifów; brązowa ziemia wraz z uczepionymi niej wielkimi kępami biało-zielonej morskiej trawy opadały stromym zboczem ku morzu. Wzięłam głęboki wdech i nappełniłam płuca zimnym, rześkim, słonym powietrzem. Może pomysł Laury wcale nie był tak szalony, jak początkowo się wydawało. Owszem, było zimno, ale tutaj chłód nie był aż tak przejmujący. Słońce wyjrzało zza białej chmury, piękno tego miejsca po pro-

stu zapierało dech w piersiach. Chciało się tylko siedzieć tu i wpatrywać w naturę dookoła, chłonąć ją, jakby mogła załagodzić surowość życia.

Cas podeszła bliżej i stanęła obok mnie. W jednej dłoni miała kosz piknikowy, drugą przyciskała do boku zawiniątko w czerwonej kratce: owiniętego kocem szczeniaka.

– Ale tu cudownie – wymamrotała.

Przez chwilę sądziłam, że mówi do mnie, ale kiedy zerknęłam w bok, wpatrywała się w zamyśleniu w granatowy ocean. Najwyraźniej wypowiedziała na głos to, co chodziło jej po głowie.

Laura była gotowa. Zamknęła tylną klapę i podeszła do nas. W lewej ręce dźwigała siatkę pełną butelek piwa, a prawą, rozłożoną na płask dłońią, balansowała niebezpiecznie wielkim, białym pudłem. Nie chcąc przemierzać całego parkingu, żeby dojść do ścieżki, postawiła cały ładunek na kamiennym murku i przesadziła go jednym susem. Wylądowała dobry metr niżej na dróżce i zebrała pakunki.

– No, chodźcie. – Posłała nam z dołu szeroki uśmiech, ale Cas i ja wahałyśmy się jeszcze. – Na co czekacie?

Cas uśmiechnęła się do Laury i niczym baletnica przeskoczyła zwinnie przez murek. Jak zawsze zaskoczyła mnie atletyczna siła tej wiotkiej przeciw dziewczyny, bo skacząc, nie wypuściła z rąk ani kosza, ani szczenięcia.

Jasper podążył za nią. W mig pokonał drugi raz dwustumetrowy dystans do morza i zaplował na spienione grzywacze. Czekala na mnie tylko Meg. Swoimi poważnymi, czarnymi ślepiami spoglądała w moją stronę, ponaglając mnie do pójścia. Przełożyłam lodówkę przez murek i przesadziłam go.

Kiedy dotarłam na plażę, Orlaithe powitała mnie serdecznie. Rozłożyła się na swoim różowym kocu, owinięta ciasno w palto ze sztucznego misia, które tak naciągnęła na nogi i tyłek, że ledwie się mogła ruszać. Na głowie miała czapę z tego samego miśka, która jednak nie powstrzymywała jej czerwonych kędziorów przed furkotaniem na wietrze jak chorągwie. Irlandka wyglądała jak wielki, puchaty misio z różowymi policzkami i pomalowanymi na czerwono ustami.

– Nattie! Jak się masz? Szaleństwo, żeby spotykać się tutaj w taki ziąb, ale na pewno będzie pięknie! Pikniki Laury są legendarne, nawet jeśli dziś jest nas mało. Wiesz, jestem pewna, że to twoja matka wynalazła imprezy rave. Ostatnim razem była nas co najmniej setka, słuchaliśmy muzyki i piliśmy aż do zachodu słońca i jeszcze dłużej, aż do wschodu.

– Orlaithe przesadza jak zawsze. – Laura z uśmiechem rozłożyła kraciasty koc obok różowego. – Na pewno nie było nas około setki.

– No dobrze, niech będzie pięćdziesiątka – zgodziła się Orlaithe. – Ale popiliśmy za stu. – Poklepała dłońią obok siebie. – Chodź tutaj, Nattie, usiądź obok mnie. Po zawietrznej. W przeciwieństwie do mnie nie masz ani grama tłuszczu, który ochroniłby cię przed zimnem. Spójrz no tylko na siebie, ja nawet nie wcisnęłabym ramion w twój sweter, a w twoich džinsach nie zmieściłaby się nawet jedna trzecia mojego zadka.

Otaksowała wzrokiem mój tyłek, kiedy pochyliłam się, żeby postawić na ziemi lodówkę i torbę.

– Nie, najwyżej jedna trzecia jednej trzeciej.

Usiadłam obok niej i zaczęłam grzebać w plastikowej siatce.

– Nie do wiary, jak tu ciepło. Jakbyśmy byli w innym kraju.

– Z obu stron chronią nas przed wiatrem skały. – Orlaithe pokazała ręką na zachód i wschód. – Dlatego przyplływają tutaj delfiny. Znajdują tu najcieplejsze wody na całym wybrzeżu.

– Widziałaś już jakieś? – zapytała Cas.
Zdjęła z ramienia futerał z lornetką i wypakowała ją.
– Już często. – Skinęła głową Orlaithe. – I foki też, chociaż te widuje się najczęściej trochę dalej, przy Hell's Mouth.
Cas usiadła przy nas i patrzyła przez lornetkę.
– O rany! – zawołała.
Skierowałyśmy wzrok w stronę, gdzie była wycelowana lornetka, i wysiliłyśmy wzrok.
– Co jest? – zapytała Laura. – Co tam widzisz?
– Tam, daleko!
Cas wskazała palcem na morze, a my zobaczyłyśmy czarny łeb kiwający się na wodzie.
– To delfin? – zapytałam z niedowierzaniem.
– Nie, to ten durny pies! – Cas oderwała lornetkę od oczu. Uśmiechała się. – Jasper.
Wypłynął co najmniej pół mili w morze.
– Pewnie goni boję – powiedziała matka niefrasobliwie. – Wydaje mu się, że to piłka.
– Da radę sam wrócić? – zapytała Orlaithe z niepokojem. – Naprawdę daleko wypłynął.
– Da radę – zapewniła Laura.
Obserwowałam Cas, bo nieczęsto widywałam ją uśmiechniętą. Wiem, że to stereotyp, ale uśmiech sprawiał, że wyglądała zupełnie inaczej. Chciałabym umieć wywoływać go u niej, ale chyba oddziaływałam na nią wręcz odwrotnie. Teraz również uśmiech ulotnił się w okamgnieniu, kiedy przyłapała mnie na tym, że się na nią gapię. Zmieszana skupiłam się na winie, zapomniałam o wszelkiej ostrożności i otworzyłam butelkę.
– Gdzie się podziewa Hank?
– Chłopaki są za skałami, zbierają drewno, które fale wyrzuciły na brzeg – wyjaśniła Orlaithe. – Ale wyruszyli już jakiś czas temu. Jest tak zimno, że zaziębą się na śmierć, jeśli zejdzie im się jeszcze dłużej. – Podziękowała Laurze za piwo, ale wzięła kubek z ciepłym białym winem.
– Hank dla odmiany miał ochotę zabawić się w Indianina, a nie w kowboja, i zamierza rozpalic dla nas ognisko.
– Chłopaki? – zahaczyłam.
– Jest z nim Connor.
– O, fajnie. Czyli jednak udało mu się wyrwać – zaszczębiotała radośnie Laura.
– Nie powiedziałaś mi, że on też będzie – napadłam na nią.
Mama rzuciła mi dziwne spojrzenie. I roześmiała się.
– Tylko mi nie mów, że nadal jesteś zawstydzona okolicznościami waszego poznania się.
Connor z pewnością już dawno o wszystkim zapomniał.
– O czym zapomniał? – zapytała Orlaithe. Jej oczy pałały ciekawością. – Co się stało?
– Długa historia. – Próbowałam ją zbyć. – I w dodatku nudna.
Orlaithe przeniosła wzrok na Laurę, która z trudem powstrzymywała się od śmiechu.
– Uwielbiam długie historie, a kiedy tak patrzę na twoją matkę, to wydaje mi się, że ta historia nie była ani trochę nudna.
Chciałam wpełznąć do kubka z winem, kiedy mama zaczęła opowiadać, w jaki sposób poznałam Connora Blythe'a.
– Widział twój tyłek? – zawołała Orlaithe na cały głos, kiedy Laura dotarła do najbardziej wstydliwego momentu.
Pokiwałam głową ze skwaszoną miną.
– Ts, ts, ts – cmoknęła, potrząsając głową. – Nic dziwnego, że nie chcesz go więcej widzieć. Może w rewanżu powinien pokazać ci swój zadek. Bylibyście kwita.
– Eee, wolałabym nie. – Zaśmiałam się skrepowana.

– Ja tam nie miałabym nic przeciwko temu, żeby rzucić okiem na jego tyłek. – Orlaithe mrugnęła do mnie. – Te jędrne, obleczone dzinssem pośladki. – Upiła trochę wina. – Ach, gdybym była młodsza z dziesięć lat. I nie miała męża, którego po prostu nie jestem w stanie zdradzić, bo kocham tego słodkiego, krzywonożego konusa ponad życie...

Cas ani trochę nie była zadowolona z kierunku, w którym zmierzała ta rozmowa. Wstała z koca i pokazała zaaferowanemu, rozradowanemu szczeniakowi morze. Jeszcze nigdy nie widział go z bliska i nie wiedział, jak się zachować. Schylił łepkę, żeby powąchać wodę, a wtedy fale spryskały jego czarny nos słoń bryzą, którą zliział różowym językiem. Morska woda zdaje się smakowała całkiem nieźle, bo ośmielił się podejść bliżej, żeby napić się więcej, ale kolejna fala przegoniła go z powrotem na plażę. Na jego pyszczku malował się wyraz skrajnego zdumienia.

Cas poszła za nim i wzięła go na ręce. Psie łapy zostawiły ślady z piasku na czarnej pikowanej kurtce.

– To tylko woda, ty gamoniu – odezwała się do niego. – Spójrz na Jasa, tak to się robi. Chociaż – dodała, widząc, jak pies coraz bardziej oddala się od brzegu – może to jednak nie jest właściwy wzór do naśladowania.

Laura podniosła głowę, a kiedy zorientowała się, jak daleko wypłynął Jasper, gwizdnęła przenikliwie. Wstałyśmy. Nawet Orlaithe w swoim grubym misiu dzwignęła się niemrawo na nogi i zawołała psa.

Zza skał po prawej stronie wyłoniły się dwie sylwetki. Usłyszawszy nasze podniecone nawoływania, postacie puściły się biegiem. Rozpoznałam w wolniejszej z nich Hanka w czarnym, teksańskim kapeluszu, który zakładał od święta.

Drugim z nich był Connor, który szybciej biegł po miękkim piachu. Z poślizgiem zatrzymał się przy nas.

– Co się dzieje? Dlaczego tak krzyczycie? – zapytał z niepokojem cały zdyszany.

Cas wskazała ręką na morze, gdzie Jasper, jako pierwszy pies na świecie przymierzał się właśnie do przepłynięcia Atlantyku.

– I dlatego tak się podniecacie? Z powodu kąpiącego się psa? Ale nam napędziłyście strachu. Już myślałem, że musimy wezwać łódź ratowniczą.

– Niewykluczone, że właśnie to będziesz musiał zrobić. – Laura marszczyła twarz ze zmartwienia.

Connor potrząsnął głową. Wetknął palce do ust i zagwizdał tak przenikliwie, że Orlaithe, Cas i ja musiałyśmy zasłonić uszy. I wtedy nastąpił cud: Jasper zatrzymał się, wykonał perfekcyjny zwrot i powoli zaczął wiosłować z powrotem do brzegu.

– Durny pies – westchnęła matka, ale przynajmniej znowu się uśmiechała.

– Wiecie co? Myślę, że on wcale nie jest taki głupi, jak nam się wydaje. – Cas popatrzyła na Laurę. – Może on po prostu jest przygłuchy. Jak się powie „siad” albo „do nogi” czy coś w tym stylu, to przechyla łeb i szczerzy się jak kretyn. Ale jak mu się pokaże manualnie – zademontrowała gestem, o co jej chodzi – to siada od razu.

– Możesz mieć rację – zgodził się Connor.

Cassie podeszła do wody, żeby sprawdzić swoją teorię. Klaszcząc z ożywieniem w dłonie, zagrzewała zwierzaka, aby dopłynął do plaży.

Ledwie opadły emocje, Orlaithe zwróciła się z wyrzutem do Hanka.

– Gdzie się podziewaliście tyle czasu?

Hank, jak zawsze, odpowiedział tylko leciutkim uniesieniem krzaczastych brwi. W odpowiedzi wyręczył go Connor.

– Na plaży wala się wprawdzie sporo drewna, ale większość jest wilgotna. Musieliśmy

pójść aż za Farmer's Point, prawie do Loftu.

– Connor mieszka w starym wiejskim domku, zaraz za tamtym cyplem – wyjaśniła Laura, machając ręką w dal. – Nazywa się Loft Cottage. Stąd go nie widać, ale jeśli okrążysz następną zatoczkę, zaraz za ostatnim cyplem...

Connor uśmiechnął się do mnie.

– Cześć, Natalie. Jak leci?

Uklęknął przede mną i ostrożnie ułożył wiązkę chrustu przy kocu.

– Natalie marznie. Prawda, skarbie? – wtrąciła Orlaithe. – Zresztą jak my wszyscy. Dobrze, że przynajmniej wino jest ciepłe.

Puściła do mnie oko, błyskając pomalowaną zielonym cieniem powieką. Uniosła plastikowy kubek do ust, opróżniła go jednym haustem i wyciągnęła do mnie po dolewkę.

Connor uśmiechnął się do niej wyrozumiale i w niewielkim oddaleniu od koców ułożył kamienny krąg. Usunął ze środka trochę piachu, uważając jednak, aby nie dokopać się do mokrej warstwy i ułożył trochę przyniesionego drewna w powstałym w ten sposób wgłębieniu. Na samym dnie umieścił mniejsze gałązki i trochę pogniecionych gazet, na wierzchu większe konary. Wyjął z kieszeni pudełko zapalek i zapalił jedną. Oslaniając ogienek dłonią, pochylił się nad paleniskiem.

Drewno zajęło się ogniem dopiero za czwartym podejściem. Przy trzecim Orlaithe poradziła, żeby Hank podmuchał w płomień: twierdziła, że wypił w życiu już tyle whisky, że powinien nosić na czole stempel z napisem „łatwopalne”.

Kiedy ogień rozпалиł się na dobre, Laura zaczęła przygotowania do posiłku. Jak się okazało, w paczkach, które przywiozłyśmy w lodówce, była kiełbasa. Nadzialiśmy ją na rozwidlone patyki, które Connor uprzednio zaostrzył dla nas scyzorykiem.

Zwabione ciepłem ogniska i nęcącym zapachem pieczonej kiełbasy wróciły również psy. Mac przytruchtał niespiesznie zza skał, pół godziny za swoim panem. Usadowił się obok, opierając się o mnie pokaznym ciężarem.

– Chyba cię lubi – zauważył Connor, widząc, jak siedzę z psem niemal oko w oko.

– Pozycja na pieska – zachichotała Cas.

– Ile wina ona już w siebie wlała? – zapytałam szeptem Laurę.

– Nie wiem. Przestałam liczyć po swoim piątym piwie. – Wyszczrzyła się w uśmiechu.

– Przecież będziesz musiała dziś jeszcze usiąść za kółkiem – rzuciłam ze złością.

– Zazwyczaj po prostu odsypiamy rausz – wyjaśniła.

– Co? Na plaży?

– Tak, tutaj. Na plaży.

– Całą noc?

Laura przytaknęła.

– Zwykle zastaje nas tu rano, zanim uda nam się wytrzeźwieć. Spokojna głowa, mam w samochodzie więcej koców.

– A jeśli będzie padać?

– Przecież ona cię wkreca – odezwała się już nieco nieskładnie Orlaithe. – Stary dobry Davey odbierze nas swoimi minibusem.

– A kto zagwarantuje, że będzie trzeźwy? – zapytałam z troską, bo widziałam go już parę razy w Ship i za każdym razem był nawalony jak stodoła.

– Nie ma obawy, on prowadzi lepiej, jak jest na gazie – zachichotała Laura.

– Jak możesz mówić coś takiego?! Z takich rzeczy się nie żartuje!

Laura oblała się ciemnym rumieńcem i przestraszona zasłoniła dłonią usta.

– Och, Nattie, wybacz. Nie pomyślałam.

– Już dobrze – westchnęłam zawstydzona swoim nagłym wybuchem.

Cas obrzuciła mnie spojrzeniem, którego nie umiałam nazwać.

Poderwała się i podeszła bliżej wody.

– Nie, wcale nie jest dobrze – zaprotestowała Laura zdławionym od łez głosem.

– Proszę, zapomnij o tym – odparłam.

Matka popadła w posępne milczenie i zapatrzyła się w morze, tak że nie widziałam jej twarzy.

Orlaithe niezdarnie wstała i zwróciła się do Hanka, który z wyraźną rozkoszą pałaszował nadwęgloną kiełbasę.

– Chyba musimy poszukać jeszcze trochę drewna.

Hank ze zdumieniem popatrzył na wystarczający zapas chrustu zebrany przez nich dwóch. Ale znaczące spojrzenie Orlaithe poderwało go na nogi. Mężczyzna podążył za nią. Usłyszałam jeszcze, jak mu klarowała:

– Kierowca, który zepchnął z drogi samochód, którym jechał mąż Nattie, był pijany.

Connor wodził spojrzeniem między mną a Laurą, uśmiechając się współczująco. W końcu wstał i podszedł do Cassie. Przywołał psy i odwrócił w ten sposób jej uwagę.

Laura potrząsnęła głową skonfundowana.

– Przepraszam – powiedziałam. – Nie powinnam była reagować w ten sposób.

– Nie – zaprzeczyła. – To ja muszę przeprosić. To było po prostu bezmyślne z mojej strony.

Matka odwróciła butelkę z piwem dnem do góry i z całej siły wbiła ją szyjką w piach. Płyn wyciekł z bulgotem. Nadal nie mogła spojrzeć mi w oczy, ale policzki miała trupioblade.

Ujęłam ją za rękę.

– Tyle dla nas robisz – powiedziałam. – Nie mam prawa robić ci jakichkolwiek wyrzutów.

To przecież nie twoja wina.

Laura przygryzła wargę.

Sięgnęłam ręką za siebie po butelkę z winem, napełniłam kubek i podałam go matce.

– Proszę...

Zawahała się. Napełniłam również swój kubek i uniosłam go, jakbym chciała wznieść toast.

Matka uśmiechnęła się blado i wzięła wino.

– Dziękuję – powiedziałam, unosząc kubek do ust. – Dziękuję, że nas znosisz.

Cas uznała, że Jas wcale nie jest głupi, tylko odrobinę głuchy, i z pomocą Connora próbowała gestami nauczyć go komend „siad”, „do nogi” i „aport”. Pies w nagrodę dostawał resztki kiełbasy. Nie była to jednak optymalna metoda, bo Jasper dobrze wiedział, że Cas ma w kieszeniach kiełbasę i to rozpraszało go do tego stopnia, że nie zwracał uwagi na jej gesty.

Po pół godzinie Connor się poddał. Z westchnieniem osunął się na koc obok Laury, udając, że ociera pot z czoła.

– Sądzę, że miałyście rację: ten pies nie jest głuchy, jemu po prostu brakuje piątej kleпки.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebował drinka. – Podałam mu kubek z winem.

Wziął go z uśmiechem.

– Na zdrowie. – Trącił kubkiem mój.

Odrobina wina wylała się przy tym i z sykiem skapnęła do ognia. Potem Connor stuknął się kubkiem z matką.

Poza kiełbasą Laura miała jeszcze duże ciasto czekoladowe. W tym czasie Orlaithe zdążyła wrócić z przechadzki. Hank przyniósł naręcz mokrego drewna.

Jedliśmy ciasto i za dużo piliśmy.

W końcu syta i podchmielona położyłam się na kocu i patrzyłam w lodowato błękitne niebo nad nami. Psy drzemały przy ogniu tak blisko, że czuliśmy woń wilgotnej, schnącej powoli sierści.

Nie upłynęło dużo czasu, gdy Hank, Laura i Orlaithe zapadli w sen. Hank pochrapywał miarowo, przywodząc na myśl wielkiego, buczącego trzmiela. Cas leżała obok Laury na brzuchu i oparłszy podbródek na dłoniach, wpatrywała się w morze.

Connor położył się po mojej lewej stronie. Dotknął delikatnie mojej ręki, położył palec na ustach i wskazał na niebo. Niemal bezpośrednio nad nami szybował na wietrze jakiś nieduży drapieżny ptak, zanurkował w dół i zatoczył koło jak latawiec na sznurku.

– Co to za ptak? – szepnęłam.

– To pustułka. Są dość rzadkie. Mamy szczęście, że go widzimy.

– Laura mówiła, że czasami można tu spotkać delfiny.

Connor przytaknął i wskazał na Cas.

– Dlatego właśnie to dziewczę od godziny nie odrywa wzroku od morza. Ale jeśli się ich wypatruje, to nigdy się ich nie zobaczy.

– A ty je już widziałeś?

– Często, ale ja sporo przebywam na plaży.

– Tak? Czym się w ogóle zajmujesz, Connor?

– Jestem artystą.

– Akrobatą? Magikiem? A może artystycznie radzisz sobie z życiem?

Zaśmiał się.

– Owszem, to też, ale przede wszystkim maluję.

– Ach tak. A możesz z tego żyć?

– Wiążę koniec z końcem – mruknął i popatrzył na morze. – Jakie buty założyła właściwie dzisiaj twoja matka?

– Słucham? – zapytałam zaskoczona bez reszty nagłą zmianą tematu.

Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam, jak Jasper skacze pośród fal. Z jakimś sporym przedmiotem w pysku.

Zerknęłam na drzemającą mamę. Odwinęła z szyi gruby szal, który po złożeniu posłużył jej za prowizoryczną poduszkę. Jej stopy tkwiły w grubych, czerwonych skarpetach. Zzuła ciężkie trapezy, bo niewygodnie było w nich spać. Tyle że obok koca stał tylko jeden z nich.

– Jasper! – zawołaliśmy z Connorem jednocześnie, zrywając się z miejsca.

Connor był szybszy.

– Do nogi, Jasper! – krzyknął, ale pies jak zwykle puścił rozkaz mimo uszu.

Pluskał się w wodzie w odległości paru metrów ode mnie, a końcówki sznurowadeł zwiślały mu z mordy niczym spaghetti. Zawirowaliśmy w dzikim tańcu, nawołując psa aż do ochrypnięcia, ale on nas po prostu ignorował. Dopiero kiedy Connor gwizdnął przeraźliwie, Jasper wreszcie zwrócił na nas uwagę.

– Chodź tutaj, ty błaznie – zawołałam.

W tym momencie przypomniałam sobie teorię Cassie, schyliłam się i poklepałam zachęcająco po kolanie. Zawahał się tylko sekundę i podbiegł do mnie w podskokach.

– Grzeczny piesek – pochwaliłam go wylewnie. – A teraz oddaj but.

Sięgnęłam po trzewik i usiłowałam wyciągnąć go psu z pyska. Zwierzak jednak uznał, że chcę się z nim bawić, i ani myślał puścić łup. Zaczęliśmy się bawić w przeciąganie liny i ani się obejrzałam, jak stanęłam po kostki w płytkiej wodzie.

Connor dołączył do nas, z uciechą wykrzywiając usta. W tym momencie dobiegły mnie krzyki matki i Cassie. Odwróciłam się.

Pies puścił. Ja nadal ciągnęłam z rozmachem.

Pozostał mi tylko jeden kierunek.

Do tyłu.

Piszcząc, plasnęłam w zimną wodę. Była na tyle płytka, że nalało mi się jej do uszu, ale nie zakryła twarzy. Mimo to zachłysnęłam się, jakbym tonęła, i z wysiłkiem usiadłam. Ubranie przesiąkło wodą i zaczęło ciążyć.

Connor wbiegł błyskawicznie do wody i w okamgnieniu znalazł się przy mnie. Jego buty również przemiękły na wylot, a nogawki jasnoniebieskich dżinsów pociemniały od słonej wody. Śmiał się do rozpuku, podając mi jednocześnie rękę, żeby pomóc mi wstać.

– To nie jest śmieszne! – krzyknęłam.

– Ależ jest. – Śmiał się bezczelnie. – Gdybyś widziała, jak wyglądasz!

Traper Laury dryfował w wodzie na wyciągnięcie ręki. Kiedy Connor chciał pociągnąć mnie do góry, pochylił się odrobinę, drugą rękę wyciągając po but. Ale Jasper był szybszy. Capnął mu trzewik sprzed nosa, na ułamek sekundy, zanim Connor pochwycił go w palce. Connor zacisnął w dłoni powietrze. A ponieważ jednocześnie się obracał, stracił równowagę i chlupnął do wody.

Kiedy wylądował przy mnie, pokładałam się ze śmiechu. Włosy miał tak mokre, że mógł je wyżywać, po twarzy ściekała mu słona woda. Przez moment spoglądaliśmy sobie w oczy. Poczulałam w tej ulotnej chwili napięcie, nikłą, łączącą nas więź.

Zastygłam w bezruchu, nie mogąc rozpoznać fali emocji, zalewającej mnie od środka.

Pomyślałam o Robie.

I wtedy wskoczył między nas Jasper. Odniósł wreszcie trzewik na plażę i zostawił u stóp Laury, a teraz pryskał nas wodą, ujadał, skakał i ciągnął ostrymi zębami za moją kurtkę. Merdał jak szalony, ciesząc się i baraszkując niefrasobliwie. Connor wstał. Podał mi rękę, żeby wyciągnąć mnie z wody. Oboje byliśmy odrobinę zmieszani. Czuliśmy, jak przenika nas ziąb.

Kochany Robie!

Zawsze wierzyłam, że pewnego dnia znowu się spotkamy. Nie mogę zaakceptować, że odszedłeś na zawsze i tak nieodwołalnie. Jak ktoś, kto był taki żywotny, pełen namiętności i obietnic, może nagle istnieć tylko w królestwie wspomnień? Mogłabym przysiąc, że gdzieś żyje jeszcze jakaś część Ciebie.

Muszę zachować w sobie tę wiarę, że czekasz na mnie tam, dokąd odszedłeś.

Ale teraz dręczy mnie nowe pytanie. Pojawilo się dziś za sprawą spojrzenia Connora i niepokojących uczuć, jakie ono we mnie wywołało: jeśli czekasz gdzieś na mnie, to czy Eve też na Ciebie czekała?

Idealna Eve. Twoja pierwsza żona.

Muszę wierzyć, że po tym życiu coś jeszcze nastąpi, ale jeśli tak, to będzie tam również Eve. Jesteście znów razem? Czy naprawdę obowiązuje „dopóki śmierć was nie rozłączy”? Jeśli tak, to już nie jesteś moim mężem. Mimo to mam wrażenie, że będziesz nim zawsze.

Jeśli chciałabym zachować spokój duszy, to nie mogę pozwolić, żeby dalej nękały mnie te zwariowane myśli. Jak można być zazdrosnym o ducha?

Jeśli mógłbyś mnie teraz widzieć, Rob, jeśli umiałbyś zajrzeć teraz do mojej głowy i serca, to czy też byłbyś zazdrosny? Zazdrosny o iskrę, którą zobaczyłam w oczach innego mężczyzny?

N.

Na końcu polnej drogi, łączącej Wichrowe Łąki z szosą, stała skrzynka na listy. Odległość do niej wynosiła jakieś półtorej mili. Przyzwyczyłam się, że codziennie rano chodziłam do niej po pocztę. Często towarzyszyli mi Meg i szczeniak, którego Cassie od jakiegoś czasu nazywała Tuffem, sporadycznie także Jasper. Psy pokonywały co najmniej podwójną drogę, bo biegały w tę i z powrotem, podążały za interesującymi zapachami i dały się nęcić frapującym ruchom w krzewach rosnących po obu stronach drogi – w końcu mogły się w nich chować króliki.

Tuff był bardzo mały na swój wiek i niekiedy musiał się naprawdę wyęźać, żeby dotrzymać tempa, ale miał żywiołowy temperament i nigdy nie zostawał w tyle długo. Przez ostatnie dni powoli zdobył serce Cassie. Nieważne, jak często go odprawiała, on podążał za nią z oddaniem. Biedny maluch. Choć jako prezent od złej macochy miał na starcie marne szanse, to jednak udało mu się krok po kroku zdobyć jej sympatię. Był nieustępliwy nieustępliwością bluszczu, który piął się po północnej ścianie domu, na przekór silnym wiatrom i lodowatemu zimnu, które próbowały go powstrzymać. Lojalność Tuffa była bezgraniczna, a Cas od jakiegoś czasu stała się wrażliwa na jego dowody miłości, co jednak skrzętnie ukrywała, gdy byłam w pobliżu.

Gdyby wznoszone przez nią bariery nie odstraszały mnie tak samo jak tego psiaka, wówczas być może też pomału zdobyłabym jej serce.

Podczas moich codziennych spacerów oprócz obu psów pasterskich i szczeniaka towarzyszył mi często Mac. Bywało, że oglądałam się za siebie i stwierdzałam niespodziewanie, że do nas dołączył. Za każdym razem mnie zaskakiwało, że tak wielki pies może poruszać się tak cicho. Cieszyłam się, że tak często szuka mojej bliskości. Nierzadko przychodził i o innych porach, towarzysząc mi na spacerach, albo czekał na mnie przy kominku w nadziei, że znowu podzieli się z nim kielbasą.

Meg dołączyła do nas po nocy spędzonej na polowaniu na szczury. Nigdy nie spała w nocy w domu, wołała zniknąć gdzieś w mroku. W ogóle rzadko widywałam ją śpiącą, właściwie tylko wieczorami, kiedy mama siedziała przy kominku. Wtedy suczka, pogrążona w głębokiej drzemce, leżała u stóp Laury, machając we śnie łapami, jakby śniło jej się polowanie na króliki.

Zdawało się, że psy we wsi stanowią wspólną własność. Chyba odbijała się w tym wiejska mentalność tubylców. Gdziekolwiek by się poszło, wszędzie witano człowieka serdecznie i częstowano herbatą. Nikt nie bał się spojrzeć w oczy obcemu, nikt nie lękał się z nim rozmawiać. Tuż po przyjeździe wydawało mi się to nieco natrętne. Wszyscy zdawali się być doskonale poinformowani o mnie i moim życiu, a przecież nie zostałam nikomu przedstawiona.

Teraz rozkoszowałam się poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawała ta przynależność.

W Londynie nigdy w życiu nie odważyłabym się spacerować samotnie po nocy. Na pewno nie poszłabym też sama do pubu. Tutaj wiedziałam, że jeśli naszłaby mnie ochota na nocny spacer, to nic by mi groziło, a w pubie powitano by mnie z radością i dotrzymano towarzystwa.

Zdażyłam już zaprzyjaźnić się z młodą kobietą, która rozwoziła furgonetką pocztę. Miała na imię Morwenna i spotykałam ją czasem, odbierając listy. O ile w ogóle miałam co odbierać, bo Laura nie dostawała ich zbyt wiele. Rzuciło mi się w oczy, że nadawcą często był bank, a na kopertach widniał stempel „pilne”. Niekiedy przez cienki, biały papier przeświecała podejrzanie czerwona czcionka.

Dość prędko dotarło do mnie, że Laura ma problemy finansowe. Nie wiedziałam tylko, ile wynoszą jej długi. Chciałam szczerze jej pomóc. Po wyjeździe do Londynu z wielkim trudem zarabiałam na własne utrzymanie. W konsekwencji rozważnie obchodziłam się z pieniędzmi, choć

już od dłuższego czasu zarabiałam bardzo dobrze. Miałam własne mieszkanie, które tymczasowo wynajmowałam, poza tym trochę oszczędności. Od śmierci Roba w ogóle nie musiałam się martwić pieniędzmi, choć nigdy szczególnie sobie tego nie uświadamiałam.

Wiedziałałam, jak bardzo matka ceni sobie swoją niezależność. A przy tym w ostatnich latach nie miała lekko, choć z pewnością nie głodowała. Dostawała co miesiąc niedużą kwotę z ubezpieczenia na życie mojego ojca, ale farma, której utrzymanie pochłaniało niemal cały jej czas, nie przynosiła niemal żadnych zysków. Kolorową zbieraninę zwierzaków traktowała jak domowników, od trzech lat nie sprzedała żadnego z nich. Wprawdzie regularnie dostarczała jajka do wiejskiego sklepiku i paru pensjonatów na wybrzeżu, od czasu do czasu zawoziła do rzeźnika jakąś kurę, która oskubana i sprawiona wracała jako niedzielna pieczeń, ale pomijając to, gospodarstwo zdawało się bardziej nadszarpywać rezerwy Laury, niż je uzupełniać. Utrzymywała, że ta harówka stanowi dla niej czystą przyjemność, ale nie bardzo rozumiałam, co to za przyjemność wstawać codziennie przed wschodem słońca, żeby dawać żreć gromadce niewdzięcznych zwierzaków i oporządzać ich stajnie.

Poza tym byli jeszcze „faceci”. Hank pracował na farmie dwa dni w tygodniu, we wtorki i w czwartki. Wykonywał cięższe prace, murował ogrodzenie z polnych kamieni i reperował parkany. Czasem, kiedy potrzeba było rąk do pracy, przychodził Luke, ale jemu też trzeba było zapłacić.

Ale pomijając to wszystko – wczesne wstawanie, pracę każdego dnia niezależnie od pogody, brak pieniędzy – miałam wrażenie, że matka za żadne skarby nie zamieniłaby się z nikim na życie.

Nie chciała od nas przyjąć pieniędzy na utrzymanie, dlatego raz w tygodniu jeździłam do Truro po zakupy spożywcze, ale chciałabym, żeby dała sobie pomóc.

Poczta, którą rano przyniosłam, leżała nieotwarta na stole, jak zwykle. Z lekkim poczuciem winy wzięłam ją i zaniósłam do swojego pokoju.

Dwa dni później, kiedy zeszłam rano do kuchni, Cas siedziała już przy stole. Jadła na śniadanie jajka na miękko, maczając kawałki tostu w żółtku. Ubrała się w nowe spodnie do jazdy konnej, gruby, czerwony golf i ciepłe skarpety w różowo-zielone paski. Była tak pogrążona w lekturze czasopisma, że nie zauważyła mojego wejścia. Laura siedziała przy górnej krawędzi stołu, z twarzą zwróconą ku drzwiom. Głowiła się nad rachunkami.

Uniosła wzrok i uśmiechnęła się z pewnym napięciem, a może tylko mi się wydawało.

– Dzień dobry.

Cas podniosła głowę, ale nie odezwała się, tylko w niemym pozdrowieniu uniosła lekko brwi.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytałam, korzystając z okazji, że nawiązała ze mną kontakt wzrokowy.

– Idę pojeździć na koniu – odparła, zamknęła pismo i wstała.

Skórzane kozaki, kupione z Laurą w Truro, stały świeżo wypucowane przy drzwiach. Cas założyła je i wbiła się w grubą, niebieską pikowaną kurtkę, w której wyglądała jak ludzik Michelina.

– Nie jest to może szczyt elegancji, wiem – powiedziała do Laury, która na jej widok nie mogła powstrzymać się od śmiechu – ale to najcieplejsza kurtka, jaką mam, a na dworze jest cholernie zimno. I wiesz co? Jak już, to na całego. – Wzięła z wieszaka czapkę z pomponem i przekornie naciągnęła ją na uszy.

Kiedy mama zanuciła pod nosem „stoi bałwan osowiały, w głowę gniecie garnek mały”, Cas pokazała jej język.

– Skoro zaczęłaś, to masz! – odcięła się dziewczyna, sięgnęła po szalik od kompletu,

owinęła nim szyję i zawiązała pod brodą gruby węzeł.

– Gdybyś powiedziała, że ma się ciepło ubrać, to poleciałaby w samych majtkach – powiedziała do matki, kiedy Cas zatrzaskała za sobą drzwi.

– Dzieci nie lubią, jak im się coś nakazuje. Trzeba znać ich słabostki, Nattie. –

Uśmiechnęła się lekko Laura. – I wykorzystywać je. I już ma się je w garści. – Z ciężkim westchnieniem odsunęła od siebie papiery. – Nie wiem, co będzie dalej.

– Problemy? – zapytałam niby od niechcienia.

– Ach, nazwijmy to tak: to się nie opłaca.

Matka rzuciła mi dziwne spojrzenie, potem złożyła papiery i wyniosła je do małego gabinetu, gdzie zwykle leżały w nieporządku na biurku. Zaraz potem zajrzała z powrotem do kuchni.

– Nat, nie wybierasz się teraz nigdzie, prawda?

Zdumiona potrząsnęłam głową.

– Nie, nie mam żadnych planów. Dlaczego?

– Muszę z tobą porozmawiać. Ale najpierw muszę wykonać jeden telefon i dowiedzieć się czegoś. Zaraz wracam.

Zaparzyłam sobie herbatę i usiadłam przy stole na krześle zwolnionym przed chwilą przez Cassie. Było jeszcze ciepłe. Cas odłożyła na bok pisemko, które czytała, a ja przysunęłam je do siebie. Wydało mi się znajome, chyba już je czytałam. Upłynęła chwila, zanim zorientowałam się, że Cas przeglądała stary numer „Naked”. Nie jakiś tam przypadkowy numer, tylko ten, od którego wszystko się zaczęło. Laura musiała go zachować.

Drżącymi rękoma przekartkowałam do mojego artykułu i mój wzrok od razu padł na zdjęcie Roba. Dobrze na nim wyszedł. Nie lubił, jak się go fotografowało, zresztą, rzeczywiście sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego, ale pomijając to, wyglądał pięknie, silnie i bardzo żywo, jakby nigdy nie było minionych dwudziestu miesięcy.

Obrysowałam palcami owal jego twarzy. Papier był chłodny i gładki. Co najmniej kwadrans siedziałam w ciszy przy stole, wpatrując się w zdjęcie męża, nie myśląc, tylko widząc twarz mężczyzny, którego kochałam. Twarz, której już nigdy nie dotknę ani nie pocałuję.

Zaprzagnęłam, aby moje życie było tak samo krótkie, jak jego, aby skończyło się teraz, w tym momencie, abym mogła do niego dołączyć.

Kiedy za moimi plecami trzasnęły drzwi, złękłam się tak, że serce na chwilę przestało mi bić.

– Zapłaciłaś Camleyowi?

W głosie Laury niemal pobrzmiwał wyrzut.

– Słucham?

– Zapłaciłaś rachunek ze sklepu spożywczego.

– Ach tak. – Powoli zamknęłam czasopismo i odwróciłam się do matki. – Zapomniałam ci powiedzieć. Zajrzał tutaj, kiedy ciebie akurat nie było, więc mu zapłaciłam.

– Nie umieram z głodu – fuknęła.

– Nikt tego nie twierdzi. Nie chcesz, żebyśmy dokładały się do jedzenia, więc pomyślałam, że możemy się odwdziżyć w inny sposób. Chciałam ci o tym powiedzieć, ale wyleciało mi z głowy.

– Ach, naprawdę? – zapytała sceptycznie.

– Tak. Nie gniewaj się, proszę. Po prostu chciałam pokryć koszty, które powstają z naszego powodu.

– Płacąc za rachunek opiewający na prawie tysiąc funtów?

– Chciałam tylko pomóc, nic więcej.

– I uważasz, że potrzebuję tego rodzaju pomocy? W ciągu szesnastu lat, kiedy cię tu nie

było, też potrafiłam się sama utrzymać.

Zdziwił mnie jej ton.

– Tu nie chodzi tylko o pieniądze, prawda? – zapytałam cicho.

Westchnęła i odgarnęła włosy z twarzy.

– Nie, być może masz rację.

– W takim razie co cię trapi? Co się dzieje?

– W tym właśnie problem, Nattie. Szesnaście lat radziłam sobie całkiem sama. Szesnaście lat! To połowa twojego życia i kawał mojego. – Szeptem ciągnęła dalej. – Nigdy nie przyszło ci do głowy, że mogę za tobą tęsknić?

Chciałam ją uspokoić, ścisnęłam jej dłoń, ale nie odpowiedziałam. Wiedziałam, że powinniśmy porozmawiać, ale w tej chwili, tuż po tym, jak znalazłam tamten artykuł, po prostu nie mogłam. Było tyle innych spraw, z którymi musiałam się uporać, że nie uśmiechało mi się przez cały ranek roztrząsać, dlaczego tak się od siebie oddaliłyśmy.

Dlatego poczułam ulgę, kiedy przez tylne drzwi zajrzała do środka Cas. Laura miała jej pomóc wyszukać Szansę, a kiedy matka zakładała buty i płaszcz, Cas trąkotała z przejęciem, dokąd się wybierze.

Zaczekałam, aż obie znajdą się na zewnątrz, i sama się ubrałam. Tchórzliwie przemknęłam przez podwórze, mijając boks Szansy, gdzie Laura pomagała Cas zapiąć popręg. Prędko zniknęłam w długim przejściu między stodołami, przekroczyłam bramę i poszłam na przełaj przez łąkę.

Skierowałam się prosto nad morze.

Marsz dobrze mi robił. Wiatr i świeże morskie powietrze porządkowały moje myśli. Uspokajałam się, obserwując ruch wody. Miałam dziś wrażenie, że idąc, mogę uwolnić się od zmartwień. Gdybym tylko wystarczająco szybko pomaszerowała wzdłuż wybrzeża, mogłabym zostawić je za sobą i stracić z oczu.

Dopiero wtedy, gdy zaczęłam rozpoznawać okolicę, zdałam sobie sprawę, że kiedyś już tędy szłam. Oczywiście, tamtego wietrznego, burzliwego dnia, gdy błąkałam się wokół Land's End. Z tą różnicą, że teraz nadeszłam z przeciwnej strony. Za chwilę musiał pojawić się nawis, gdzie schroniłam się między skalnymi ścianami.

Panowało przejmujące zimno, ale niebo było prawie bezchmurne. Wiatr ustał, tylko leciutka bryza mierzwiła trawę, unosiła długie, bladozielone źdźbła i zwiewała je ku lodowozielonemu morzu. Mewy krążyły nad klifem i szybowały z rozpostartymi skrzydłami, niesione lekkim wiatrem. Co chwila rozbrzmiewały ich żalosne okrzyki.

Kiedy dotarłam do chatki huera, wiedziałam, że jestem na właściwej drodze. Minąwszy ją, ześliznęłam się po skałach i poszukałam wejścia do mojej sekretnej kryjówki. Musiała gdzieś tu być, ale tym razem znalezienie jej zajęło mi dużo dłużej; wspinałam się po skałach, ślizgałam po trawie i porośniętych mchem głazach. Nie mogłam uwierzyć, że błądziłam tu ostatnio w taką niepogodę, ale może wcale nie było źle, że panowała wtedy tak słaba widoczność. Gdybym widziała, gdzie się zapuszczam, być może zawróciłabym z drogi.

Wreszcie natknęłam się na wąski otwór w skale, prowadzący do niedużej, osłoniętej niecki. Dotarwszy tam, ucieszyłam się, że nie zrezygnowałam. Usiadłam i oparłam się o gładki granit. Schowana jak w kokonie, osłonięta przed światem, z niebem nade mną i morzem u moich stóp, czułam, jak moje ciało się odpręża. Spokój i cisza tego miejsca chroniły mnie i wszystko ucichło.

Wsunęłam dłoń w kieszenie płaszcza. Koniuszkiem palca wyczułam coś gładkiego przypominającego fotografię. Moja dłoń objęła arkusik i wyjęła go na światło dzienne.

To była pocztówka, którą napisałam w kawiarni w Trenrethen. Schowałam ją przed Orlaithie i zapomniałam o niej. Przeczytałam ją.

Kochany, najukochańszy Robie!

Ach, szkoda, że Cię tu nie ma. Tak zwykle zaczynają się pocztówkowe pozdrowienia, ale ja jeszcze nigdy nie pragnęłam tego bardziej niż tutaj i teraz. Jestem bez Ciebie taka samotna.

Z miłością, jak zawsze.

N.

Sięgnęłam ponownie do kieszeni i wyjęłam obie koperty. Listy do Roba pisałam wczesnym rankiem, kiedy czułam się tak samotna, że po prostu musiałam jakoś się z nim porozumieć. Gdybym tylko mogła z nim porozmawiać... Albo gdyby mógł chociaż przeczytać myśli, które utrzymałam na kartkach. Może mogłabym wysłać mu je z wiatrem – wyrzucić je w powietrze, żeby wiatr poniósł je tam, gdzie był teraz Rob.

W skale pode mną była szczelina. Prowadziła głęboko w ciemność, w nieznaną. Nie zastanawiając się, wetknęłam w nią pocztówkę i listy. Przyłożyłam oko do szpary i zobaczyłam, jak nika w mroku.

Kiedy wróciłam do domu, Laury nie było. Pewnie spacerowała gdzieś po łąkach. Chciałam ją jakoś udobruchać, więc zajęłam się przygotowaniem kolacji, a przynajmniej podjęłam taką próbę. Zapiekanka rybna. Przepis brzmiał prosto, ale rzeczywistość wyglądała inaczej. Kiedy w końcu podałam danie, Cas wyrwało się pełne obawy „co to jest?”. Przypuszczałam dlatego, że całość wyszła dość bezbarwnie – ryba, piure ziemniaczane, sos oraz kalafior, który dość nieszczęśliwie wybrałam na jarzynkę.

Na szczęście danie nie smakowało tak nijako, jak wyglądało. Laura była rozmowna i życzliwa jak zwykle. Posilek przerwał nam jednak telefon. Na jego dźwięk matka porzuciła zapiekankę i tak pośpiesznie wstała od stołu, że właściwie powinnam się poczuć urażona. Cas szepnęła do mnie, że dzwoni jakiś facet. Upłynęło niewiele czasu i Laura suszyła sobie umyte w pośpiechu włosy.

– Myślę, że ona kogoś ma – wyznała Cassie, ledwie matka wypadła z domu.

W szykownej wełnianej garsonce, spowita obłokiem Chanel, Laura zakomunikowała, że ma „spotkanie w interesach”.

Popatrzyłam na Cas.

– Naprawdę? Nigdy nie wspominała, że ma jakiegoś mężczyznę – odpowiedziałam ostrożnie.

– A jak myślisz, dla kogo się tak odstawiła?

– Może i masz rację.

– Żadne może. – Jej ton był dość opryskliwy, ale kiedy na nią spojrzałam, nie zobaczyłam ani krzty zwykłej wrogości.

– Dlaczego nic o nim nie mówiła? Laura przecież nigdy nie jest tajemnicza – drążyłam delikatnie dalej.

– Racja. Musi mieć jakiś powód. – Cas z namysłem przygryzła wargę i przechyliła głowę.

– Znam kogoś, kto na pewno coś wie – rzuciła. – I nie jest to osoba na tyle dyskretna, żeby zachować dla siebie taką wiedzę.

– Orlaithe?

Cas skinęła głową.

– To jak?

– Właściwie nie powinno to nas obchodzić.

– Zgadza się – potwierdziła Cas, ale nadal patrzyła na mnie pytająco, z uniesionymi brwiami.

Dwadzieścia minut później, zjednoczone jednym celem, wysiadliśmy z samochodu i weszliśmy do jasno oświetlonego wnętrza Ship. Był piątkowy wieczór i w pubie tłoczyli się klienci, zarówno turyści, jak i miejscowi. Orlaithe uwijała się za barem. Dostrzegła nas i poma-chała, ale prędko stało się jasne, że wcale nie była nam potrzebna do zaspokojenia ciekawości.

Przedzierałyśmy się przez tłum, kiedy pasierbica skubnęła mnie za rękaw.

– Natalie – zagadnęła półgłosem. – Popatrz w tamtą stronę. – Wskazała na stół w samym rogu, nieco na uboczu.

Laura siedziała plecami do nas, ale jej karmelowe loki były nie do pomylenia. A obok niej siedział, jak przypuszczała Cassie, mężczyzna.

– Wiedziałam – powiedziała triumfalnie. – Po prostu wiedziałam.

Chciała się precyzyjnie do nich, ale powstrzymałam ją.

– To, że ją znalazłyśmy, to jedna sprawa, ale prawdę mówiąc, uważam, że nie powinniśmy im przeszkadzać.

– Bzdura! Jesteś jedyną żyjącą krewną Laury, no dobrze, pomijając twoją cioteczną babkę Daphne z Worthing...

– To ona jeszcze żyje?

Cas kiwnęła głową.

– Tak przynajmniej mówiła Laura.

– Wiesz więcej o mojej rodzinie niż ja sama.

– Gdybyś usiadła i porozmawiała ze swoją matką – skrzywiła się Cas. – Rozumiesz, gdybyś się wysiliła...

Tak jak ty ze mną.

– Ale mimo wszystko nie byłaś poinformowana, że Laura kogoś ma.

– No to musimy to nadrobić. Chodź, przedstawimy się. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

Puściła mnie, przepchnęła się do stolika i klapnęła na krzesło na wprost szczęśliwej pary.

Laura podniosła wzrok ze zdumieniem i z miną winowajczyni.

Sytuacja wydała mi się nieskończenie kłopotliwa. Laura była z reguły dość otwarta i gdyby chciała, żebyśmy wiedziały o tym mężczyźnie, to na pewno by nam o nim opowiedziała. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię, ale Cas przywołała mnie gestem. Rozejrzałam się za drogą ucieczki, ale ponieważ tamci dawno mnie już zauważyli, w końcu do nich dołączyłam.

Dziewczyna szczyrzyła się od ucha do ucha, za to Laura najwyraźniej nie była zbyt szczęśliwa, że mnie widzi.

– Nattie, właśnie mówiłam Cas: to jest Charles Treloar, partner w interesach. Charles, to moja córka Natalie.

Wyciągnęłam rękę.

– Miło mi pana poznać.

Charles wcale nie wyglądał na zmieszanego. Wstał i uściskał mi dłoń.

– Cieszę się, mogąc poznać obie panie – powiedział i uprzejmym gestem zaprosił nas, żebyśmy usiadły, wprawdzie z jakimś opóźnieniem, bo zaprosiłyśmy się już same. – Skoro jesteśmy we czwórkę, to przyda się więcej wina.

Uśmiechnął się przyjaźnie, przeprosił i zniknął, idąc w stronę baru.

– Co wy tu robicie? – syknęła Laura, gdy tylko odszedł. – Szpiegujecie mnie?

– No coś ty! – zaprotestowałam, chociaż akurat trafiła w sedno.

– Tylko zachciało nam się pić. – Kłamstwo przychodziło Cassie łatwiej niż mnie.

Ale Laura wiedziała, że Cas i ja nigdy nie wpadłybyśmy na pomysł, żeby wyjść gdzieś razem.

Zaczerwieniłam się. Wzięłam podstawkę pod piwo i zaczęłam nią dziko wachlować, jakby to duchota w pomieszczeniu była winna wypiekom na mojej twarzy.

Laura potrząsnęła głową, ale zauważyłam z ulgą, że z trudem hamuje śmiech.

– No to mów. – Cas uśmiechnęła się znacząco. – Kto to jest?

– Jak mówiłam, zaprzyjaźniony partner w interesach.

– Tak, a Natalie to Dziewica Maryja. – Cas przewróciła oczami.

– Zmartwychpowstała – mruknęłam.

– Ale czyż on nie jest zabójczo przystojny? – Laura nie mogła oprzeć się pokusie, żeby trochę się pochwalić. – Podobny do Alberta Finneya, prawda? Oczywiście jest o wiele młodszy i szczuplejszy, no i ma ciemniejsze włosy.

– Mmm. – Cas zerknęła w stronę baru, gdzie Charles czekał, aż zostanie obsłużony. – No, jak na takiego starego dziada wygląda nieźle, choć te welwetowe spodnie i łaty na łokciach, no, nie wiem.

Laura, słysząc to, nie mogła powstrzymać uśmiechu, choć nie dało się ukryć, że wołała spędzić wieczór sam na sam z rzekomym partnerem w interesach.

– No dobra, wytropiłyście mnie. Byłybyście teraz tak miłe i się zmyły? – zapytała z uśmiechem.

– Jesteś urocza. – Cas odwzajemniła uśmiech.

Najchętniej spełniłabym sugestię matki, ale moja dobrze wychowana pasierbica zauważyła, że Charles właśnie był tak miły i przyniósł wino, więc byłoby ekstremalną nieuprzejmością, gdybyśmy nie wypiły z nim przynajmniej po lampce.

Uczepiłam się swojego kieliszka i przypatrywałam się z rozbawieniem, jak Laura wije się pod komentarzami i aluzjami Cassie. Charles tylko się śmiał.

Wreszcie udało mi się odciągnąć Cas od stolika, aby matka w spokoju mogła nacieszyć się swoją sekretną schadzka. Wróciliśmy na farmę. Zachęcona tym kumplowskim wypadem próbowałam w drodze powrotnej nawiązać rozmowę z Cassie, ale zostałam rozczarowana. Dziewczyna wycofała się w swoje zwykłe, nieprzychylnie milczenie.

O drugiej nad ranem jakiś dźwięk wyrwał mnie z dziwnego snu o gadających gęsiach. Wróciła matka. Wprawdzie cichusieńko zamknęła za sobą drzwi, ale głośne skrzypienie trzeciego schodka, któremu towarzyszył głośny chichot, przerwało moją senną rozmowę z wyjątkowo przyjaźnie usposobioną Gertrude. Pogawędka toczyła się wokół tematu nadzienia preferowanego na pieczeń bożonarodzeniową. Usłyszałam niski śmiech, a potem dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi sypialni Laury. Zaskrzypiały sprężyny materaca uginającego się pod ciężarem dwojga osób. Naciągnęłam poduszkę na głowę i zmusiłam się do snu.

Obudziłam się tuż po szóstej. Nie mogłam już spać, bo byłam całkowicie rozbudzona, a do siódmej wstaną zapewne i inni.

Wstałam i zeszłam na dół do kuchni. Chciałam zaparzyć sobie herbatę i wrócić na górę, wziąć prysznic, a potem zjeść śniadanie.

Kiedy zalałam herbatę wrzątkiem, usłyszałam kasznięcie. Odwróciłam się. Za mną stał Charles, trzymając buty.

– Dzień dobry – przywitał się szorstko.

Kompletnie zapomniałam, że Laura miała w nocy gościa.

Od schodów dobiegł mnie stłumiony głos.

– Charles, skarbie, zapomniałeś czegoś!

Po schodach zeszła na palcach Laura.

Miała na sobie przezroczystą, białą koszulę nocną i haftowaną stolę na ramionach dla zachowania resztek przyzwoitości. W prawej ręce miała czapkę, lewą trzymała się poręczy.

Na mój widok stanęła jak wryta.

– Nattie, wcześniej dziś wstałaś – odezwała się podejrzanie wysokim tonem.

– Cóż, wy też już jesteście na nogach – odpowiedziałam, powstrzymując się od śmiechu.

– To znaczy, że wszyscy dziś wcześniej powstawaliśmy – dodałam, kiedy Laura oblała się rumieńcem.

Charles dosłownie wyrwał jej czapkę z ręki i pokłusował do drzwi.

– Muszę lecieć, miło... miło było panią widzieć raz jeszcze – rzucił do mnie w przelocie.

– Ależ proszę zostać na herbatę.

Uśmiechnęłam się czarująco i zakręciłam swoim kubkiem.

Laura posłała mi spojrzenie, w którym było więcej rozbawienia niż złości.

– Eee, dziękuję, nie. Śpieszę się, spóźnię się do... no, spóźnię się.

– To może śniadanie? Usmażę bekon – zawołałam za nim, ale on był już na zewnątrz.

Laura nalala sobie herbaty i usiadła naprzeciwko mnie.

– To wszystko wyjaśnia – powiedziałam.

– Co wyjaśnia? – zapytała, nie patrząc na mnie.

– Te nocne rumory. Słyszałam jakiś hałas, ale sądziłam, że mam zwidy.

Laura siorbnęła herbaty, nic nie mówiąc.

– Partner w interesach. Bo pękę ze śmiechu.

Przez moment wpatrywała się we mnie, aż w końcu zaczęła się śmiać.

– No dobra, przyłapałyście mnie. Charles to mój potajemny grzech.

– I nie masz z tym problemu?

– Z czym?

– Że jest żonaty.

– Skąd wiesz, że jest żonaty? Nic takiego nie mówiłam.

– No właśnie.

– O ile mi wiadomo, Charles i jego żona Evelyn prowadzą tak zwany otwarty związek.

– Ach, a skąd ty o tym wiesz?

– Charles mi powiedział.

– To chyba najnowsza wersja wymówki „moja żona mnie nie rozumie”.

– Owszem, ale tu jest zupełnie odwrotnie. Ona go rozumie aż za dobrze.

– A czy on tylko z tobą... jest tak otwarty, czy w równym stopniu oddaje się do dyspozycji innych czcigodnych obywaterek Trenrethen?

Na ustach Laury błąkał się uśmiech.

– Wiesz, mówisz teraz zupełnie jak moja matka przed laty, kiedy byłam młoda. To jest zamiana ról, przed którą ostrzegają we wszystkich kobiecych czasopismach: kiedy dzieci zaczynają przejmować odpowiedzialność, a rodzice stają się dziećmi. W kolejnym kroku będziesz chciała oddać mnie do domu starców.

– Nie znajdę takiego, który by cię przyjął. Za wysokie ryzyko, że po nocach będziesz przemycać do pokoju starych facetów.

– Starych facetów! – Mama zaśmiała się z oburzeniem. – Myślę, że Charles nie powinien tego słyszeć. Ale wiesz co? Jak na starego faceta to jest całkiem niezły w łóżku.

– Chyba nie chcę tego wiedzieć.

– Skąd ta cała pruderia? Przecież mówiłaś, że nas słyszałaś.

– Myślałam, że wzięłaś do pokoju parę zwierzaków, żeby ci było cieplej. W końcu ostatnia noc była dość chłodna.

– Ale nie w mojej sypialni. – Laura zasznurowała usta. – U mnie było gorąco.

Wzdrygnęłam się.

– Przestań, próbujesz mnie tylko wkręcać.

– Tak – przyznała mama ubawiona. – I nieźle mi to wychodzi.

Przeraźliwy ryk klaksonu obwieścił, że na podwórze wjechał Hank. Ponieważ trąbił przy wszędzie tylko w wyjątkowych przypadkach, wybiegłyśmy na zewnątrz, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Powrót Tryfidów – powiedział czyjś suchy głos za moimi plecami.

W drzwiach stała ubrana w szarą wełnianą piżamę Cas i przyglądała się, jak Betsy hamuje przed domem. Samochód Hanka wyglądał jak żywoptot na kółkach, jednak po bliższym przyjrzeniu okazało się, że na dachu przywiązana była ogromna choinka. Sięgała od bagażnika po poroże na długiej masce i niemal całkowicie zakrywała przednią szybę. Hank mógł widzieć, dokąd jedzie, przez szparę między gałęzmi o średnicy talerza.

Laura narzuciła prędko płaszcz i zaczęła się kręcić z przejściem wokół pojazdu. Hank odwiązał drzewko i ściągnął je z dachu. Sapiąc, rzucił je na ziemię i popatrzył pytająco na Laurę.

– Dokąd z nią?

Laura miała zdumiewający dar interpretowania wyrazu jego twarzy.

– Mhm – potwierdził.

– Fajnie byłoby mieć ją w kuchni, bo tam przebywamy najczęściej. Co wy na to?

Z aprobatą pokiwałam głową. Cas usiłowała przybrać znudzony i obojętny wygląd, ale kiedy zupełnie jej się to nie udało, zawtórowała.

Nieduży człowieczek bez wysiłku przetaszczył ogromnego chojara przez podwórko. Dopiero przy drzwiach położył go na ziemi, żeby ostrożnie, tyłem wciągając go przez drzwi; inaczej by się nie zmieścił. Hank pociągnął drzewko po podłodze z terakoty i oparł je w rogu pomieszczenia po prawej stronie kominka.

Wciągnęłam głęboko powietrze.

– Kocham ten zapach, tę woń świeżych, wilgotnych gałązek świerku.

– W środkach do mycia sedesów jakoś im się nie udaje go odtworzyć, co?

Laura wyszczerzyła się od ucha do ucha, widząc, jak stoję na środku kuchni i wężę jak Mac podążający za jakimś tropem.

Hank został na herbatę i ciastka, a potem ruszył dalej, żeby zajrzeć do cielnej krowy. Laura zorientowała się wreszcie, że jeszcze nie jest ubrana. Zniknęła na górce, żeby założyć coś na siebie. Po pół godzinie wróciła z pudłem ozdób choinkowych, które przez ostatnie lata deponowała w podłużnej stodole.

– Chociażbym nie wiem jak starannie pakowała ozdoby, zawsze coś się stłucze – poskarżyła się, stawiając pudło na podłodze.

Wydobyła z niego anielskie włosie, bombki i kolorowe szyszki, a na koniec ze szczególnym pietyzmem odwinęła przedmiot zapakowany w luksusowy papier. W środku była sfatygowana, stara wróżka, wykonana z rolki po papierze toaletowym i różowych, wyskubanych ze starego boa piór. Natychmiast rozpoznałam figurkę; sama ją zmaistrowałam, kiedy byłam jeszcze całkiem małą.

– Nie do wiary, że jeszcze to masz! – zawołałam.

Mama podniosła wzrok i uśmiechnęła się szeroko.

– Co roku wędruje na sam czubek choinki.

– Co to ma być? – Cas wzięła wróżkę między palec wskazujący a kciuk i odsunęła od siebie, jakby mogła się czymś zarazić.

– To miała być wróżka – mruknęłam. – Miałam zaledwie cztery lata, kiedy ją zrobiłam.

– Ale wtedy mówiłaś, że to balerina, Nattie – zaproponowała Laura.

– Naprawdę?

– Tak, upierałaś się przy tym. Zabraliśmy cię z tatą na przedpołudniowe przedstawienie „Dziadka do orzechów”, które kompletnie cię oczarowało. To była twoja wizja Cukrowej Wieszczy. A zatem jest małą tancerką, zupełnie jak nasza Cas, prawda?

W odpowiedzi Cas wydała z siebie pogardliwe prychnięcie i oddała Laurze wyskubaną wróżkę. Z niepokojem przyjrzałam się jej posępnej minie. Odkąd tu przyjechałyśmy, ani razu nie wspomniała słowem o tańcu. A ja nigdy nie widziałam, żeby ćwiczyła, choć w szkole poświęcała na to wiele czasu, trenując do konkursów, występów i egzaminów.

Może była taka sama jak ja. Myślałam, że moim życiem jest praca, ale odkąd tu przyjechałam, wcale za nią nie tęskniłam, po prostu zapomniałam o niej tak prędko, jak nastolatki zapominają o wakacyjnym flircie.

Wspólnie ubrałyśmy choinkę, a Laura zatknęła na czubku moją różową wieszczkę.

Był wieczór. Laurę nosiło.

– Ma ktoś ochotę na spacer?

Żadnej odpowiedzi.

– Jest taki piękny wieczór – próbowała zachęcić do wyjścia Cas.

Dziewczyna podniosła głowę znad książki i zmarszczyła czoło.

– Tak myślisz?

– No, bądź co bądź nie pada.

– Dla odmiany. – Cas wstała z dywanu. – Dobra. Czemu nie?

Laura zwróciła się do mnie.

– Nattie?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Idźcie same.

– Ach, chodź z nami. Przyda ci się odrobina świeżego powietrza.

Popatrzyłam na Cas. To głupie z mojej strony, ale chciałam, żeby to moja pasierbica zaprosiła mnie do pójścia. Chciałam, żeby obie chciały zabrać mnie z sobą, nie tylko Laura. Cas już zakładała buty. Uniosła wzrok i popatrzyła na mnie pytająco. Kiedy nie ruszyłam się z miejsca, zdjęła z wieszaka mój płaszcz i przyniosła mi go bez słowa.

Podniosłam się z uśmiechem, wzięłam okrycie i chwyciłam jakąś starą wełnianą czapkę Laury. Wyglądała jak ocieplacz na imbryk, ale za to była taka ciepła, że ją polubiłam. Laura już wiązała kalosze, a kiedy się schyliłam, żeby wzuć kozaki, mrugnęła do mnie.

– Gotowa? – Wyprostowała się.

Cas usiłowała przypiąć smycz do obroży Tuffa. Szczeniak jednak uznał, że to świetna zabawa, i tarzał się po podłodze, próbując capnąć zębami za sprzączkę, gdy tylko Cassie znalazła się w zasięgu jego mordki.

– Kiedyś będziesz musiał się do tego przyzwyczaić – westchnęła. – W przeciwnym razie, jak wrócimy do Londynu, przejedzie cię pierwszy autobus.

Cassie pierwszy raz wspomniała o powrocie.

– Z czasem się nauczy.

Laura pochyliła się i poklepała szczeniaka po łepku.

– Myślisz? Powoli zaczynam się martwić, że natura poskąpiła mu szarych komórek, tak samo jak Jasperowi.

Kiedy wyszłyśmy, Laura stanęła między nami. Wzięła pod rękę Cassie, potem mnie, i tak szczone ruszyłyśmy przez łąkę, potem minęłyśmy gęsty żywopłot z ligustru i weszłyśmy na pastwisko, opadające łagodnie w dół, i do kolejnego żywopłotu rosnącego pięćset metrów dalej.

Była piąta. Po naszej prawej stronie zachodziło powoli słońce, przeświecając przez czar-

nofioletową chmurę i zanurzając się w morzu. Wybrzeże zataczało tutaj łuk, a na północy cofało się nieco, tak że patrząc na prawo, zawsze widziało się morze. Przekroczyliśmy kolejne pastwisko. Przed nami rozciągała się plaża, a nieco bliżej widać była prowadząca do niej droga. Nie byłam pewna, gdzie jesteśmy. Trenrethen mogło znajdować się za szczytem wzniesienia w oddali, ale pewności nie miałam.

– Nie przypominam sobie tej okolicy.

Laura zerknęła na mnie na dźwięk mojego głosu.

– W końcu nie mieszkałaś tutaj zbyt długo, prawda? Prawdopodobnie niewiele tu widziałaś. – Zwróciła się do Cas z uśmiechem. – Trzeba było widzieć Nattie jako nastolatkę. Zamykała się w swoim pokoju i rozkręcała muzykę na cały regulator. Typowe zachowanie w tym wieku.

Cas zaśmiała się, ja zaś zaprotestowałam.

– Wcale nie było tak źle.

– Och, wręcz jeszcze gorzej. Ale nie biorę ci tego za złe, bo ja też nie byłam przykładną matką, prawda?

Popatrzyłam na nią zdumiona.

– Co to znaczy, że Nattie nie mieszkała tutaj zbyt długo? – zapytała Cas. – Myślałam, że sprowadziłyście się tutaj, gdy miała piętnaście lat.

– Tak – westchnęła Laura. – A jak miała szesnaście, wyniosła się do Londynu.

– Wyprowadziłaś się z domu w wieku szesnastu lat?

Na twarzy dziewczyny wymalowało się zdumienie i niedowierzanie.

Skinęłam głową, ale nic nie powiedziałam. Nie chciałam rozmawiać o tym z Cassie, bo mogła wpaść na pomysł, żeby wziąć ze mnie przykład.

– Nie wiedziałam o tym.

– Jest jeszcze parę innych rzeczy, których o mnie nie wiesz.

Cas pokiwała powoli głową, jakby właśnie dotarł do niej ten fakt. Zastanawiałam się, jak tu zmienić temat.

Teren opadał teraz nieco bardziej stromo. Z tego miejsca wyraźniej widać było plażę. Leżała na wprost nas, a w dole, między wzgórzami, widać była wąska droga. Tuż przed nami, jakieś trzysta metrów od drogi, za niewielką grupą drzew majaczyło coś szarego.

– Co to jest? – zapytałam, pokazując ręką.

Laura oderwała oczy od morza i podążyła spojrzeniem w pokazywanym kierunku. Do zbrocza przylatywał się niewidoczny od strony drogi, stary, rozwalający się domek. Był podłużny i niski, biały tynk opadał wielkimi płatami, a dach pokryty był łupkiem.

– To Smuggler's Cottage – wyjaśniła.

– Smuggler's Cottage? – powtórzyła sceptycznie Cassie. Laura nakarmiła ją już licznymi opowieściami o rozbitkach i piratach. – Naprawdę mieszkali tu przemytnicy?

– Jasne, w przeciwnym razie domek by tak się nie nazywał – obruszyła się Laura.

– Akurat w to uwierzę. Konik morski chyba też nie ma nic wspólnego z koniem, prawda?

Kiedy podeszłyśmy bliżej, domek ukazał nam się w całym swoim pięknie. Mógłby stanowić pocztówkowy motyw, gdyby nie był tak zaniedbany. Szary łupkowy dach, który jako pierwszy zauważyłam prześwitujący zza drzew, z bliska okazał się pełen dziur. Drzwi wejściowe były na w pół otwarte, zawiasy uszkodzone, a z rozlatujących się drzwi odłaziła czarna farba.

Większość szyb w oknach była rozbita, a ramy zmurszałe. Pomalowane na biało ściany poszarzały od wilgoci i były pokryte szmaragdowymi porostami. Ale mimo swojego żalosego stanu był to jeden z najpiękniejszych domów, jakie kiedykolwiek widziałam. Był położony wręcz sielankowo, schowany w jeżynowych chaszczach i wyłysiałych zimną dzikich różach. Trawa wokół

niego sięgała kolan.

– Jaki fajny dom. Kto dopuścił do tego, żeby popadł w taką ruinę? – mruknęłam, przechodząc przez lukę w ogrodzeniu z polnych kamieni, która kiedyś była furtką.

– Czyja to własność? – zapytała Cassie, podążając za mną.

Tuff kręcił się wokół nas w podskokach. Fascynowały go wspaniałe zapachy wydzielane przez dom i ogród, które teraz, zimą, dobrze wyczuwał swoimi wyostrzonymi zmysłami.

Laura uśmiechnęła się tajemniczo.

– Moja. – Wzruszyła ramionami. – Tak, domek należy do mnie.

Cassie wybałuszyła oczy ze zdumienia. Chciała coś powiedzieć, ale Laura ciągnęła dalej:

– Nadawał się już do remontu, jak się tu sprowadziłyśmy – wyjaśniła. Przeszła próg i weszła do pomieszczenia po prawej stronie. Jeśli chcieliśmy usłyszeć, co mówi, musiałyśmy pójść za nią. – Wtedy oczywiście nie był jeszcze w takim stanie, ale nie miałam pieniędzy, żeby coś z nim zrobić. To wielka szkoda, bo ta posiadłość wręcz krzyczy, żeby się nią zająć. Jasne, rozważałam, czy jej nie sprzedać komuś, kogo byłoby stać na remont, ale jakoś nie miałam serca. Mniej więcej osiem lat temu była nim bardzo zainteresowana pewna rodzina – chcieli go wyszukać na wynajem – ale byli tak okropni, że się nie zdecydowałam na transakcję. Mieli trójkę dzieci, to były prawdziwe potwory. Przyłapałam je na tym, jak rzucają kamieniami w owce i świetnie się bawią, drażniąc mojego biednego, starego Rufusa. Nie mogłam znieść myśli, że mieliby mieszkać w pobliżu. Ale oczywiście żał mi przyglądać się, jak to niszczyje...

Słuchając Laury, przechadzałam się po usianej kamieniami posadzce byłego pokoju dziennego, jak przypuszczałam.

– Wow! Popatrzcie, jaki stąd widok!

Laura zamilkła i poszła za mną. Ramy okienne kompletnie zmurszały, a szyba, którą kiedyś przytrzymały, leżała w kawałkach na kamiennej podłodze u naszych stóp. Przez ziejący pustką otwór okienny widać było ogród, i choć był całkowicie zdziczały, nadal można było dostrzec w nim rękę człowieka. Ograniczał go rząd polnych kamieni, które kiedyś były parkanem. Za rozwalonym murem widać było pas łąki opadającej ku piaszczystej plaży, a za nią, za ruinami ogrodzenia, rozciągała się nieskończoność morza.

– Cudowne, prawda? – rzuciła matka.

Skinęłam głową.

– Nigdy nie widziałam tego domku.

– Mówiłam już Cas, że nie mieszkałaś tu zbyt długo, a większość czasu spędzałaś u siebie w pokoju, snując plany ucieczki. Nigdy nie znalazłaś czasu, żeby rozejrzeć się po okolicy i przekonać się, czy jednak byś tu nie wytrzymała. Ale twój wyjazd nie miał nic wspólnego z Wichrowymi Łakami, racja? – Laura wyciągnęła do mnie rękę, a ja po krótkim wahaniu ją ujęłam.

Kroki nad nami zdradziły, że Cassie właśnie penetrowała górne piętro.

– Uważaj tam na górze! – zawołała do niej Laura. Ścisnęła moją dłoń i puściła. – Deski podłogowe są już gdzieś gdzieś trochę zbutwiały.

– Trochę? – powtórzył głos niedaleko, a kiedy zadarłyśmy głowy, zobaczyłyśmy przez dziurę w suficie uśmiechniętą twarz Cassie. – I jak? Czyżby to było wyjście awaryjne przemysłowców? – zapytała z udawaną naiwnością. – Kiedy się zjawi policja, po prostu zeskoczemy przez tę dziurę i w te pędy pobiegniemy z powrotem na piracki statek.

Nie ma nic piękniejszego, jak po powrocie z rześkiego spaceru zimą znaleźć się w ciepłej kuchni, zdjawszy buty, płaszcz i rękawiczki, i poczuć, jak łagodnie ciepło ognia przywraca krążenie w palcach u rąk i nóg. Poza tym przepelniała nas duma, że pokonałyśmy co najmniej pięć mil. W związku z tym mogłyśmy pozwolić sobie na coś naprawdę tuczącego – herbatę, ciasto i ogromną bombonierkę, którą mama dostała w podziękowanie od sąsiadki. We trzy w zastra-

szającym tempie pochłonęłyśmy całe pudełko. Potem pograłyśmy trochę w piotrusia, przy czym Laura i Cas kantowały niemilosiernie. O dziesiątej wszystkie poszłyśmy spać. Byłam bardzo zmęczona, naprawdę senna, ale w przyjemny sposób.

Ale zanim się położyłam, musiałam jeszcze coś załatwić. Wyjęłam papier, długopis i zaczęłam pisać.

Kochany Robie!

Przeżyliśmy dziś piękny wieczór, pełen ciepła, pod wieloma względami. Może Cassie akceptuje mnie teraz odrobinę bardziej. Taką przynajmniej mam nadzieję. Tak bardzo chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami. Stopniowo zaczynam zdawać sobie sprawę, jak mało o niej wiem – o tej prawdziwej Cassie, o jej poczuciu humoru i serdeczności.

Myślę, że nasz pobyt tutaj dobrze na nią wpływa. Początkowo martwiłam się, że moja decyzja, żeby tu przyjechać, może być niewłaściwa, ale teraz widzę, że już samo przebywanie z Laurą bardzo jej pomaga. Miałyśmy dziś z mamą mały przełom. To był tylko ulotny moment, ale wiele dla mnie znaczył. Ona rozumie więcej, niż myślałam. Wiem, że ma dobry wpływ na Cassie, ale muszę przyznać, że i mnie dobrze robi pobyt tutaj.

Kocham Cię i tęsknię, bardziej niż kiedykolwiek będziesz wiedział. Ale Ty o tym wiesz, prawda?

Zawsze Twoja

N.

Położyłam list na nocnej szafce. Postanowiłam wziąć go na następny spacer po wybrzeżu. – Mogłabyś zawołać Cassie na kolację?

Podniosłam wzrok znad gazety i uśmiechnęłam się do Laury. Właśnie sięgała ręką uzbrojoną w pasiastą rękawicę do wnętrza piekarnika.

– Jasne. Wiesz, gdzie jest?

– Chyba w stodole.

Wysłałam na zimny wieczór. Dopiero po raz drugi tego dnia wyściubiłam nos z domu. Dzień był ciemny i pochmurny, nic nie zachęcało nas do większych wypadów, więc spędziłyśmy go na czytaniu i wspólnym oglądaniu filmów. Przez długie, relaksujące godziny nie robiłyśmy niemal nic, a mimo to miałam poczucie, że jeszcze nigdy nie było nam we trzy tak dobrze.

Z gęstych, odległych o parę mil zarośli dobiegł krzyk samotnej sowy. Szansa kręciła się niespokojnie po swoim boksie. Stukotała kopytami po kamiennej posadzce w miejscu, gdzie rozkopała słomę.

Kiedy przechodziłam między stodołami, coś usłyszałam. Przystanąłam i nastawiłam uszu. Muzyka? Tak, z długiej stodoły rzeczywiście dochodziła muzyka. Coś klasycznego. Ze względu na moją znikomą wiedzę w tej dziedzinie nie umiałam powiedzieć, co to za kawałek, ale był oszałamiająco piękny.

Nawet ja, kompletna ignorantka na polu kultury, zastygłam na chwilę, żeby się wsłuchać.

Jak dobrze, że się zawahałam i nie wparowałam do środka. Gdybym zakłóciła scenę rozgrywającą się w środku, do końca życia robiłabym sobie wyrzuty.

Cas tańczyła. Ubrana była w wystrzępione dzinsy i odłożony do lamusa irlandzki sweter Laury, który zbiegł się w praniu i teraz idealnie pasował na dziewczynę. Na nogach miała mocno

zasznurowane trzewiki, ale jej taniec był pełen gracji, płynny i hipnotyzujący jak ruchy morza.

Cassie była jak w transie. Widziałam zwiewną istotę, wróżkę, niepoddającą się ani prawom grawitacji, ani ograniczeniom ludzkiego ciała. Cassie była jak podmuch powietrza, jak delikatny zielony liść unoszący się na wietrze, jednocześnie lekka i ekstatyczna.

Tańczyła tak pięknie, że aż bolało patrzeć. Ogarnęło mnie nieznanne uczucie, przeniknęło na wskroś od brzucha po krtań. Upłynęła chwila, zanim uświadomiłam sobie, że to bezbrzeżna duma.

Kiedy tak przyglądałam się jej jak urzeczona, Cas przestała tańczyć. Po prostu znieruchomiała, a potem z bólem rzuciła się na ziemię, objęła rękoma przyciągnięte do ciała kolana i zaniosła się płaczem. Ciche łzy rozpaczy, które rozdzierały mi serce. Najchętniej wzięłabym ją w ramiona i zapłakała wraz z nią. Ale nie wolno mi było poddać się temu impulsowi. Świadomość, że widzę ją w takim stanie, tylko spotęgowała jej ból.

Wycofałam się w mrok, wyśliznęłam na zewnątrz i bezszelestnie zamknęłam za sobą drzwi. Oparłam się o szorstki, zimny mur szopy i usiłowałam uspokoić przyspieszony oddech. Cassie i ja obie tęskniłyśmy za tym samym człowiekiem, a jednak nie potrafiłyśmy się wzajemnie pocieszyć. To tylko niewyobrażalnie pogłębiało moją samotność.

Kochany Robie!

Mój egoizm tak mnie zaślepił, że nie dostrzegałam wielu rzeczy. Co mogę zrobić, Robie? Chciałabym jej pomóc. Tak bardzo chciałabym jej pomóc, bo wiem, jak wielki jest jej ból. Wiem, jak boli tęsknota za Tobą, jak bardzo boli Twoja nieobecność. Ale co ja mogę dla niej zrobić, skoro ona mnie do siebie nie dopuszcza? I jak ją wesprzeć – nauczyć ją zamykać oczy na śmierć, tak jak ja? Dalej wszystko w sobie tłumić? Znaleźć gdzieś głęboko w sobie miejsce, gdzie mogłaby zakopać swój ból, żeby go nie czuć...

N.

Wnocy szalała burza, jak starotestamentowy Bóg rozgniewany na swój lud. Wicher szarpał za okna, a strugi deszczu smagały niemiłosiernie ściany domu.

Wstałam późno. Nie dlatego, że byłam niewyspana – bądź co bądź od paru nocy udawało mi się już spać po co najmniej cztery godziny w kawałku, dzięki czemu we dnie mogłam jako tako funkcjonować – nie, zostałam dłużej w łóżku, bo wydało mi się najbardziej atrakcyjne ze wszystkiego, co mógł przynieść dzień. Pod kołdrą było przyjemnie ciepło i przytulnie. Mój problem polegał na tym, że zawsze, kiedy za długo leżałam w łóżku, zaczynało gryźć mnie sumienie. Poza tym przypominał mi się wtedy tamten pusty, przygnębiający czas tuż po wypadku Roba, kiedy zaszywałam się na całe dni w pokoju jak nieumarła.

W końcu jednak zwlokłam się i wlałam na pół godziny do wanny, w daremnej nadziei, że pachnąca lawenda, gorąca kąpiel w pianie zmyje moją melancholię. Kiedy zesłam na dół, stwierdziłam, że jestem w domu sama.

Westchnęłam. Poszłam do pokoju po list do Roba, chwyciłam z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy Laury i założyłam solidne buty. Nie zważając na niepogodę, pomaszerowałam znajomą drogą przez łąki. Na szczęście dobrze orientowałam się w okolicy – widoczność wynosiła poniżej dziesięciu metrów.

Podwinęłam zbyt długie rękawy płaszcza, zmrużyłam oczy przed deszczem i zerknęłam na zegarek. Jeszcze nie było trzeciej. Ale było już tak ciemno, jakby za chwilę miał zapaść zmrok. Niebo i morze miały barwę ciemnego turkusu złamanego gdzieś białą pianą grzywaczy, które uderzały o granitowe skały i rozbijały się jak szkło na miliony kawałeczków.

Było mi potwornie zimno. Wsunęłam gołe ręce do kieszeni, ale impregnowana tkanina nie dawała ciepła. Widziałam coraz mniej, brnęłam dalej jak na autopilocie. Po prawej stronie słyszałam szalejące morze, więc kierunek musiał się mniej więcej zgadzać. Przy każdym kroku grzęzłam w rozmiękłym podłożu. Po około godzinie nadal nie było śladu domku huera. Zazwyczaj trasa ta zajmowała mi najwyżej czterdzieści minut. Przy każdym kroku zmagalam się z wiatrem. Gnała mnie już tylko granicząca z obsesją potrzeba porozumienia się z Robem.

Kiedy pokonałam łąki i dotarłam do klifu, strugi deszczu na mojej twarzy mieszały się ze słoną wodą. Byłam tak wyczerpana, że niewiele brakowało, a osunęłabym się na ziemię.

W oddali zahuczał grzmot. Zabrzmiał jak burczenie dochodzące z trzewi piekła, które rozkoszowało się kolejną zagubioną duszą. Nagle usłyszałam znajome ujadanie i zaraz potem wyrósł przede mną Mac.

Przykucnęłam, żeby się z nim przywitać, i sama się zdziwiłam, jak bardzo ucieszył mnie widok jego sympatycznej mordy. Wbił mi pysk w brzuch i merdał ogonem jak szalony. Potem oparł przednie łapy na moich udach i polizał mnie po twarzy.

W oddali ktoś zawołał moje imię, przekrzykując wiatr. Mac odwrócił się, nastawił uszu i ruszył pędem z powrotem. Nagle zatrzymał się, obejrzał się na mnie, a widząc, że nie kwapię się, żeby podążyć za nim, wrócił i trącił mnie nosem, jakby chciał powiedzieć „no rusz się”.

Znowu dobiegło mnie wołanie, a potem parę metrów dalej zmaterializowała się ciemna postać.

– Natalie? Nattie? To ty?

Connor.

Odsunęłam przemoczone włosy z twarzy i popatrzyłam na niego. Woda kapiała mi z nosa i podbródka.

– Tak, to naprawdę ty! Powiedz, co w ciebie wstąpiło, że błądasz się tu sama jak palec w taką pogodę?

– Musiałam przewietrzyć głowę. – Ochronnym gestem zacisnęłam palce na liście ukrytym w kieszeni płaszcza.

– No, to uważaj, żeby ci jej nie urwało. Wieje z siłą dziesięciu stopni.

– Ty też tu jesteś – odparłam przekornie.

– Tak, ale tylko dlatego, że zobaczyłem przez kuchenne okno, jak jakaś szalona kobieta lezie w stronę klifu. Uznałem za swój obowiązek ją powstrzymać.

– Nie potrzebuję stróża.

– Jasne. Tylko kogoś, kto od czasu do czasu przemówi ci do rozsądku.

– No dobra. To było nierozsądne.

– Wspaniale. Czyli się zgadzamy. – Jego twarz złagodniała. – Chodźmy stąd, Natalie, zanim oboje nas zwieje z tego urwiska.

Przez chwilę staliśmy bez ruchu i patrzyliśmy na siebie. W końcu uległam i poszłam za nim przez łąkę. Minęliśmy żywopłot z kolcolistu i dotarliśmy do upačkanej błotem terenówki Connora. Ledwie mężczyzna otworzył drzwi pasażera, Mac precyzyjnie się obok mnie i wskoczył do środka, sadowiąc swój mokry tyłek na fotelu z przodu, zadowolony, że może się schronić przed wiatrem i deszczem.

– Hej, zmiataj stąd, ty wielki miśku – przegonił go Connor, próbując przesunąć psa na tylne siedzenie, ale zwierzę nie ruszył się ani o milimetr. – Przepraszam. Czasami nie wie, gdzie jest jego miejsce.

Uśmiechnęłam się nerwowo.

– A może wie to aż za dobrze... Nie szkodzi, zmieszczę się...

Wcisnęłam się obok Maca, który łaskawie przesunął się odrobinę na bok, tak że jego zadek zawisł na hamulcu ręcznym. Z wdzięcznością oparłam się o jego masywne, ciepłe ciało.

Connor pobiegł skulony na drugą stronę wozu, szarpnął za drzwiczki i wskoczył do środka. Odgarnął mokre włosy z twarzy, zapalił silnik i wrzucił wsteczny bieg. Ziemia była tak rozmiękła, że opony zabuksowały parę razy, zanim znalazły przyczepny grunt.

Moje dłonie powoli tajały w ciepłe dmuchawy i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo przemarzłam. Musiałam się powstrzymać, żeby nie jęczeć z bólu, kiedy odrętwienie zaczęło ustępować i odzyskałam czucie w koniuszkach palców.

Connor zerknął na mnie, zdając sobie sprawę, co czuję. Zagryzłam do białości wargę, żeby nie zawyć. Nie zarzucił mi wprawdzie lekkomyślności, ale w jego wzroku wyczytałam wszystko. Zjechał na bok, chwycił mnie za dłonie i zaczął je pocierać i miętosić, aż ból przeszedł w mrowienie, jak wtedy, gdy zdrętwiała stopa budzi się do życia.

Ruszyliśmy dalej. Po pięciu minutach znaleźliśmy się pod jego domem.

Dopiero kiedy zobaczyłam światła w środku i na zewnątrz, uświadomiłam sobie, jak ciemno zrobiło się w ciągu ostatniej pół godziny. Ciemne chmury i burza sprawiły, że noc zapadła dużo wcześniej niż zazwyczaj.

Stary, wiejski dom Connora stał wtulony między dwa wzgórza i miał widok na morze. Był długim, niskim budynkiem o pomalowanych na biało ścianach. Tak mógłby wyglądać Smuggler' Cottage, gdyby go pieczołowicie odrestaurować i oddać w ręce dobrych ludzi.

Biegiem pokonaliśmy krótki odcinek od samochodu do domu. Connor otworzył ciężkie drzwi i pchnął mnie do środka. Mac precyzyjnie się obok nas. Korytarz ciągnął się przez całą szerokość domu. Schody na jego końcu prowadziły na piętro.

Connor w milczeniu wziął ode mnie płaszcz ociekający wodą, która zebrała się już w kałużę na wyłożonej płytkami podłodze, i zarzucił go na wieszak u stóp schodów. Obok powie-

sił swoją nie mniej przemoczoną kurtkę. Szczęśliwa, że pozbyłam się ciężkiego okrycia, natychmiast zostałam opryskana przez otrząsającego się Maca. Zraszacz do trawników to przy tym małe piwo. Dzięki psu byłam jeszcze bardziej mokra niż przed wejściem.

Na poważnej twarzy Connora wreszcie pojawił się uśmiech.

– Chryste Panie, jak ty wyglądasz? Jak zmokła kura! Czekaj, przyniosę parę ręczników. Przejdź do pokoju, zaraz do ciebie dojdę. W kominku jest napalone. – Wskazał na drzwi po lewej stronie i zniknął po schodach.

Zdjęłam ubłocone buty i postawiłam je na wycieracze przy drzwiach, potem schyliłam się w niskich drzwiach po lewej stronie. Gdyby nie było tak ciemno i burzliwie, przez dwa panoramiczne okna byłoby stąd widać Atlantyki. Trzecie okno na drugim końcu pokoju wychodziło nie na ogród, a na zbocze wzgórza. Pomieszczenie nie przypominało zwykłego salonu, tylko galerię, w której wystawiono parę dzieł artysty.

Ponieważ przy ogniu nie było na czym usiąść, sterczałam na środku, przyglądając się, jak ścieka ze mnie woda, dopóki Connor nie wrócił z dwoma miękkimi ręcznikami.

Męcząc się, usiłowałam zdjąć mokry sweter lepiący się do podkoszulka.

– Chodź no tutaj.

Connor podszedł o krok i bardzo pragmatycznie ściągnął mi przez głowę sweter wraz z T-shirtem, owinął mnie ręcznikiem, a drugim wytarł do sucha włosy, tak samo energicznie, jak przedtem rozcierał mi dłonie.

Wycierał coraz wolniej i delikatnie, aż w końcu zsunął ręcznik i pozwolił mu opaść na podłogę. Poprawił moje mokre włosy. Ostrożnie odgarnął mi kosmyk włosów z czoła i założył za ucho.

– Gotowe. Chyba dużo lepiej, prawda? – powiedział cicho z uśmiechem.

Czułam się o stokroć bardziej skrzępowana niż w chwili, gdy znalazł mnie – wariatkę – na klifach w środku burzy.

Zaczął rozwieszać moje rzeczy do wysuszenia, a ja założyłam jego sweter. Coś mi podpowiadało, że wypadaloby wszcząć z nim pogawędkę.

– Ładnie tu u ciebie.

Uśmiechnęłam się zażenowana, że mówię takie komunały.

– Dziękuję. Dobrze mi tu – odparł, nie patrząc na mnie.

Rozejrzałam się po pokoju. Na starym sosnowym stole przy ścianie stał wielki stół z białym płynem i pędzlami, a obok kwadratowy wazon wypełniony różnokolorowymi kamyczkami z plaży. Wszędzie zalegały mniej lub bardziej skończone dzieła sztuki. Obok drzwi o ścianę opierały się cztery dziewicze płótna. Na sztalugach tkwił duży obraz przedstawiający, jak przypuszczałam, widok z okien. W kącie pokoju leżała sterta naniesionego przez fale drewna, a obok niej stał sięgający mi do pasa koń zbudowany z kawałków drewna połączonych miedzianym drutem. Żadne z drewniaków nie zostało przycięte. Łączyły się z sobą jak kawałki układanki, tworząc gotową rzeźbę: galopującego wierzchowca. Musiał spędzić przy tym długie godziny. Przepiękna rzecz.

– Nie wiedziałam, że jesteś tak dobry – powiedziałam, nie zastanawiając się, jak niestosowna była w gruncie rzeczy ta uwaga. Connor tylko się uśmiechnął, obudziła się więc we mnie nadzieja, że nie zrozumiał tego opacznie.

Jak to się działo, że człowiek zawsze chciał uchodzić za szalenie mądrego i światłego, jeśli chodzi o sztukę? Przecież każdy miał swoje zdanie, a niektórzy byli po prostu lepiej poinformowani od innych.

Cierpiałam na niewielki kompleks niższości spowodowany tym, że nie ukończyłam żadnych studiów. Większość dziennikarzy, których znałam, miało dyplom wyższej uczelni – ja zaś

próbowałam pokazać wszystkim, że i bez tytułów zdołałam osiągnąć to, co chciałam. Czułam się jednak mniej warta na drabince społecznej. Nie miałam pojęcia dlaczego; w gruncie rzeczy wiedziałam, że to idiotyczne. Miałam swój rozum i umiałam z niego korzystać. I to znacznie bardziej wydajnie niż niejeden utytułowany kolega po studiach. Mimo to wyobrażałam sobie, że posiadanie takiego papierka musi dawać niejakiemu poczucie bezpieczeństwa.

Obok kominka leżała sterta udrapowanych artystycznie gałęzi. Próbowałam wykrzesać z siebie odpowiedni komentarz.

– Te tutaj... gałązki... są... eee... niezwykle oryginalne. Innowacyjne. – Miałam nadzieję, że to zabrzmiało, jakbym miała jakieś pojęcie o sztuce.

– Tak myślisz? – Uniósł jedną brew.

Pokiwałam skwapliwie głową.

– To drewno na opał, Natalie.

– Na opał?

– Tak. To jest drewno do kominka.

Wziął do ręki niedużą siekierkę opartą o ścianę za stertą.

– Och – powiedziałam tylko. – A ja myślałam, że to instalacja.

– Ta siekierka?

– Tak. – Przygryzłam wargę. – Myślałam, że to jakiś symbol czy coś w tym stylu.

Connor nie spuszczał ze mnie oczu, a ja usilnie starałam się nie dopuścić, żeby moja twarz upodobniła się kolorystycznie do krwistoczerwonych ciemierników w wazonie na parapecie.

I nagle zaczął się śmiać. Śmiał się i śmiał, dosłownie trząsł się ze śmiechu, do łez.

– Skąd miałam wiedzieć? – burknęłam i dopiero potem zdałam sobie sprawę, że usta rozciągnęły mi się w uśmiechu. Poczucie humoru zwyciężyło nad przeświadczeniem, że zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. – Dziś nie jest mój dzień – powiedziałam. – Czytałeś Douglasa Adamsa?

– Owszem, czytałem – przytaknął, ocierając łzy z kącików oczu.

– *Autostopem przez galaktykę?*

– Prawie wszystkie tomy.

– No więc czuję się trochę jak Artur Dent. Na początku któregoś tomu, nie pamiętam którego, ląduje sam jak palec w jakichś prehistorycznych czasach... Rozpaczliwie próbuje nie zwariować, naprawdę boi się, że traci zmysły. I pewnego ranka budzi się i myśli: no i co z tego. Co mi po tym, że bez przerwy się boję, że zwariuję. Z tego wszystkiego zapewne naprawdę zwariuję ze strachu! Więc równie dobrze mogę zwariować od razu i cieszyć się dobrymi stronami bycia wariatem, na przykład luksusem polegającym na tym, że nie trzeba się niczego obawiać. Mogę sobie darować te bolesne zmagania z utratą zmysłów. Bo prędzej czy później i tak zwariuję.

– I tak się właśnie czujesz?

– Tak mniej więcej, owszem.

Zdziwiłam się, że za mną nadązał.

– Chcesz o tym pogadać?

– Właściwie to nie – westchnęłam.

Connor kiwnął głową, jakby mnie rozumiał.

– Dobrze. Ale uważam, że powinnaś zadzwonić do Laury i powiedzieć jej, że tu jesteś. Na pewno się martwi.

Wyszedł przez drzwi na drugim końcu pokoju. Poszłam za nim przez wąski, słabo oświetlony korytarzyk. Po lewej stronie znajdowały się zamknięte drzwi, dostrzegłam też kolejne na

końcu korytarza. Zza załomu muru dobiegał słaby poblask.

– Telefon jest w gabinecie. – Ruchem głowy wskazał ciężkie drzwi. – Wstawię wodę. Wolisz kawę czy herbatę? A może coś mocniejszego?

– Herbata dobrze by mi zrobiła, dziękuję.

Zniknął na lewo, tam, skąd dochodziło światło. Pchnęłam ciężkie drzwi.

– Światło się włącza po prawej – zawołał przez ramię.

Pomacałam ścianę, znalazłam kontakt i wcisnęłam włącznik. I kiedy pomieszczenie zalało łagodne, ciepłe światło trzech kinkietów, omal mnie nie zatkało. Odnosiło się wrażenie, że wszystkie meble siedzące, których brakowało w salonie, wepchnięto do tego pokoiku. Ciężkie, bordowe kotary były zasunięte, wykładzina na podłodze gruba, a leżący na niej dywan wyglądał na drogi. Dzięki tej podwójnej warstwie miało się wrażenie, jakby się stąpało po poduszce.

Babciny fotel z zausznikami zapraszał do leniuchowania, a inny, z ciemnej skóry, do pracy przy biurku z ciemnej dębiny. I wszędzie były książki. Zatrzęsienie książek. Nie widać było nawet ścian. Książki piętrzyły się na podłodze, na biurku, na parapecie i przed kominkiem, w którym żarzyły się resztki ognia.

Kompletnie zapomniałam, po co tu byłam, i natychmiast sięgnęłam po oprawną w skórę książkę z jednego ze stosów. Przysunęłam ją do twarzy i z rozkoszą wciągnęłam zapach starego papieru. Potem odwróciłam ją grzbietem do góry i przeczytałam złoty napis.

Wichrowe wzgórza. Jakże trafnie. Omal nie parsknęłam śmiechem, kiedy otworzyłam książkę akurat na scenie, w której Katarzyna błądzi w czasie burzy po mokradłach. Pozostawiłam uratowanie jej Heathcliffowi, a sama zaczęłam przechadzać się od stosu do stosu jak trzmiel, który zabłąkał się do cieplarni i z nadmiaru nektaru nie potrafił zdecydować się, na którym kwiecie usiąść.

Kiedy Connor wrócił z parującymi filiżankami i przykurzoną butelką brandy, siedziałam na podłodze przy kominku z nosem w *Dumie i uprzedzeniu*. Podał mi herbatę, do której wlał porządną porcję brandy. Z wdzięcznością umoczyłam w niej usta i poczułam, jak ciepły płyn spływa mi do żołądka, a potem, kiedy alkohol dostał się do mojego krwioobiegu, ciepło rozlewa się po całym ciele.

– Lubisz książki? – zapytał z uśmiechem, przyglądając mi się uważnie.

– Uwielbiam je ponad życie. – Popatrzyłam na niego promiennie. – Sama piszę i potrzebuję słów i książek jak... jak cukrzyk insuliny... jak ty farb i płócien. – Zamilkłam i uśmiechnęłam się z zakłopotaniem. – Przepraszam, trudno mnie powstrzymać, kiedy już się rozpędzę.

Zaśmiał się i potoczył ręką wokół.

– Jak myślisz, co ze mną? Książki są niesamowite. Pomyśl, jeśli malujesz, to nie tworzysz po prostu ładnego obrazka. Tworzysz nowy, własny świat, w którym mogą się zagłębić inni. I to samo można powiedzieć o książkach. – Schylił się i wziął z jednej ze stert *Robinsona Crusoe*. – To nie jest tylko nagromadzenie słów, to nie jest zwykła historia. Ta książka naznaczyła moje dzieciństwo i uczyniła mnie tym człowiekiem, którym dziś jestem.

– Wiem, co masz na myśli. Kiedy widzę twoje książki, czuję się, jakbym spotkała dawnych przyjaciół. Jako dziecko czy nastolatka nie miałam zbyt wielu prawdziwych przyjaciół – przyznałam. – Często się przeprowadzaliśmy i nigdzie nie zagrzewaliśmy miejsca na dłużej, żeby móc nawiązać prawdziwe przyjaźnie. Nawet nie wiem, jak to się robi. Nie jest łatwo ciągle być nową, szczególnie wtedy, gdy nie można się pochwalić odpowiednim statusem. Ale te książki i ich bohaterowie byli moimi przyjaciółmi i wydawali mi się często bardziej realni niż rzeczywistość. Kiedy Jaskółki walczyły z Amazonkami, żeglowałam razem z nimi w ciemnościach pośród skał, prowadzona przez dwie latarnie. Kiedy Lucy przeszła przez szafę do Narnii, zostawiłam

w śniegu swoje ślady obok jej stóp. Że też możliwe jest przenieść kogoś do innego świata wyłącznie za pomocą słów... – Westchnęłam z zachwytem. – Dlatego zaczęłam pisać. Chciałam zostać pisarką, pisać powieści. Ale jakoś od tego odeszłam. Nie żeby moja praca nie sprawiała mi radości, ale to nie jest całkiem to, co chciałam robić pierwotnie.

Umilkłam, uświadomiwszy sobie, że miałam ozorem bez ani chwili przerwy. Ale Connor uśmiechał się zachęcająco, a w jego wzroku nie było ani odrobiny wyższości.

– Życie czasami nabiera takiego tempa, że człowiek nie jest w stanie sam obrać kierunku – powiedział i usiadł przy mnie na podłodze. Przez nieuwagę dotknął przy tym mojego ramienia. Dostałam gęsiej skórki, choć w pokoju było przytulnie ciepło. – A co jeszcze robisz? Poza czytaniem?

– To. – Pokazałam ręką szachownicę przy kominku. – Nie jestem szczególnie dobra, ale lubię grać. Bo nie muszę przy tym wysilać umysłu. Laura i Cassie nie chcą ze mną grać. Dawniej często grywałam z Robem... – urwałam i wzięłam głęboki wdech, żeby stłumić ból.

Nie uszło jego uwadze, że załamał mi się głos. Przypatrywał mi się, jak biorę się w garść.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytał mnie o to już po raz drugi tego dnia, tym razem jednak w jego głosie nie było ani cienia ironii.

– Nie. – Potrząsnęłam głową. – Zawsze mnie ogrywał.

Oczywiście Connor, pytając, nie to miał na myśli, ale byłam mu wdzięczna, że zaakceptował mój perfidny wykręt. Wziął szachownicę i rozłożył ją na podłodze między nami.

– Skoro nie chcesz rozmawiać, to może zagramy partyjkę?

– Miałbyś ochotę? No wiesz, nie chciałabym cię odrywać od pracy czy innych spraw.

Pokręcił głową.

– Skończyłem na dzisiaj. No to gramy. Nieczęsto się zdarza, że trafiam na innego miłośnika szachów.

Figury były z marmuru. Biały kamień był poprzetykany cieniutki zielonymi żyłkami, czarny – białymi. Były chłodne i gładkie w dotyku.

Uwielbiałam grać w szachy, ale umiałam przewidzieć w myślach konsekwencje tylko jednego jedyne go ruchu. Connor za to umiał planować trzy posunięcia naprzód. Wygrał trzy razy z rzędu. Aż sam się zawstydził.

– Nie przejmuj się. Jestem już przyzwyczajona do ciągłego przegrywania.

– Co powiesz na ostatnią rundę? Przed chwilą prawie mnie pokonałaś.

Pokręciłam głową.

– To bardzo miłe, dzięki, ale myślę, że będę się powoli zbierać.

Popatrzył na zegarek i ściągnął z troską brwi.

– O rany, już tak późno? Minęła siódma. Laura pomyśli, że cię uprowadziłem.

– Ups. – Zrzedła mi mina. – Kompletnie zapomniałam do niej zadzwonić. Tak mnie rozproszyła twoja biblioteka...

Podał mi puste filiżanki.

– Jeśli zanieziesz je do kuchni, to ja zadzwonię do niej w tym czasie.

Byłam mu wdzięczna, że chciał mnie wyręczyć w tym zadaniu i obdarzyłam go uśmiechem. Szczerze mówiąc, wcale nie zapominałam o telefonie, tylko świadomie wyparłam tę myśl. Poza tym podobało mi się tutaj. Dom, jego położenie i Connor – wszystko to sprawiało, że przez chwilę nie musiałam myśleć o swoich problemach.

Gdybym teraz musiała rozmawiać z matką albo, co gorsza, z Cas, to musiałabym nagle powrócić do rzeczywistości. A ta nie podobała mi się zbyt w tej chwili.

Kuchnia była wspaniała. Dużo bielonego drewna, białe ściany – było jasno i przestronnie, nowoczesnie, a jednak przytulnie. Znajdowały się tu wszystkie urządzenia, jakie sobie można

było zażyczyć, ale błyszczały taką nowością, jakby nie były używane zbyt często. Najwyraźniej nie było tu zmywarki, więc wstawiłam filiżanki do zlewu i nalałam gorącej wody.

Słyszałam, jak Connor rozmawia z moją matką. Przemawiał do niej uspokajająco, a mnie zdjęły wyrzuty sumienia: na pewno się o mnie zamartwiała.

Czasami potrafiłam być taką egoistką, skupioną tylko na sobie, jakbym tylko ja sama umiała zrozumieć siebie.

Zapominałam, że Laura przeszła to samo, co ja, kiedy była dokładnie w moim wieku. Nie, nawet młodsza. Dobrze pamiętałam, jak zamknęła się w sobie, kiedy umarł tata, jaka była zdystansowana i nieprzystępna, jak sprawiała wrażenie, że zgasło w niej wszelkie życie. Pamiętałam też dobrze, jakim smutkiem napełniała mnie strata mojej żywej, czulej, ukochanej mamy – człowieka, w którego Laura teraz zamieniła się z powrotem. Nienawidziłam tamtej Laury. Czułam się porzucona. Jej problemy ukradły mi matkę. Wtedy miałam ochotę na nią nawrzeszczyć, żeby się wzięła w garść, z łaski swojej, żeby żyła dalej, była silna – wszystko to, co dziś puszczałam mimo uszu, kiedy słyszałam to od innych...

Wycierałam filiżanki, kiedy do środka z poważną miną wszedł Connor.

– Laura powiedziała, że polną drogę zatarasowało zwalone drzewo, to samo jest na drodze A30. A w radiu ostrzegają przed podtopieniami wywołanymi silnymi opadami deszczu.

– Wszystko u niej w porządku?

– Teraz, kiedy już wie, że nie zabiło cię żadne przewracające się drzewo, owszem. Przez godzinę cię szukali.

– O, nie! Naprawdę?

Odstawiłam filiżankę i zasłoniłam dłonią usta.

Przytaknął.

– O Boże, jak mi przykro. Nikomu nie powiedziałam, że wychodzę na spacer.

– Na to wygląda.

– Muszę wracać do domu.

Connor potrząsnął głową.

– Nie da rady. Droga jest jeszcze zatarasowana. Polny trakt też. Strażacy pewnie odblokują ją w miarę szybko, ale twoja matka powiedziała Hankowi, że może spokojnie poczekać do jutra z odblokowaniem drogi do farmy. Cała Laura: nie chce, żeby w taką pogodę wychodził na dwór. Więc nie mogę cię odwiedzić, wszystkie drogi są zamknięte.

– To pójde pieszo.

– Weź, przyhamuj trochę.

– Dlaczego? To przecież nie jest daleko, dam radę.

– Jasne. Ścieżką wzdłuż wybrzeża i przez łąkę, z której cię przedtem pozbierałem, o ile dobrze pamiętasz. Już wtedy nie chciałem, żebyś się tam kręciła, a tym bardziej teraz, kiedy jest ciemno i wieje jeszcze mocniej.

Próbowałam zwrócić mu uwagę, że nie potrzebuję pozwolenia Connora Blythe'a, ale wiedziałam, że przemawia przez niego czysty rozsądek, podczas gdy ja znowu reagowałam irracjonalnie.

– Obiecałem Laurze, że zatrzymam cię u siebie na noc.

– To niemożliwe – wyrwało mi się. Myśl, że miałabym spędzić tu noc, napełniła mnie przerażeniem. – To znaczy, nie chciałabym być dla ciebie ciężarem...

– Nie jesteś dla mnie ciężarem. – Jego napięta twarz złagodniała. – A tak w ogóle: ile razy niańczyłaś Maca?

– Ale to coś zupełnie innego!

– No pewnie, ty masz lepsze maniery.

Jego uśmiech pogłębił się, mój niepokój również.

– Skąd ty to możesz wiedzieć?

Uśmiechnęłam się figlarnie.

– Cóż, o ile zdążyłem zaobserwować, nie puszczasz bąków w towarzystwie i nikomu nie podkradasz jedzenia z talerza, zgadza się?

– W każdym razie nie otwarcie.

Byłam mu wdzięczna za jego humor.

– Dobra, to ustalone. Zostajesz tu na noc i basta. Kolejny problem jest taki, że wprawdzie mam pokój gościnny, ale bez łóżka.

– Położę się obok Maca. On też mi włązi do łóżka, kiedy u nas jest.

Pokręcił głową.

– Możesz spać w moim pokoju.

– A ty? Gdzie będziesz spał?

– W salonie.

– To ten pokój z obrazami? – zapytałam zaniepokojona. Jedynym meblem, który mógłby tam służyć do spania, był stół. – To zupełnie nie wchodzi w grę. Nie zmrzyłabym oka, leżąc w twoim łóżku ze świadomością, że ty musisz spać na zimnej kamiennej posadzce.

– To nie będzie konieczne.

Zaprowadził mnie z powrotem na korytarz i otworzył ostatnie drzwi, za którymi krył się jeszcze jeden maleńki pokoik.

Teraz zrozumiałam: pokój z obrazami wcale nie był salonem, tylko atelier. Salon mieścił się tutaj. Mały, ale elegancki. Przepięknie urządzone. Jakby ktoś wyciął go z jakiejś wielko-pańskiej willi, włożył do suszarki i wyjął z niej nieco mniejszy. Przy obu oknach wisiały grube zasłony w kolorze starego złota, meble były dębowe. Na stoliku piętrzyło się jeszcze więcej książek: były to przepiękne albumy o sztuce.

Na maleńkim stoliku stał, nie rzucając się w oczy, przenośny telewizor. Ściany zdobiły obrazy, ale nie namalowane przez Connora, tylko akwarele przedstawiające kolorowe ogrody i zielone pejzaże, zupełnie inne niż dzikie, piękne obrazy morza, które sam malował. No i była tu ogromna sofa. Taka, w którą człowiek wpadał, siadając.

– Widzisz? Jest cholernie wygodna. I zmieściłaby się na niej drużyna rugby, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Czy więc teraz przestaniesz się krygować?

Przytaknęłam.

– Okej, więc kwestię spania wyjaśniliśmy. Kolejny punkt: jedzenie. Zamówiłbym coś z dostawą, ale wątpię, czy ktoś przyjedzie w tę pogodę.

– Nie jestem głodna – odparłam, choć nic nie jadłam od rana.

Miałam wrażenie, że mój żołądek strajkuje.

– Ja owszem, a chyba nie pozwolisz, żebyśmy jadt w samotności, prawda?

– To zależy od twoich kucharskich umiejętności – zażartowałam, żeby ukryć nerwowość.

– Ach, przyrządzenie steków to żadna sztuka.

Wróciliśmy do kuchni. Connor włączył grill w piekarniku i wyciągnął nóż ze stojaka.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Otworzył lodówkę i wyjął opakowanie pieczarek.

– Możesz je oczyścić, jeśli chcesz. W ostatniej szufladzie po prawej jest szczoteczka.

Oczyściłam grzyby i podałam je Connorowi, który w pozazdrosczenia godny, wirtuozerski sposób zonglował jednocześnie ostrym nożem i patelnią. Pokroił na sporej desce pieczarki i wrzucił je do gorącego tłuszczu, w którym rumieniła się już pokrojona w kostkę cebula. Dodał czosnek, pieprz, czerwone wino i śmietanę, i zostawił na wolnym ogniu cudownie pachnący sos.

W tym samym czasie wyjął z lodówki warzywa na surówkę i posiekał je drobno, aż duża, niebieska miska z kamionki wypełniła się po brzegi.

Steki prędko doszły na grillu. Connor przełożył je na talerze i polał sosem.

– Przyrządzenie steków to żadna sztuka – zacytowałam go ironicznie, pomagając w nakryciu niedużego stołu. Kiedy w dodatku położył obok miski z surówką bochenek świeżego chleba, zawołałam: – Tylko mi nie mów, że sam go upiekłeś!

– Własnoręcznie wyrobiłem ciasto i rozwałkowałem je na łonie eterycznych dziewczyc – zapewnił mnie, pokazując puste foliowe opakowanie z nadrukiem supermarketu. Hojnie rozlał do kieliszków wino, którego użył do gotowania. – Na zdrowie! A teraz bierz się za jedzenie. Nie jest takie złe, jak wygląda.

– Wcale nie wygląda źle. Wręcz przeciwnie.

Chciałabym umieć wyczarować jak z rękawa taką kolację. Może to zasługa artystycznej żyłki Connora. Jego pomysłowość najwyraźniej nie ograniczała się tylko do farb i płócien. Może był rzadkim egzemplarzem mężczyzny idealnego, który po prostu miał smykałkę do wszystkiego. Artysta, wyśmienity kucharz, zabójczo przystojny, szarmancki, z domem na wysoki połysk.

Zatrważający.

– Smakuje fantastycznie – mruknęłam.

– I jest fantastycznie proste.

I w dodatku skromny.

– Mógłbyś pracować jako kucharz.

– Na litość boską, nie! – Omal się nie udławił. – Zdradzić ci tajemnicę? – Nachylił ku mnie konspiratorsko. – Jestem beznadziejnym kucharzem. To jest jedyne danie, które umiem przyrządzić. No, może jeszcze dobre angielskie śniadanie, ale to w końcu naprawdę żadna sztuka wbić jajka do patelni, przysmażyć szynkę i zrobić z tego w miarę smaczne jedzenie. Poza tym – zawiesił głos i pokazał widelcem na talerz – przepis nie jest mój.

Musiałam się roześmiać. Z siebie i z niego. Wpadłam we własne sidła – winiałam go za to, że jest idealny i nie ma żadnych wad – bo nie mogłam znieść, że jest taki idealny. Bo nie chciałam sobie pozwolić na to, żeby lubić go tak bardzo, jak polubiłam od naszego wspólnego pikniku.

Spróbowałam się odprężyć.

– Zawsze chciałeś być artystą?

Potrząsnął głową.

– W życiu. Najpierw chyba chciałem zostać nurkiem głębinowym. Do tego w sporym stopniu przyczynił się Jacques Cousteau – wyjaśnił, uśmiechając się od ucha do ucha, kiedy pytając uniosłam brwi. – Potem oczywiście chciałem zostać Jamesem Bondem. Chyba wszyscy chłopcy mają taką fazę, kiedy chcą zostać jakimś superbohaterem.

– Jasne. Kobiety zawsze leciały na Jamesa Bonda.

– Możliwe, ale wtedy bardziej interesowały mnie jego samochody. Wcześniej doceniłem zalety jego aston martinów niż kochanek. To drugie przyszło później.

– Kiedy byłam mała, chciałam latać – wyznałam nieśmiało, ze wzrokiem utkwionym w talerzu.

– Chciałaś zostać pilotem?

– Nie. Nie chciałam być w środku samolotu. Chciałam tylko latać. Jak ptak. Rozłożyć ręce i unieść się w powietrze. Czasem o tym śnię. Śnię, że po prostu latam, że nad głowami wszystkich śmigam z wirtuozerią jaskółki i czuję przy tym wyższość. Umieję latać, podczas gdy wszyscy inni nie mogą oderwać od ziemi betonowych stóp.

Dolał mi wina.

– Gdzieś czytałam, że we śnie pragnienie latania oznacza, że człowiek chce uciec przed problemami – dodałam cicho.

– Czy słusznie przypuszczam, że kiedy już jesteś tam w górze, masz ochotę narobić na głowy paru osobom? – zapytał ze śmiertelnie poważną miną.

Ze śmiechu omal nie zachłysnęłam się winem. Dostałam ataku kaszlu.

– Tak bardzo ci nie smakuje? – zapytał z miną niewiniątka, przyglądając mi się, jak zasłoniwszy usta, próbuję uspokoić oddech.

– Nie, nie, jedzenie jest wyborne. Ale twój dowcip...

– Ach, uważasz, że był kiepski? A słyszałaś ten o zajączku? Przychodzi zajązek do sklepu mięsnego i pyta „masz kapustę”...?

Już nic nie było go w stanie powstrzymać. Sypał kawałami jak z rękawa, a wszystkie były tak idiotyczne, że aż śmieszne. Przez pół godziny tarzałam się ze śmiechu, nie mogąc jeść dalej. Aż w końcu Connor zrobił przerwę i popatrzył z troską na mój talerz.

– Prawie nic nie zjadłaś. To może deser? Jakies owoce czy coś?

Pokręciłam głową i poklepałam się po brzuchu.

– Nic już się tu nie zmieści. Ale było świetne, naprawdę. Dziękuję.

– Co powiesz na kieliszeczek brandy?

Wino było dość mocne i już nieźle szumiło mi w głowie. Ale zasmakowałam w alkoholu.

– Chętnie, dziękuję.

Zabrał talerze, postawił je przy zlewie, wyjął z jednej z szafek butelkę koniaku. Ja w tym czasie sprzątnęłam resztę ze stołu. Na ścianie przy oknie zauważyłam czarno-białe zdjęcie w ramce. Przedstawiało trójkę ludzi, stojących przed domkiem, mającym pewne podobieństwo do Loft Cottage. Pośrodku kobieta, po jej bokach dwóch mężczyzn.

– Kto to jest?

– Moi rodzice z wujkiem. Mama to ta w sukience – kto by pomyślał – ten mężczyzna po prawej to mój ojciec, a ten starszy facet po lewej to wujek Vernon. Jedyne z całej trójki, który jeszcze żyje. Ma już osiemdziesiąt siedem lat i trzyma się jak młodzieniaszek. Zaklina się na wszystkie świętości, że zawdzięcza to trzem szklaneczkom guinnessa, które wypija co wieczór, odkąd skończył czternaście lat.

– Czy to zdjęcie zostało zrobione w Irlandii?

– Tak.

– Długo już tu mieszkasz?

– W Anglii czy w Kornwalii?

– I to, i to.

– Do Anglii przyjechałem, jak miałem dziewiętnaście lat. Dokładnie rzecz biorąc do Londynu. Tam mieszkałem do jakiegoś dwudziestego siódmego, dwudziestego ósmego roku życia, aż miałem dosyć i przenieśliem się tutaj, do Kornwalii.

– A nie chciałeś wracać do domu?

– Do domu?

– Do Irlandii?

– Tam się urodziłem, a to wcale nie znaczy, że tam jest mój dom. Dom jest tam, gdzie człowiek czuje się dobrze. Sami go sobie wybieramy.

Usiadł z powrotem przy stole i rozlał szczerze brandy do kieliszków. Usiadłam na wprost niego. Podsunął mi lampkę i wznosił toast.

– Na zdrowie.

– Na zdrowie – zawtórowałam. Trochę zbyt łapczywie wzięłam łyk i rozkaszałam się,

kiedy palący płyn spłynął mi do tchawicy. – Masz jakąś rodzinę? – zapytałam, kiedy już mogłam normalnie oddychać.

– Brata. – Skinął głową. – Jest pięć lat młodszy, żonaty i ma z osiemnastu dzieci.

Wybałuszyłam oczy.

– Osiemnaścioro?

– No dobra, właściwie tylko piątkę, ale jak się rozkręca, to robią za osiemnaścioro.

Najmłodsze ma dwa latka, najstarsze dziesięć. Więc możesz sobie wyobrazić, co się dzieje u nich w domu.

– I mieszkają jeszcze w Irlandii?

Pokręcił z uśmiechem głową.

– Niedaleko Newcastle.

– A ty?

– Ja?

– Tak, ty. Byłeś już kiedyś żonaty?

– Nie.

– Nie? – Czekałam na dalsze szczegóły, ale on milczał. Dolał brandy i zaczął sączyć powoli trunka, przyglądając mi się z rozbawieniem.

– Przyjaciółki? – zapytałam i natychmiast tego pożałowałam, bo to zabrzmiało, jakbym była nim zainteresowana, a nie to było moim zamiarem.

– W Londynie żyłem z pewną kobietą. Byliśmy ze sobą jakieś sześć lat.

– I co się stało?

– Przeprowadziłem się tutaj.

– I już?

– Kochała życie w mieście bardziej niż mnie.

– Przykro mi.

– Dlaczego? Nic nie dzieje się bez powodu. A przecież nie w porządku byłoby oczekiwać, żeby zrezygnowała ze wszystkiego, co dla niej ważne, tylko dlatego, żebym ja mógł zrealizować swoje marzenie, prawda? Nie chciałem zostać z nią w Londynie, a ona nie chciała przenieść się do Kornwalii. To nie jest kwestia czyjejś winy. Po prostu mieliśmy odmienne wyobrażenia o życiu i one były ważniejsze.

– A potem?

– Nie spotkałem nikogo, kto byłby dla mnie dość ważny. – Zajrzał głęboko do kieliszka.

Kiedy podniósł wzrok, w jego szaroniebieskich oczach błyszczały chochliki. – Ale ostatnio nawiązałem gorący romans z Orlaithe. Niejako pod nosem Hanka.

– Jasne – popatrzyłam na niego promiennie. – A mnie kręci Daveth Brann.

– Ach, naprawdę? Ale on też jest żonaty i ma z osiemnastu dzieci. Ciekawe, kiedy on ma czas cię uwodzić? Ale jeśli ma tyle dzieci, to pewnie ma wprawę w problematyce rozmnażania...

– On też ma tyle dzieci? Jak ci ludzie to robią? Mnie przerasta opieka nad jednym.

Powiedziałam to w żartach, ale Connor przestał się śmiać i popatrzył na mnie poważnie.

– Może za bardzo się starasz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dzieci są jak zwierzęta, Nattie. Wyczuwają, kiedy jest się nerwowym albo zestresowanym i udziela im się to. Caspo prostu robi to, czego się po niej spodziewasz.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – powtórzyłam.

– Dziewczyna dobrze wie, że tylko czekasz, aż zaczniesz się stawiać i działać ci na nerwy.

Więc dokładnie tak reaguje.

– Uważasz zatem, że to wszystko moja wina? – zapytałam i poczułam się prawie dotknięta.

– Nie, wcale tak nie uważam. Nie wydaje mi się, żeby to była czyjkolwiek wina. Poпадłyście po prostu w jakiś rodzaj błędnego koła, to wszystko.

– Błędne koło. Aha.

– Proszę, nie zrozum mnie źle, Nat. Nie chcę cię krytykować. – Uśmiechnął się pojednawczo. – Wręcz przeciwnie. Uważam, że robisz to... no, wspaniale. Nie miałaś łatwo.

– Moja matka za dużo gada – burknęłam. – Czy tu, w zachodniej Kornwalii, w ogóle jest jeszcze ktoś, kto nie jest o wszystkim poinformowany?

– Chyba nie. Dużo dla niej znaczysz, Natalie. Mam nadzieję, że o tym wiesz?

Popatrzyłam na niego, nie rozumiejąc.

– Dla twojej mamy. Ciągle o tobie mówi.

– Ach tak?

– Tak. Nieustannie. Dlaczego nigdy jej nie odwiedzasz?

Mogłam mu teraz powiedzieć, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy i zajął się własnymi problemami, ale z jakiegoś niepojętego powodu odczułam potrzebę wyjaśnienia mu, jak to było. Nie chciałam, żeby źle o mnie myślał. Było dla mnie ważne, żeby rozumiał, jaki rodzaj relacji łączył mnie z Laurą przez lata, a właściwie nie łączył. Tylko od czego miałam zacząć?

– Nie było nam ze sobą łatwo, kiedy zmarł mój ojciec – zaczęłam ostrożnie.

Kiwnął głową, żeby zachęcić mnie do mówienia.

– Tak bardzo się zmieniła. Z dnia na dzień. Naprawdę. To jasne, że coś takiego pozostawia ślady, sama dobrze to wiem... teraz. Ale wtedy czułam się tak, jakbym straciła nie tylko ojca, ale i matkę. Nagle stała się taka zimna. Taka odpychająca. Wykluczała mnie ze wszystkiego. A przecież jej potrzebowałam. Miałam dopiero sześć lat, właśnie straciłam ojca i potrzebowałam mamy...

Załamał mi się głos. Po raz pierwszy mówiłam innemu człowiekowi o moich uczuciach. Nie rozmawiałam o tym nawet z Robem. Oczywiście, parę razy pytał, dlaczego tak rzadko bywam u Laury, ale za każdym razem wykręcałam się od odpowiedzi, zmieniałam temat, jakbym się wstydziła swoich relacji z matką. Jakbym się wstydziła, że wprawdzie kiedy dorosłam, zrozumiałam, dlaczego po śmierci ojca tak bardzo się zmieniła, ale mimo to nie byłam w stanie zapamiętać o ranach, jakie mi zadała, o tym wielkim bólu odrzucenia.

Wydawało mi się to mankamentem, a przecież chciałam, żeby Rob widział we mnie kobietę idealną. Z Connorem było inaczej. Dla niego nie musiałam być idealna. Ale nie powinien sądzić, że emocjonalnie dreptałam w miejscu, odkąd wyprowadziłam się z domu w wieku szesnastu lat.

Uśmiechnęłam się. To był serdeczny uśmiech, który miał podkreślić, że to wszystko mam już za sobą.

– To było dawno. Im jestem starsza, tym lepiej rozumiem to wszystko.

– Tak, ale samo rozumienie nie wystarczy. Musisz jeszcze wybaczyć.

– Przecież wybaczam. Wybaczyłam jej. Każdy jest kowalem swojego losu. Nie mogę liczyć na to, że uszczęśliwią mnie inni ludzie.

– A co z twoją matką, Natalie? Siedzisz tu i mówisz, że jej wybaczyłaś to, że nie była przy tobie, kiedy potrzebowałaś jej najbardziej. A odkąd skończyłaś szesnaście lat, odwiedziłaś ją może z pięć razy.

– Myślałam, że chciałaś zostać Jamesem Bondem, a nie Zygmuntem Freudem?

– Wiem. Przepraszam. Zawsze ma się gotowe rozwiązania na problemy innych. Sam

wiem, jak to jest stracić kogoś bliskiego, a ty wiesz, jak to jest stracić kogoś, kogo się kochało. Człowiek chce odsunąć daleko od siebie wszystkich innych, którzy są mu bliscy, z obawy, że ten ból mógłby się powtórzyć. Kto nic nie czuje, temu nie można sprawić bólu. Jeśli się nie ma niczego, co może zostać odebrane, nie można nic stracić. Tę obojętność można udawać wobec innych, ale samego siebie na dłuższą metę oszukasz. A na domiar złego dochodzi do tego poczucie winy. Może to moja wina, że zmarł kochany człowiek? Może to spotka każdego, kogo dopuszczę zbyt blisko siebie? Popatrz tylko na Cas. I jak się od ciebie separuje.

– Robi to, bo mnie nie znosi – mruknęłam ponuro i upiłam łyk brandy.

– To jest kompletna bzdura i dobrze o tym wiesz.

– Ach tak? Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek darzyła mnie sympatią. Wręcz przeciwnie, ona z zapałem sportowca nie przepuszcza okazji, żeby nieustannie mi okazywać, jak mało dla niej znaczę.

– Skoro tak mało dla niej znaczysz, to dlaczego miałaby zadawać sobie z twojego powodu tyle trudu?

Odstawił kieliszek, odchylił się na oparcie i popatrzył na mnie pytająco.

– Nie wiem, o co ci chodzi – skłamałam, bo chciałam, żeby mówił dalej.

– Gdyby Cas naprawdę cię nie znosiła, po prostu by cię ignorowała. Olała by cię i nie próbowała ciągle prowokować. Tylko że jeśli będę dalej tak gadał, to niedługo ty nie będziesz mogła mnie znieść, bo w gruncie rzeczy wszystko to nie powinno mnie obchodzić. Po prostu Laura jest moją dobrą przyjaciółką. Dobrą przyjaciółką i dobrym człowiekiem.

– Wiem – przytaknęłam. – Tak fajnie traktuje Cassie. Świetnie się rozumieją.

– Czy to nie jest dla ciebie okropne? – wypytywał.

– To wspaniałe, że tak dobrze się dogadują. Cas naprawdę bardzo potrzebuje kogoś, z kim mogłaby porozmawiać...

– Ale w głębi serca to ty chciałybyś być tym kimś?

– Tak – przyznałam w końcu. – Czy to bardzo złe?

Potrząsnęła głową.

– Wcale.

– Nie zrozum mnie źle, naprawdę się cieszę, że mają takie dobre relacje...

– Cas potrzebuje w tobie osoby, której mogłaby zaufać, Natalie. Oczywiście nigdy się do tego nie przyzna, ale tak jest. Przypuszczam, że oczekuje od ciebie więcej niż od wszystkich innych. – Urwał. Przez moment milczeliśmy oboje. – Czy jest podobna do swojego ojca? – zapytał delikatnie.

– Pod pewnymi względami tak, pod innymi wcale.

– Jaki on był?

– Był moim najlepszym przyjacielem. – Odstawiłam kieliszek.

– Brakuje ci go.

To nie było pytanie, na to był zbyt mądry. Dla niego to była zachęta do otworzenia przed nim serca. I przez chwilę czułam pokusę, żeby ulec. Jakże chętnie opowiedziałabym temu mężczyźnie o tym, jak bardzo brakowało mi mojego nieżyjącego męża, wylałabym z siebie wszystkie te uczucia, które tłumiłam w sobie od prawie dwóch lat: ból, samotność, rozpacz, wściekłość... Ale nie mogłam sobie pozwolić na utratę kontroli. Samokontrola była w tej chwili moim jedynym napędem, jedynym ratunkiem. Nie mogłam mówić o Robie, ale jednocześnie chciałam opowiedzieć o nim Connorowi.

– Cas jest do niego podobna z wyglądu. Oczy. Usta. Życzyłabym sobie, żeby była też bardziej podobna do niego z charakteru.

Nic nie odpowiedział, ale oboje wiedzieliśmy, że temat był na dziś wyczerpany. W mil-

czeniu posprzątałyśmy po posiłku. Zaoferowałam mu pomoc w zmywaniu, jeśli on powyciera naczyń. Była dopiero dziesiąta, ale ja ledwo trzymałam się na nogach. Moje coraz szersze ziewanie nie uszło uwadze Connora.

– Chodź, pokażę ci, gdzie będziesz spać.

Poszedł schodami na piętro.

Sypialnia Connora była ogromna. Wyglądało na to, że usunął wszystkie ściany działowe i wszystko zaprojektował po swojemu. Trzy ściany sypialni były pomalowane na jasny odcień terakoty z efektami przecierania, czwarta naprzeciwko okna miała piaskowy kolor, przypominający plażę w Sennen Cove. Proste deski podłogowe miały barwę intensywnego karmelu. W pokoju był duży kominek, większy od tych w pozostałych pomieszczeniach, tak duży, że prawie można było stanąć w nim wyprostowanym.

Tu również było mało mebli. Między oknami stało zwrócone wezglowiem do ściany duże, drewniane łóżko, z którego w ładny dzień musiał roztaczać się cudowny widok na morze. Jako nocne szafki służyły dwa małe drewniane stoliki z mosiężnymi lampkami. Na tym po prawej stronie leżał męski zegarek i telefon, na lewym świecił jarzeniowo cyfrowy budzik.

Naprzeciwko łóżka stała przepiękna, wysoka komoda, a w kącie drewniane krzesło, na którego oparciu wisiała biała, lniana koszula poplamiona farbą. To była dobra koszula, droga, koszula, jaką nosiło się ze spinkami do mankietów i jedwabnym krawatem – a mimo to była upstrzona farbą w kolorze cynobru.

Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak Connor wraca wieczorem z eleganckiego przyjęcia i rozbawiony, jak to on, oddaje się muzie, nie zwracając uwagi na drogie ubranie, zapomina o bożym świecie i w ekstazie nanosi farbę na płótno, farbę, farbę i jeszcze raz farbę, aż pokryte nią jest nie tylko płótno, ale i on. I wreszcie odczuwa satysfakcję.

Jego głos przerwał mi rojenia.

– Łóżko jest świeżo pościelone, zmieniłem pościel dziś rano. A właściwie, jeśli mam być szczerzy, zrobiła to moja sprzątaczką. Tak, mam sprzątaczkę – przyznał, zerkając z ukosa. – Czasami tak zatracam się w pracy, że po prostu zapominam sprzątnąć, dlatego matka poleciła mi Loveday. To wspaniała kobieta. Przyszłaś we właściwym momencie, bo nie dalej jak dziś spędziła całe przedpołudnie na porządkowaniu mojego bałaganu. Gdybyś wpadła wczoraj, wtedy musiałabyś dzielić łóżko z Makiem, bo jego pościelenie było jedynym czystym w całym domu... Dobra, łazienka jest obok, ręczniki znajdziesz w szafce. Zostawiam cię samą. Jeśli czegoś ci będzie potrzebna, wołaj, dobrze? Albo zatup nogami w podłogę – zażartował. – Będę dokładnie pod tobą.

– Dziękuję – powiedziałam cicho, kiedy odwrócił się do odejścia. – Za wszystko.

Przy drzwiach zawahał się chwilę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale potem tylko się uśmiechnął i życzył mi dobrej nocy. Zaczekałam, aż usłyszę zamykanie drzwi do salonu i rozebrałam się.

Do łazienki prowadziły drzwi nie tylko z sypialni, ale i z korytarza. Wzięłam prysznic i owinęłam się ręcznikiem wziętym z szafki. Usiadłam na łóżku.

Dziwne uczucie być tutaj. W sypialni Connora.

Czułam się trochę nieswojo, ale nie wynikało to stąd, że nie chciałam tu być albo że krępowało mnie przebywanie w najbardziej prywatnym z pokoiów Connora. Nie, czułam się dziwnie, dlatego że chciałam tu być. W tym problem. Czułam bezdenne przygnębienie, że byłam sama w tym pokoju, a jednocześnie gryzły mnie wyrzuty sumienia, bo tutaj i teraz, w tej właśnie chwili, człowiekiem, którego pragnęłam mieć u swojego boku, nie był Rob, tylko mężczyzna oddalony o parę kroków, o jedno zawołanie. Mężczyzna, któremu niezamierzenie i nieświadomie udało się przebić przez mój ochronny pancerz do serca, które uważałam za martwe. Gdybym wyciągnęła do niego rękę – ująłby ją. Mogłabym czuć jego ciepło. Mógłby dać mi miłość i na-

dzieję.

Tęsknota była nie do wytrzymania, ale stłumiłam ją. Po głowie krążyły mi tysiące myśli, tak głośnych i jazgotliwych, że obawiałam się, że nigdy nie zaznam spokoju. Ale cicha muzyka dobiegająca z dołu, wino i brandy zdołały mnie jednak znużyć.

Wśliznęłam się do łóżka Connora, poczułam na skórze świeżą pościel i zadrżałam mimowolnie. Zamknęłam oczy przekonana, że i tak nie będę mogła zasnąć. Ale już po chwili odpłynęłam w cudowny sen bez snów.

Następnego ranka obudziłam się w obcym miejscu i od razu wiedziałam, gdzie jestem i w czyim leżę łóżku. Z głową na należącej do niego poduszce.

Zdjął mnie wstyd.

Pościel pachniała nim, chociaż była świeżo powleczone. Cały pokój nim pachniał. Connorem Blythem. Zapach uderzył mi do głowy. Wywołał mrowienie w brzuchu. Czysta zmysłowość. Wysunęłam ręce, pogłaskałam koniuszkami palców chłodną bawełnę i z rozkoszą zaczęłam się przeciągać. Liczyłam na to, że chociaż w ten sposób uda mi się choć trochę rozładować erotyczne napięcie.

Zgodnie z tym, co wskazywał budzik, nie było jeszcze ósmej. Wciąż padał deszcz, ale już nie tak ulewny, a wicher zelżał. Czarne chmury pobieły i wydawało mi się nawet, że dostrzegam za delikatną szarością nieba pomarańczowy blask słońca.

Nagle zobaczyłam jasny promień, i jeszcze jeden. Przedzierały się przez chmury jak ktoś, usiłujący precyzyjnie się przez wąskie przejście.

Kiedy zza większego skupiska chmur wyjrzało słońce, dotarł do mnie sens różnych kolorów ścian w pokoju. Ta jaśniejsza miała odbijać światło wpadające przez okna po obu stronach łóżek. Można było nawet domyślić się niespokojnego połyskiwania morza na ścianie, które sprawiało, że ściana przypominała ekran w kinie. Mogłabym godzinami tak leżeć i przyglądać się hipnotycznej grze światła. Była jak balsam na moją umęczoną duszę.

Było tu zdumiewająco spokojnie. Nie słyszałam niczego oprócz szumu morza, tego miarowego, ustawicznego szmeru, który brzmiał prawie jak oddech. Żadnego gdakania, żadnego rżenia – tylko szept morza...

Znowu zapadłam w drzemkę. Gdzieś całkiem niedaleko usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi i zasnana zamrugałam oczami. Potem dobiegł mnie szum prysznic. Natychmiast wyobraziłam sobie Connora i wodę spływającą po jego nagim ciele, widziałam, jak nadstawia twarz ku strumieniowi wody...

Zaraz potem otworzyły się drzwi łazienki i Connor dyskretnie popatrzył w moim kierunku. Niestety chyba się zaczerwieniłam.

– Cześć. Dobrze ci się spało?

Pokiwałam głową i podciągnęłam kołdrę pod brodę. Czułam się przyłapaną.

– Muszę tylko wziąć sobie coś do ubrania. Przepraszam, zapomniałem zrobić to wieczorem. – Z białym ręcznikiem owiniętym wokół bioder przemaszerował przez pokój. Miał mokre włosy, a plecy i ramiona upstrzone kroplami wody. Jego skóra połyskiwała wilgocią.

Wyjął czyste rzeczy z komody i pośpiesznie opuścił pokój. Zdążył jednak zawołać w przelocie, że śniadanie będzie, kiedy zechcę.

Słyszałam, jak krząta się po kuchni. Dobiegł mnie szum wody w czajniku i kliknięcie automatycznego wyłącznika. Potem brzęk tostera wypływającego chrupiące kromki. I muzykę w tle.

Najchętniej bym stąd uciekła, ubrała się prędko i wymknęła ukradkiem z domu. Zakradła na palcach do ogrodu, a potem wzięła nogi za pas i pognęła ku skałom na klifie. Tam bym się zaszyla.

Wstałam i ubrałam się.

Connor musiał w nocy przynieść suche rzeczy. Ale zamiast się wymknąć cichaczem, zeszedł na dół, usiadł przy nakrytym stole i razem z Connorem zjadłam śniadanie. Oboje za-

chowywaliśmy się odrobinę zbyt uprzejmie, prawie sztywno.

Po śniadaniu Connor odwiózł mnie do domu. W tym czasie całkiem przestało już padać, drogi odblokowano. Niektóre miejsca jednak były pozalewane stojącą po kostki wodą. Polna droga do Wichrowych Łąk była tak rozmiękła, że obawiałam się, iż nigdy nie dotrzemy do farmy. Ale napęd na cztery koła zrobił swoje i land rover bezpiecznie przewiózł nas przez błoto, kamienie i wyboje.

W połowie drogi napotkaliśmy Hanka uzbrojonego w pilarkę łańcuchową. Był ubrany w brązowy nieprzemakalny płaszcz z pelerynką i czarnego stetsona ze złotym łańcuszkiem zamiast otoka. Wyglądał jak skrzyżowanie dżentelmena z kowbojem.

Prędko rozprawił się z na wpół zmurszałym drzewem, powalonym na drogę. Jego pocięte na poręczne kawałki resztki leżały ułożone na poboczu, skąd pewnie wkrótce trafią do drewnutni, a kiedyś do kominków w domu. Uniósł przelotnie kapelusza, kiedy go mijaliśmy, i cofnął się o krok, żeby nie zostać ochlapanym.

Na podwórzu zastaliśmy Cas w stroju do jazdy i osiodlaną Szansę. Najwyraźniej wybierały się na przejażdżkę. Byłam pewna, że Cas zauważyła nasze przybycie, ale udając, że nas nie widzi, poprawiała popręg. Connor zatrzymał samochód i wysiedliśmy na śliski, ubłocony bruk podwórza.

Tylne drzwi otworzyły się i na słońce wyszła matka. Wytarła umączone dłonie o ściereczkę i przywitała nas promiennie. Cas nadal nas ignorowała.

Z samochodu wyskoczył Mac i podbiegł do Laury. Merdając ogonem, obwąchał jej rękę i fartuch w kwiatki. Aromat świeżo upieczonych ciasteczek był wyraźny także dla ludzkich nosów. Cas wetknęła lewą stopę w strzemień, wskoczyła na siodło, chwyciła cugle i ponagliła Szansę, by jak najprędzej minęła nas i opuściła podwórze. Dziewczyna miała kamienną twarz i wzrok tępo skierowany przed siebie. Ale znacznie przyjaźniej nastawiona Szansa zepsuła jej demonstracyjne odejście, bo zatrzymała się przy mnie i w nadziei na smakołyki przycisnęła nozdrza do kieszeni kurtki. Cas nachmurzyła się jeszcze bardziej. Spięła klacz ostrogami, a ledwie wjechała na drogę, ściągnęła konia do lekkiego galopu.

Oślupiała spojrzałam na matkę pytająco. Ta westchnęła tylko i pokręciła głową. Równie oszołomiony Connor odprowadził Cassie wzrokiem.

– Muszę lecieć. Mam pilne zlecenie do skończenia – powiedział, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

– W porządku. Bardzo dziękuję za wszystko.

Odwrócił się do mnie.

– Ależ nie ma za co. Naprawdę. Właściwie to ja powinienem podziękować tobie, Nattie. Twoje towarzystwo dobrze mi zrobiło. Odezwij się, jeśli znowu będziesz miała ochotę na partijkę szachów.

– Albo kolejną burzliwą noc w twoim łóżku – wyrwało mi się.

Zamiast wyprostować dwuznaczność albo chociaż zareagować żartem, żeby rozładować sytuację, tylko na siebie patrzyliśmy. I w tym momencie uzmysłowiłam sobie, że wiedział, co się ze mną dzieje, wiedział, co do niego czułam, chociaż robiłam wszystko, żeby ukryć to przed nim – i przed sobą. Wiedział, że moje uczucia do niego nie są wyłącznie przyjacielskiej natury i że od pikniku nad morzem porządnie między nami iskrzyło. Właśnie to wszystko wyznałam mu bez słów swoim spojrzeniem. Mało tego, widziałam w jego oczach odwzajemnione wyznanie.

– Muszę lecieć – powiedział w końcu, a ja tylko skinęłam głową z obawy, że zawiedzie mnie głos.

Laura pomachała mu na pożegnanie, potem odwróciła się do mnie i objęła mocno.

– Tak się cieszę, że wróciłaś.

– Hm – mruknęłam bez przekonania. – Przepraszam, że nie zadzwoniłam.

– Martwiłyśmy się.

– Wiem. To było naprawdę bezmyślne z mojej strony.

– Cas pięć razy przemierzała drogę, żeby zobaczyć, czy nie wracasz.

– Poważnie?

Laura przytaknęła.

– A co się z nią teraz dzieje?

Laura spuściła wzrok, ale i tak zobaczyłam, że się lekko czerwieni.

– Strasznie się o ciebie zamartwiała. Oczywiście nigdy by się do tego nie przyznała, ale...

A potem przenocowałaś u Connora, co w danej sytuacji było zupełnie normalne, ale niestety ona wyciągnęła z tego błędne wnioski. Myśli, że ty... i on... no, wiesz... – Laura spojrzała na mnie.

– Że poszliśmy razem do łóżka?

Laura przytaknęła. A potem, z niemal dziecięcą radością, nie wytrzymała i zapytała:

– I co, poszliście?

Zirytowana odgarnęłam kosmyk z twarzy, pokręciłam głową i wściekła pomaszerowałam bez słowa do domu – dokładnie tak jak przed chwilą Cassie. Laura pośpieszyła za mną.

– Przepraszam, Nattie. – Położyła rękę na moim ramieniu, żeby mnie zatrzymać. – Tak mi się tylko wyrwało. Wiem, że to nie moja sprawa. Ale tak bardzo chciałabym, żebyś była szczęśliwa.

Strąciłam jej rękę i odwróciłam się do niej.

– I naprawdę sądzisz, że schadzka z facetem, którego ledwie znam, ni z tego, ni z owego przywróci mi szczęście? Myślisz, że jeśli ktoś mnie porządnie przeleci, to się wreszcie wyluzuję? No to zapytaj Connora, czy jest gotów na tę seksualną ofiarę, żeby odrodzona dziewica Natalie Dunne, najwyższa kapłanka cnoty, zaznała szczęścia w rozumieniu jej matki!

Laurze zrzęda mina. Przez chwilę obawiałam się, że wybuchnie płaczem. Westchnęłam i przejechałam dłonią po zmierzwionych włosach.

– Przepraszam, to były mocne słowa, ale...

– Już dobrze – powiedziała cicho i odwróciła wzrok.

– Nie, nie jest dobrze. Przepraszam.

Opadłam na jedno z krzeseł w kuchni i schowałam rozgorączkowaną twarz w zimnych dłoniach.

Laura podążyła za mną i przykucnęła obok mnie. Odsunęła moje dłonie i uśmiechnęła się krzepiąco.

– Dobrze mi tak. To było bezmyślne z mojej strony mówić coś takiego. Bezmyślne i niewłaściwe.

– Niewłaściwe? – fuknęłam na nią. – Uważasz, że to jest niewłaściwe?

Skonsternowana cofnęła się i puściła moje dłonie.

– Co ty mówisz?

– Czy to niewłaściwe, że pociąga mnie inny mężczyzna?

Laura milczała.

– Problem w tym, że nie zgasiłam swoich uczuć, choć mam wrażenie, że powinnam.

Mężczyzna, którego kocham, nie żyje. No i brawo, wreszcie powiedziałam to na głos! Tylko że to nadal brzmi fałszywie, a fakt, że mogę powiedzieć to na głos, wcale nie oznacza, że mogę to zaakceptować. We mnie on nadal jest żywy, on wciąż tu żyje. – Uderzyłam się w piersi, czując bicie własnego serca. – A jednak wiem, że nigdy, przenigdy już go nie zobaczę. Nigdy więcej. Rob nie żyje. Jak mogę czuć cokolwiek do innego mężczyzny, skoro moja miłość do Roba nadal jest taka żywa?

Laura ujęła moje dłonie.

– Ach, Nattie, skarbie, to rzeczywiście nie jest dla ciebie łatwe. Uwierz mi, wiem, jak cholernie boli utrata mężczyzny, którego się kocha. Tylko czy naprawdę myślisz, że Rob chciałby, żebyś nigdy więcej nie obdarzyła uczuciem innego mężczyzny? Żebyś resztę życia spędziła w samotności? Rob też żył dalej po śmierci Eve. Znalazł ciebie, pokochał cię i ożenił się z tobą. I uczynił szczęśliwą.

Potrząsnęłam głową.

– Wiem. Bądź co bądź posunęłam się już na tyle, by przyznać, że bardzo lubię Connora. Ale dla mnie nadal jest za wcześnie, żeby coś z tym zrobić. I co z Cas? Widziałaś przecież, jak zareagowała... Jak myślisz, jak zareaguje, jeśli nagle wezmę sobie nowego faceta? Nie mogę. I jak zacząć związek z nowym mężczyzną, jeśli w głębi serca wciąż Kocham Roba?

Laura otuliła mnie ramionami.

– Daj sobie trochę czasu, Kochanie. Nie śpiesz się. Przykro mi. Swoją uwagę wywarłam na ciebie presję. Nie chciałam tego.

– Nie, nie. To mnie jest przykro. Nie powinnam na ciebie krzyczeć, a wczoraj wieczorem powinnam była zadzwonić o wiele wcześniej. Tak jak mówiłam, to było zupełnie bezmyślne.

– Najważniejsze, że nic ci się nie stało – mruknęła, kołyszac mnie jak dziecko. – Dopóki z tobą wszystko w porządku, cała reszta jest mi obojętna.

Półtorej godziny później usłyszałam na podwórzu stukot końskich kopyt. Cat wróciła z przejażdżki. Laura siedziała w kącie i dziergała coś z czerwonego moheru – pracowała nad tą robótką, odkąd tu przyjechałyśmy, a nadal nie dało się zidentyfikować, co to właściwie miało być. Podniosła wzrok, uniosła się trochę, żeby wyrzeć przez okno, potem zerknęła na mnie i pytająco uniosła brwi. Wiedziałam, o co jej chodzi. Chciała, żebym wyszła i porozmawiała z Cas. Wiedziałam, że powinnam to zrobić. Ale co miałam jej powiedzieć? Już dość zaprzętały ją jej własne, sprzeczne emocje – naprawdę miałam naprzykrzać się jej ze swoimi sprzecznymi uczuciami do Connora?

Laura odłożyła na bok robótkę i wstała.

– Mam do niej wyjść? Może ja będę umiała ją uspokoić. Powiem jej, że nic się nie stało.

– Jeśli byś mogła.

– Dołączysz do nas zaraz?

Westchnęłam i kiwnęłam głową. Zajął mi jednak okrągłe piętnaście minut, zanim zebrałam się na odwagę, żeby wstać i iść wkupić się w łaski pasierbicy. Cas odpięła już siodło i zdjęła uprzęż, przygotowując je do odwieszenia. Zwrócona plecami do mnie nachyliła się, żeby wyskrobać kopyta. Uzbrojona w zgrzebło Laura zbierała zaschnięte błoto z brzucha klaczy.

Laura, słysząc dźwięk zamykanych drzwi, podniosła wzrok i skrzywiła się. Jej wstępna rozmowa z Cas nie przebiegła zatem idealnie. Dawła mi do zrozumienia, że zrobiła, co mogła, ale Cassie szła w zaparte i lepiej byłoby, gdybym sama z nią pogadała. Kiedy dziewczyna skończyła czyścić kopyta Szansy, chwyciła za siodło i zaniósła je do siodlarni. Zaczekałam, aż wyjdzie i powoli podeszłam do niej.

– Cas...

Zignorowała mnie. Przemaszerowała obok, przemierzyła podwórze i zatrzasnęła za sobą drzwi. Laura wodziła wzrokiem między mną a kuchnią. Widać było, że nie ma pojęcia, co robić. Z rezygnacją wzruszyła ramionami i poszła do domu. Zwykle to jej lepiej udawało się sprawdzić Cas do parteru. Ja nie miałam jej wyczucia.

Pokusa, żeby odstawić dramatyczne odejście, była wielka. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zniknąć na dobrą godzinę i pójść popatrzeć na morze. Ale wiedziałam, że muszę jak najprędzej pogadać z Cas. Pomijając to, zostawiły biedną, starą Szansę uwiązaną, na wpół wy-

szczotkowaną, ale nadal wilgotną od potu. Już zaczęła dygotać z zimna.

Wzięłam do ręki zgrzeblo i dokończyłam to, co zaczęła Laura. Usunęłam błoto z brzucha i boków. Potem wzięłam miękką szczotkę i jeszcze raz wygładziłam mocno całą sierść, po czym przyniosłam z siodlarni derkę i okryłam nią klacz.

Ruch dobrze mi zrobił. Byłam tak samo złana potem, jak Szansa. Jednocześnie czułam się wewnętrznie poukładana i miałam poczucie, że mogę rozpocząć rozmowę z Cassie. Zaprowadziłam Szansę do boksu i wróciłam do kuchni.

Wbrew moim oczekiwaniom Laura i Cas nie rozmawiały ze sobą. Cas siedziała przy stole w ubłoconych spodniach do jazdy konnej, gapiła się w leżące przed nią czasopismo i jadła sandwicza. Mac, którego Connor zostawił u nas, słał tęskne spojrzenia w stronę kanapki. Laura kręcąc głową, dała mi do zrozumienia, że nie poszło jej dobrze, dała znać, że zostawia mnie z Cassie samą.

Podziękowałam jej kiwnięciem głowy. Matka natychmiast wycofała się do sypialni.

Zamiast jak zwykle podzielić się kanapką z Makiem, Cas ignorowała czworonożnego przyjaciela tak samo jak mnie i jak gdyby nigdy nic wolną ręką przewracała stronicę pisma, jednak o wiele za szybko, żeby rzeczywiście coś czytać.

Nie śpieszyłam się. Umyłam ręce. Wyczuwałam, że i ona mnie obserwuje, ale kiedy się odwróciłam, tak prędko umknęła wzrokiem, że ani przez sekundę nie mogłam popatrzeć jej w oczy.

– Nic nie ma.

Popatrzyła na mnie, jakby nie miała pojęcia, o czym mówię.

– Między Connorem a mną. Nic między nami nie ma. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. To wszystko.

Nic nie powiedziała, ale patrzyła na mnie, jakby czekała na rozwinięcie. Gdzieś w głębi duszy odezwał mi się głos, który zwymyślał mnie od kłamczuch. Ale jak miałam wyjaśnić Cas swoje uczucia, skoro sama nie miałam co do nich jasności? Uznałam, że będę trzymać się faktów i ignorować emocje.

Przysiadłam się do niej, wzięłam głęboki wdech i odezwałam się, starając zachować spokój.

– Nie jesteśmy ze sobą, Cas, słowo. Gdybym kiedykolwiek miała rozpocząć jakiś związek z mężczyzną, będziesz pierwszą, z którą o tym porozmawiam. Nigdy bym cię nie okłamała i nigdy nie ukrywałabym czegoś takiego przed tobą.

Kusiło mnie, żeby powiedzieć więcej. Na przykład, że nie uważam, abym musiała się przed nią usprawiedliwiać. Ale powstrzymałam się i czekałam na jej reakcję. Milczała, ale dwie minuty później zobaczyłam, że szczęśliwy Mac przeżuwa resztki jej kanapki. Ręka, w której Cas trzymała chleb, spoczywała na psim łbie.

Zadzwoił telefon. Laura odebrała na górze. Słyszałam, jak rozmawia, a potem zeszła po schodach i z ociąganiem zajrzała do kuchni.

– Dzwonił Connor. Pytał, czy Cas byłaby tak dobra i odprowadziła Maca do domu.

Spojrzałam pytająco na matkę, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

Też nie wiedziała, o co w tym chodzi – Mac zwykle sam znajdował drogę do domu. Ale Cas, ku naszemu zdumieniu, gotowa była wziąć na siebie trzykilometrowy marsz. Poderwała się, założyła kurtkę i w okamgnieniu znalazła się na zewnątrz. Mac wyszedł za nią na zimowe słońce, obskakując ją i węsząc po kieszeniach, w których czasami można było znaleźć czekoladę.

– I? – zapytała Laura z niepokojem, ledwie Cas wyszła.

– Cóż, nie powiedziała zbyt wiele, ale chyba do niej dotarłam.

– A ty?

– Co ja?
– Czy ktoś dotarł do ciebie? – Usiadła obok mnie i przyglądała mi się badawczo. – No... z tego, co mi mówiłaś przed chwilą o Connorze...
– Co masz na myśli?
– Powiedziałaś... – urwała, szukając właściwych słów. – Co ty do niego czujesz, Nattie? Patrzyłam na zatroskaną twarz matki i próbowałam znaleźć jakąś odpowiedź.
– Nie wiem – powiedziałam w końcu.
Kochany Robie!

Jestem kompletnie skołowana. Już nie wiem, co robić. Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek spotkam kogoś, kto wywoła we mnie takie uczucia, kto będzie umiał doprowadzić mnie do śmiechu, kto mnie uczyni szczęśliwą i pozwoli zapomnieć o wszystkim. Kogoś, kto jednym spojrzeniem uwolni mnie od tępego bólu, towarzyszącego mi już od tak dawna. Kiedy jestem z nim, mam poczucie, że to właściwe, a jednocześnie dręczą mnie wyrzuty sumienia. W stosunku do Casie, do Ciebie. Czy z Tobą też tak było, kiedy mnie poznałeś? Czy też miałeś uczucie, jakbyś zdradzał Eve, kiedy mnie kochałeś i pożądałeś?

Nie wiem, co mam począć, Rob. I dlatego zrobię to, co potrafię najlepiej: będę udawać, że nic nie czuję. Jeszcze więcej uczuć, które muszę wypierać i tłumić...

Z miłością

N.

Cassie wróciła dopiero po paru godzinach. Ku mojemu zdumieniu była w tak wyśmienitym humorze, jak już dawno jej nie widziałam. Ani śladu po spoglądającej chmurnie dziewczynie, która przed południem siedziała przy kuchennym stole. Cała promieniała, kiedy otwarcie opowiadała Laurze, co przeżyła w ciągu ostatnich godzin u Connora.

– Pokazał mi swoje obrazy. Obłęd! Nie wiedziałam, że jest taki dobry!

Laura skinęła głową z uśmiechem. Cieszyła się, widząc Cassie tak radosną.

– I zaproponował mi, że nauczy mnie malować. Szok, co?

Laura znowu skinęła głową. Potem przeniosła wzrok na mnie i uniosła brwi.

Connor wyposażył już Cas w szkicownik i parę ołówków. Dziewczyna z zapalem zabrała się do szkicowania małego Tuffa, który oczywiście nie był najłatwiejszym motywem, bo nieustannie się kręcił. Ale to jej nie zniechęcało. Zastanawiałam się mało optymistycznie, jak długo potrwa ta pozytywna faza.

Po jakiejś godzinie pełnego zapалу rysowania Cas poszła do stajni, żeby zajrzeć do Szansy, którą porzuciła tak nagle przed południem. Po chwili wróciła tanecznym krokiem, uśmiechnięta od ucha do ucha i z pałającym wzrokiem. Na policzkach miała wypieki.

– Luke przysłał mi właśnie esemes. Pyta, czy mam ochotę z nim wyjść. Mogę? – wypląliła.

Ledwie dyszała z przejęcia.

Laura popatrzyła na mnie pytająco.

– Mogę? – powtórzyła Cas, tym razem kierując pytanie do mnie.

Promieniała, jakby za chwilę miała pęknąć ze szczęścia.

– Nie widzę przeszkód.

– Super! Bo przyjedzie po mnie o wpół do ósmej!

– To znaczy, że już mu powiedziałaś, tak?

– Pomyślałam, że na pewno się zgodzicie.

Uznałam wprawdzie, że to dość zuchwała zagrywka, ale nie chciałam psuć jej nastroju.

Ponieważ miałam wątpliwości co do zamiarów buzującego hormonami dwudziestolatka, zapytałam:

– Dokąd się wybieracie?

– Idziemy do Ship pograć w bilard z paroma jego kumplami. Może być? Mogę?

– Tak, możesz – odparłam ostrożnie. – O ile mi obiecasz, że nie będziesz piła alkoholu.

– Ale...

– Żadnego ale, Cas, nie masz osiemnastu lat. Mogłabyś narobić kłopotu Orlaithe. To i tak dużo. Luke będzie prowadził, więc on też nie będzie pił. To znaczy, że nie będziesz jedyna, która powstrzyma się od alkoholu.

Musiała to najpierw przetrwać.

Widziałam, jak zмага się ze sobą. Czy powinna mi się sprzeciwić? Sprzeczać się ze mną? Czy lepiej zaakceptować moje słowa?

A potem zaskoczyła mnie tym, że pokiwała głową.

– Masz rację.

– Słucham?

– Tak... – potwierdziła, jakby sama była zdziwiona. Potem rozpromieniła się znowu i poderwała z miejsca. – Muszę się jeszcze zastanowić, co założyć!

– Ale jest dopiero wpół do piątej – zawołała za nią Laura w stronę schodów.

– Właśnie. Mam tylko trzy godziny!

– Czy to nie piękne, Nattie? Dobrze jej zrobi, jak spędzi trochę czasu z rówieśnikami, nie uważasz?

– Hm – mruknęłam bez przekonania. – Co to w ogóle za typ?

– Luke? Wygląda na miłego chłopaka.

– Owszem, ale czy *jest* miłym chłopakiem?

– O co ci chodzi?

– Jest pewna różnica między tym, jakie się sprawia wrażenie, a tym, kim się jest. To, że *wygląda* na miłego chłopaka, wcale nie musi oznaczać, że nim *jest*. Jak dobrze go w ogóle znasz? Co, jeśli on chce się tylko z nią zabawić?

– Nattie, to są normalne nastolatki. Umówili się na randkę, to wszystko.

– Wiem, ale Cas tyle już wycierpiała, nie zniesie tego, jeśli ktoś ją zrani.

– Za bardzo się przejmujesz, Nattie.

– Rzeczywiście – odparłam zaskoczona sobą. – Masz rację.

– To żadna hańba, Nattie. Wszystkie matki takie są.

Zamrugałam zdumiona.

– Może pójdziesz do niej na górę i pomożesz jej wyszukać coś fajnego? – dodała z nadzieją w głosie.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

Wzruszyła ramionami.

– Nie dowiesz się, dopóki się nie przekonasz.

Niepewnie, cichaczem wspierałam się po schodach. Czułam się głupio, że bije mi serce ze strachu, że zamierzam wejść do pokoju pasierbicy. Zapukałam, ale Cas podłączyła iPoda do miniaturowego głośnika i mnie nie usłyszała.

Rozważyłam, czy nie przerwać misji i nie wrócić na dół, ale jednak wzięłam głęboki wdech, nacisnęłam klamkę i weszłam. Po raz pierwszy, odkąd tu byliśmy. Nigdy nie wchodziłam

do jej pokoju. Czułabym się, jakbym przekraczała jakąś granicę. Jej pokój był jej prywatną sferą. Jej królestwem.

Wszędzie leżały porozwalane pudełka. Na łóżku, na podłodze, w pootwieranych szufladach. Cassie, odwrócona plecami do mnie, gorączkowo grzebała w szafie.

– Nie możesz się zdecydować?

Przestraszona obróciła się gwałtownie i popatrzyła na mnie. W jej wzroku było zdumienie, cień wrogości, ale na koniec, ku mojej uldze, radość. Uśmiechnęła się – stała pośrodku bałaganu i się śmiała.

– Zdradzić ci tajemnicę?

– Tylko jeśli naprawdę tego chcesz.

– To moja pierwsza randka.

– Na serio?

– Tak.

– I nie możesz się zdecydować, co założyć?

Cas rozejrzała się wokół.

– Skąd wiesz?

– Pomóc ci? – zaproponowałam z wahaniem.

Przez moment taksowała mnie wzrokiem i w końcu przytaknęła.

– Czemu nie?

Odwróciła się do szafy. Stałam jak wmurowana, niepewna, co robić.

Cassie, nie patrząc na mnie, odezwała się:

– Czy ty w ogóle jeszcze pamiętasz swoją pierwszą randkę, Natalie?

– W sensie, że to było dwieście lat temu? – Zaśmiałam się nerwowo.

Zerknęła na mnie i uśmiechnęła się przelotnie.

– No pewnie, że pamiętam, ale nie jestem pewna, czy to dobrze. Właściwie to wcale nie było tak dawno temu. Byłam starsza od ciebie. Miałam osiemnaście lat.

– Osiemnaście! – wykrzyknęła Cassie, opuściła bluzkę, którą poddawała właśnie gruntownej analizie, i popatrzyła na mnie zaszokowana.

– Późno zaczęłam. Kiedy byłam w twoim wieku, cały czas tylko uczyłam się albo pracowałam. Nie miałam czasu na spotkania z chłopakami. Nie mówiąc o posiadaniu chłopaka na stałe.

– A kim był ten pierwszy? Co to był za gość?

– Agent nieruchomości z Putney. Nazywał się Wayne.

Cas zachichotała.

– Wiem, beznadziejne imię. Ale tak się zaczęło. Wydawał mi się bardzo fajny, bo miał już dwadzieścia trzy lata, chodził do pracy w garniturze, miał fajną komórkę i jeździł nowiutkim formidem fiestą. Wprawdzie samochód był mały, nie wyciągał więcej niż siedemdziesiąt na godzinę, a na bocznych drzwiach miał logo firmy... Ale zawsze to nowy samochód! Boże, jak mi to imponowało.

– Jak go poznałaś?

– Sprzedawałam wtedy ogłoszenia w darmowej gazecie, a on zajmował się w swojej firmie reklamą. Nigdy nie miałam z nim do czynienia osobiście, zajmowała się tym moja koleżanka Heather. Ale kiedyś szepnęła mu, że mi się podoba, a on zapytał, czy mam ochotę z nim wyjść. Oczywiście za namową koleżanki. Właściwie to miał ochotę na nią, ale ona nie chciała go tknąć nawet kijem... Pewnie powinno mi to dać do myślenia.

Cas zachichotała.

– I co było potem?

– Potem okazał się oczywiście wyjątkowym kretyńcem. Spotkaliśmy się tylko raz. Przez cały wieczór nawijał tylko on, a ja z nudów wypiałam za dużo... Potem odwiózł mnie firmowym samochodem do domu, a kiedy na koniec chciał mnie pocałować, porzygałam się. W jego nowiutkim wozie.

– Nie! Nie mówisz poważnie! – Cassie z przerażenia opadła szczęką. – O Boże, jaka żenada!

– No. Zwłaszcza że większość wylądowała na nim... Nigdy więcej go nie zobaczyłam. Nawet przestał przychodzić do naszego biura, żeby zamawiać ogłoszenia. Jego firma przysłała innego kolesia, niejakiego Edmunda, który, co zabawne, ożenił się potem z Heather.

– O rany. – Cas nadal nie mogła się otrząsnąć z tej koszmarnej wizji. – Mam nadzieję, że dziś wieczorem nie wydarzy się podobna katastrofa.

– No coś ty. Bądź co bądź wyszukałaś sobie lepszego faceta niż ja. Nie przejmuj się. I tak się nie uda.

– Hm. Miejmy nadzieję. – I nagle znowu się rozpromieniła. – Gdybym tylko umiała się zdecydować, co na siebie włożyć! – Wyciągnęła z szafy jeszcze jedną bluzkę i uniosła do góry. – Co myślisz o tym?

Kiedy Luke zjawił się punkt wpół do ósmej, jego powitanie ograniczyło się do przelotnego machnięcia ręką w stronę Laury i skinienia głową w moim kierunku. Obcowanie przez cały dzień u boku Hanka najwyraźniej nie wpływało dobrze na rozmowność.

Kiedy Cas zeszła na dół, pojaśniał. Zdecydowałyśmy się w końcu na bluzkę z wycięciem w łódkę, dżinsową spódnicę do kolan i wysokie kozaki.

Na ten widok Luke wydusił z siebie na bezdechu:

– Cześć.

Odprowadziłyśmy ich z Laurą na podwórze. Nie widząc żadnego obcego samochodu, przytrzymałam Cassie za ramię.

– Gdzie jest jego samochód? – zapytałam.

– Samochód? – odpowiedziała pytaniem, wprost uosobienie niewinności.

Popatrzyłam na Laurę, ale ta wzruszyła ramionami.

– Jeśli się dobrze zastanowię, to nie wiem, czy Luke w ogóle ma samochód. Dotychczas zawsze przyjeżdżał razem z Hankiem.

– Gdzie jest twój samochód, Luke? – zawołałam za nim.

– Nie mam samochodu. Przyjechałem tym.

Pokazał ręką na kawasaki zaparkowane tuż za moim bmw. Z niepokojem przyjrzałam się motocyklowi.

– Możecie wziąć mój wóz – zaproponowałam.

– Co?

– Powiedziałam, że możecie wziąć mój samochód.

Wróciłam do domu, chwyciłam torebkę i przekopałam ją w poszukiwaniu kluczyków. Cas stała tuż za moimi plecami. Znalazłam kluczyki i wręczyłam jej od razu, żeby się nie rozmyślić.

– Nie chcę, żebyś pułała po okolicy czymś takim. Jazda na motorze jest cholernie niebezpieczna.

Spojrzała na mnie dziwnie, a potem zaczęła się uśmiechać.

– Mówisz na serio?

Potwierdziłam skinieniem głowy i podsunęłam jej rękę z kluczykami.

– Ale przecież twój samochód to dla ciebie świętość.

Nie umiałam powiedzieć, czy to było pytanie, czy może złośliwość.

– Wiem. Powiedz Luke'owi, żeby jechał ostrożnie, dobrze?

– Jasne. Powiem. – Błyskawicznie wyjęła mi kluczyki z ręki. Była już prawie przy drzwiach, kiedy się odwróciła jeszcze raz. – Nat?

– Tak?

Zawahała się chwilę. A potem znowu się uśmiechnęła.

– Dzięki.

Tego wieczoru znowu cierpiałam na zwykłą bezsenność. W każdym razie tak sobie wma-
wiałam, siedząc wyprostowana w łóżku, z kołdrą naciągniętą pod brodę. Musiałam chyba
wyglądać jak Mister Spock, od ciągłego strzyżenia uszami, czy nie nadjeżdża samochód.

Dwadzieścia minut przed północą zaczęłam się niepokoić, bo wiedziałam, że ostatnie
drinki zamawiało się o jedenastej. Nawet gdyby wypicie ich zajęło im dwadzieścia minut, to już
dawno musieliby być tutaj. Z Ship jechało się tu najwyżej kwadrans. Powinnam była jej powie-
dzieć, o której ma wrócić, w końcu ona ma dopiero szesnaście lat, do jasnej cholery, ale jakoś
zupełnie nie przyszło mi to do głowy.

Leżałam tak, rześka jak poranek, aż usłyszałam samochód zajeżdżający na podwórze,
a dziesięć minut później warkot odjeżdżającego motocykla i odgłos przekręcanego klucza
w zamku.

Zamknęłam oczy dopiero, gdy Cas, nucąc pod nosem, weszła po schodach i zamknęła za
sobą drzwi swojego pokoju.

Następnego ranka Cas zeszła na śniadanie ostatnia. Obiecałam sobie, że nie będę jej wy-
pytywać o wczorajszy wieczór, ale Laura nie miała żadnych oporów. Rzuciła się na dziewczynę,
ledwie ta przekroczyła próg kuchni.

– I jak było? – dopytywała.

– Fajnie, dziękuję. – Cas uśmiechała się błogo.

– Co robiliście?

– Byliśmy w Ship i graliśmy w bilard, tak jak mówiłam. Przegrywałam cały czas. –
Wzięła kawałek tostu z talerza Laury i zaczęła go ogryzać. – Umiesz grać w bilard, Lauro?

– Czy umiem grać w bilard?

– No. Umiesz?

– Czy eunuch umie śpiewać sopranem?

Cas popatrzyła na nią zdezorientowana. Nie wiedziała, czy to miało być „tak”, czy „nie”.

– Nazywali mnie „boginią bilardu”!

Cas pokręciła z rozbawieniem głową, a potem popatrzyła na mnie z uśmiechem. Szcze-
rym, beztróskim, otwartym uśmiechem, od którego zrobiło mi się ciepło na sercu. Jakby podaro-
wała mi właśnie coś bardzo cennego.

Godzinę później rozpoczęliśmy w Ship drużynową rozgrywkę w bilard.

Kiedy dobieraliśmy drużyny, Cas natychmiast zagarnęła Laurę dla siebie. Moją partnerką
była Orlaithe, ale ponieważ tego dnia nie miała nikogo do pomocy za barem, w praktyce grałam
sama.

Mogliśmy zaczynać.

Orlaithe wykonała pierwsze uderzenie, które całkiem nieźle jej wyszło. Wprawdzie nie
wbiła żadnej bili, ale udało jej się rozmieścić pełne kule znacznie korzystniej niż te z paskami.
Laura, na przekór swojej chlubnej bilardowej przeszłości, zdawała się nie dostrzegać tego faktu,
bo natychmiast przymierzyła się do łatwej połówki i zaimponowała Cas, wbijając dwie bile na-
raz. Cas uśmiechnęła się do niej z dumą i pokazała uniesionym do góry kciukiem, że to było su-
perzagranie. Była moja kolej.

– Próbuje wyglądać jak profesjonalistka – nabijała się moja matka, przyglądając się, jak
kreduję końcówkę kija.

Posłałam im obu nieodgadniony uśmiech i przymierzyłam się do pierwszego uderzenia. Jednocześnie modliłam się, żeby nie okazało się, że do reszty zmarnowałam swoją młodość. Wbiłam bilę do luzu, potem jeszcze jedną, jeszcze jedną i na koniec czwartą. Potem zobaczyłam minę Cas i celowo spudłowałam, żeby dać jej chociaż szansę. Niestety, nie udało jej się wbić dość korzystnie leżącej kuli. Zakłęła cicho pod nosem.

Orlaithe też spudłowała, ale przynajmniej utrudniła sytuację Laurze, która też nie wbiła bili. Bez trudu posłałam do luzu kolejne trzy kule, a na koniec czarną.

– Próbuje wyglądać jak profesjonalistka, co? – dopiekłam Laurze, odstawiając kij i zasiadając przy barze.

– Nie mówiłaś, że tak dobrze grasz w bilard! – poskarżyła się Cas.

– Bo nie pytałaś – odcięłam się.

– Ewidentny przypadek zmarnowanej młodości – zakomunikował Daveth, który chwiejąc się na stołku barowym wzniosł w naszą stronę toast piątym z kolei piwem.

– O co ci chodzi, Davey? – zapytała Orlaithe, która ze względu na rosnącą liczbę klientów wycofała się za kontuar.

– Ktoś, kto tak dobrze gra w bilard, musiał w młodości zmarnować na grę mnóstwo czasu.

– Wcale nie uważam, że można mówić o zmarnowanym czasie, jeśli ktoś jest w czymś dobry – zaproponowała Orlaithe. – Ale jeżeli ktoś czterdzieści lat życia spędził ze szklanicą piwa w łapsku, przyklejony do stołka barowego, to w tym wypadku można mówić o zmarnowanym czasie. Takie jest moje zdanie.

– Tak, tak, Orlaithe, ale co ty byś beze mnie zrobiła? Jestem twoim najlepszym klientem!

– To, że ciągle tu przesiadujesz, nie oznacza, że zasłużyłeś na medal – oznajmiła, chwyciła jego prawie pustą szklankę, napełniła ją na nowo i podała mu ze słowami: – Firma stawia, skarbie. Mała premia za wierność. A ty – rzekła, celując we mnie dwoma wyprostowanymi kciukami – też sobie zasłużyłaś na darmową kolejkę. Byłaś naprawdę niesamowita.

Cas koniecznie chciała zagrać jeszcze raz, ale Orlaithe musiała zostać za barem. Ratunek nadszedł w postaci Charlesa Treolara. Laura przywołała go gestem.

– Potrzebujemy czwartego do partyjki bilardu. Masz ochotę?

Wyrazista twarz Charlesa rozciągnęła się w uśmiechu. Z radością zatarł ręce.

– No pewnie, z wielką chęcią. Z kim mam grać?

– Ja zgram z Nat, a Charles może partnerować Laurze – zaproponowała prędko Cassie. Zasłoniła ręką usta i dodała szeptem, zwracając się do mnie: – Ma już w tym wprawę!

– Cas! – oburzyłam się, ale mimo to musiałam się roześmiać.

Zdumiały mnie nie tyle jej słowa, co fakt, że zwróciła się do mnie. Nie miałam pojęcia, co takiego zrobił z nią Connor, ale zdziałał cuda. Jeszcze nigdy przedtem nie miałam z nią tak dobrego, wyluzowanego kontaktu.

Charles wyraźnie cieszył się na rozgrywkę.

– Co wy na to, gdybyśmy wprowadzili do gry trochę napięcia? – odezwał się, postawiwszy nam kolejkę.

– Co proponujesz?

– Zagrajmy o pieniądze.

Wymieniłyśmy z Cas spojrzenia. Skinęła głową.

– Okej. Ile?

– Co powiecie na pięćdziesiąt?

– Pięćdziesiąt funtów?

Cas nie posiadała się ze zdumienia.

- Za mało? Możemy podwoić stawkę. Stówę?
- On nie mówi tego serio, prawda? – zwróciłam się do Laury.

Popatrzyła na mnie ponuro.

- Jeśli chodzi o pieniądze, to Charles zawsze mówi serio.
- Proszę, Nat! – błagała Cas. – Proszę! Przecież pokonasz ich z palcem w nosie!
- No, tego nie byłabym taka pewna...
- Stawiam stówę na Cas i Nat, Charles – rozległ się nagle nowy, męski głos.

Obejrzeliśmy się za siebie i zobaczyliśmy przy barze Connora. Nie widziałam, kiedy przyszedł, tak bardzo byłam pochłonięta grą. Jego widok nappełnił mnie wielką radością, ale i zmieszaniem.

– Zakład stoi, Connor. – Charles uśmiechnął się od ucha do ucha. – Mam nadzieję, że umiesz przegrywać!

– Cas i Nat dadzą radę, co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

– Nie, dzięki, Connor – wtrąciłam. – Same postawimy sto funtów.

– Na pewno? – Charles uniósł pytająco brwi.

– Absolutnie – odparłam stanowczo. – Dziękuję – zwróciłam się do Connora – ale nie chcę, żebyś stracił tyle pieniędzy.

– Nie stracę ich.

– Widziałeś naszą ostatnią grę?

Potrząsnął głową.

– Nie, jestem tu dopiero od dwóch minut. Ale jak cię znam, nie porywałabyś się na zakład, gdybyś nie wyliczyła sobie realistycznych szans na wygranie. Zwłaszcza że przegrana byłaby ogromnym rozczarowaniem dla Cas.

– Nie przegramy – usłyszałam swoją własną przechwałkę.

Jakby za karę za tę megalomanię, zaczęłyśmy dość kiepsko. Charles i Laura mieli pierwszy ruch. Laura z imponującą siłą uderzyła białą bilą w trójkąt kolorowych kul. Potem przyszła kolej na mnie. Sknociłam żenująco proste uderzenie, w pełni świadoma obserwujących mnie oczu.

Kolej na Charlesa. Wyglądał na takiego, co ma w domu stół do snookera, ale raczej nie wyszło mu to na dobre, bo na mniejszym pubowym stole kąty funkcjonowały jakoś inaczej. Nie udało mu się wbić w luzy dwóch bil, wspaniale usytuowanych po pierwszym uderzeniu Laury.

– Tak ogólnie to ma niezgorszą technikę pchnięć – dowcipkowała Laura. – A jeśli chodzi o bilard kieszonkowy, to nie ma sobie równych.

Matka puściła do mnie oko, a Cassie omal nie zakrztusiła się swoją colą light. Ze śmiechu spudłowała. Za to Laura zaraz po niej wbiła trzy bile. Na domiar złego ustawiła dwie w taki sposób, że niemal całkowicie blokowały nasze połówki. Zadowolona cofnęła się o krok i zdmuchnęła kredowy pył z czubka kija, jakby trzymała w ręku dymiący kolt.

Moja kolej. Cas śledziła moje ruchy. Widziałam, że nagle nie jest już taka pewna, czy to był dobry pomysł, by zmienić drużynę. Poczułam przemożną potrzebę zagrania najlepszej partii w swoim życiu – niestety, zawsze, gdy zależało mi, żeby zagrać szczególnie dobrze, wychodziło wyjątkowo źle. Ale ta rozgrywka była po prostu zbyt ważna. Musiałam się odprężyć. Natarłam kredą kij, wychyliłam duszkiem piwo, a potem opróżniłam szklankę mamy. Odetchnęłam głęboko, zdecydowanym krokiem podeszłam do stołu i zaprowadziłam na stole porządek.

Tom Cruise mógłby czyścić mi buty. Z każdą wbitą połówką robiło mi się lżej na sercu, a Cas coraz bardziej promieniała. W koszyczku lądowała bila za bilą, aż na stole została tylko czarna.

Zapowiadało się trudne uderzenie. Musiałam zagrać przez bandę, a to nigdy nie wycho-

dziło mi zbyt dobrze. Nachyliłam się, żeby dokładniej ocenić kąt. Ktoś chwycił mnie za łokieć. To była Cas. Wpatrywała się we mnie.

– Dasz radę!

Aż się wyprostowałam, słysząc te dopingujące słowa. Zauważyłam przy tym, że wszyscy w pubie przypatrują się naszej grze. Tylko stary Davey nie interesował się partią. Przysnął z głową na kontuarze. Z wyjątkiem jego, wszyscy utkwili oczy we mnie. Jakie uspokajające uczucie!

Nachyliłam się nad stołem i oszacowałam za pomocą kija odległości i kąty. A potem uderzyłam. Miałam ochotę zamknąć oczy.

Przez widzów przeszedł szmer, kiedy bila nie wpadła do przewidzianej luzy. Odbiła się, przetoczyła przez stół i zniknęła w przeciwległej luzie.

– Yes! – Cas zerwała się ze stołka, przypadła do mnie, złapała mnie za ręce i odtńczyła ze mną coś w rodzaju zwycięskiego tańca wokół stołu.

Promieniałam, bardziej ciesząc się euforią Cas niż z poczucia triumfu. Dziewczyna nie posiadała się z radości. Puściła mnie, a ja zatrzymałam się chwiejnie przy barze. Cassie ile sił w płucach ryknęła Charlesowi do ucha: „We are the champions!”.

Charles zachował się po sportowemu i z uśmiechem przyjął porażkę. Wysupłał z portfela plik banknotów i odliczył pięć dwudziestek.

– Nie, nie. – Uniosłam ręce w obronnym geście. – Nie chcemy tych pieniędzy. To nie był prawdziwy zakład.

– Ach, to znaczy, że gdybyśmy wygrali, to wzbraniałabyś się wypłacić nam stówę?

– Nie, oczywiście że nie!

– Więc nie możesz mi tego zabronić.

– Ale...

– Żadnego ale. Nalegam.

– Okej – zgodziłam się. – Skoro się upierasz. A co powiesz na pomysł wręczenia tych pieniędzy tamtej pani za barem? – Zerknęłam na Cas, mając nadzieję, że mnie poprze. Pokiwała głową z zachwytem.

– Stawiamy kolejkę! – zawołała przeszczęśliwa. – Dzięki, Nat. Zawsze chciałam to zrobić. – Stała obok mnie i wyszczerzyła się od ucha do ucha. – Nauczysz mnie grać w bilard? – zapytała z pałającym wzrokiem. – Byłaś zajebista!

– Aha, zdaje się, że komuś zaimponowałaś – mruknęła Laura.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – odparłam, ciesząc się, że wreszcie zrobiłam coś, co spotkało się z uznaniem Cas.

Connor też uśmiechał się szeroko.

– Muszę przyznać, że byłaś niezła, moja droga. Podejrzewam, że trochę ćwoczyłaś w młodości?

– Nie. – Uniosłam brwi. – To był fart początkującego.

– Jasne. A to jest pierwszy guinness w moim życiu. – Mrugnął do mnie, wznosząc szklaniczkę.

– Skoro tak, to pozwól, że postawimy ci z Cassie twojego drugiego guinessa w życiu.

– Nie trzeba. Zamówiłem już coś innego. – Zerknął na Orlaithe, która rozpromieniona postawiła przed nim na kontuarze butelkę szampana. – To dla uczczenia waszego zwycięstwa. Cas, chcesz otworzyć?

Dziewczyna z zapalem odkorkowała butelkę. Connor ponownie zwrócił się do mnie.

– A teraz przyznaj się: gdzie się tak dobrze nauczyłaś grać?

– Kiedy wyprowadziłam się do Londynu, przez pierwszy rok mieszkałam w akademiku

YWCA – zaczęłam, siadając na stołku obok niego i biorąc do ręki kieliszek z szampanem, który mi podał. – W tym czasie grałam chyba co wieczór. Nie miałam zbyt wielkiego wyboru, a dzięki grze udawało mi się odpocząć od nauki i pracy. Trzeba przy tym wiedzieć, że *musiałam* wygrać. Nie mogłam sobie pozwolić na przegraną. Ale minęło już trochę czasu, odkąd grałam ostatni raz. Trochę się obawiałam, że wszystko zapomniałam, ale najwyraźniej z grą w bilard jest tak, jak z jazdą na rowerze: tego się nie zapomina, trzeba tylko się trochę wdrożyć... – Zerknęłam ku Cassie, żeby się upewnić, że nie podsłuchuje, ale po rozdaniu kieliszków z szampanem Charles wyzwał ją na kolejną partyjkę.

Laura pokazywała jej, jak się układać do uderzeń, by pokonać przeciwnika.

– Co ty właściwie wczoraj zrobiłeś z Cas? Wróciła jak odmieniona. Od śmiertelnego przygnębienia do euforycznej radości.

– Taa, oto cudowny efekt przebywania z Connorem Blythem. Nie można przestać się śmiać – uśmiechnął się. – Ach prawda, śmiech następuje dopiero na tym etapie znajomości, kiedy ogląda się mnie na golasa... Spokojna głowa, tego widoku naturalnie Cassie oszczędziłam. – Wyszczrzył się od ucha do ucha. Zdawałam sobie sprawę, że robił wszystko, żeby oczyścić dziwną atmosferę, jaka zapanowała między nami po nocy spędzonej u niego i byłam mu za to wdzięczna. – Ale żarty na bok. Po prostu spędziłam z nią trochę czasu, pogadałam. Nie chcę robić wyrzutów tobie czy twojej matce, ale mam wrażenie, że Cas jest trochę samotna.

– Możliwe. Nie było jej łatwo poznać jakichś rówieśników. Ale wczoraj wieczorem miała randkę, może w ten sposób wejdzie jakoś w towarzystwo.

– Coś podobnego, miała randkę.

Uśmiechnął się.

– Owszem. I zdaje się, że dobrze jej poszło.

– Cieszę się.

– Rozmawiałaś z nią o mnie? – zapytałam i aż się sama zdziwiłam swoim pytaniem.

– Skąd ten pomysł? – odpowiedział wykrętnie.

– Bo od wczoraj zaczęła traktować mnie jak człowieka.

– Być może rzeczywiście zwróciłam jej uwagę, że jesteś człowiekiem...

– A nie potworem – dokończyłam.

– Właśnie. Mam nadzieję, że się nie gniewasz za to, że się wtrąciłam?

Popatrzyłam na Cassie skaczącą z radości, bo wbiła pierwsza bilę. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnęła się i uniosła do góry kciuk.

– Nie bardzo – odparłam, tłumiąc uśmiech.

Jadę dziś na zakupy – oświadczyła Laura następnego dnia po śniadaniu. – Czy ktoś ma ochotę wybrać się ze mną?

– Przecież wszystko mamy – odpowiedziałam, zanurzając dłonie do wody z płynem do naczyń.

– Nie mówię o artykułach spożywczych. Chcę pochodzić po sklepach. Pokupować trochę ciuchów – wyjaśniła.

Cas siedziała na podłodze przy kominku i bawiła się z Tuffem. Ciekawie podniosła wzrok. Moja matka miała wprawdzie więcej ubrań niż projektant w czasie paryskiego Fashion Week, ale odkąd byliśmy tutaj, nie kupiła sobie nic nowego.

– Potrzebuję nowej sukienki na bal świąteczny.

– Bal świąteczny? – zdziwiłyśmy się z Cas.

Laura pokiwała z przejęciem głową.

– Organizujemy co roku bal, na zmianę w Wigilię i w sylwestra, żeby ludzie mieli jakąś odmianę. Ale my na naszym balu nie tańczymy tak, jak sobie wyobrażacie, moje drogie. My wywijamy na parkiecie.

– Wywijacie? – powtórzyła drwiąco Cas, ale jej drwina nie miała w sobie nic ze złośliwości. – To brzmi jakoś tak... no, prowincjonalnie.

– A co jest złego w byciu prowincjonalnym? – zahaczyła Laura. – Nie każdy może być takim mieszcuchem, jak wy.

Cas z uśmiechem przewróciła oczami.

– Już sobie wyobrażam ten wasz bal – mruknęła zjadliwie. – Zatrzęsienie kraciastych koszul, do siedzenia bele słomy, cydr lejący się strumieniami, wielkie halo, że można wreszcie zatańczyć na stole w wypucowanych na wysoki połysk kowbojkach z dermy.

– Ach, więc jednak byłaś już na jednym z naszych balów? – skontrolowała zaczepnie Laura.

– Chyba nie mówisz poważnie? – Cassie otworzyła szeroko oczy. – Naprawdę tak to u was wygląda?

– Nie, oczywiście że nie, ty miejska ignorantko. To coś w rodzaju poświętecznej potańcówki. Tyle że nie odbywa się w starej, zapyziałej remizie, a w wielkiej sali Cadogan House.

– Cadogan House... Czy to nie posiadłość Treleorów? – zapytała niewinnie Cas, trzepocząc rzęsami.

– Posiadłość szlachetnego Charlesa? – dorzuciłam.

Ale mama nie dała się złapać.

– W zeszłym roku bal był w Wigilię, mieliśmy nawet Mikołaja! Charles był tak dobry i przebrał się dla nas.

– Już to sobie wyobrażam. A tobie pozwolono usiąść mu na kolanach i wypowiedzieć życzenie. Powiedziałaś mu, co ma ci włożyć do skarpety... – zachichotałam.

Laura odpowiedziała ze stoickim spokojem.

– Nattie, jestem twoją matką. Nie mówi się takich rzeczy do matki.

– W normalnym przypadku nie, ale w normalnym przypadku matka nie prowadzi intensywniejszego życia seksualnego niż jej córka – odparowałam z przymrużeniem oka.

– Co w sumie nikogo nie powinno dziwić, skoro córka żyje niemal w celibacie – szepnęła

do mnie tak, by nie usłyszała jej Cas.

– Możesz od razu skreślić to „niemal”.

Laura uśmiechnęła się do mnie ciepło, a potem zaczęła się śmiać.

– Á propos Charlesa: w zeszłym roku zrobiłam mu brodę z surowej owczej wełny, a on dostał od niej potwornej wysypki. Przez cały tydzień nie mogłam go pocałować. W każdym razie nie w twarz.

Popatrzyła na mnie wyzywająco.

Tym razem to ja przybrałam zaszokowaną minę.

– Cóż, skoro tak zaczęłaś, to musiałam ci się odpowiednio odpłacić – zaczęła się bronić. – Tak czy siak potrzebuję nowej sukienki. To jak? Kto jedzie na zakupy?

– No cóż, właściwie powinnam kupić parę prezentów pod choinkę – westchnęłam.

– Cas?

– Czemu nie. I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Wsiadłyśmy do mojego samochodu i pojechałyśmy do Truro. W miasteczku było sporo różnych sklepów z ciuchami na przeciętną kieszeń, na które rzuciły się Laura i Cas, a także parę ekstrawaganckich butików, w których – daremnie – szukałam prezentu dla Cassie.

Po bitych dwóch godzinach bezskutecznych poszukiwań wylądowałam w końcu w sklepi-ku z używanymi książkami. Po gorączkowej atmosferze innych sklepów ogarnął mnie tu kojący spokój. Jedynym dźwiękiem było tykanie wielkiego zegara. Panował przyjemny półmrok, a parapety wykuszowych okien uginały się od bibelotów. Antykwariat przypominał mi wiktoriańskie domy towarowe, znane z filmów kostiumowych. Była to miła odmiana po oświetlonych neonowym światłem, nastawionych na komercję i wydajność sklepach.

Znalazłam biografię Franka Sinatry, która mogłaby się spodobać Laurze. Trzymając w ręku tomik, rozglądałam się za czymś jeszcze. Może znalazłabym coś o koniach dla Cas albo album o sztuce dla Petry. W dziale dziecięcym dałam się ponieść nostalgii i odkryłam nienaganne wydanie *Wyspy skarbów* Roberta Louisa Stevensona. Kolorowe ilustracje były po prostu czarujące. Przyszło mi do głowy, że książka spodobałaby się Connorowi. Była jednak dosyć droga, a ja nie byłam pewna, czy w ogóle wypadało dawać mu prezent z okazji Bożego Narodzenia.

Sama się zdziwiłam, jak bardzo chciałam mu kupić tę książkę. Koniecznie.

Natychmiast odezwało się we mnie sumienie. Właśnie chciałam odstawić tom na półkę, kiedy wyrosła przy mnie Laura.

– Tu jesteś! – powiedziała. – Ciekawe, skąd wiedziałam, że cię tu znajdę? Wszędzie straszne tłumy, nie uważasz? Wprawdzie nie wszystko dostałyśmy, ale jesteśmy wykończone i chcemy wracać do domu. Zajrzę jeszcze tylko do apteki naprzeciwko. Spotkamy się tam? – Jej wzrok padł na książkę, którą trzymała. – Co to?

Pokazałam jej. Wzięła tom do ręki i zabłysły jej oczy.

– Wow. Mądra dziewczynka. Od dawna tego szukam na prezent dla przyjaciela. Chciałaś to kupić?

Pokręciłam głową.

– A byłabyś tak dobra i kupiła ją dla mnie?

Skinęłam głową, zabrałam książki do kasy i poczułam dziwne rozczarowanie, że jej nie kupię Connorowi.

Następnego ranka, kiedy właśnie wstawaliśmy od śniadania, głośnie trąbienie zwiastowało przybycie furgonetki. Był to niebieski wóz firmy Audger & Syn, miejscowego rzeźnika, który przyjechał po gęsi. Laura umówiła się z nim, że weźmie wszystkie trzy, a największą – czyli gniewną Gertrudę – przywiezie sprawioną na wigilijną pieczeń. Pozostałe dwie miał zatrzymać w charakterze zapłaty.

Laurze zrzęła mina.

– O nie, zupełnie o nim zapomniałam.

– Mam się nim zająć?

– Nie, nie, już lecę. Jago specjalnie przyjechał aż z Helston. Chodź, pomożemy mu.

Cas siedziała na beli słomy przed boksem Szansy i pachnącym słodko mydłem w kolorze bursztynu czyściła rzemienie jej uprzęży. Uzda w wiadrze z wodą u jej stóp moczyła się, żeby łatwiej było oczyścić ją z zaschniętej trawy. Dziewczyna przemawiała do klaczy, która wystawiała do niej łeb, dotykała miękkimi chrapami i dmuchała jej łagodnie we włosy. Cas wyrzucała jej, jaki z niej straszny leniuch i że się w głowie nie mieści, że można tak ciągle brudzić. Zaproponowała, by wpadła do domu i wypuowała łazienkę, w końcu ona też codziennie sprząta jej boks. A w ogóle to nie pogniewałaby się, gdyby klaczka wyprasowała jej parę rzeczy, kiedy już skończą z tą uprzężą.

Nie wiedziała, że jej się przysłuchuje, a tym bardziej, że się uśmiecham.

Ledwie mama wyszła na podwórze, bezszelestnie dołączyła do niej Meggie i na powitanie przycisnęła jej do ręki mokrą mordę. Zaaferowana Laura mówiła do siebie, wychodząc na spotkanie z Jago.

– Gęsi są naprawdę niezłymi stróżami, ale od tego mam Meggie! A poza tym kupiłam je wyłącznie na pieczeń. W dodatku to prawdziwe diablęta, trzeba przyznać. No, gdyby z nich były dobrotliwe zwierzaki, to nawet by mi do głowy nie przyszło...

Najwyraźniej usiłowała sama usprawiedliwić przed sobą planowaną rzeź. Podeszłam do niej i wzięłam ją pod rękę, żeby ją wesprzeć.

Gertrude ani trochę nie spodobało się, że jakiś obcy wypędza ją z jej królestwa.

– Założę się, że one to wyczuwają – mruknęła pod nosem Laura. – Założę się, że na odległość wyczuwają woń martwego mięsa.

– Dlaczego nie zmienisz zdania i jej nie zatrzymasz?

Pokręciła stanowczo głową.

– Mam z nią masę roboty, sama wiesz. Gdyby nie to, że tuczyłam je na święta, to już dawno bym je oddała. I tak skończyłyby na stole.

Kochałam zwierzęta, ale nie aż tak, aby odżywiać się wegetariańsko. Lubiłam mięso. Ale oczywiście takie sprawione, zapakowane. Sterylny kawałek boczku czy pojedynczy kotlet były odległe o całe galaktyki od żywego zwierzęcia.

Gertrude była wściekła i nie ustawała w próbach uszczypnięcia mężczyzny, który ją gonił. Rozłożyła skrzydła, przypominając wielką i dumną panią, poprawiającą na ramionach stołę. Cas nie chciała się temu przyglądać. Odłożyła uprzęż Szansy, przywołała gwizdnięciem Tuffa i oświadczyła, że idzie na spacer.

Choć ja też byłam z Gertrudą na wojennej stopie, zdałam sobie sprawę, że przejęłam się jej odejściem. Chciałam wesprzeć Laurę, ale musiałam przyznać, że w kwestiach dotyczących śmierci nie jestem zbyt silna. Mruknęłam do Laury, że muszę lecieć, co matka przyjęła na szczęście z wyrozumiałością. Wzięłam rzeczy, wskoczyłam do samochodu i pojechałam do Penzance. Chciałam załatwić ostatnie przedświąteczne sprawunki, przedzierając się przez dzikie tłumy na ulicach i w sklepach.

Wczoraj uświadomiłam sobie, ile rzeczy mi jeszcze zostało do kupienia.

Kiedy obładowana torbami wróciłam do domu, nikogo nie zastałam. Laura zostawiła mi wiadomość: poszły z Cas do kina.

Psów też nie było. Meg pewnie włóczyła się gdzieś po okolicy, a Tuffa widać zabrały ze sobą. Choć nie chciało mi się wierzyć, żeby ktoś je z nim wpuścił. Psiak jednak lubił drzemać na kocyku w tyle samochodu.

Włożyłam kupiony bukiet kwiatów do zlewu, zakupy spożywcze do lodówki, a resztę zaniosłam do salonu.

Próbowałam przywołać świąteczny nastrój i puściłam jedną z płyt Laury, nalałam sobie szczerze sherry i włączyłam lampki na choince.

Usiadłam na podłodze przy kominku, by zapakować prezenty. Wiedziałam, że znowu przesadziłam z upominkami dla Cas. Wciąż próbowałam zrekompensować jej to, że nie mogła dostać jedynej rzeczy, jakiej sobie życzyła. Powinnam się już czegoś nauczyć. Najpóźniej w jej urodziny powinnam była przekonać się, że żadne dobra materialne nie zrekompensują jej tego, co jej odebrano. Ale liczyłam na to, że prezenty odwrócą przynajmniej jej uwagę od ponurych myśli.

Mnie zawsze praca pomagała zapomnieć o bólu. Dopiero tutaj zaczęłam częściej dopuszczać do siebie myśli o Robie, a choć były bolesne, coraz częściej łapałam się na tym, że myślenie o nim było piękne. Zbyt długo bałam się konfrontacji z bólem, ale także z pięknymi uczuciami i wspomnieniami.

Kiedy o nim myślałam, na moich ustach gościł uśmiech. Czasami nawet śmiałam się na głos. Zostawił mi tyle szczęśliwych wspomnień, a tego nikt nigdy mi nie odbierze. Pewnego razu w Boże Narodzenie tak bardzo oburzył się wygórowaną ceną za gałązkę jemioly, że zamiast ją powiesić, nosił ją ze sobą, żeby w każdej chwili móc mnie pocałować. „Niech się przynajmniej opłaci”. Raz nawet wetknął ją sobie do bokserek.

Uwielbiałam robić innym prezenty i chyba znalazłam idealny dla Laury: iPoda wraz ze stacją dokującą i głośnikami. Małe i nierzucające się w oczy, ale ze wszystkim, co potrzeba. Matka używała teraz przenośnego odtwarzacza kompaktów, z którego w zasadzie była zadowolona, ale teraz mogła zapisać wszystkie ulubione kawałki na jednym niewielkim urządzeniu, bez konieczności ciągłego zmieniania krążków. Będzie mogła tworzyć playlisty i do upadłego słuchać Helen Carr i Judy Garland. Niewykluczone, że właśnie wyłaziła ze mnie skłonność do masochizmu, bo to oznaczało, że będę musiała w nieskończoność słuchać obu dam... Ale dla mnie było to warte poświęcenia. Laura będzie skakać z radości. Już teraz wgrałam jej ulubione płyty i ściągnęłam dodatkowo parę nowych. Głównie jazz.

Dla Orlaithe miałam koszulę nocną w stylu baby doll w jej ukochanym intensywnym odcieniu różu. Peniuar był przezroczystry, z puchatymi, pierzastymi obłamówkami. Ostatni krzyk mody. Orlaithe będzie przeszczęśliwa.

Kiedy natknęłam się na prezent dla Hanka – parę nowiutkich kowbojek – po prostu nie mogłam się oprzeć. Wypatrzyłam je na wystawie trochę dziwnego sklepu z designerskimi ciuchami, nieco z dala od głównego pasażu handlowego. Połyskiwały czarną, wyglądającą na krokodylą skórą, a wokół obcasów i cholewki wił się jaskrawoczerwony boa dusiciel.

Connorowi kupiłam butelkę dobrej brandy – w zastępstwie tej, którą obaliliśmy owej burzliwej nocy. Nie przyszło mi do głowy nic bardziej oryginalnego. Znowu złościło mnie, że jednak nie kupiłam mu książki. Byłaby o wiele bardziej osobistym prezentem.

Cassie kupiłam wszystko, co mogło jej sprawić radość.

Na końcu zapakowałam w papier blaszaną puszkę Quality Street dla obu uwielbiających czekoladę psów i zapas smakołyków dla Szansy. Dołożyłam wszystkie pakunki do pozostałych kolorowych prezentów pod choinką.

Po dwóch godzinach skończyłam i sprzątnęłam. Nieprzydatne resztki papieru do prezentów i folii powędrowały do śmietnika, gdzie zwinięte kulki plastiku spuchły na nowo, taśmę klejącą i nożyczki odłożyłam do szuflady. Potem usiadłam przy stole w kuchni i zdziwiłam się, jak bardzo opadł poziom płynu w butelce z sherry, bo przecież nie wypięłam ani kropelki.

Chyba.

Zajęłam się wypisywaniem kartek świątecznych, próbując przypomnieć sobie, którą prze-

znaczyłam dla kogo. Jedna z nich była trochę mniejsza od pozostałych. Otworzyłam ją. W środku widniał napis: „Temu, którego kocham”. Wciąż cię kocham, Rob. To, co tu jest napisane, nadal obowiązuje, powiedziałam do siebie i przekornie wysunęłam podbródek, jakbym chciała oprzeć się głosowi rozsądku, który mówił, że jednak mam nie po kolei w głowie.

Wypisanie kartek zawsze zajmowało mi trochę czasu, bo wychodziłam z założenia, że powinnam skreślić coś mądrego, błyskotliwego albo przynajmniej osobistego, indywidualnego. Nie zadowalało mnie zwykle „wesołych świąt”. Stosunkowo prędko znalazłam właściwe słowa dla Petry, Hanka i Orlaithe.

Pora na kartkę dla Cas.

Znieruchomiałam i zaczęłam gryźć końcówkę długopisu. Co napisać? Nowy Rok, nowy początek?

Pustosłowie. No dobrze, ale czy ten cały bożonarodzeniowy cyrk nie był jedną wielką masą utartych stereotypów? Odłożyłam tymczasowo kartkę na bok i zabrałam się za życzenia dla matki. Ale z nią wcale nie poszło mi łatwiej, więc w końcu wszystko odłożyłam na bok. Zajmę się tym później.

Po czterech szklaneczkach sherry, która zaczęła mi się odbijać nieprzyjemnie, wstawiłam wodę na herbatę.

Przed przygotowaniem kolacji powinnam jeszcze zrobić coś z kwiatkami w zlewie. Odwinęłam wielką wiązkę białych róż z folii, wstawiłam je do sporego wazonu i postawiłam na samym środku stołu.

Rob zawsze przynosił mi kwiaty. Każdego tygodnia. Bez wyjątku. Wetknęłam nos w bukiety i wciągnęłam powietrze. Ku mojemu rozczarowaniu wcale nie pachniały. To pewnie wina pory roku. Ale i tak wyglądały pięknie.

Otworzyłam lodówkę i wyjęłam kupione artykuły spożywcze. Ze stoickim spokojem zaczęłam przygotowywać kolację. Ulubione danie Roba: beef wellington, czyli polędwica wołowa pieczona w cieście.

Zazwyczaj nie trzymałam się niewolniczo przepisów. W kuchni lubiłam kreatywność i chętnie dodawałam tego i owego, aż całość smakowała tak, jak chciałam. W tym wypadku zrobiłam wyjątek, bo chodziło o ulubioną potrawę Roba.

Kiedy polędwica i ziemniaki znalazły się w piekarniku, a warzywa dusiły na wolnym ogniu, nakryłam do stołu. Naprawdę odświętnie, ze świecami, z kryształowymi kieliszkami, lnia-nymi serwetkami i starą zastawą babci ze złotym brzegiem. Wraz z białymi różami efekt był taki, że nie powstydziliby się go najlepsza restauracja. Odkorkowałam dwie butelki czerwonego burgunda, żeby wino zaczęło oddychać. Na koniec położyłam na talerzu Cas jeden z prezentów, które uprzednio zapakowałam.

Tuż po ósmej usłyszałam wtaczającego się na podwórko starego land rovera. W przypływie naglej niepewności wzięłam prezent z talerza Cassie i schowałam go na stole w zasięgu ręki. Otworzyły się drzwi i do środka wpadły nie tylko Laura i Cas, ale i chłodny powiew wiatru, który wprawił płomyki świec w migotanie.

Ledwie wróciła Laura, nie wiadomo skąd pojawiła się Meg. Zanim zamknęły się drzwi, wśliznęła się prędko do środka, przecisnęła między nogami Laury i Cas, położyła na stałym miejscu przy kominku i w ciągu sekundy zapadła w głęboki sen, wyczerpana całym dniem spędzonym na zimnie.

Cas odwinęła szalik z szyi i rzuciła go na krzesło, a potem stanęła jak wryta, widząc nakryty odświętnie stół.

– Och. Czy jest dziś jakaś szczególna okazja?

Jak jej to miałam wytłumaczyć? Jak wyjaśnić, że odprawiam coś w rodzaju czuwania

przy jej zmarłym ojcu? Że długo trwało, zanim uświadomiłam sobie, jak bardzo brakowało mi uczczenia jego osoby i życia z ludźmi, którzy go kochali, poważali i szanowali. Nie wiedziałam, czy spotkałoby się to ze zrozumieniem, czy też raczej wywołałoby smutek. Może zamknęłaby się w sobie. Nie. Nie chciałam jej wyjaśniać tego wszystkiego.

– Po prostu miałam ochotę coś ugotować – stwierdziłam.

– Przecież ty nigdy nie masz ochoty na gotowanie – rzuciła nieufnie Cas.

– Dziś owszem. – Wysiliłam się na uśmiech.

– Obojętne, dlaczego Nattie zajęła się gotowaniem, pachnie wspaniale! – Laura odwiesiła płaszcz. – Umieram z głodu. Kiedy będzie gotowe?

– Kiedy tylko zechcecie.

Nie czekając, Laura usiadła przy stole i jak niecierpliwe dziecko chwyciła w dłonie sztućce.

– Nie jadłyśmy obiadu – wyjaśniła z uśmiechem. – W lodówce była tylko krojona wędlina, a po porannym zamieszaniu nie miałyśmy na nią ochoty.

Wydała się ożywiona. Sztucznie podekscytowana. Zaczekałam, aż Cas wyjdzie do toalety, i zapytałam:

– Wszystko w porządku?

– Chyba tak. – Przetarła zmęczone oczy. – Trochę mnie wyczerpało to, co się stało dzisiaj rano.

Wróciła Cas i zaczęłyśmy jeść.

– Jak film? – zapytałam, kiedy dziewczyna rzuciła się na mięso.

– Dobry – odrzekła, mówiąc z pełną buzią. – Chociaż to Laura go wybrała. – Przestała na moment żuć i popatrzyła zaczepnie na moją matkę. – Nie miała pojęcia, o czym jest, a chciała go obejrzeć tylko dlatego, że gra w nim Brad Pitt.

– Tak, wiem, jestem powierzchowna. – Laura wzruszyła ramionami. – Ale Brad Pitt jest po prostu zabójczo przystojny. Smaczne to – powiedziała, wskazując nożem na talerz. – Prawda, Cassie?

Dziewczyna burknęła coś niezrozumiałego. Ale zauważyłam, że rzeczywiście jadła, a nie tylko przesuwiała jedzenie po talerzu, jak zwykle kiedy ja je przyrządziłam.

– Nie wiedziałam, że moja córka potrafi gotować. – Laura mrugnęła do mnie.

– Bo nie potrafi – powiedziała Cas z pełnymi ustami, nie podnosząc wzroku znad talerza. – To jedyne, co umie przyrządzić. – Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie. – To było ulubione danie taty.

– Ach. – Również i Laura zauważyła uśmiech Cassie. Odłożyła widelec. – Rozumiem. – Sięgnęła po jedną z butelek i wszystkim naląła wina. Podniosła kieliszek. – Myślę, że powinnyśmy wznieść toast. – Zaczekała, aż pójdziemy jej śladem. – Za tych, którzy nie mogą być z nami.

– Za tatę – powiedziała cicho Cas.

Do oczu napłynęły jej łzy.

Spojrzałam na kieliszek w swojej dłoni. Na ciemnoczerwone wino. Rob i ja wznosiliśmy toast przy każdej otwieranej butelce wina. „Za nas”, mówił zawsze.

Trąciłam się kieliszkiem z Laurą i Cassie.

– Za nas.

Było już późno, kiedy skończyłyśmy jeść. Cas była syta i tak znużona winem, że ziewała tylko i chciała położyć się spać.

Wydobyłam pakunek dla niej i wręczyłam jej z wahaniem.

– Mam coś dla ciebie.

– Ale to jeszcze nie święta – powiedziała zmieszana.

– Ale chciałam dać ci to już dziś.

Widziałam jej zakłopotanie, kiedy przyjmowała prezent. Z reguły nie dawałam jej nic niespodzianie, dlatego trudno jej było zrozumieć, jaka to mogła być okazja. Zwłaszcza że dopiero niedawno miała urodziny i została obdarowana bardziej niż hojnie. Niepewnie zerknęła na Laurę, potem rozpakowała prezent i wzięła do ręki kunsztowną, pozłacaną ramkę.

W ramce było zdjęcie Cassie i jej ojca. Jedno z tych, które zostały zrobione tuż po naszych pierwszych oficjalnych Świętach Bożego Narodzenia, kiedy dziewczyna skończyła czternaście lat. Siedziała u ojca na kolanach, roześmiana, z głową odchylną do tyłu. Rob również się śmiał. Jego ręka spoczywała na jej kolanie, a ona przykrywała ją swoją dłonią. Nie zauważyła, że ją fotografuję i jakoś nigdy nie pokazałam jej tego zdjęcia.

Może dlatego, że nawet dla mnie ten moment był bardzo intymny. Obawiałam się, że dziewczyna potraktuje zdjęcie jako wtargnięcie w jej prywatną sferę. Byłoby dowodem, że podglądałam ich, kiedy ona sądziła, że jest z ojcem sama. Kiedy była z nim odprężona i szczęśliwa.

Cas bez słowa wpatrywała się w fotografię. Jej twarz czerwieniała coraz bardziej. Przez chwilę obawiałam się, że jest wściekła, ale kiedy obróciła się do mnie, zauważyłam, że płacze. Nachyliła się i musnęła mnie ustami w policzek.

– Dziękuję – szepnęła, wstała i powoli poszła na górę, z ramką przyciśniętą do piersi.

Wieczór tak wzburzył we mnie emocje, że spałam bardzo niespokojnie. Właściwie to nie spałam w ogóle. Leżałam z otwartymi oczami i wędrowałam wzrokiem po pokoju. Zawiesiłam spojrzenie na pudełku po butach, leżącym na szafie, które odkryłam w dniu pikniku. Całkowicie o nim zapomniałam. Ogarnęła mnie ciekawość.

Zapaliłam nocną lampkę, przysunęłam krzesło do szafy i wspięłam się na nie. Z pudełkiem w ręku zeszałam i wróciłam do łóżka. Rozwiązałam wstążkę, owiniętą pieczęcią wokół pudełka, i znalazłam trochę sfatygowany manuskrypt. Upłynęła chwila, zanim zaświtało mi w głowie, że to moje własne pismo. Sądziłam, że moja pisarska wprawka zaginęła dawno temu. Pisałam to, kiedy mieszkałam na farmie. Była to historia dziewczyny, która wyprowadza się do miasta w poszukiwaniu sławy i bogactwa. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących było oczywiście przypadkowe.

Zafascynowana oparłam się o poduszkę i zagłębiłam w tekst. Dziwnie było czytać to po latach. Moje ówczesne wyobrażenia o tym, jak miało potoczyć się moje życie. Dziwnie było porównywać te zapiski z tym, co rzeczywiście wydarzyło się po przeprowadzce do Londynu. Największe wrażenie zrobiło na mnie – ku mojej własnej nieskromności – jak dobre było to, co przelałam na papier! Może odrobinę niedojrzałe, ale przecież byłam młoda. Gdybym trochę nad tym popracowała, to może...

Cztery godziny później zamknęłam z powrotem laptop, i to tylko dlatego, że nagle zdałam sobie sprawę, jak późno się zrobiło. Przepisywanie i jednocześnie redagowanie powieści napisanej w młodości sprawiło, że zapomniałam o całym świecie.

Od dawna nie czułam tak wielkiej harmonii.

Wigilia.

Obudziłam się z mieszanymi uczuciami. Laura była podekscytowana, a Cassie cicha. Z pewnością myślała o ojcu. Tak jak ja.

Wspólnie odbębniłyśmy to, co było do zrobienia: przed południem zrobiłyśmy porządki, wyczyściłyśmy i nakarmiłyśmy zwierzęta, po południu zajęłyśmy się przygotowaniem świątecznych potraw na jutro.

Bładoróżowa, obła i naga Gertrude zajmowała dolną połowę lodówki. Właściwie spodzie-

wałam się, że będę czuła satysfakcję, nadziewając bydlę, które chciało kiedyś skonsumować na śniadanie mój goły tyłek. Pomyliłam się. Wiedziałam, że ta chłodna, pozbawiona życia padlina była kiedyś charakternym stworzeniem. Pozostałam faszzerowanie Laurze i zamiast tego oplukałam i oczyściłam osiemnaście ton, jak mi się wydawało, brukselki. Cas obierała kartofle.

– Pójdziemy dziś wieczorem do Ship? – zapytała z nadzieją w głosie Cas, włożywszy obrane i pokrojone ziemniaki do miski z zimną wodą i wstawiwszy ją do lodówki.

Laura pokręciła głową.

– Nie, właściwie nie miałam takiego zamiaru.

Cassie była wyraźnie rozczarowana.

– Ale dziś miała być tam impreza. Orlaithe od tygodnia piecze babeczki mince pies, a Denzel ma grać na pianinie.

– No to musimy iść – zadrwiłam i mrugnęłam do Cassie. Potem zwróciłam się do Laury.

– Co ty na to? Brzmi nieźle, co?

– Cóż, właściwie chciałam spędzić ten wieczór w domowym ciepłku z wami... No wiecie, taki piękny, staroświecki, rodzinny wieczór, z grami i grzanym winem... – Zamilkła, widząc, jak wydłużają nam się twarze. – No dobrze już, dobrze. Przekonałyście mnie. Idziemy do Ship.

Pierwszą znajomego, którego ujrzałyśmy w pubie, był Luke. Tego dnia ubrał się wyjątkowo szykownie, w szare welwetowe spodnie i granatową koszulę.

– Ach, to dlatego Cassie koniecznie chciała tu przyjść – szepnęła do mnie Laura, kiedy dziewczyna pomaszzerowała prosto do niego, w stronę stołu bilardowego.

Orlaithe ubrała się w wąską, czerwoną szyfonową sukienkę i szpiczastą czapeczkę z papieru z gałązką jemioli. Każdego przybyłego witała szklaneczką sherry i całusem wymalowanych na karminowo ust.

– Laura! Nattie! Jak miło! – zawołała z radością na nasz widok. – Stawiam pierwszą kolejkę – oznajmiła, podtykając nam srebrną tacę z sherry.

– Nie, dziękuję, muszę prowadzić.

– Znakomicie, w takim razie wezmę dwie! – ucieszyła się Laura.

Goście w pubie byli w świątecznym nastroju. Hank zamiast zwykłego krawatu owinął wokół szyi łańcuch choinkowy. Mały, łysy Denzel siedział już przy pianinie i grał zmiękczoną wersję *Winter Wonderland*, a z jego ogorzałej twarzy nie schodził szeroki uśmiech odsłaniający niekompletne uzębienie.

Wiedziałam po Laurze, że ma nadzieję spotkać tu Charlesa. Rozglądała się, ale nie mogła go nigdzie dostrzec. Na jej twarzy malował się zawód połączony z niezłomną determinacją, że będzie się bawić i bez niego. Podążyła za Orlaithe i postawiła obie opróżnione szklaneczki na kontuarze. Potem, nie bez przekory, zamówiła kolejnego drinka.

Moja matka była naprawdę zdumiewająca. Pod wieloma względami była taka silna... Zupełnie inna, niż ją zachowałam w pamięci. Ludzie jednak zmieniają się z czasem.

Wróciłam myślami do Wigilii sprzed roku. Wtedy o siódmej wieczorem siedziałam jeszcze w biurze i ludziłam się, że mnie tam potrzebują. Nie licząc ochroniarzy, byłam jedyną osobą w całym budynku, wszyscy inni już dawno byli w domach ze swoimi rodzinami, podtrzymując tradycje, przeżywając święto miłości.

O matce nie myślałam wiele. Gdzie była, z kim – nie obchodziło mnie to. Zrobiło mi się ciepło na myśl, że prawdopodobnie była wtedy tutaj, razem z tymi wspaniałymi ludźmi. I chociaż potwornie brakowało mi Roba, chociaż byłam zasmucona, zalękniona i wciąż zbolala po stracie, czułam się zaszczycona, że tego roku mogłam być tutaj.

– Cześć. – Głos Connora, którego nie sposób pomylić z żadnym innym, przywrócił mnie

do rzeczywistości.

– Cześć – odpowiedziałam cicho, próbując wywołać na twarzy w miarę szczery uśmiech.

– Wszystko gra?

Skinęłam głową.

– Wyglądasz smutno. Brakuje ci świateł i kultury wielkiego miasta?

Pokręciłam głową.

– Możesz wierzyć lub nie, ale nie. Wręcz przeciwnie. A poza tym tu też są światła... –

Wskazałam ręką lampki, które Orlaithe zawiesiła nad barem. – A jeśli o mnie chodzi, to niech mieszcuchy wypchają się tą swoją kulturą, tutaj jest o wiele fajniej.

– Czy to znaczy, że powoli się do nas przyzwyczajasz?

Uniosłam pytająco brwi.

– Do tutejszych ludzi, do naszego stylu życia – wyjaśnił. – To w końcu dorwie każdego. Niezauważalnie owinie cię wokół palca swoim dyskretnym urokiem i nagle nie potrafisz już sobie wyobrazić, że mogłabyś mieszkać gdzie indziej.

– Może i tak – odparłam z namysłem. – Dlaczego właściwie zapragnąłeś wynieść się z Londynu?

– Ja? – zapytał, jakby to pytanie go zaskoczyło. – Bo gdybym został dłużej, to miasto całkowicie by mnie pochłonęło.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć?

– Nie tyle wyprowadziłem się z Londynu, co odszedłem od tego, co to miasto oznaczało dla mnie jako artysty. Kiedy pracowałem w Londynie, świat sztuki coraz bardziej opanowywała żądza sensacji i gonitwa za prominencją. Musiałem odciąć się od tego, zanim zdążyło mnie zainfekować. Chciałem tylko malować, a tam malarstwo przestano traktować jako sztukę. Czy uwierzysz, że większość akademii sztuki, w przekonaniu, że malarstwo i rysunek umarły, nie oferuje już standardowo tych kierunków? Po prostu skandal! Wystarczy rozejrzeć się w historii malarstwa, żeby stwierdzić, jakie skarby, jakie piękno można w nim znaleźć. Renesans, Leonardo, Michał Anioł, Raffael, Tycjan, Bellini, Bramante, Lombardo, Torrigiano... – Sypał nazwiskami. – To jeszcze była sztuka, jeśli to kogoś interesuje. Takie jest moje zdanie. Nie jestem aż tak arogancki, żeby wymagać, żeby inni myśleli podobnie. W końcu sztuka – tak samo jak piękno – tkwi w oku patrzącego. W każdym razie londyński światek sztuki zamienił się dla mnie w biotop, w którym nie byłem w stanie się rozwijać. Dla mnie był to basen pełen rekinów.

– To brzmi dość cynicznie.

– I właśnie o to chodzi. Stałbym się cynikiem, gdybym został dłużej w Londynie. Nie chciałem tracić radości z życia. Bo co jest warte życie bez radości? Popatrz tylko na małą Cas i jej pasję do jeździectwa. Zaangażowała się w to całym sercem.

– Owszem, i jest w tym całkiem niezła, prawda? To samo z malowaniem i rysowaniem.

– To prawda.

– Za to balet przestał ją pociągać.

– Może odeszła jej ochota.

– Może – zgodziłam się i przypomniałam sobie dzień, kiedy widziałam ją tańczącą w stodole. – A przy tym jest w tym cholernie dobra. Porywająco dobra.

– Ma ogromną siłę woli i jest wyjątkowo zdeterminowaną młodą damą. Cas robiłaby dobrze wszystko, do czego podeszłaby z pasją, ale nigdy nie przyznałaby się, że coś po prostu nie sprawia jej radości. W szczególności taniec, choćby ze względu na matkę.

– Rozmawiała z tobą o tym?

– Nie wyczerpująco, ale wspomniała coś o tym, owszem.

– Co takiego mówiła?

– Niezbyt wiele, to było raczej wrażenie, jakie odniosłem. Myślę, że tańczy nie z własnego przekonania, nie z oddaniem, ale dlatego, że czuje się do tego zobowiązana. Szkoda. Ale ona odnajdzie swoją drogę, dowie się w końcu, co jest dla niej właściwe. W tej chwili jest po prostu trochę zdezorientowana. Cóż, szesnastolatki rzadko wiedzą, co chcą począć z resztą swojego życia, które leży przed nimi jak nieskończenie długa droga. A po tym, co przeszła, Cas jest podwójnie usprawiedliwiona.

– Nie miała lekko po śmierci Roba.

– Wyobrażam sobie – powiedział z przekonaniem.

– Wspomniałeś, że też kogoś straciłeś?

– Drugiego brata, miał na imię Colm. Był u nas w rodzinie synkiem mamusi, ja byłem bardziej związany z ojcem. Długo chorował. Wiedzieliśmy, że umrze. Mimo to kompletnie mnie to powaliło.

– Brakuje ci go?

– Oczywiście, ale on nie chciałby, żebym spędził resztę swojego życia na rozdrapywaniu ran. Wolałby, żebym stawiał czoła światu i go zdobywał. Żeby mógł być ze mnie dumny.

– Byłby, na pewno... Nawet bardzo.

– Ach, tak?

W jego głosie pobrzmiwała zwykła figlarność, ale kiedy spojrzałam na niego, jego wzrok był badawczy. A nawet więcej. Wwiercał się we mnie. Ze zdumiewającą intensywnością. Z tęsknotą i pożądaniem.

Zalała mnie fala gorąca, zakręciło mi się w głowie.

– Napijesz się czegoś? – zapytałam drżącym głosem.

Pokręcił głową. Kiedy spojrzałam na niego znowu, w jego wzroku był już tylko zwykły, przyjazny humor.

– Bardzo chętnie, Nat, ale wpadłem tylko na chwilę, żeby życzyć wszystkim wesołych świąt. Muszę lecieć.

– Na jakąś imprezę? – zapytałam, czując, jak wzbiera we mnie rozczarowanie.

– Nie, wybieram się do Londynu. Obiecałem bratu i jego rodzinie, że spędzę z nimi pierwszy dzień świąt.

– Nie wspomniałeś przypadkiem, że mieszkają niedaleko Newcastle?

– Tak, ale w tym roku spędzają święta u rodziców bratowej.

– Jakoś nie tryskasz entuzjazmem.

– Ach, wiesz... – westchnął. – To obosieczny miecz. Naturalnie, że chcę ich wszystkich zobaczyć, że się cieszę, mogąc się przyglądać, jak moje bratanice i bratankowie rozpakowują prezenty. Ale to dziwne gościć w domu kogoś, kogo nie zna się zbyt dobrze.

Pokiwałam głową.

– I chociaż wyraźnie zapraszali Maca, nie jestem pewien, jak mnie przyjmą z takim wielkim psem. Byłem już u nich parę razy, ale w tym domu położono zdecydowanie zbyt dużo jasnych dywanów.

– Możesz zostawić go u nas.

– To miłe z twojej strony, ale w razie czego będę mógł wykorzystać go jako pretekst do ucieczki.

– Aha. Aż tak źle?

– Nie. Ale w tym roku wolałbym spędzić święta tutaj.

Nie wydawało mi się. Patrzył na mnie badawczo, szukając na mojej twarzy reakcji. Milczałam. Nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa. Co za idiotka.

Dostrzegł moje zakłopotanie. Nie wiedziałam, jak je zinterpretował, w każdym razie

odwrócił się, pożegnał ze wszystkimi i chciał odejść. Obojętne, jak byłem zmieszana, jak bardzo odjęło mi mowę, nie mogłam pozwolić mu teraz odejść, bez wyznania jemu i sobie, co czułam – nawet jeśli sama tego do końca nie rozumiałam.

– Connor.

Odwrócił się do mnie.

– Jedź ostrożnie.

Ku mojemu zdumieniu podszedł do mnie i pogładził mnie lekko po policzku.

– Zawsze jeżdżę ostrożnie. Obiecuję.

Ciężkie drzwi pubu zamknęły się za nim. Było mi gorąco. Rozejrzałam się wokół zmieszana. Cas grała z Luke’em w bilard, Laura przyglądała się grze. Bogu dzięki żadne z nich nie było świadkiem tego intymnego momentu, który z jednej strony mnie zdezorientował, a z drugiej ukoił.

Za to obserwował nas ktoś inny.

– Co, Connor musiał wyjść? – zapytała Orlaithe tonem niepozostawiającym najmniejszych wątpliwości, że była świadkiem naszego pożegnania.

Odetchnęłam głęboko, wzięłam się w garść i odwróciłam do niej.

– Tak – powiedziałam całkiem spokojnie. – Jedzie do Londynu, żeby świętować Boże Narodzenie z rodziną brata.

– No to fajnie.

Mrugnęła do mnie, jakbyśmy dzieliły ze sobą jakąś tajemnicą, co znowu zbiło mnie z tropu.

– Co robicie jutro? – zapytałam, żeby zmienić temat.

– Jutro jesteśmy zaproszeni na obiad u matki Hanka, a wieczorem będziemy przecież u was.

– To matka Hanka jeszcze żyje? – zdumiałam się.

– Pod koniec stycznia skończy dziewięćdziesiąt lat, ale w wylewaniu za kołnierz bez trudu wyprzedza Hanka. Urządza wielkie przyjęcie, a Cas i ty na pewno będziecie zaproszone.

– Wtedy będziemy już z powrotem w Londynie.

– Ach, szkoda. Ale pewnie wkrótce nas odwiedzicie?

– Jasne – potwierdziłam. – Przyjedziemy.

Nagle zdałam sobie sprawę, że pod koniec stycznia znajdę się z powrotem w redakcji „Naked” w Londynie, a Cas wróci do internatu. Ścisnęło mnie w gardle, a żołądek zrobił fikołka.

Będziemy tak daleko od... wszystkich.

Tuż przed północą Orlaithe zamknęła drzwi pubu za ostatnim gościem. Najbardziej wytrwali i wybrańcy wciąż jednak siedzieli przy barze – Laura, Cas i ja, Daveth, który ledwie patrzył na oczy, Denzel i jego trzecia żona Agnes, pochodząca z Islington. Niezwykle filigranowa kobieta, przypominająca wróbelka. Rozmawiała z Cas.

– Wiesz, że wszystkie zwierzęta klękają o północy, żeby złożyć hołd rodzącemu się Jezusowi?

Cassie zerknęła w stronę kominka, gdzie w pomarańczowym blasku ognia spały głęboko stary Shep i Jasper.

– No, klękać nie klękają, ale wyglądają dość uległe. Może to też się liczy?

Hank spojrział na zegar. Kaszlnął dyskretnie i ruchem głowy wskazał na stary niemiecki ścienny zegar, którego wahadło kołysało się miarowo. Trochę jak Laura na barowym stołku... Podążyliśmy za jego spojrzeniem i w tym momencie zabrzmiało pierwsze uderzenie zegara.

– Wesółych Świąt! – wykrzyknęła Orlaithe, padła Hankowi w ramiona i wycisnęła mu na czole mokrego całusa.

Rozejrzała się wokół. Same promienne twarze. Znów ogarnęła mnie głęboka wdzięczność za to, że nie byłam w tym roku sama, tylko otoczona miłością i życzliwością.

Chciałam myśleć o Robie, chciałam dowiedzieć się, czy ból trochę zelżał. Ale podczas gdy matka, Cas i moi nowi przyjaciele obejmowali mnie po kolei, stwierdziłam ze zdumieniem, że moje myśli wędrowały nie ku Robowi, ale ku Connorowi i trosce, czy dotarł cały i zdrowo do Londynu.

W pierwszy dzień świąt rano obudziłam się z poczuciem, że jest ze mną Rob. Wydawało mi się, że jeśli otworzę oczy, czar pryśnie. Leżałam bez ruchu. Czułam jego obejmujące ramiona, policzek przy moich włosach. Obiecał, że zawsze będzie mnie wspierał.

– Wesołych Świąt! – zabrzmiał dwugłosy żeński chórek, przerywając tę ulotną chwilę.

Do pokoju weszła Laura, a tuż za nią Cassie. Ta ostatnia jednym susem dopadła do łóżka, ściągnęła ze mnie kołdrę, chwyciła za ręce i podniosła, wołając z przejęciem:

– Spójrz, Natalie, popatrz tylko!

Cassie miała szeroko otwarte oczy i wypieki na twarzy. Potykając się, podeszłam do okna, gdzie Laura rozsuwała już zasłony.

Oślepiło mnie światło.

– Śnieg pada! – Cassie nie mogła ukryć ekscytacji. – Jest Boże Narodzenie i pada śnieg!

Wyjrzałam na biały świat za oknem. Moje źrenice zwęziły się do wielkości główek szpilek. Wielkie, białe płatki śniegu padały ciężko, miękko i bezgłośnie na ziemię, zakrywając wszystko jak sięgnąć okiem. Dachy stodół, pola, drzewa, żywopłoty – wszystko było białe. Tylko morze nie, ale i ono zamieniło dramatyczny zwykle odcień na przytłumioną szarość, która niemal płynnie przechodziła w ołowiany kolor nieba.

– Białe święta – westchnęła Laura i dodała z typowym humorem: – Szkoda, że się nie założyłam.

Popatrzyłam na obie twarze po mojej lewej i prawej stronie. Były pełne radosnego blasku, oczekiwania i obietnicy. A ja myślałam, że bez Roba święta będą puste i bez znaczenia.

– Zawsze tak bardzo marzyłam, żeby w święta padał śnieg – mruknęła Cas bardziej do siebie niż do nas. – To mój pierwszy prezent.

Ona też to wyczuwała. Że on tu był. Że to on w jakiś sposób maczał w tym palce.

Laura natychmiast podjęła hasło rzucone przez Cassie.

– Prezent... No właśnie! Chodźmy po prezenty! – zawołała, a po chwili dodała, ku mojemu zdumieniu: – Ale najpierw obowiązki. Zwierzęta nie nauczą się nagle samowystarczalności, tylko dlatego że są święta. Chodź, Nattie, pośpiesz się. Wskakuj pod prysznic i załóż coś na siebie. Im wcześniej skończymy, tym prędzej będziemy mogły rozpakować prezenty!

Kiedy zeszałam na dół, na parterze paliły się lampki, w piecu huczał ogień, a płomień w kominku lizął długimi językami przewód kominowy. Kuchenne drzwi były otwarte na oścież. Laura i Cas były już na zewnątrz. Otuliły się ciepło, ponaciągały na uszy wełniane czapki i powijały szalikami. Z kaloszy Laury wystawały ciepłe, różowe skarpety.

Cas wymieniała właśnie jutową derkę Szansy na bardziej odpowiednią do pogody, aby kłacz mogła na parę godzin wyjść na pastwisko. Przejażdżki dziś nie będzie. Laura próbowała wywabić kaczki z ich schronienia za pomocą kubelka z ziarnami kukurydzy.

Mały Tuff nie wiedział, co się dzieje. To był jego pierwszy śnieg. Świat zmienił się nie do poznania w ciągu nocy. Psiak siedział na progu, podekscytowany i zalękniony jednocześnie. W tym momencie na podwórzu wystrzeliła Meg i radośnie merdając, przeorała mordą pięciocentymetrową warstwę śniegu. Jej straceńcza odwaga zachęciła i Tuffa, który wetknął łapę w śnieg i cofnął ją natychmiast, jakby się sparzył. Potem podjął kolejną próbę i nie minęła sekunda, a szalał po całym podwórzu.

Laura włączyła w stodole radio, dzięki czemu pracę uprzyjemniały nam słodkie dźwięki *White Christmas* i *Let It Snow*, potem zaśpiewała Doris Day, a nawet Cliff Richard.

Mama poleciła mi zająć się „dziewczynami na pastwisku”. Przemierzając podwórze, zdumiałam się, jak prędko bielutki śnieg zamienił się w szare błoto, kiedy obładowane belami słomy i wiadrami z paszą parę razy ugniotłyśmy go podeszwami gumiaków. Po raz kolejny poczułam podziw dla matczynej siły woli, każącej nam zająć się tym wszystkim, zanim rzucimy się na prezenty pod choinką. Kiedy byłam mała, wstawiała pierwsza, już o piątej rano ponagłając ojca i mnie, żebyśmy wreszcie wstali. Nie mogła się doczekać. Odzyskała wreszcie spokój czy może święta z wiekiem traciły urok? A może po prostu wypracowała w sobie żelazną dyscyplinę?

Kiedy wstałam, nie wiedziałam, w co się ubrać. Wyjąwszy ostatni rok, kiedy Boże Narodzenie było wyłącznie dniem, który musiałam jakoś przetrwać, zawsze ubierałam się w te dni odświętnie. A ponieważ wiedziałam, że po pracy w stajni nie będzie czasu na przebieranki, zanim matka rzuci się na prezenty jak wygłodniały sęp na rozjechane przez samochód truchło, karmiłam krowy ubrana w kremowy kaszmirowy sweter i bardzo drogie, wełniane, szare spodnie. Niezbyt rozsądny strój. Właściwie nie wiedziałam, dlaczego to mnie przypadło w udziale to zadanie, podczas gdy matka i Cas, znacznie mniej ryzykujące ubiorem, zajęły się Szansą i kurami.

Kiedy wreszcie wróciłam do domu, wciąż jeszcze wyglądałam w miarę przyzwoicie. Tylko kalosze były w takim stanie, że nadawały się tylko do zostawienia ich przed drzwiami. Dziś Laura po raz pierwszy, odkąd tu byłyśmy, nie upierała się przy przygotowaniu kompletnego angielskiego śniadania. Oczywiście wróciły dużo wcześniej ode mnie i siedziały już na podłodze przed migoczącą lampką choinką, czekając niecierpliwie. Tak niecierpliwie, że wprawdzie zdołały się powstrzymać przed rozpakowaniem prezentów, ale już rozdzieliły je na kupki.

Największa sarta była dla Tuffa. Fakt ten dowodził jego rosnącego poważania w tym domu, a przede wszystkim sympatii Cas. Od Laury dostał niezbędną od dawna nową obrózkę, bo tak prędko rósł, że stara już zaczynała go dusić. Ja podarowałam mu nową miskę, żeby dalej tyle jadł i rósł. Od Cas dostał luksusową poduchę wyglądającą wygodniej od starych materacy, na których składałyśmy co wieczór nasze strudzone kości, a do tego tyle rozmaitych piszcących zabawek, że miałyśmy zapewnione skołatane nerwy aż do Wielkanocy. Poza tym dostał psi płaszczyk, którego nie chciał założyć, tylko zjeść, oraz smycz, ponieważ starą również próbował zeżreć, w związku z czym była już w strzępach. Na koniec został obdarowany psim ciastem, psimi herbatnikami, a także skarpetą wypełnioną przysmakami do gryzienia, rzekomo od Meg. Dziwne, że Meg dostała od Tuffa dokładnie taki sami prezent, a jeszcze dziwniejsze było to, że charakter pisma Meg do złudzenia przypominał pismo Laury.

– Zwariowałaś – zbesztalam matkę, ale ta tylko uśmiechnęła się błogo i zachęciła Cas, żeby rozpakowała swoje prezenty.

Zdziwiło mnie, że Laura jeszcze nie tknęła własnej sterty. Przyglądałam się jej przez chwilę. Widziałam, jak ona z kolei przygląda się Cas. I pojęłam, co się zmieniło. Laura czerpała największą radość z przypatrywania się innym, jak rozpakowują upominki, które ona im podarowała.

Z zawstydzeniem skonstatowałam, że to były dopiero trzecie święta, które spędzałam z matką od mojej wyprowadzki. Zwykle świętowała je z przyjaciółmi – a przynajmniej zawsze tak mówiła, kiedy ostrożnie wypytywałam ją o plany bożonarodzeniowe. Nigdy nie miałam pewności, czy na pewno powinnam jej wierzyć, ale ponieważ najłatwiej było wziąć jej słowa za dobrą monetę, nie drążyłam głębiej.

Trudno mi było znaleźć coś odpowiedniego dla Cas, zwłaszcza że trochę przesadziłam z prezentami na urodziny. Na początku kupiłam jej to, co zwykle: bieliznę, kosmetyki, płyty CD – a dopiero potem odkryłam na wystawie ten właściwy, jedyny prezent: laptop ze wszystkimi bajerami.

Teraz dziewczyna zrywała papier, a ja, nerwowo obgryzając paznokcie, czekałam na jej

reakcję.

– O, Boże! – wykrzyknęła, zasłaniając dłonią usta.

– To chyba znaczy, że jej się podoba – szepnęła Laura, uśmiechając się od ucha do ucha.

– O Boże, to szaleństwo! – Cassie patrzyła na mnie błyszczącymi, niebieskimi oczami.

I chociaż widać było, że się cieszy, natychmiast zaczęłam się usprawiedliwiać.

– Wiem, że masz w Londynie komputer, a w szkole pewnie macie dostęp do tysięcy komputerów, ale ten możesz wziąć ze sobą wszędzie, do przyjaciół, na wakacje, a także tutaj. Może w przyszłości będziemy przyjeżdżać nieco częściej.

Laura wybałuszyła oczy.

– Na serio? – zapytała natychmiast.

– Co?

– Że chcecie przyjeżdżać częściej.

– Jeśli nas zechcesz, to tak – potwierdziłam. Z przerażeniem stwierdziłam, że jej dopiero co jaśniejące radością oblicze krzywi się i matka zaczyna płakać. – Co się dzieje? – zapytałam z przestraszeniem.

– To mój najpiękniejszy prezent – pociągnęła nosem Laura, wyjmując chusteczki z pudełka na komodzie i hałaśliwie czyszcząc nos.

Cassie przeniosła spojrzenie z Laury na mnie i wyszczerzyła się w szerokim uśmiechu.

– No, skoro tak, to lepiej rozpakuj prezent od Nattie!

Obie z matką utkwiliśmy zdumione spojrzenia w Cas.

– Wiesz, co jest w środku? – zapytałyśmy jednogłośnie.

– No wiecie, w końcu to ja jestem tutaj dzieckiem, nie? A dzieci zawsze podglądają, co leży pod choinką...

Z uśmiechem przypatrywałam się matce, jak otwiera mój prezent, i czekałam, aż powie, że po co się tak wykosztowałam. Po raz pierwszy od lat kupiłam jej prawdziwy prezent świąteczny.

Laura rozerwała papier.

– Jakie wielkie pudełko – mruknęła, zerknęła krótko na mnie, a potem utkwiała wzrok z powrotem w górze papierów przed sobą.

Wydobyszy iPoda i stację dokującą z ogromnego opakowania, poprosiła Cassie, żeby zmontowała i podłączyła dla niej urządzenie.

Zanim Laura się obejrzała, z głośników popłynęła jej ulubiona muzyka. Obie spontanicznie zatańczyły, a potem zadyszane i roześmiane padły z powrotem na podłogę przy choince.

Laurze rzuciło się w oczy, że jeszcze nie rozpakowałam żadnego prezentu.

– Hej, jeszcze nic nie rozpakowałaś! – zawołała i poderwała się z miejsca, żeby wydobyć parę pakunków z pozostałej sterty. – Te są ode mnie – oznajmiła, wręczając mi naręczę kolorowych paczek. – A te tutaj... – dodała, dokładając jeszcze dwie – od Cas.

Położyłam wszystko na podłodze i wzięłam pierwszy prezent od góry. Dla Natalie od Cassie. Z trzema całusami. Napisane pismem Laury. Wskazałam palcem etykietkę i popatrzyłam pytająco na Laurę.

– Ona wybierała – szepnęła matka i uśmiechnęła się zachęcająco. – Nie miała tylko ochoty wszystkiego pakować.

Ostrożnie odwinęłam granatowy papier w grube, roześmiane Mikołajki. Moim oczom ukazała się para filcowych kapci. W drugim pakunku był mięciutki, intensywnie czerwony, kaszmirowy szal z pasującymi rękawiczkami.

– Bo tobie zawsze jest zimno.

Drgnęłam na słowa Cassie, która nagle wyrosła tuż przy mnie.

– Dziękuję. Są fantastyczne.

Wzruszyła ramionami.

Potem Laura rozpakowała prezenty od Cassie. Dostała mnóstwo lakierów do paznokci – czerwonych, różowych, z brokatem, bez brokatu, jadowicie zielonych, jaskrawo fioletowych – a do tego aparat do pedikiuru.

– Co to jest? – Laura podetknęła dziwny obiekt w kształcie cygara pod nos i zbadała go, zezując.

– Urządzenie do pedikiuru – wyjaśniłam, szczerząc zęby.

Laura przyjrzała mu się dokładniej i zaczęła chichotać.

– A ja już myślałam, że Cassie nielegalnie wybrała się do sex shopu.

– Ty i te twoje kosmate myśli – syknęłam do niej wdzięczna, że Cas zajęła się swoimi prezentami.

Rozpakowywała właśnie jakiś ciuch od Laury i perfumy od Petry.

Popsikała się nimi od razu i prędko stwierdziła, że ciężki, orientalny zapach zupełnie jej się nie podoba. Poszła na górę, żeby zmyć z siebie pachnidło.

Laura zaczęła, aż Cassie wróci. Pachniała zwykłym mydłem.

– Mam jeszcze coś dla ciebie, ale muszę po to pójść, dobrze? Proszę cię, zostań tu i obiecaj mi, że nie będziesz wyglądać przez okno.

Kiedy Laura wyszła, wymieniliśmy z Cas zdziwione spojrzenia. Nie było jej chwilę, aż w końcu usłyszałyśmy trzask zamykanych drzwi, potem stłumione dźwięki i dziwne szuranie, jakby ktoś coś przesuwiał po podwórzu. Zaraz potem usłyszałyśmy, że mamy wyjść na zewnątrz.

Pomaszerowałyśmy do kuchni i otworzyłyśmy drzwi na podwórze. Przed nami stała Laura, trzymając za cugle Szansę. Klacz miała lekko oszołomiony, ale ze wszech miar świąteczny wygląd. Na grzbiecie miała czerwoną tajemną derkę obszytą białym futerkiem, uzdę oplecioną łańcuchem choinkowym, a na łbie opaskę z rogami renifera z plastiku, ozdobioną kolorowymi, migoczącymi lampkami.

– Wesółych Świąt! – zawołała Laura.

Na widok klaczy Cassie wybuchła śmiechem. Laura ujęła dłoń dziewczyny i przekazała jej wodze.

– Że jak? Nie rozumiem.

Cas zmrużyła oczy.

Laura posłała jej szeroki uśmiech.

– To twój prezent. Szansa. Daję ci ją.

– Ale... ale...

Laura roześmiała się głośno.

– Wiesz co? Chyba po raz pierwszy widzę, żeby odebrało jej mowę! – Ucieszyła się i rzuciła się Cas w objęcia, ściskając ją tak mocno, że dziewczyna i tak nie wykrztusiłaby słowa z braku tchu.

– Ale tak nie można – wydusiła w końcu Cas, kiedy Laura wypuściła ją z objęć. – Szansa jest twoją klaczą, nie możesz mi jej dać.

– Mogę i właśnie to zrobiłam – sprzeciwiła się Laura. – Ale jeśli nie chcesz starej szkapu...

– Jeśli jej nie chcę? – Cas aż się zachłysnęła. – Co ty sobie w ogóle myślisz?

– Czyli mogę przyjąć, że się cieszysz? – Laura przechyliła głowę, czekając na odpowiedź. Ale Cassie milczała. A potem na jej twarzy powoli i nieśmiało wymalował się uśmiech, rozprzestrzeniający się na całą twarz.

– Taaaaaaak! – pisnęła.

Szansa zlekła się i cofnęła gwałtownie. Cas rzuciła się na moją matkę i pijana z radości chwyciła ją za rękę.

– Dziękidziękidziękidzięki – wołała, skacząc do góry jak gumowa piłeczka, nie puszczając ani na chwilę Laury, co skutkowało tym, że matka została poddana paru mocnym wstrząsom.

– To chyba znaczy, że jej się podoba – powtórzyłam słowo w słowo zdanie, które wyszeptała mi do ucha Laura, kiedy Cas rozpakowała prezent ode mnie.

Dziewczyna puściła wreszcie Laurę i otuliła ramionami szyję Szansy. Matka obróciła się do mnie.

– Wiem, powinnam cię była najpierw zapytać, ale...

Całując ją w oba policzki, zamknęłam jej usta. Cas robiła mnóstwo szumu wokół Szansy, która nie wiedziała, co się dzieje, ale dobrotliwie godziła się z losem. Obwąchiwała kieszenie Cas w poszukiwaniu przysmaków.

– Popatrz na nią. Jaka jest szczęśliwa – powiedziałam. – Oczywiście, że się zgadzam.

– Pomyślałam, że może mogłaby ją zabrać do internatu. Chyba mają tam stajnie, prawda? A kiedy przyjedziecie, po prostu weźmiecie ją ze sobą.

– A nie będzie ci jej brakowało?

– No owszem, będzie. Ale Cas zajmuje się nią o wiele troskliwiej, niż ja kiedykolwiek mogłabym to zrobić. Myślę, że jej brakowałoby kłaczy o wiele bardziej niż mnie, też ją przecież pokochała całym sercem...

O drugiej obiad był gotowy.

Na śniadanie pochłonęliśmy ogromne ilości świątecznych ciasteczek, co początkowo było wprawdzie cudowne, ale zemściło się lekkimi mdłościami. Byliśmy gotowe na porządny posiłek. Nakryliśmy z Cas stół odświętną zastawą, kryształowymi kieliszkami, lnianymi serwetkami i wiekowym obrusem z kremowego adamaszku, znajdującym się w posiadaniu naszej rodziny od trzech pokoleń. Wyłączyliśmy wszystkie elektryczne światła, zostawiając tylko lampki na choince, i zapaliłyśmy tyle świec, ile się dało.

Po dwudziestu minutach swingowych interpretacji Robbie Williamsa, na które pozwoliła nam Laura, matka z pomocą Cassie zmieniła playlistę i rozległ się dyskretny jazz.

Ledwie wyjęliśmy z piekarnika Gertrudę, do drzwi zaskrobał Old Shep, a tuż za nim Jasper. Jeden i drugi mieli albo niewiarygodnie wyczulony węch, albo znakomite wyczucie czasu.

Old Shep, Jasper, Meg i Tuff ustawili się jak piszczałki organów przy kominku: ojciec, syn, matka i szczeniak stały bok w bok, grzejąc zadki przy ogniu. Cztery pary oczu śledziły każdy gest przy świątecznie zastawionym stole, na którym pośród wszystkich tych łańcuchów, zimnych ogni, świec i misek z parującymi warzywami królowały szczątki dumnej gęsi Gertrude. Musiałam przyznać, że nafaszerowana jadalnymi kasztanami, szałwią i cebulą, ze skórką przyrumienioną w brandy i bez tchnienia życia podobała mi się o wiele bardziej niż kiedy złośliwie władała podwórkiem.

Laura siedziała u szczytu stołu, my z Cas po bokach. Mama ujęła w dłoń nóż do krojenia pieczeni i zastygła bez ruchu.

Ja również odłożyłam widelec, którym przed chwilą stukalam o blat stołu. Cassie wyraźnie zmagiła się z własnym sumieniem – widziałam, jak porusza krtanią, przełykając ślinę.

Laura opuściła nóż.

– Chyba nie damy rany, co?

Cas i ja jednomyślnie pokręciłyśmy głowami.

– Zobaczę, co mam jeszcze w zamrażarce.

Ostatecznie nasz świąteczny obiad składał się z: pieczonych ziemniaków, piure z paster-

naków, smażonych szalotek, brukselki, glazurowanej marchewki, fioletowych brokułów, nadzienia kasztanowo-szałwiowego, przysmażanej kielbasy, sosu do pieczenia, szynki na zimno, pasztetu wieprzowego i pizzy z pepperoni.

– To nie do wiary, że nie mamy nawet zamrożonej kury – westchnęła Cas i ugryzła kawałek pizzy.

– Zakładałam, że co najmniej tydzień będziemy jeść gęsinę. – Laura wzruszyła ramionami. – Dlatego nie kupowałam nic innego. Tylko by się zepsuło.

– No, przynajmniej to zostanie nam oszczędzone – westchnęła z uśmiechem Cas.

– Co takiego? – zapytałam, podając jej trochę warzywa.

– Potrawka z gęsi, kanapki z gęsiną, klopsiki z gęsiny, zupa z gęsiny, gęsie podroby na kwaśno, pasztet z gęsi, gęsi smalec...

Ponieważ to Laura najwięcej pracy włożyła w gotowanie, podzieliłyśmy się z Cas zmywaniem. Laura usiadła z lampką portweinu przy kominku i poluzowała pasek, żeby zmieściło się jej jeszcze ostatnie ciasteczko.

Moja pasierbica, podczas posiłku nader radosna i rozmowna, zapadła w tajemnicze milczenie. Zdobyłam się na odwagę i zadałam jej pytanie, na które jeszcze tydzień temu bym się nie ośmieliła.

– Cas? Wszystko w porządku?

– Gdyby on mógł być z nami, Nat. – Popatrzyła na mnie szklistym wzrokiem.

– Tak – odparłam cicho. – To byłby najwspanialszy prezent.

Milczałyśmy. Cas chwyciła za ściereczkę do naczyń i zaczęła wycierać talerze po raz drugi. Po chwili odezwała się.

– Ale on chyba jednak tu jest, prawda?

– Tutaj?

– Tak.

– Myślę, że tak. – Uśmiechnęłam się do niej łagodnie. – Owszem, naprawdę tak uważam. Odwzajemniła uśmiech.

Jak zgrana para dokończyłyśmy zmywanie. Potem uśmiechnęłam się do Cassie, a ona odpowiedziała tym samym. Co za wspaniałe uczucie obchodzić się ze sobą tak bezstresowo.

Laura zapadła w drzemkę na fotelu i pochrapywała cicho z otwartymi ustami. Czerwona papierowa czapeczka zsunęła się jej na twarz. Wytarłam i nakremowałam ręce.

– Czy to będzie w porządku, jeśli przejdę się teraz na spacer? – szepnęłam do Cas. – Muszę spalić trochę kalorii.

– Zajrzę do Szansy – powiedziała, kiwając głową.

Razem wyszłyśmy na podwórze, a Tuff podreptał za Cas. Dziewczyna otworzyła drzwi do stajni, a ja pomaszerowałam dalej do szopy, gdzie wczoraj wstawiłam do wiadra bukiet białych i czerwonych róż. Wzięłam je i poszłam w kierunku pastwiska. Przed oczami miałam uśmiech Roba i nie widziałam nic innego. W głowie miałam tylko jego: jego twarz, głos, dłonie, zapach, smak jego warg na moich, dotyk jego ramion wokół mojego ciała.

A potem, w połowie drogi, na samym środku pokrytego śniegiem pola pojawiła się czyjaś inna twarz. Zatrzymałam się i zawróciłam. Cas nadal była w stajni. Zobaczyła mnie, a potem wiadro w moim ręku. Wreszcie miałam poczucie, że nie muszę niczego wyjaśniać. Po prostu wyciągnęłam rękę, a Cassie podeszła do mnie i chwyciła za nią. Razem poszłyśmy nad klif, pokonując drogę w milczeniu, a potem na zmianę rzucaliśmy róże do morza.

Zmierzchało już, kiedy wróciłyśmy do domu. Słońce wisiało nisko na lodowato błękitnym niebie i rzucało po drodze długie cienie na białą połąć śniegu. Cas znowu zachowywała się z większym dystansem, szła parę kroków za mną, jakby celowo chciała się odsunąć, żeby dokład-

niej przemyśleć ten nowy fenomen milczącej zgody.

Laura obudziła się z drzemki i zaczęła już nakrywać stół do popołudniowej kawy. Na środku stołu stało ogromne świąteczne ciasto, tak obficie nasączone brandy, że jej zapach wypełniał całą kuchnię. Po sutym obiedzie mój żołądek już teraz protestował przeciwko kolejnej porcji jedzenia, ale Laura zaprosiła na kawę gości. Wzięłam się za przygotowywanie sandwiczów z szynką i serem, po raz pierwszy w życiu żałując, że na obiad nie było indyka.

O czwartej przyszedł Connor. Mac wepchnął się przed nim do kuchni. Miał na szyi nową obrozę z gałązką jemiioły. Laura i Cas z radosnym podnieceniem rzuciły się na niego. Cas wzięła od niego płaszcz, a Laura pomogła mu z torbami. Ja trzymałam się z boku. Podszedł do mnie, odwijając z szyi czarny, kaszmirowy szalik i przeczesując palcami potargane włosy.

– Wesołych świąt, Nattie.

– Wesołych świąt – odpowiedziałam i z roztargnieniem pogłaskałam po szorstkiej sierści Maca, który domagał się uwagi, trącając mnie nosem. – Jak było w Londynie?

– Fajnie. Miło było zobaczyć znowu Colma i dzieciaki.

– Chyba nieźle pruleś, skoro tak wcześnie jesteś z powrotem – usłyszałam swój własny głos, jakbym chciała go zbesztać.

Rozciągnął usta w uśmiechu, którego nie potrafiłam zinterpretować.

– Prawdę mówiąc, wymówiłem się i zmyłem jeszcze przed obiadem. To było niezbyt miłe z mojej strony.

W momencie, gdy chciałam zapytać go dlaczego, Laura wręczyła mu lampkę szampana. Potem Cassie koniecznie chciała pochwalić się przed nim nowym laptopem.

Connor przyniósł prezenty.

Dla Cassie miał konia wyrzeźbionego z drewna wyrzuconego przez morze; rzeźba bez dwóch zdań przedstawiała Szansę. Poza tym dał jej komplet pędzli. Z włosia sobola, jak wyjaśniła z dumą Cassie – najlepszej jakości, jaką mógł sobie wymarzyć artysta. Laura dostała obraz, a właściwie karykaturę. Przedstawiała mężczyznę w ognistoczerwonej myśliwskiej katanie, na dość potężnym koniu, który – zamiast dołączyć do pozostałych uczestników polowania, goniących za lisem, zmierzał w przeciwnym kierunku, w stronę domu, gdzie z otwartego okna wychylała się hojnie obdarzona przez naturę jejmość w przezroczystym, różowym negliżu. Dom wyraźnie był domem Laury, mężczyzną był Charles, dekolt i kędziory zaś w kolorze karmelu też nietrudno było skojarzyć.

Laura nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Cassie zajrzała jej przez ramię i też się roześmiała.

– Ale czadowe!

Z podziwem spoglądała na Connora.

– No, cholernie dobre, prawda? – zgodziła się z nią Laura. – Tylko nie będę mogła powieścić tego w dowolnym miejscu, niestety.

Laura i Cas podziwiałały akwarelę, a Connor stanął przy mnie. Dyskretnie wsunął mi do ręki mały prezent.

– Nie otwieraj jeszcze – wyszeptał i zamknął moją dłoń na paczuszcze.

Pod papierem wyczułam twarde krawędzie. Czulałam ciepło jego dłoni trzymającej moje zimne palce dłużej, niż to było konieczne.

Nagle wyrosła przy nas Cas. Chciała, żeby Connor otworzył prezent od niej. Z ulgą, że puścił moją rękę, podeszłam do choinki po swój prezent dla niego.

– Nie zapomnij tamtego.

Laura ruchem głowy wskazała jeszcze jedną paczkę leżącą pod choinką.

Rzuciłam wzrokiem na etykietkę. *Dla Connora od Laury, Natalie i Cas.*

Laura poklepała mnie po ramieniu, wzięła pakunek, zaniosiła go Connorowi i przekazała mu wraz z całusem i uśmiechem. Przyglądała się, jak ostrożnie odwija papier.

Naszym oczom ukazała się książka, którą znalazłam w Truro. Wyspa skarbów.

– Wow – ucieszył się. – Gdzie to znalazłaś, Lauro?

– To nie ja, Natalie. – Uśmiechnęła się do mnie znacząco.

– Naprawdę?

– No cóż, tak, ja... ale...

– Super. Stokrotne dzięki. Nie wyobrażasz sobie, jak długo szukałem takiego ładnego wydania.

Uśmiechnęłam się bez przekonania. Oczywiście Laura chciała tą małą sztuczką sprawić radość nam obojgu, ale ja nie lubiłam, gdy ktoś wywierał na mnie presję.

Na szczęście w tym momencie do środka wpadła Orlaithe. Na jej rudych lokach topniał śnieg. Była obładowana torbami, które rzuciła na podłogę, a potem z zachwytem uściskała nas wszystkich.

– Wesołych świąt, moi kochani!

Najpierw uściskała Laurę, potem mnie, potem Cas, na końcu odkryła jeszcze Connora i wycisnęła mu na policzkach dwa całusy, zostawiając idealne, czerwone ślady szminki.

Potem odwróciła się i wyginając się jak modelka na wybiegu, przeszła się w tę i z powrotem.

– Popatrzcie, co dostałam pod choinkę – zagruchała z wyraźnym zachwytem, wywijając połami palta ze sztucznego futra lamparta. – Czyż nie wyglądam w nim zabójczo? Piękna i bogata? W porównaniu ze mną Liz Taylor to żebraczka!

Nigdzie nie było widać Hanka.

– Gdzie Hank? – zapytała matka.

– Ach, jest jeszcze na podwórzu. Coś mi się zdaje, że będę potrzebować waszej pomocy, aby go tutaj przywlec.

Cas ostrożnie podeszła do otwartych drzwi i wyjrzała na zewnątrz, gdzie szalała zadymka.

– O mój Boże! – zapiszczała, cofając się o krok. – Chodźcie, prędko! Musicie to zobaczyć!

Ciekawie wyszliśmy za nią na podwórze. Wpadłam na Laurę, która stanęła przy mnie jak wryta. Odjęło nam mowę.

Wreszcie Cas zdołała wypowiedzieć pytanie, które wszystkim nam leżało na końcu języka.

– Gdzie jest samochód Hanka? Gdzie jest Betsy?

– Samochód? Nazywasz tego zardzewiałego trupa samochodem? Nie mogłam już patrzeć, jak Hank jeździ tym rżęchem, więc wycofałam pieniądze z ubezpieczenia na życie i sprawiłam mu mały prezent na święta.

Gdyby Orlaithe nie miała uszu, to jej uśmiech kończyłby się gdzieś z tyłu głowy.

Na środku podwórza stał, niczym jakiś pojazd z kosmosu, różowy cadillac. W środku, z rękoma na kierownicy i nieobecny wzrokiem, siedział Hank.

– Gapi się tak już cały dzień. – Orlaithe pokręciła z rozbawieniem głową. – Omal nie przegapił obiadu. Przez całe przedpołudnie tak siedział i głaskał. Przynajmniej już wiem, co mu podaruję na urodziny. Olbrzymią puszkę politory do lakieru! Francis, ty niecnoto, wysiądź wreszcie i przywitaj się ładnie.

Ale Hank ani myślał się ruszyć, tylko wciąż gładził dłońmi kierownicę.

Orlaithe obróciła się do nas.

– Czy on nie jest cudowny? Kocham go!

Nigdy nie sądziłam, że Hank dobrowolnie rozstał się ze swoją ukochaną Betsy, ale zda-
je się, że to różowe marzenie całkowicie go oczarowało i pobiło jego serce. Po Betsy zostało tyl-
ko poroże zdobiące teraz różową maskę cadillaca.

– Moglibyśmy po prostu pozwolić mu tu zostać. – Orlaithe uśmiechnęła się szelmowsko.

– Przecież by zamarzł.

Laura trzęsła się z zimna.

– Przynajmniej by umarł szczęśliwy.

W końcu Hank wysiadł. Na jego ogorzalej twarzy malował się lekko oszołomiony
uśmiech mężczyzny, który właśnie został zniewolony przez hordę nimfomanek.

– No wreszcie! – ucieszyła się Orlaithe. – Już się bałam, że ktoś przykleił ci tyłek do sie-
dzenia klejem błyskawicznym! – Wepchnęła Hanka do kuchni.

– No, to chodźcie, napijmy się czegoś – zawołała Laura. – Nat, kochanie, przyniesiesz
szampana?

Wyjęłam z lodówki butelkę, odwinęłam najpierw sreberko, a potem drucianą zatyczkę.
Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie otworzyć drzwi kuchni i nie strzelić korkiem w ciem-
ność, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Znając moje zdolności, pewnie ustrzełiłabym kurę albo
wybiła oko Szansie. A potem przypomniałam sobie, jak Rob, zanim wznosił toast, strzelał kor-
kiem najdalej jak mógł.

Rob.

Myślałam o nim intensywnie przez całe przedpołudnie. Ale kiedy pojawił się Connor,
wszystkie te myśli umknęły jak spłoszone wrony. Czy powinnam mieć wyrzuty sumienia? Czy
musałam się wstydzić, że wracając z urwiska, zastanawiałam się, gdzie może być teraz Connor,
czy już był w drodze powrotnej i jak się czuł?

Rzuciłam korkiem w matkę, rozlałam szampana do kieliszków, usunęłam się na bok
i wzniosłam toast razem z moim nieżyjącym mężem. „Wesołych świąt, Rob”, wyszeptalam.

Jazzowa playlista leciała co najmniej po raz drugi. Connor przycupnął na skraju kuchen-
nego stołu między Orlaithe a Cas, a Hank płaśał z Laurą po kuchni. Jak na to, że miał krzywe
nogi i osobliwy chód, tańczył zdumiewająco dobrze. Connor otoczył ramionami Cas i Orlaithe
i cała trójka kołysała się w rytm melodii Carmen MacRae.

Orlaithe wciąż była ustrojona w swoje lamparcie futro, uparcie wzbraniając się je zdjąć.
Cas cała promieniała radością.

You'd be so easy to love...

Cassie nie знаła tej piosenki i odtworzyła ją jeszcze raz. Wysłuchaliśmy jej osiem razy,
a na koniec wszyscy razem odśpiewaliśmy ją na całe gardło. Sopran mojej matki i silne płuca Or-
laithe wyraźnie odcinały się od pozostałych. Connor miał zadziwiająco dobry baryton, nawet
Hank nucił z nami. Cas śpiewała melodyjnym, czystym głosem.

Kiedy piosenka płynęła po raz ostatni, Connor zeskoczył ze stołu, podszedł do mnie i bez
słowa, z uśmiechem wyciągnął do mnie rękę. Zerknęłam na pozostałych. Hank tańczył z Or-
laithe. Jej rude włosy połyskiwały ślicznie w blasku świec, a płaszcz z lamparciego futra furkotał
elegancko jak satynowe spódnice finalistek „Tańca z gwiazdami”. Laura wirowała po pokoju
z roześmianą Cas. Stanowiły wspaniałą, zgraną parę.

Popatrzyłam na Connora. Zachęcające spojrzenie jego pięknych, niebieskich oczu i lekki
uśmiech prowokowały i kołły jednocześnie. Ujęłam jego dłoń i ledwie wprowadził mnie na par-
kiet, całe moje przygnębienie ulotniło się w ciągu sekundy. Zamiast niego odczuwałam wielką
wdzięczność. Tak, nie mogłam obchodzić świąt razem z Robem, niestety. Ale jaką byłam
szczęściarą, że mogłam spędzić je z tak cudownymi ludźmi.

Świętowaliśmy do czwartej nad ranem. Było nam ze sobą tak dobrze, że żadne z nas nie chciało psuć innym zabawy. Hank i Orlaithe za dużo wypili, żeby mogli usiąść za kółkiem, więc zostali ulokowani w sypialni mamy. Laura zaszyła się razem z Cas w pokoju na poddaszu. Connorowi zaproponowano wielką kanapę w rzadko używanym salonie, ale wolał odbyć trzykilometrowy spacer do domu.

Poszłam na górę do swojego pokoju i siedząc na szerokim parapecie, poczekałam, aż zmniejszy się kolejka do łazienki. Krajobraz połyskiwał bielą, niebo miało odcień głębokiego fioleto. Prawie jak na Księżycu. W oddali majaczyły jeszcze sylwetki Connora i Maca.

Zatrzymałam na nich wzrok, dopóki nie zniknęły z pola widzenia. Nagle przypomniałam sobie o prezencie, który Connor wsunął mi do ręki. W samych skarpetach zeszłam do kuchni.

Zostawiłam pakunek na komodzie, ale pierwszą rzeczą, na jakiej zawiesiłam oko, były kapcie, które dostałam od Cas. Z wdzięcznością wsunęłam w nie stopy. Potem wzięłam prezent od Connora, pomknęłam z powrotem na górę i umościłam się pod pierzyną.

Pakunek był zapakowany starannie i gustownie: gruby papier w złotych odcieniach jesiennych liści, z cieniutką srebrną wstążką. Po odwinięciu ukazała się prześliczna srebrna ramka, a w niej namalowany obraz. Zatknęło mnie. Była to kopia fotografii Roba, którą mu kiedyś pokazałam. Ale na tej namalowanej replice Rob nie był sam. Connor domalował mnie. Razem uśmiechaliśmy się do świata, a Rob obejmował mnie ramieniem.

Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać. Właściwie chyba płakać, ale akurat tego nie potrafiłam. Connor widział to zdjęcie tylko przez chwilę, a mimo to nie mógł sportretować Roba lepiej, niż gdyby obserwował go przez wiele lat.

Odrzuciłam kołdrę, wsunęłam stopy w cudownie ciepłe kapcie, poczłapałam do biurka, wzięłam papier i długopis i usiadłam z powrotem na parapecie. Księżyc w pełni stał wysoko na niebie i oświetlał zaśnieżony krajobraz i fioletowe niebo.

Ostrożnie dotknęłam obrazu. Opuszkami palców obrysowałam owal twarzy Roba.

Kochany Robie!

Wesołych świąt. Spójrz, co dostałam od Cassie. Pomachałam stopami. Pamiętasz, co mi podarowała w przedostatnie święta? Dales jej sto funtów na prezent dla mnie, a ona kupiła mi trzy wieszaki na ubrania, flaszeczkę płynu do płukania ust, babcine majty i nożyczki do wycinania włosów z nosa. Chciałeś ją zbesztać, ale tak się z tego zaśmiewaliśmy, że nic z tego nie wyszło. Wtedy jeszcze wszystko było w porządku, prawda? Myślałam, że jakoś zdolam ją pozyskać. Tak do końca nadal mi się to jeszcze nie udało. Chociaż dziś miałam wrażenie, że lody między nami – jak ten śnieg na zewnątrz – odrobinę zaczęły się topić. A to zdecydowanie najlepszy prezent, jaki dostałam w tym roku.

To był cudowny dzień, Rob. Nigdy nie sądziłam, że to powiem, że kiedykolwiek przeżyję jeszcze piękne święta bez Ciebie. Nie mogę uwierzyć, jak dobrze mi z matką. To był wielki błąd z mojej strony, że tak długo wykluczałam ją ze swojego życia, Rob. Zmarnowałam cenny czas, ale teraz wszystko to nadrobię. Jakie to nieskończenie smutne, że musiałam Cię utracić, aby odzyskać matkę. Chciałabym, żebyś mógł poznać ją lepiej. Chciałabym, żebyś mógł być dziś z nami i poznać ludzi, którzy pomagają mi i Cas w powrocie do życia.

Odłożyłam długopis i przywarłam ustami do twarzy Roba za zimną szybą. Potem przyjrzałam się obrazowi, na którym moje wargi zostawiły wieniec, wyglądający zupełnie jak aureola.

Rob. Mój święty. Mój anioł.

„Jeśli Bóg jest miłością, Rob, to wiem, że jesteś u niego, bo nadal kocham cię całym ser-

cem”.

Drugiego dnia świąt nikomu nie udało się wstać przed dziesiątą. Dochodziło południe, kiedy nakarmiłyśmy zwierzęta. Czekały już niecierpliwie i przywitały nas kakofonią lekko obrażonych odgłosów. Nawet milcząca zwykle Szansa zarżała, kiedy Cas, przecierając zmęczone oczy, założyła buty.

Nakarmiłam kury, które z gorączkowym gdakaniem kłębiły się wokół moich stóp, jakby chciały mnie skarcić za spóźnione śniadanie. Orlaithe pożyczyła land rovera, żeby pojechać do Ship i otworzyć lokal dla stałych klientów. Hank został jeszcze i pomógł nam zanieść na pastwisko ciężkie worki z paszą dla krów.

Kiedy skończyliśmy, klapnęliśmy na krzesłach przy stole i rzuciliśmy się z wilczym apetytem na jajecznicę i kiełbaski – i to wbrew moim własnym obietnicom, że nie tknę tego dnia ani jedzenia, ani alkoholu. Ale cóż, nie po raz pierwszy poprzysięgałam sobie coś takiego...

Prawie kończyliśmy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Cas i ja popatrzyliśmy pytająco na Laurę.

– Spodziewasz się kogoś?

Potrząsnęła głową i zmarszczyła czoło.

– Nie o tej porze.

Pukanie powtórzyło się.

Ponieważ jako jedyna skończyłam śniadanie, wstałam i podeszłam do drzwi.

Otworzyłam je ostrożnie. Na zewnątrz, w porównaniu z pogrążoną w półmroku kuchnią było tak jasno, że musiałam zmrużyć oczy.

Postać stojąca przed drzwiami była oświetlona słońcem od tyłu, ale poznałam ją natychmiast.

– Niespodzianka! – Wyrzuciła ręce do góry.

– Petra! – Rzuciłam jej się na szyję i uścisnęłam mocno, aż jej zabrakło tchu. – Nie do wiary! Co ty tutaj robisz, do diabła?

– Czyżbyś się cieszyła, że mnie widzisz?

– To mało powiedziane. Cieszę się przeogromnie! Ale ciebie wcale nie powinno tutaj być! Planowałaś przecież z Peterem... Co się stało? Musiał wracać wcześniej?

– Później ci wszystko opowiem – westchnęła Petra, a uśmiech zniknął jej z twarzy. – Najpierw zajmijmy się prezentami, które wam przywiozłam – oznajmiła i przełączyła się na tryb pogodny.

– Jeszcze więcej prezentów?

– No jasne. Nie można zjawiać się bez zaproszenia i bez prezentów. Nawet tobie coś przywiozłam – zwróciła się do Cassie.

Popatrzyła na nią zadziornie, ale nie wrogo.

Cassie obrzuciła Petrę nieufnym spojrzeniem.

– Ale musicie mi pomóc przenieść wszystko z samochodu.

Hank już był na nogach.

– Chętnie pani pomogę przynieść bagaże – zaoferował się.

Wymieniłyśmy z Laurą osłupiałe spojrzenia. To było najdłuższe zdanie, jakie kiedykolwiek usłyszałyśmy z jego ust.

– To bardzo miłe z pana strony. Dziękuję.

Petra obdarzyła Hanka uśmiechem jak z reklamy pasty do zębów, a on podreptał za nią

jak szczeniak.

– Oj, Orlaithe chyba powinna mieć na niego oko, co? – rzuciłam. – Jeśli to nie miłość od pierwszego wejrzenia, to sama nie wiem.

Laura zaśmiała się.

– Hank po prostu lubi rude.

Laura wyraźnie cieszyła się z niezapowiedzianej wizyty. Uwielbiała gości, a jeśli w dodatku zjawiali się bez zapowiedzi – tym lepiej!

Mogła skoncentrować się na samej przyjemności, bez konieczności odwalania uprzednio całej roboty: sprzątnięcia, gotowania i tak dalej. Bo nieoczekiwani goście musieli akceptować to, co było.

Matka była bez reszty zachwycona Petrą.

Były do siebie zdumiewająco podobne. Obie miały pogodne usposobienie, obie początkowo sprawiały wrażenie trochę dzikich i nieprzystępnych na osobach, które niezbyt dobrze znały, i obie – co o Petrze wiedziałam już dawno – miały wielkie serce.

Cassie również się cieszyła i uśmiechała – i to nie jednym z tych sarkastycznych albo smętnych uśmiechów, choć trzeba przyznać, że w ostatnim tygodniu i one stały się rzadsze.

Nie, Cassie promieniała. Całą sobą.

– A teraz dostaniesz prezent – oświadczyła Petra, zwracając się do mnie.

– Sprawiaś, że na twarzy Cas zawiła się uśmiech. Nie ma lepszego prezentu.

– Czy to oznacza, że tego nie chcesz? – zapytała, machając mi przed nosem butelką szampana.

– Petro James! Kocham cię!

– Ale tylko, kiedy ci daję szampana.

– A niby za co jeszcze? Schłodzony?

– Był schłodzony. Teraz jest zamrożony. – Otuliła się ciasniej płaszczem i trzęsąc się, podeszła do ognia w kominku. Nogą obutą w kozak od Chanel odsunęła na bok Meg. – Lauro, twój prezent jest w bagażniku. Pozostałe pięć butelek w kartonie należy do ciebie. Jedna dla Nattie, pięć dla ciebie, to chyba fair, prawda?

– I to jak. – Wyszczrzyła się w uśmiechu Laura. – Bardziej niż fair. Hank przyniesie resztę twoich rzeczy. Jak długo zostaniesz? Mam nadzieję, że naprawdę długo! Nie cierpię, jak ktoś wpada na chwilę.

– Właściwie chciałam tylko wpaść na chwilę i nie narzucać się zbytnio. Miałam nadzieję, że polecicie mi jakiś miły hotel albo pensjonat na dzisiejszą noc?

– Nonsens! – obruszyła się Laura. Przypadła do Hanka i wzięła od niego torbę podróżną Petry, jakby w ten sposób mogła zmusić ją do zostania. – Przenocujesz oczywiście tutaj! W salonie jest wielka kanapa.

Petra chciała zaprotestować, ale Laura nie chciała słyszeć słowa sprzeciwu.

– No dobrze, skoro naprawdę wam nie przeszkadzam... W piątek muszę wracać do Londynu, ale zostałabym dwa dni, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– O wiele za krótko!

Laura puściła do niej oko.

Laura i Hank zanieśli bagaż Petry do salonu, a Cassie omal nie wyskoczyła ze skóry z powodu niespodziewanego gościa z Londynu.

Wprawdzie dopiero co skończyliśmy śniadanie, mimo to zabrałam się za przygotowywanie obiadu – głównie ze względu na Petrę. Hank w tym czasie zawiózł Laurę do Ship, żeby mogła odebrać swojego land rovera.

– Właściwie wcale nie jestem głodna. – Petra nieufnie zaglądała mi przez ramię, taksując

wzrokiem zapiekankę z szynką i jajkiem, którą właśnie kroiłam na kawałki. – Ale umieram z pragnienia.

– Chcesz herbaty?

Z udawanym oburzeniem otworzyła szerzej oczy.

– Herbaty? No wiesz, Nattie, jesteśmy w Kornwalii, a nie na jakimś zesłaniu. Co powiesz na lampkę szampana? W końcu przywiozłam spory zapas.

– Teraz?

– A dlaczego nie? Jest po dwunastej i wciąż mamy Boże Narodzenie, kropelka szampana do obiadu jest jak najbardziej wskazana.

Otworzyłyśmy jedną z przywiezionych butelek.

– I? Jak się ma Cassie?

– Raz tak, raz tak.

– Częściej lepiej czy częściej gorzej?

– Ach, trudno powiedzieć. Ale w ostatnich dniach częściej lepiej. – Spróbowałam się uśmiechnąć. – A najbardziej cieszy mnie fakt, że znakomicie dogadują się z matką.

– Tak, to dobrze. – Petra ze współczuciem poklepała mnie po dłoni.

Jeśli ktoś potrafił zrozumieć mieszane uczucia, jakie wywoływały serdeczne, bezstresowe relacje Cassie i Laury, to Petra.

Poza nią tylko Connor wykazywał takie dogłębne, niesamowite wręcz zrozumienie.

– Cieszę się, że tu jesteś. – Oparłam się o nią poufale.

– Wiedziałam, że się ucieszysz.

– No to teraz wal. Dlaczego tu jesteś? Co się stało z waszymi intymnymi świętami we dwoje?

Petra westchnęła głęboko.

– Powinam się była tego spodziewać. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Dwudziestego trzeciego poleciał z żoną do Stanów. Powiedział, że nie poleci, ale jednak to zrobił. Podobno ślub został przełożony z sylwestra na Wigilię i nie chciał go przegapić. Przynajmniej tak brzmiała oficjalna wymówka dla mnie. I oczywiście nie mógł do mnie zadzwonić przed wylotem! Musiał poczekać z tym do pierwszego dnia świąt, kiedy ja jak półtora nieszczęścia oczekiwałam go w uwodzicielskiej, czerwonej bieliźnie... – Głos jej się urwał. Pokręciła głową.

– Ale dlaczego? Dlaczego zadzwonił tak późno? Przecież musiał wiedzieć co najmniej dwa dni wcześniej, że zmienia mi się plany.

– Oczywiście, że wiedział o tym wcześniej, ale ten tchórz nie miał jaj, by powiedzieć mi to prosto w oczy. A kiedy już będzie pięć tysięcy kilometrów ode mnie, to nic mu nie będę mogła zrobić. – Urwała i zmarszczyła czoło. – Wiesz, co myślę? Myślę, że nie chciał, żebym spędziła te święta inaczej.

– Ale dlaczego? Co za zapatrzonej w siebie sukinsyn!

– Podejrzewam, że podoba mu się wizja, jak siedzę sama w domu i zżera mnie tęsknota za nim. Bardziej niż wizja, w której jestem w rozjazdach i dobrze się bawię.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś? Mogłaś przecież przyjechać do nas! Wiesz, że jesteś tu mile widziana! No dobra, ja też mogłam do ciebie zadzwonić i nawet miałam taki zamiar, choćby po to, by złożyć ci życzenia, ale nie chciałam wam przeszkadzać. Myślałam, że spędzacie romantycznie czas we dwoje...

Petra wzruszyła ramionami.

– Ach, co mi tam. Chyba uniosłam się dumą. Chciałam oszczędzić sobie komentarzy w rodzaju „a nie mówiłam”.

– Więc lepiej było spędzić święta samotnie? Na litość boską. No dobrze, powiedz, co

robiłaś cały dzień.

– Nie chciałam siedzieć w domu, bo Peter obiecał, że zadzwoni później, a nie chciałam ryzykować, że zmięknę i podniosę słuchawkę... Poza tym niech się skurczybyk też choć raz pomartwi, gdzie ja się podziewam. W każdym razie zadałam sobie pytanie, gdzie będę bezpieczna przed jego telefonami i własną uległością, i kto jeszcze spędza te dni samotnie. Pojechałam więc do twojego mieszkania i dotrzymałam towarzystwa Meryl.

– Spędziłaś święta ze złotą rybką?

– Na to wygląda. Smutne, co? Poza tobą nie mam żadnych przyjaciół, Nat.

– Poprawka: poza mną nie masz przyjaciół w Anglii.

– Biedna Petra.

Pociągnęła nosem, uzalając się nad sobą.

– Druga poprawka: poza mną nie masz w Anglii przyjaciółek. Masz mnóstwo kumpli i to samych mężczyzn.

– Dokładnie. I wszyscy są żonaci.

– Zgadza się. A która żona, która ma choć odrobinę szacunku dla siebie, chciałaby, żebyś w święta włóczyła się z jej mężem?

– Dlaczego nie mam żadnych przyjaciółek oprócz ciebie, Nattie?

– Bo kobiety się ciebie boją. Boją się, że ich mężowie lub partnerzy będą cię lubić bardziej niż je.

– Ach, ciężki los kobiety pożądaney – westchnęła dramatycznie. – A dlaczego ty się mnie nie bałaś?

– Bo z miejsca cię przejrzałam.

– No, dziękuję ci bardzo!

– W pozytywnym sensie. Od razu zobaczyłam, co się kryje pod tą szorstką powłoką wampa.

– Mianowicie szorstki wamp?

– Nie, słodziutki króliczek – zakpiłam i pstryknęłam ją leciutko w nos. – I jak tam Meryl? Dobrze się nią opiekowałaś? – zapytałam, próbując zmienić temat.

Wprowadzie Petra przyjmowała sytuację z Peterem z humorem, ale jednak facet zranił ją do żywego.

– Czuje się jak ryba w wodzie, dziękuję. Mam ci przekazać od niej mokrego całusa.

– Całusy złotych rybek chyba zawsze są mokre, co?

– Jasne. Powiedz, próbowałaś już kiedyś wsadzić dziesięciokilowego indyka plus nadzie- nie z szałwii, cebuli i mielonego mięsa do pojemnika na śmieci?

– Zdecydowanie nie.

– A ja owszem. Wczoraj, podczas orędzia królowej – oznajmiła zdawkowo. – Ale co mi tam. Zapomnijmy o tym. Dla mnie święta są tu i teraz. Na zdrowie! – Trąciła mój kieliszek i duszkiem wychyliła szampana. – Chcesz jeszcze?

Kiedy wróciła Laura, opróżniłyśmy już z Petrą całą butelkę szampana, po czym z inicjatywy mojej matki otworzyłyśmy kolejną. Potem wszystkie rozsiadłyśmy się wygodnie przed telewizorem i chyba po raz osiemdziesiąty w ciągu trzydziestu lat obejrzałyśmy *Czarnoksiężnika z krainy Oz*.

W końcu Laura zaczęła się wiercić niespokojnie, wstała i poszła załatwić parę telefonów.

Po chwili wróciła, my w tym czasie wylądowałyśmy przy *Małym lordzie*.

– No to załatwione – zakomunikowała.

Cas popatrzyła na nią pytająco.

– Wychodzimy dziś wieczór. Nastawiłam już bojler z ciepłą wodą, za pół godziny

możemy się szykować. Chciałabym, żebyście wszystkie kwadrans po siódmej były wykąpane i ubrane zebrały się tutaj na dole. Aha, Nat: żadnych dzinsów. Mam nadzieję, że masz coś oprócz nich.

Petra wzięła ze swoich bagaży kosmetyczkę i zaszyłyśmy się w moim pokoju.

– Masz, przywiozłam ci listy. I mam ci przekazać serdeczne pozdrowienia od Elaine.

– Pozdrowienia i co jeszcze?

– Żadnych „co jeszcze”. Oczywiście możesz wziąć tyle wolnego, ile zechcesz. – Petra roześmiała się i przemówiła, idealnie przedrzeźniając przesadnie poprawny sposób artykulacji Elaine: – Oczywiście tylko od ciebie zależy, kiedy zechcesz wrócić do pracy, ale redakcja pragnie przeprowadzić wywiad z jakąś bardzo ważną osobą i wyraziła przekonanie, że to by było coś dla ciebie.

– Aha. A o kogo chodzi?

– O Molly Billingham.

– Żonę Ralpa Billinghama?

– Ściślej wdowę po nim. Więc już słyszałaś?

– Oczywiście, pisali o tym na pierwszych stronach gazet. Jesteśmy w Kornwalii, Petro, a nie na obrzeżach Mongolii. A kiedy ma się odbyć ten wywiad?

– Widzisz, w tym cały problem. Nie mają jeszcze terminu. Molly Billingham konsekwentnie odrzuca wszelkie próśby o udzielenie wywiadu.

– Aha. – Poczułam ogarniającą złość, gdy zdałam sobie sprawę, dlaczego Elaine chciała wysłać do niej właśnie mnie. – Rozumiem. Elaine uważa, że złamię jej opór, opowiadając o tragicznej śmierci swojego męża i solidaryzując się z nią?

Petra wykrzywiła twarz.

– Sama wiem, że to poniżej pasa, ale nie wyładowuj swojej irytacji na mnie, dobrze? Jestem tylko posłańcem przekazującym złe wiadomości.

– Poniżej pasa? To chyba mało powiedziane.

– Przecież cię rozumiem. – Petra wzruszyła ramionami. – Ale tak to działa w naszym biznesie, Nat, i dobrze o tym wiesz.

– Ale ja nie jestem jedną z tych dziennikarek, które własną duszę sprzedadzą za dobry materiał, Petro. A o tym z kolei ty dobrze wiesz.

– O, tak. Jak na kogoś o swojej pozycji jesteś zbyt nieskazitelna. W ogóle się zastanawiam, jak komuś o takich zasadach udało się zajść tak daleko...

– Też się zaczynam nad tym zastanawiać... – Odetchnęłam głęboko. – Nawiasem mówiąc, poważnie rozważam, czy nie złożyć wypowiedzenia.

Petra wlepiała we mnie przerażony wzrok.

– Słucham?

– Dobrze mnie zrozumiałaś.

– Od kiedy?

– Od dziesięciu minut. Ach, sama nie wiem, tak mi to przyszło na myśl, ale teraz, kiedy już wypowiedziałam to na głos... Chyba chodzi mi to po głowie już od jakiegoś czasu.

– Ale... co chcesz robić zamiast tego?

– Mam parę pomysłów... Wprawdzie jeszcze mało konkretnych, ale perspektywa powrotu do pracy z każdym dniem podoba mi się mniej.

Petra nadal wpatrywała się we mnie wielkimi oczami.

– Ale przecież ty żyjesz pracą!

– Nie. – Pokręciłam głową, ujmując jej rękę. – Właśnie z tego zdałam sobie sprawę w ciągu ostatnich tygodni. Nie żyję pracą. Pracuję, żeby dalej żyć. A przynajmniej tak do tej pory

robiłam, i to nie jest dobre. Chodź, coś ci pokażę.

Otworzyłam górną szufladę komody i wyciągnęłam spod majtek swój manuskrypt.

– Chciałabym, żebyś to przeczytała. Nie od razu, ale wkrótce. I powiedz mi, co o tym sądzisz. Zaczęłam już pracować nad tym tekstem, ale to jeszcze za mało.

Petra wzięła ode mnie manuskrypt.

– Oczywiście, że przeczytam, Nat, ale... zwolnić się z pracy? Naprawdę tego chcesz? – Widząc moje uparte spojrzenie, zmieniła temat. – A jak ty się w ogóle czujesz?

Pytanie nie było pozbawione haczyka.

– Nieźle – odparłam z przesadną wesołością. – Mam jeszcze coś, co chciałabym ci pokazać.

Na moje wymijające odpowiedzi Petra pokazała mi język, ale kiedy podetknęłam jej pod nos obraz, który podarował mi Connor, opadła jej szczęka.

– Ależ to jest obłędne! – zachłysnęła się.

– Prawda?

– Kto to namalował?

– Mój przyjaciel. Chociaż, właściwie nie mój, tylko Laury. Artysta.

– Artysta? – Petra uniosła lubieżnie jedną brew. – I co, pozujesz mu?

– Nie. – Popatrzyłam na nią ponuro. – Jesteśmy po prostu przyjaciółmi, jeśli w ogóle. Ledwie go znam.

– To może powinnaś go poznać lepiej. Jak się nazywa?

– Connor. Jest Irlandczykiem.

– Uuuu, wow! Wysoki, ciemnowłosey, nieprzeniknione spojrzenie i aksamitny głos?

– Brązowe włosy.

– Okej, wysoki, brązowe włosy, takie nieprzeniknione spojrzenie?

– Ma jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu.

– No dobrze, średniego wzrostu, brązowe włosy, nieprzeniknione spojrzenie?

– Nie, nie ma nieprzeniknionego spojrzenia, tylko szczere i otwarte. I ma poczucie humoru.

Petra uniosła dłonie.

– Dobra, czyli poległam na całej linii.

– Nie, nie do końca. Ma aksamitny głos.

– Przystojny?

– Nie zwracałam na to uwagi.

Skłamałam.

– No coś ty!

– No dobra, niech będzie, że tak.

– W twoich ustach oznacza to, że to absolutne ciacho. – Petra zaczęła się rozbierać. –

A jak ten poczciwy Connor ma na nazwisko?

– O, trudne pytanie. Laura chyba już wspominała... Booth? Nie, bzdura. Bright? Nie, też nie. Czekał, zaraz, chwileczkę, już wiem: Blythe. Connor Blythe.

– Blythe? – Starannie wydepilowane brwi Petry powędrowały do góry.

– Tak, Blythe.

– Connor *Blythe*? – upewniła się z niedowierzaniem. – *Ten* Connor Blythe? Zaprzyjajniasz się z Connorem Blythe i nic mi o tym nie mówisz, Nattie? Równie dobrze mogłabyś znaleźć Świętego Graala i schować go w tajni!

– O co ci chodzi? – zapytałam skonsternowana.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że to nazwisko nic ci nie mówi? I ty twierdzisz, że je-

steś dziennikarką?

– To już o nim słyszałaś?

– Nattie. Każdy już o nim słyszał. Najwyraźniej tylko ty nie. Należał do tej grupy artystów Young British Artists, no wiesz, Saatchi, White Cube i tak dalej. Był kimś w rodzaju młodszego, sympatycznego brata Damiena Hirsta. Tak samo sławny, ale nie tak ekstremalny. W każdym razie nie deklarował, że zakonserwowane w formaldehydzie zwierzęta to dzieła sztuki. Wystawił swego czasu trzy dzieła w Sensation Exhibition; to były fotografie, co jest o tyle dziwne, że on właściwie jest malarzem. Ale powinnaś zobaczyć te fotografie, Nattie. Niezbyt duże, może formatu A5, powieszzone obok siebie i zatytułowane *Zwątpienie*.

Urwała i wzięła wdech.

– Poruszyły mnie tak bardzo, że się popłakałam, Nattie. Nawet teraz napływają mi łzy do oczu, kiedy o tym myślę. – Powachlowała się dłonią.

– Dwie z fotografii nie były jego: jedno przedstawiało dziecko w obozie koncentracyjnym, a jedno chłopca Wietkongu podczas wojny w Wietnamie. Trzecią zrobił sam: przedstawiało małą dziewczynkę uratowaną z ludobójczej czystki w Afryce. Z całej tej trójki widać było tylko ich twarze zapatrzone w pustkę. Te oczy, Nattie. Nie zapomnę ich.

Umilkła i przygryzła wargę.

– Wtedy nie wiedziałam, że zajmuje się czymś innym poza malarstwem. Za te trzy fotografie dostał nominację do nagrody Turnera. Szturmem zdobył londyńską scenę sztuki. A potem zniknął z powierzchni Ziemi. Jakby chciał w ten sposób coś zademonstrować. Od tamtej pory nikt go nie widział. Od czasu do czasu w jakichś galeriach pojawiają się jego obrazy, które w okamgnieniu sprzedają się za wielkie sumy, ale on nigdzie nie pokazuje się publicznie.

Petra jeszcze raz obejrzała mały obraz przedstawiający Roba i mnie.

– Rany boskie, Natalie, jesteś dumną posiadaczką autentycznego Connora Blythe'a. Tym samym plasujesz się gdzieś między galerią Saatchi a Tate Modern. To jest z pewnością warte co najmniej cztery, pięć tysięcy funtów.

– Słucham?

– Tak, wiem, dla ciebie liczą się przede wszystkim wartości niematerialne. – Z uśmiechem odłożyła obraz na nocną szafkę.

Wzięłam go i włożyłam z powrotem do szuflady.

Petra zdjęła spodnie i usiadła w swojej czerwonej, koronkowej bieliźnie na łóżku.

Potrząsnęła rudą strzechą włosów i zapytała:

– Poznasz mnie z nim?

– Zapewne nie da się tego uniknąć, jeśli zostaniesz tu parę dni.

– Jak myślisz, zgodzi się udzielić mi wywiadu?

– Cóż, jeśli zaszył się w tym miejscu, bo unika publicznego zainteresowania, to raczej w to wątpię.

– Ach, kiedy jest się sławnym, to łatwo powiedzieć, że chce się mieć spokój, ale kiedy już nikt więcej nie poświęca ci uwagi, to z pewnością w końcu jej ci brakuje. Niewykluczone, że wtedy wszystko to go przerosło, ale teraz miał już trochę czasu dla siebie, może nie miałby nic przeciwko temu, żeby znowu pojawić się w mediach?

– A co to za pokretna logika, Petro? Ludzie, którzy lubią być w centrum uwagi, zabiegają o publiczność. Connor trzyma się od tego z dala.

– Ale przecież można chyba spróbować! A przede wszystkim coś takiego warte byłoby porządnej podwyżki! Wywiad z Connorem Blythem to byłaby sensacja! Może nawet zrobię to na boku i sprzedam wywiad temu, kto da więcej...

– Zwariowałaś, Pet. Jeśli Elaine się dowie, wylecisz na pysk.

– Nie mogę wylecieć, pracuję z wolnej stopy. A rada nadzorcza też miałaby jej coś do powiedzenia. W końcu jestem najlepszym koniem w ich stajni. – Wyszczrzyła się w nieskromnym uśmiechu. – Beze mnie zginą marnie.

– Dzięki!

– Ależ słodczy ty moja! Ty też przeżyłabyś i bez „Naked”. Więc? Co ty na to?

– Na co? Na życie bez „Naked”? – zapytałam niewinnie.

– Nie. Na mój wywiad z Connorem Blythem. – Powiedziała to tak, jakby rzecz już była postanowiona.

Wzruszyłam ramionami.

– Dlaczego pytasz o to mnie? Zapytaj jego.

– A pytanie nic nie kosztuje, prawda? Najgorsze, co mnie może spotkać, to odmowa.

– Prawdopodobnie tak.

O wpół do ósmej zajechała po nas taksówka. Wystrojone i podekscytowane wcisnęłyśmy się do środka. Upłynęła cała wieczność, odkąd ostatni raz planowałam babski wieczór z prawdziwego zdarzenia.

Petra nawet namówiła mnie, żebym założyła sukienkę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio nosiłam spódnice albo sukienkę.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Cas małomówną Laurę.

– Na kolację.

– A dokąd?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Minęliśmy Trenrethen i pojechaliśmy dalej wzdłuż wybrzeża do Ship.

– Idziemy na kolację do pubu? – zapytałam skonsternowana. – Po tym, jak nalegałaś, żebyśmy zrobiły się na bóstwa, spodziewałam się czegoś elegantszego.

Ale Laura tylko uśmiechała się zagadkowo.

Usiadłyśmy w pubie przy jednym z sięgających do kolan stołów.

Właśnie zastanawialiśmy się z Petrą, jak wygodnie będzie przy nich jeść, kiedy zjawiała się Orlaithe.

– Może zechcecie teraz przejść? Wasz stolik jest gotowy.

– Przejść?

Laura uśmiechała się od ucha do ucha.

Skręciłyśmy za Orlaithe w korytarz po prawej stronie baru. Sądziłam, że prowadzi na zaplecze.

Na końcu były drzwi do niewielkiego pomieszczenia z drewnianą podłogą, eleganckimi meblami, grafikami przedstawiającymi sceny polowania na pomalowanych na odcień terakoty ścianach, suszonymi kwiatami i wzorzystymi zasłonami w oknach. To była niespodzianka Laury.

Romantyczne, małe bistro, jakiego można się było spodziewać może w Londynie, ale nie na zapleczu pubu na zachodnim krańcu Kornwalii.

– Nie miałam pojęcia, że tu jest jeszcze jedna sala – zdumiałam się.

– Cóż, to ekskluzywne pomieszczenia, wejście wyłącznie za zaproszeniem – zakpiła Orlaithe. – Nie, serio, to jest miejsce, w którym jedzą posiłki goście pensjonatu, ale w weekendy lokal jest otwarty dla każdego.

– I Hank gotuje?

– No coś ty?! – Machnęła ręką z rozbawieniem. – Zatrudniam młodego kucharza, który przychodzi w weekendy.

– Miałam kiedyś takiego faceta – mrugnęła do mnie Petra. – Tylko że on specjalizował się w lunchach.

Usiadłyśmy i zaczęłyśmy studiować kartę dań, która bardzo różniła się od tej w pubie. Tutaj nie podawano zapiekaneK i kanapek.

– Bardzo polecam rybę – podpowiedziała szeptem Laura.

Petra zignorowała kartę dań i zagłębiła się w karcie win.

Kolacja przebiegła w swobodnej atmosferze, a jej zwieńczeniem były deser i kawa. Na koniec zjawiła się Orlaithé i szepnęła Laurze, że przy barze jest Charles, na co matka zaciągnęła nas do pubu.

Charles grał w bilard. I chociaż widziałam jego nachylonego nad stołem bilardowym przeciwnika od tyłu, od razu wiedziałam, że to Connor. Nagle poczułam mrowienie w brzuchu.

– Hm. Bardzo ładny – stwierdziła Petra, oceniając tylną część Connora. – Nie wiesz przypadkiem, do kogo należy ten apetyczny tyłek? – zapytała, biorąc mnie pod rękę.

Pięć minut później, kiedy Laura dokonała wzajemnej prezentacji, Petra już gawędziła z Connorem. Mężczyzna stał oparty o jedną z drewnianych kolumnienek. Petra usytuowała się na wprost niego, żeby odseparować go od całego świata. Nachylona lekko ku niemu, z uśmiechem prezentowała swoje wdzięki.

Przypatrywałam się femme fatale w akcji.

Ależ była piękna. Jak ktokolwiek mógł jej się oprzeć?

Czy sprawiałoby mi różnicę, gdyby Connor uważał ją za atrakcyjną?

Petra mówiła coś do Connora, a on skierował swój wzrok ponad jej ramieniem na mnie. Obrzucił mnie wzrokiem od góry do dołu, zauważył szarą sukienkę z dżerseju, szpilki, makijaż i związane w węzeł włosy. Uśmiechnął się. Zdumiona Petra obejrzała się za siebie, dostrzegła mnie i również się uśmiechnęła. Podeszłam i przyłączyłam się do rozmowy.

– Czyż ona nie wygląda dziś super? – rzuciła z dumą Petra, napotykJąc wzrok Connora.

– Wyglądasz fantastycznie – powiedział. – Chociaż to oczywiście nic w porównaniu ze strojem, w jakim cię poznałem. Tamten był naprawdę spektakularny.

– Ach tak? Dlaczego? Co miałaś na sobie? – dopytywała niczego niepodrzejwająca Petra.

Hank ochrzcił swój nowy wóz pieścZotliwym mianem „Betsy druga”. Z dumą odwiózł nas do domu. Przez całą drogę śpiewałyśmy i chichotałyśmy, nic sobie nie robiąc z tego, że ślaniałyśmy się na zakrętach, a na polnej drodze nieźle nas wytrzęsło, bo samochód miał kiepskie zawieszenie.

Dochodziła północ, kiedy rozchichotane wtoczyłyśmy się chwiejnie do kuchni Laury, nie wykazując najmniejszej ochoty, żeby iść spać. Laura wyczarowała skądś butelkę schłodzonego szampana, a Cas przyniosła cztery kieliszki w nadziei, że też jej się trochę dostanie.

Ogień w kominku prawie wygasł, a kosz na opał był pusty. Wysłam na podwórze po drewno. Dopiero po chwili zorientowałam się, że zrobiłam to z uśmiechem na ustach. Ile czasu upłynęło, odkąd ostatni raz uśmiechałam się bez powodu? Chociaż – całkiem szczerze – był jeden powód. Tylko nie chciałam się do niego przed sobą przyznać.

Kiedy wróciłam, zauważyłam, że i Petra się uśmiecha. A właściwie się szczerzy. Trochę za szeroko.

– Czego się tak jarzysz?

– No, nareszcie. Myślałam, że już nigdy nie zauważysz. Umówiłam się na randkę. I to jaką!

– Ach, tak? – zdumiałam się.

– Tak. Gorącą randkę. – Zawiesiła głos dla zwiększenia efektu. – Jutro wieczorem idę na kolację z Connorem Blythem.

– Czy to znaczy, że zgodził się na wywiad?

Pokiwała ekstatycznie głową.

– Jak ci się to udało?

– Ach, wiesz, moja sztuka przekonywania jest legendarna... – Petra popatrzyła na mnie. – Nie wyglądasz, jakbyś się cieszyła.

– Ależ tak, tak, oczywiście, że się cieszę – wydusiłam. – Jestem tylko... to znaczy... naprawdę się dziwię, że się zgodził. To wszystko.

– A ja się nie dziwię. – Petra wydeła usta. – Jak mówiłam, jeśli chcę, potrafię być bardzo przekonująca.

I trąkotała dalej: że zamierza uprowadzić go do tej fantastycznej małej knajpki rybnej w Newquay, o której tyle słyszała, że Connor jest diabelnie przystojny, i że – jeśli się odpowiednio postara – Connor może liczyć na więcej niż kolację... Natychmiast wypytała Laurę o adresy hoteli w okolicy, w razie gdyby postanowili spędzić tam noc – w końcu trochę się tam jechało.

– Narrowcliff jest całkiem miłym lokalem, leży naprzeciwko Tolcarne Beach. Jadłam tam już parę razy i byłam naprawdę zadowolona. Podają wspaniałe dania. Chociaż zjeść zamierzacie w innym miejscu, prawda? Na pewno mam gdzieś numer telefonu. Ale masz rację, tam się trochę jedzie.

Matka nie zorientowała się, że leje wodę na młyn Petry i jej noclegowe plany. Dodała jeszcze parę propozycji lokali, które nie leżały tak daleko, a też były „dość dobre”. Petra z uśmiechem zignorowała jej rekomendacje.

Znałam Petrę. Miała w sobie coś z drapieżnika. Kiedy już upatrzyła sobie smakowitą ofiarę, to ją zdobywała, nie przejmując się stratami. Zawsze ją za to podziwiałam.

Tym razem wyglądało na to, że na jej liście życzeń znalazł się Connor.

Wiedziałam, że Connor jest wolnym mężczyzną, a Petra wolną kobietą. Peter raczej nie mógł oczekiwać od niej wierności.

Dlaczego tak bardzo brałam to sobie do serca?

Gdzieś w głębi duszy naturalnie wiedziałam dlaczego. Mogłam wypierać się swoich uczuć do Connora, mogłam twierdzić, że nie były prawdziwe, tylko narodziły się z samotności, żaloby i rozbicia emocjonalnego – ale nie mogłam ich ignorować. Zwłaszcza teraz, kiedy Petra mówiła o nim tak, jakby już był jej... Uderzyła mnie zazdrość.

Dziwne uczucie. Odnosiłam niemal wrażenie, jakbym zdradzała Roba. Zasiane zostało maleńkie ziarno. Drogocenne ziarno. Mój instynkt i natura podpowiadały mi, że powinnam o nie dbać i je pielęgnować, aby rosło, dojrzewało i zakwitło.

Ale nie mogłam nosić w sobie nawet tego małego ziarenka, nie mając jednocześnie uczucia, że zdradzam Roba. I dlatego właśnie próbowałam zignorować je, jak umiałam.

Zrabuje mi to dziś sen. Wiedziałam to doskonale.

Laura umówiła się z Charlesem na kolację. Jego żona pojechała odwiedzić starą matkę w mieście, więc gołąbeczki skorzystały z rzadkiej okazji, żeby wybrać się do restauracji na tyle odległej, aby nie obawiać się plotek. Matka wyglądała fantastycznie.

– Wow! – zauważyła Cas, kiedy Laura w srebrzystej sukni zaprezentowała nam się u stóp schodów.

– Jak myślicie, spodoba się Charlesowi?

Petra, otulona moim granatowym frotowym szlafrokiem, siedziała przy kuchennym stole ze stopami na sąsiednim krześle i malowała paznokcie u stóp nowym, ciemnoczerwonym lakierem Laury. Podniosła wzrok i gwizdnęła.

– Spodoba mu się tak bardzo, że zdejmiesz tę kieckę prędej, niż ją założyłaś – powiedziała, uśmiechając się od ucha do ucha. – Nie masz przypadkiem takiej samej, żeby mi pożyczyć?

Laura promieniała.

– Nat? – Obejrzała się na mnie i podniosła pytająco brwi.

– Bomba.

Podwórce rozjaśniły reflektory samochodu.

– Przyjechał – oznajmiła Petra, kiedy rozległ się trzask drzwiczek.

Ale Laura potrząsnęła głową. A ja w ciągu ostatnich tygodni zdążyłam się nauczyć, że Charles Treloar nigdy nie wchodził do domu. Chyba że poszliśmy już z Cassie spać.

– Nie do wiary – powiedziała Laura. – To musi być Connor.

– Connor! Ale ja jeszcze nie jestem gotowa! – pisnęła Petra. – Zatrzymajcie go! Przecież muszę się jeszcze ubrać!

Pognała do salonu i trzasnęła drzwiami.

Cas podbiegła do drzwi i je otworzyła. Laura zastygła, licząc na kolejne komplementy.

– Wow! Wyglądasz bajecznie, Lauro! – Connor na powitanie chwycił ją za rękę i zlustrował wnikliwie. – Treloar nawet nie wie, jakim jest szczęściarzem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Laura udała niewiniątko. – Przecież wybieram się na kolację ze starą, dobrą przyjaciółką.

– Starą i dobrą kupuję – mrugnął do niej – ale jedyną kobietą przy stole będzie tylko to bóstwo, które mam przed sobą.

Podwórce znowu rozjaśniły reflektory samochodu, tym razem jednak rozległo się głośnie trąbienie.

– To po mnie. – Laura pojaśniała jak księżyc w pełni. – Na razie, moi kochani!

– Baw się dobrze! – zawołałam za nią.

Cas nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła pokazać Connorowi swój najnowszy obraz: akwarelę, na której była Szansa wyglądająca zza na wpół otwartych drzwi stajni. W dole widać było jednego z owczarków collie zwiniętego w kłębek i drzemiącego na słońcu. Podobał mi się ten obraz, nawet bardzo. Miał w sobie jakąś lekkość.

Laura i Charles wciąż siedzieli w samochodzie przy włączonym silniku. Całowali się. Coś mi się zdaje, że stęskniła się za nim przez te święta. Wczorajszego wieczoru w Ship widziała go po raz pierwszy od naszego bilardowego pojedynku.

– To chyba najbardziej jawny tajny romans świata, prawda? – Connor stał tuż za mną.

Cas popędziła na górę po więcej obrazów.

– Jak myślisz, czy jego żona wie?
Widziałam, że gruntownie rozważa swoją odpowiedź.
– Myślę, że wie, że ją zdradza, ale nie wie z kim.
– O, rany. Choć kocham Laurę, to jednak muszę przyznać, że żal mi żony Charlesa. To na pewno nie jest dla niej łatwe.
Na twarzy Connora szeroki uśmiech zastąpił wyraz zamyślenia.
– Na pewno. Ale pani Treloar zupełnie się tym nie przejmuje. Sama ma młodego kochanka w Londynie.
– Co? Jak? A ja myślałam, że ona odwiedza chorą matkę? Tylko mi nie mów, że nie ma żadnej chorej matki!
– Między nami mówiąc: ma chorą matkę. Nawet bardzo chorą. Tak chorą, że pocziwina jest już na tamtym świecie.
– I nie powiedziała o tym mężowi? Okłamuje go, mówiąc, że ją odwiedza? – Nie mieściło mi się to w głowie.
– Nie sędzę, żeby go okłamywała. Oczywiście nie wiem wszystkiego, ale wydaje mi się, że to taki typ małżeństwa, w którym o wielu, bardzo wielu rzeczach nigdy się nie mówi, bo tak jest wygodniej i prościej.
– Okropne.
– Raczej trudno to nazwać idealnym partnerstwem, prawda?
Pokręciłam głową.
– Ale każdy rozumie inaczej słowo „idealny”. Co dla ciebie byłoby idealnym związkiem, Nattie?
Odwróciłam się raptownie w jego stronę.
– Znalazłam! – Cassie wpadła do kuchni z plikiem obrazów.
Rozłożyła je na stole i kiwnęła na nas, żebyśmy podeszli bliżej. Connor je wychwalał, ale nawet ja, ignorantka w kwestiach sztuki, widziałam, że obrazy były wyjątkowe.
– Mówiłam jej, że są dobre – wyłuszczyłam Connorowi, a Cassie, kiedy jej dzieła zyskały aprobatę Connora, zebrała je z najwyższą ostrożnością i zaniósła do gabinetu Laury. – Ale odnoszę wrażenie, że liczy się tylko twoja opinia.
– Mogła spokojnie uwierzyć ci na słowo. Naprawdę świetnie maluje. Ma oko do detali. Myślę, że kiedyś będzie mogła nawet w ten sposób zarabiać na życie.
– Jest aż tak dobra?
– Owszem.
Stukot obcasów zwiastował nadejście Petry. Najwyraźniej zainspirowała się Laurą. Czekoladowobrazowa spódnica, ledwie zakrywająca jej pupę, ale mimo to z rozcięciem, uwydatniała jej nieskończenie długie, doskonałe nogi. Do niej założyła bluzkę z ciężkiego, złotego materiału, mogącą kojarzyć się z kolczugą, której dekolot sięgał niemal do pępka. Jej rude włosy opadały połyskującymi jedwabiście puklami na ramiona.
Cassie z rozdziawionymi ustami, przepełniona nabożną czią i podziwem, wpatrywała się, jak Petra dumnym krokiem podchodzi do nas w złotych sandałach. Zerknęłam na Connora i upewniłam się, że i on rozdziawił paszczę – zapewne jednak bardziej z przerażenia. On sam był w podartych, poplamionych farbami džinsach i starym, granatowym swetrze, chyba nie spodziewając się po tym wieczorze niczego więcej niż porcji zapiekanki pasterskiej przy kuchennym stole Laury oraz serii niewygodnych pytań.
I tak już ochrypły głos Petry zabrzmiał teraz bardzo uwodzicielsko.
– Connor! Jak miło cię widzieć! Mam nadzieję, że jesteś głodny: zarezerwowałam dla nas stolik w tej słynnej restauracji w Newquay.

Connor zaśmiał się nerwowo i wskazał ręką na swój daleki od elegancji strój.

– Jak widzisz, nie spodziewałem się, że będziemy jeść poza domem.

– Nie szkodzi. Możemy po drodze wstąpić do ciebie, gdzie będziesz mógł się szybko... przebrać.

Jej ton, pauza, spojrzenie – wszystko to aż ociekało lubieżnością.

Connor rozejrzał się wokół, jakby chciał się ewakuować. Zatrzymał wzrok na mnie.

– Obiecałem Nattie i Cas, że po wywiadzie zaproszę je na piwo.

Popatrzył na nas błagalnie, licząc na wsparcie.

Cas pokiwała skwapliwie głową. Nader chętnie potwierdziła kłamstwo Connora, licząc na to, że w nagrodę będzie mogła wybrać się do Ship. Ja z kolei doskonale wiedziałam, jak ważny był dla Petry ten wywiad, i byłam rozdarta, komu właściwie byłam winna lojalność. Oboje zaklinali mnie wzrokiem.

– A co wy na to, gdybyśmy poszli na kolację wszyscy razem? – Usłyszałam swój własny głos.

Petra popatrzyła na mnie z rozczarowaniem, a Connor z ulgą. Wprawdzie nie wybawiłam go całkowicie, ale przynajmniej ocalałam przed wieczorem sam na sam z Petrą.

– Ale ja zarezerwowałam stolik tylko dla dwóch osób.

Petra mrugała do mnie intensywnie, jakby coś wpadło jej do oka.

Zapewne to ja byłam solą w jej oku. Ja i mój opór przed zaakceptowaniem wyraźnej aluzji. Nie mogła pojąć, dlaczego nie chciałam jej pomóc w spędzeniu wieczoru z Connorem.

I szczerze mówiąc, ja też nie. Wmawiałam sobie, że widziałam panikę w oczach Connora. Wmawiałam sobie, że gdybym nie interweniowała, czmychnąłby do swojego atelier i schował się za wielkim płótnem. I że w ten sposób uratowałam wywiad Petry.

Czysty altruizm. Oddałam przysługę zarówno Connorowi, jak i Petrze. Ale na pewno nie sobie.

– Świetny pomysł – zgodził się Connor, a w jego głosie pobrzmiwało odrobinę za dużo entuzjazmu.

Cassie mu zawtórowała.

Zanim Petra zdążyła wybić mu z głowy kolację we czworo, Cas pognała na górę, żeby się przebrać. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ruszała się tak szybko. Po dokładnie pięciu minutach wróciła, w pełnym makijażu, w czarnej miniówce, kozakach do kolan i pomarańczowej koszulce polo bez rękawów. Usadowiła się na kanapie między Connorem a Petrą. Jej bluzka nieprzyjemnie gryzła się z kolorem włosów mojej przyjaciółki, co zrujnowało starannie wyreżyserowany przez Petrę efekt. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie był to celowy sabotaż.

Chwilę mi zajęła zamiana dzinsów i swetra na prostą, czarną sukienkę, która zawsze mnie ratowała, kiedy nie wiedziałam, co mam na siebie włożyć. Wyszczotkowałam włosy i nałożyłam pomadkę na usta oraz pomalowałam rzęsy. Przez cały czas plułam sobie w brodę, że nie trzymałam gęby na kłódkę i nie pozwoliłam im po prostu iść we dwoje. Grzebałam się, licząc na to, że wydarzy się coś, co zwolni mnie z roli piątego koła u wozu.

Moje modlitwy zostały wysłuchane.

Właśnie mieliśmy wyruszać, kiedy na podwórzu rozległo się głuche dudnienie motocykla.

Cassie kompletnie wypadło z głowy, że umówiła się z Lukiem, i ku mojemu zdumieniu wyglądała raczej na rozczarowaną niż zachwyconą jego przybyciem. Prawie niechętnie wygramoliła się z mercedesa Petry, żeby zamienić z chłopakiem parę słów. Z nieodgadnioną miną wróciła do samochodu i zakomunikowała, że odłącza się od naszego małego grona.

Tak jak poprzednim razem nalegałam, żeby Luke zostawił swoje stare kawasaki i żeby oboje pojechali moim samochodem.

– Pozwalasz mi prowadzić swój wóz? – zapytała Petra z niedowierzaniem, kiedy Luke ostrożnie wycofywał samochód.

– Wolę to sto razy, niż żeby Cassie jeździła tym gruchotem. – Uśmiechnęłam się słabo do Petry i Connora. – A więc, teraz, kiedy Cas się ulotniła, powinnam chyba zrobić to samo. Jak to się mówi: trójka to jedno za dużo...

– No dobrze, skoro nalegasz – zgodziła się prędko Petra. – Ale wiesz, że oczywiście możesz pojechać z nami.

Tak, tak.

– Jedź z nami, Natalie – wtrącił się Connor.

Pokręciłam głową.

– A co będziesz robić przez resztę wieczoru? Przecież nie możemy zostawić cię tu samej.

– Ach, wiecie, jestem już dużą dziewczynką. Jestem pewna, że jakoś przeżyję. Nawet się cieszę – dodałam zgodnie z prawdą. – Będę mogła sama wybrać program w telewizji i z nikim nie będę musiała dzielić się czekoladą. Kto wie, może się nawet przejadę motorem Luke'a? – ironizowałam.

– Nie czekaj na mnie! – szepnęła do mnie Petra, całując mnie na pożegnanie w obawie, że zmienię zdanie.

Zaczekałam pod drzwiami, aż tylne światła eleganckiego mercedesa coupé Petry znikną na horyzoncie i powoli wróciłam do domu. Wspięłam się po schodach i poszłam do siebie, gdzie wycieńczona padłam na łóżko.

Przez chwilę leżałam tak i gapiłam się w sufit. Wpatrywałam się w pęknięcie przecinające cały strop i rozgałęziające się nad łóżkiem. Wmawiałam sobie, że moja głowa i serce są puste. Że nic nie myślę i nic nie czuję. Dla odmiany skupiłam się na banalnej wizualności, zamiast na abstrakcyjnej emocjonalności.

Zajęłam się chwilę pisaniem, ale nie mogłam się dostatecznie skupić, żeby naprawdę zrobić jakieś postępy. W końcu wstałam i przejrzałam zawartość szafy, jakbym poważnie zastanawiała się, co założyć na sylwestra.

Wprawdzie perspektywa samotnego wieczoru naprawdę mnie nęciła, ale teraz czułam się trochę samotna, tak całkiem bez Laury i Cas. Byłam niespokojna. Chodziłam bez celu po domu, aż wreszcie wróciłam do pokoju i z powrotem założyłam dzinsy i bluzę.

Zeszłam na dół i założyłam kalosze stojące przy drzwiach, narzuciłam na siebie kurtkę i wyszłam do zwierząt. Napelniłam wodą wiadro Szansy i dołożyłam jej siana. Rzuciłam śpiącym kurom dodatkową porcję ziaren kukurydzy. Zagroda gęsi była upiornie pusta. Właściwie byłam zadowolona, że nie musiałam co rano znosić złego humoru Gertrude, ale jakoś było pusto bez niej i pozostałych gęsi.

Kiedy nie było już co robić, zagłębiłam się w przejściu między stodołami, a potem przeszłam przez łąki w kierunku klifu. Dawniej, zanim wyprowadziłam się do Londynu, często przesiadywałam nad urwiskiem, spoglądałam na morze i próbowałam wyobrazić sobie, jak potoczy się moje życie, kiedy wreszcie uda mi się stąd wyrwać. Cóż, nie zostałam burmistrzem, ale zbudowałam sobie własne życie, i to dobre życie. Nie zawsze było łatwo, ale nigdy się nie poddałam i nawet siebie zaskakiwałam swoją żelazną wolą. Nadal miałam to życie. Zawsze mogłam do niego wrócić. Ale bez Roba straciło ono dla mnie cały urok.

Miriady gwiazd i księżyc prawie w pełni nadawały nocy magiczny blask. Księżyc zdawał się tak wielki i bliski jakby można było wyciągnąć rękę i go dotknąć. Nie było słychać niczego poza szumem morza.

Śnieg prawie już stopniał, wiał łagodny wiatr. Ruszyłam szlakiem wędrownym wzdłuż wybrzeża.

Ale przedtem minęłam jeszcze Smuggler's Cottage. W nocy dom wyglądał na jeszcze bardziej zaniedbany niż w dzień, ale jednocześnie miał w sobie coś zapraszającego. Nie był ani trochę niesamowity, jak większość zrujnowanych budynków. Duchy istnieją przecież tylko w naszej wyobraźni. Wyobraziłam sobie, jak ten domek wyglądał, kiedy był jeszcze zamieszkały. A potem wyobraziłam sobie, jak mógłby wyglądać, gdyby go wyremontować. Stałam tak przez dłuższą chwilę. Dobiegł mnie skądś krzyk sowy i ruszyłam w drogę powrotną.

Ku mojemu zdumieniu Laura była już w domu. Siedziała przy kominku w kuchni jak Kopciuszek po północy, w wieczorowej sukni, otoczona psami – towarzyszyli jej Meg, Shep, Jas, Tuff, a nawet Mac. Włączyła mały, przenośny telewizorek i oglądała jakiś talkshow, zjadając jednocześnie zupę pomidorową.

– Już wróciłaś? – zdziwiłam się, zdejmując kozaki i odwijając czerwony szalik, który dostałam od Cas.

– Charles musiał wracać. Zadzwoiła Evelyn z wiadomością, że jedzie do domu.

Uniosłam brwi.

– A co z waszą kolacją?

– To. – Laura pokazała ręką talerz z zupą.

– Ach, jak mi przykro. A ty zrobiłaś się na bóstwo.

Laura wzruszyła ramionami.

– Chcesz trochę zupy? Sporo jeszcze zostało.

Wzięłam talerz, nabrałam chochlą zupę z torebki i usiadłam obok matki. Jej twarz, przedtem tak promieniejąca radością, była ściągnięta rozczarowaniem.

– Niezbyt udał ci się wieczór, co?

– Nie, rzeczywiście nie – westchnęła. – Wiem, wiem – uprzedziła me słowa. – Tak to jest, jak się kręci z żonatym.

– Właściwie chciałam powiedzieć, że jest mi przykro, że miałaś kiepski wieczór.

– Ach tak. Connor i Petra pojechali?

– Hmhm – skinęłam głową, ogrzewając dłonie o talerz. Opowiedziałam jej o perypetiach z wyjazdem.

– To znaczy, że Cas spotyka się z Lukiem po raz czwarty. – Laura wzięła sobie kawałek chleba.

– Tak, ale nie wyglądała na szczególnie uszczęśliwioną.

– Nic dziwnego.

– Dlaczego? Co masz na myśli?

– Oczywiście lubi Luke'a, ale jeśli miałyby wybierać między nim a Connorem... – Pozwolila zawisnąć swoim słowom w powietrzu, jakby nie była pewna, jak dokończyć.

– Nadal nie wiem, do czego zmierzasz.

– Cassie lubi Connora.

– A co z Lukiem?

– No, jego też lubi, ale podejrzewam, że nie tyle jego, co okoliczność, że od czasu do czasu uwalnia ją ze szponów dwóch starszych pań.

– Dwie starsze panie, wielkie dzięki.

– No i kiedy wychodzi z Lukiem, istnieje pewna szansa, że spotka Connora.

– Spotka Connora? – powtórzyłam zaskoczona.

Laura pokiwała powoli głową.

Przypomniałam sobie rozczarowaną minę Cassie, kiedy zjawił się Luke, długie godziny spędzone u Connora – i nagle spadła mi zasłona z oczu.

– Lubi Connora, powiadasz?

– Dokładnie to powiedziałam.
– Tak, ale nie byłam pewna, co chciałaś przez to powiedzieć. Biedna Cas.
– Po prostu się zadurzyła. Przejdzie jej.
– Może. – Bezradnie pokręciłam głową. – Ale myślę, że w tym kryje się coś więcej.
– Raczej nie, Nattie. On mógłby być jej ojcem.
– No *właśnie* – odparłam z przekąsem.
– Och. – Laura popatrzyła skonsternowana. – Rozumiem. – Westchnęła i ciągnęła dalej: –
No to świetnie. Więc wszystkie trzy jesteśmy w nim trochę zakochane.

Rzuciłam jej ostre spojrzenie, a ona od razu pośpieszyła z wyjaśnieniami:

– No bo dlaczego musi być takim cholernie fajnym chłopakiem? Gdybym była o dwadzieścia lat młodsza, już dawno bym go poślubiła i byłoby po problemie.

– Gdyby cię zechciał – docięłam jej.

– No pewnie, że by mnie zechciał. W młodości była ze mnie niezła sztuka.

– Tata też to mówił.

Uśmiech zastygł na jej twarzy.

– Naprawdę?

Przytaknęłam.

– Bez przerwy. Na okrągło.

Twarz Laury odprężyla się i odzyskała odrobinę blasku, który wczesnym wieczorem uczynił dziś z niej prawdziwą piękność.

– Twój ojciec był wspaniałym mężczyzną.

– Wiem – potwierdziłam. – Wprawdzie miałam zaledwie sześć lat, kiedy umarł, ale dobrze go pamiętam. A właściwie rzeczy, które robił, i rzeczy, które robiliśmy wspólnie.

– Był bez reszty zapatrzony w swoją małą Natalie. W nas obie. Byłby z ciebie taki dumny, Nattie. – Objęła mnie ramieniem i przycisnęła do siebie. – Gdyby mógł być tutaj i cię widzieć.

– Gdyby obaj mogli tu być. Ach, gdyby Rob mógł poznać tatę! Świetnie by się rozumieli, nie uważasz?

– Byliby nierozłączni. Zapewne niewiele byśmy z nich miały, bo w kółko chodziliby razem na golfa albo na ryby, czy co tam jeszcze uwielbiają robić mężczyźni.

– Tata chyba nie grał w golfa?

– Zgadza się, ale zawsze mówił, jak chętnie by to robił, gdyby miał czas i pieniądze.

– Zabawne. Rob też to powtarzał. Często przypominał mi tatę w tym, co mówił lub jak się zachowywał.

– Nie na darmo mówią, że kobiety szukają w swoim partnerze ojca, a twój ojciec był dobrym człowiekiem, Natalie. Bardzo dobrym.

– Jednym z najlepszych – zgodziłam się.

Laura przycisnęła mnie mocniej i otoczyła drugim ramieniem. Położyłam głowę na jej barku.

– Wiesz co? Myślę, że to dlatego mam żonatego kochanka. Ja nie straciłam męża dlatego, że już się nie kochaliśmy. Został mi odebrany, tak po prostu. Nadal Kocham Eddiego i będę kochać go zawsze. I to mi nie pozwala związać się z innym mężczyzną. Wiem, że mój związek z Charlesem w oczach większości jest daleki od ideału, ale mnie to odpowiada. Nawet teraz, po tylu latach, mam wrażenie, że mogłabym mu dać tylko cząstkę siebie, a ponieważ jest żonaty, wcale nie chce więcej.

Jak czarowana słuchałam zwierzeń Laury. Siedziałyśmy bardzo blisko siebie i nawet oddychałyśmy jednym rytmem. Naprawdę zmieniła się z biegiem lat. To było nieuniknione.

Z biegiem lat wszystko się zmienia.

Ogarnęło mnie wrażenie, jakbym spotkała Laurę Dunne po raz pierwszy w życiu. Lubiłam tę nową Laurę. Chętnie z nią przebywałam. Była – czego dowodzili jej liczni przyjaciele – dobrym człowiekiem.

Po bezsennej nocy postanowiłam wstać o szóstej rano i zaskoczyć matkę angielskim śniadaniem.

Ledwie zaparzyłam herbatę, usłyszałam wjeżdżający na podwórze samochód. Wróciła Petra. Otworzyłam jej drzwi.

– Dobry – burknęła i przeszła obok mnie.

Przebrała się i miała na sobie bordowe wełniane spodnie, przepiękne skórzane kozaki, szary kaszmirowy sweter i kurtkę pilotkę z futrzanym kołnierzem. Wyglądała, jakby zeszła z reklamy zimowej kolekcji Ralphi Laurena.

– Co się stało z twoją mini? – zapytałam zdumiona.

– Wzięłam ubrania na zmianę, na wszelki wypadek.

– Wraz ze szczoteczką do zębów, lokówką i zestawem kosmetyków na wszystkie okazje? – zażartowałam.

Ale Petrze nie było do śmiechu. Westchnęła, usiadła przy stole i naląła sobie filiżankę herbaty z cukrem i mlekiem. Wymieszała ją, ale nie upiła ani łyka, tylko wpatrywała się w nią z kwaśną miną.

– Jak ci poszło z Connorem? – zapytałam w końcu, kiedy zdałam sobie sprawę, że sama nie zdradzi mi żadnych informacji.

– Był dżentelmenem w każdym calu – powiedziała, nie patrząc na mnie.

– To pięknie.

– Tak. – Westchnęła jeszcze raz i popatrzyła na mnie z rozczarowaniem. – Spoiłam go sporą ilością alkoholu, a kiedy powiedziałam, że sama też wypiałam za dużo, żeby prowadzić, zaproponował, żebyśmy przenocowali na miejscu. I wziął dwa pokoje. *Dwa pokoje* – powtórzyła cierpko. – Czy coś ze mną jest nie tak, Nattie? Jestem aż tak brzydka? W końcu zaprezentowałam mu się dosłownie na srebrnej tacy, a on nic? Może właśnie w tym problem, może sprawiałam wrażenie zbyt silnej. Niektórzy mężczyźni nie lubią silnych kobiet. Wolą być myśliwymi niż ofiarami. Może to był mój błąd. Connor to w końcu niezły macho, nie? Może powinnam się była bardziej krygować i jemu pozostawić inicjatywę. Jednak mam wrażenie, że wtedy też do niczego by nie doszło. Ach, sama nie wiem, Nattie. Co ty byś zrobiła? Jak podejść Connora?

Długo się wahałam, zanim odpowiedziałam.

– Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc „podejść”, Pet. To przecież nie jest zabawa w podchody. Nie musisz odgrywać żadnej roli. Mam wrażenie, że Connor jest bardzo otwartym człowiekiem. Po prostu bądź sobą.

– Hm – mruknęła Petra bez przekonania. – Może problem polega na tym, że nie jestem kimś innym.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałam.

Petra z namysłem umoczyła wargi w herbacie. Spoglądała przy tym na mnie znad filiżanki, prawie z wyrzutem.

– Przez cały wieczór wypytywał o ciebie.

– Słucham?

– No, nie zrozum mnie źle. Nie jak jakiś stalker czy coś w tym stylu – zapewniła, kiedy wyciągnęłam rękę po szynkę. – Zadawał ogólne pytania, nie jakieś psychopatyczne albo chore w stylu, jakie nosisz majtki albo po której stronie łóżka najchętniej śpisz, ale jednak pytał. O ciebie. Nie o mnie.

Zamilkła i zapytała po krótkiej przerwie:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że coś między wami jest?
- Bo nic między nami nie ma – odpowiedziałam ostro.
- Ach, no weź, Nattie, przecież cię znam. Ty też nie wyglądałaś na uszczęśliwioną, kiedy ci powiedziałam o naszym spotkaniu. Właściwie już wtedy powinnam była się domyślić.
- Nie ma niczego, czego powinnaś się domyślać, Petro – broniłam się.
- Może powinnaś to powiedzieć Connorowi, bo ja odniosłam wyraźne wrażenie, że on interesuje się tobą dużo bardziej niż mną. Mów, Nattie, co się dzieje? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– A co ci miałam mówić? Jesteśmy przyjaciółmi. I owszem, jeśli mam być całkiem szczerą, to może czuję do niego odrobinę więcej. Być może on czuje podobnie...

– Możesz wykreślić to „być może” – stwierdziła Petra, kręcąc głową. – Mogłaś mi powiedzieć, zanim się kompletnie przed nim zbliżyłam.

– Ale, Petro, właśnie w tym cały kłopot: nie ma tu nic do powiedzenia, bo między nami nic nie ma.

– Może nie na płaszczyźnie fizycznej, ale tutaj... – popukała się w czoło. – Moim zdaniem jest więcej niż na trasie M25 w godzinach popołudniowego szczytu. Mam rację? Czy mam rację?

Wzięłam głęboki wdech i westchnęłam ciężko.

Petra czekała na moją odpowiedź.

– Masz rację. Przepraszam.

Petra wzruszyła ramionami.

– Żaden problem, to fajny facet. Jeśli mam być szczerą, to właściwie chciałam się trochę odegrać na Peterze. – Umilkła i przyjrzała się swoim wymanikiurowanym paznokciom. – Zerwę z nim, Natalie – powiedziała cicho.

– Chcesz zerwać z Peterem? – powtórzyłam z lekkim niedowierzaniem.

Pokiwała głową i przygryzła wargę.

– Moja matka mawiała, że dopóki w związku z mężczyzną przeważają dobre momenty, trzeba ten związek pielęgnować. Jeśli złe zaczynają przeważać nad dobrymi, trzeba brać nogi za pas i zmiatać.

– A u was przeważają złe?

Przytaknęła.

– Przecież wiesz. Prawdopodobnie już od dawna. Dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę.

– I to ma coś wspólnego z Connorem?

Petra potrząsnęła energicznie głową, a po chwili zmieniła zdanie i przytaknęła.

– Nie... a właściwie tak... tak, w sumie tak. Spotkanie z Connorem uświadomiło mi, że są na świecie inni mężczyźni, w których mogłabym się zakochać. Gdyby mi na to pozwolili – dodała z tęsknym uśmiechem. – Innymi słowy: Connor był całkiem niewinną kroplą, która wypełniła czarę. – Chwyciła się za głowę. – Rany boskie, ale bzdury wygaduję. To pewnie przez kaca.

Otworzyłam szufladę i znalazłam alka-seltzer Laury.

Petra mówiła dalej.

– Connor otworzył mi oczy na to, że są lepsi mężczyźni niż Peter. Właściwie to zanosilo się na to już od jakiegoś czasu. Zawsze myślałam, że mój związek z Peterem jest dla nas obojga jednakowo przyjemny i wygodny. Teraz uświadamiam sobie, że jest on wygodny przede wszystkim dla niego. Zjawia się, kiedy mu odpowiada, bzyka się ze mną, myje ręce i znika. Do

następnego razu, kiedy najdzie go ochota. Nie zasłużyłam na to, Natalie.

– Wiem. Od lat ci to mówię.

– Tak, wiem, ale dopiero teraz cię słucham.

– No, Bogu dzięki.

– Czy to znaczy, że pochwalasz tę decyzję?

– Ja wiem, że to właściwa decyzja – zapewniłam ją, wrzuciłam tabletki musujące do szklanki z wodą i powoli jej podałam.

Petra odczekała, aż się rozpuszczą, i wychyliła duszkiem białawą ciecz. Skrzywiła się ze wstrętem.

– Wiem, że nie mam prawa się wtrącać – ciągnęłam dalej – i w normalnym przypadku bym tego nie zrobiła, ale uważam, że Peter jest takim skurwielem do kwadratu, że zatańczyłabym z radości, gdybyś go wreszcie posłała na drzewo.

– Na serio?

– Tak. Wiesz, że nigdy bym ci nie narzucała, co masz robić, Pet, ale jeśli mam być dla ciebie dobrą przyjaciółką, to po prostu muszę ci to powiedzieć: pozbądź się go jak najprędzej.

Pokiwała głową z namysłem.

– Czy to znaczy, że cechą dobrej przyjaciółki jest mówienie dobrej przyjaciółce rzeczy, których ona w danym momencie nie chce słuchać?

– Taaak – odpowiedziałam powoli.

– Skoro tak, to czy ja też mogę ci coś powiedzieć?

– Jasne.

– Connor cię lubi, Nat, nie da się tego przeoczyć. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym staje się dla mnie bardziej oczywiste, że ty też go lubisz. Sama właściwie to przyznałaś. Każda kobieta, mająca u swojego boku kogoś takiego jak Connor Blythe, może się określić mianem szczęśliwej. Nie zrozum mnie źle, Rob był wspaniałym mężczyzną, i wiem, że masz poczucie, iż jest jeszcze za wcześnie na kogoś innego. Ale pozwól mu przynajmniej uczestniczyć w twoim życiu, Nattie. Wszyscy potrzebujemy dobrych przyjaciół, ale oni nie rosną na drzewach... Oczywiście tylko ty jedna będziesz wiedzieć, kiedy nadejdzie właściwa pora i czy w ogóle nadejdzie, ale proszę, Nattie, nie zmarnuj tej szansy. Obiecuj mi, że się nad tym zastanowisz, dobrze? Nie musisz niczego robić, tylko to przemyśl.

Petra prosiła, żebym się zastanowiła. A przecież przez ostatnie tygodnie zastanawiałam się aż nadto. Mimo to miała rację. Zauważyła i nazwała coś, co wyczuwałam od pamiętnego pikniku, ale próbowałam to ignorować.

Connor.

Chciałam go. Chciałam z nim być, spędzać z nim czas, rozmawiać, śmiać się wraz z nim. Tak, wyobrażałam sobie nawet, jak by to było spać z nim, czuć jego nagą skórę na sobie, we mnie.

I natychmiast odezwało się moje sumienie.

Kochany Robie!

Poznałam mężczyznę, którego, jak sądzę, mogłabym pokochać. To cholernie dziwne uczucie opowiadać Ci o tym, w końcu jesteś moim mężem, a ja nadal Cię kocham. Ale mam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

Wybacz mi, Rob. Nie wolno mi mieć takich uczuć. A może jednak?

Czasami życzyłabym sobie, żebyś nie był tak cholernie doskonały. Jak to zdzierżyć? Gdy-

by była choć jedna rzecz, za którą mogłabym Cię nienawidzić, coś, co doprowadzałoby mnie do białej gorączki, coś, co odwróciłoby moją uwagę od tęsknoty za Tobą!

Czy to w ogóle fair rozpoczynać związek z Connorem, dopóki zajmujesz tyle miejsca w moim sercu? Czy on nie miałby wciąż wrażenia, że jest mniej ważny? I czy naprawdę czuję do niego to, co mi się wydaje – czy to wynika wyłącznie z mojego poczucia osamotnienia?

Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Rob, i wiem, że chciałbyś, abym była szczęśliwa. To nonsens zabraniać mi szczęścia z innym mężczyzną. Nie chciałbyś tego. Gdybyś tutaj był, zachęcałbyś mnie do tego, żeby chwycić okazję. Każdą okazję do szczęścia.

Myślę, że on mógłby uczynić mnie szczęśliwą, Rob.

Tak, wierzę nawet, że mogłabym go kochać.

Poszłam do swojego ulubionego miejsca na klifach, gdzie wsunęłam list w szczelinę między skałami. Jak zawsze poczułam się potem lepiej. Jakbym z każdym listem pozbywała się kawałka swojego smutku. Tym razem dodatkowo czułam ulgę jak po spowiedzi.

Tym razem nie zostałam długo i po chwili zawróciłam do domu. Cieszyłam się chłodną bryzą na twarzy i krzykiem mew. Nad sobą miałam lodowato błękitny nieboskłon, po którym ciągnęły ciemnoszare chmury o płonących od wieczornego słońca złoto-pomarańczowych rąbkach.

Byłam już prawie w domu, kiedy w dole na plaży dostrzegłam mężczyznę bawiącego się z psem i rzucającego mu patyki do morza. Zwierzę rzucało się w fale i za każdym razem, gdy wracało do pana, najpierw gruntownie się otrząsało, zanim oddało patyk, który oczywiście natychmiast miał zostać rzucony ponownie. Mężczyzna był kompletnie mokry, ale śmiał się, a wiatr zanosił do mnie jego śmiech. Na nogach miał timberlandy, a mankiety dzinsów zanurzały się w wodzie i piasku, przez co dolna część nogawek była znacznie ciemniejsza od reszty. Miał na sobie gruby wełniany sweter, a jego krótkie, złotobrazowe włosy połyskiwały w blasku słońca.

Connor.

Zeszłam ze ścieżki, usiadłam na krawędzi urwiska i przypatrywałam mu się przez dłuższą chwilę, zatracając się całkowicie w idealnym pięknie dnia i świata.

W którymś momencie Connor usiadł. Usadowił się wygodnie na piasku i obserwował zachód słońca. Mac położył się przy nim, przytuliwszy głowę do jego kolan. Connor głąskał wiernego towarzysza po łbie mimowolnym i nieświadomym jak oddychanie gestem.

Siedział nieruchomo tak jak ja pogrążony w pięknie tej chwili. Nagle ogarnęło mnie wrażenie, że zakłócam jego prywatność. Wstałam i wróciłam na ścieżkę. Ale ledwie się na niej znalazłam, zawróciłam.

Connor jeszcze siedział na plaży. Tylko Mac zmienił pozycję i z namysłem spoglądał ku mnie do góry. Z takim samym namysłem, z jakim jego pan przyglądał się słońcu, które zanurzało się w morzu i mieszało ognisty, ciepły pomarańczowy odcień z chłodną ciemną zielenią.

- Kiedy wróciłam do domu, zastałam Petrę przy pakowaniu w pobliżu.
- Planujesz wykraść się cichaczem i nie zapłacić rachunku? – zapytałam.
 - Wyszczrzyła się do mnie w uśmiechu.
 - Dokładnie tak, ale nie zakapuj mnie u dyrekcji. Słyszałam, że jest gorsza od mafii.
 - Dlaczego nie zostaniesz na sylwestra? Będzie impreza.
 - Potrząsnęła rudą grzywą.
 - Dziękuję, ale nie.
 - Jakie masz plany na sylwestra?
 - Nie obawiaj się, moja słodka, nie będę sama. Podjęłam dziś pewną decyzję i wykonałam parę telefonów. A teraz chcę spędzić parę dni w domu.
 - W domu?
 - W Nowym Jorku. – Pokiwała głową. – Jutro wieczorem wylatuję z Heathrow. Ostatnie sekundy starego roku spędzę wśród kolorowego tłumu na Times Square.
 - Wow. Brzmi ekscytująco.
 - Popatrzyła na mnie spod przymrużonych powiek.
 - Chcesz lecieć ze mną?
 - Powoli pokręciłam głową.
 - Czy to znaczy, że nie chcesz, czy nie możesz lecieć?
 - Wsparała ręce na biodrach.
 - Jedno i drugie, jak sądzę.
 - Uważasz, że nie możesz zostawić tu Cassie samej?
 - Usiadłam na kanapie i zaczęłam składać jej T-shirt.
 - Nie chcę i nie mogę. Wiesz co? Naprawdę mi się tu podoba, Petro. Przez ostatnie tygodnie byłam tu szczęśliwsza niż kiedykolwiek po śmierci Roba. Nie do uwierzenia, co? Po tym wszystkim, co na siebie wzięłam, żeby się stąd wydostać.
 - Wszystko się zmienia – odparła Petra zdawkowo. – Ludzie się zmieniają. A przede wszystkim ich priorytety. Niektóre rzeczy, które niegdyś były okropnie ważne... – Popatrzyła z nostalgią, potem wzięła się w garść i dalej pakowała ubrania. – ...nagle stają się nieistotne.
 - Na przykład Peter?
 - Owszem, na przykład Peter.
 - Co zamierzasz?
 - Kiedy ja będę na pokładzie samolotu z Londynu do Nowego Jorku, Peter będzie na pokładzie samolotu z Nowego Jorku do Londynu. – Uśmiechnęła się wyniośle. – Jeśli po powrocie nie będę na niego czekać jak głupi, wierny labrador, zrozumie.
 - Jesteś tego taka pewna?
 - Całkowicie pewna. – Pokiwała stanowczo głową. – Nie mam już dłużej ochoty zgrywać jego salonowej suczki. No i serio: Peter i Petra? Te dwa imiona? Nie da rady.
 - Byłam pewna, że za humorem Petry skrywał się głęboki smutek. Była z Peterem od co najmniej trzech lat. Trzy lata to bardzo długo.
 - Włożyła do torby ostatni ciuch i zasunęła suwak.
 - Zadzwoń do mnie, dobrze? Żebym wiedziała, czy wszystko w porządku.
 - Ależ oczywiście, moja słodka. – Otoczyła ramieniem moją szyję i cmoknęła mocno w czoło. – Ty też zadzwoń, dobra?

Trwałyśmy tak ze złączonymi czołami i upajałyśmy się więzią. Kiedy oderwałyśmy się od siebie, wyglądałyśmy radośniej, niż nam było na duszy.

Cassie uczepliła się ręki Laury i mojej jak delikatna róża potrzebująca podpórki. Kiedy mercedes Petry zniknął w ciemności, popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się wymuszonym, dzielnym uśmiechem. Potem wycofała się do boksu Szansy, jak zawsze, gdy była zmieszana albo smutna. Silne, ciepłe ciało Szansy i konieczność troszczenia się o nią najwyraźniej działały na nią kojąco.

Byłam wycieńczona. Święta minęły, sylwester za pasem. Nie upłynie dużo czasu, a Cassie i ja spakujemy bagaże, opuścimy Wichrowe Łąki i wrócimy do Londynu. Weszłam za Laurą do domu.

Wieczorem długo nie kładłam się spać, oddając się rozmyśleniom. Kiedy w końcu zaczęły zamykać mi się oczy, wydawało mi się, że słyszę w kuchni jakiś dźwięk. Tyle, że ja ciągle słyszałam jakieś dźwięki. Farma była starym budynkiem, w którym bez przerwy coś trzeszczało i skrzypiało. Ale ten odgłos był inny. Upłynęła dobra chwila, zanim pojęłam, że to dźwięk wyłączającego się samoczynnie czajnika. Ktoś robił coś ciepłego do picia.

Nie mogła to być Cas, bo ją na pewno usłyszałabym, jak schodzi ze stryszku i mijają moje drzwi, bo niektóre stopnie skrzypiały, a jej drzwi zgrzytały w zawiasach.

Spojrzeniem na budzik upewniłam się, że jest druga w nocy. Moja matka zwykle spała o tej porze snem sprawiedliwego. Wstałam, założyłam szlafrok i kapcie i wykradłam się z pokoju. Przystanąłam na szczycie schodów i zaczęłam nasłuchiwać.

Ktoś był w kuchni, bez dwóch zdań. Drzwi były lekko uchylone i przez szczelinę padało mdłe światło. Na palcach zakradłam się na dół i zajrzałam do środka.

Przy kuchennym stole siedziała w szlafroku Laura. Przyniosła sobie z gabinetu biurkową lampkę i ustawiła ją na stole. W jej świetle przypominała ducha. Była pogrążona w niebieskiej księdze rachunkowej, w rękę trzymała długopis, a drugą przecierała zmęczone oczy.

Po prawej stronie stał dzbanek z herbatą i kubek. Laura wyglądała na kompletnie znużoną, co o tej porze nie było dziwne. Zdumiało mnie jednak, że paliła papierosa. Robiła to tylko, kiedy była poddana ekstremalnym stresom.

Pchnęłam drzwi, które otworzyły się z lekkim piskiem. Laura podniosła wzrok.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Matka mruknęła coś pod nosem, co można było wziąć za potwierdzenie.

– Powiedz, co ty tu robisz o tej porze?

Z cieniem desperacji pokazała ręką księgę rachunkową.

– A na co to wygląda? – odparła trochę opryskliwie.

– Księgowość?

– Gratuluję, zgadłaś za pierwszym razem!

– W środku nocy?

Rzuciła spojrzenie na zegar na ścianie.

– I znowu zgadłaś! Jesteś dziś naprawdę w superformie! – Odłożyła długopis. – Przepraszam, Nattie. Ale to dosłownie nie daje mi spać.

– Zapomniałaś podstawowych działań czy co? – Oczywiście wiedziałam, że chodziło jej o coś zupełnie innego.

– Jak wiesz, matma nigdy nie należała do moich mocnych stron.

– I uważasz, że pójdzie ci łatwiej, jeśli siądziesz do tego o drugiej w nocy, kiedy będziesz padać z nóg?

– Nie, ale o tej porze w domu jest spokojnie.

– I nikt ci nie przeszkadza głupimi pytaniami.

Laura chciała przybrać obrażoną minę, ale nie udało jej się to.

– Nie musisz przede mną udawać, Lauro. Wiem, że to nie wygląda najlepiej.

Jej ciągle prowadzone szeptem rozmowy telefoniczne, znikające błyskawicznie w szufladach pokreślone na czerwono rachunki, niezliczone listy z banku. Nasza kłótnia spowodowana tym, że ośmieliłam się opłacić jej rachunek.

– Miło to określiłaś.

– Twoje finanse nie wyglądają różowo, co?

– Owszem, nie wyglądają.

Przysiadłam się do niej.

– Nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Milczała. Spróbowałam jeszcze raz.

– Wiem, to zabrzmi jak banał, ale dzielone zmartwienie jest połową zmartwienia.

Laura wzięła długopis i zaczęła nim stukać w księgę.

– Nie jestem ślepa, Lauro, codziennie przynoszę ci korespondencję.

– Okej – westchnęła. – No dobrze. Mówiąc prosto: wydatki przewyższają wpływy. I przychodzi coraz więcej rachunków do zapłacenia. – Wzięła plik papierów do ręki i przekartkowała go. – Gaz, prąd, woda, podatek gruntowy, kowal, weterynarz, ubezpieczenia, warsztat... Wszystko niezapłacone. Przy czym ktoś – pokazała rachunek za paszę dla zwierząt – samowolnie opłacił tę fakturę.

Uśmiechnęłam się przeprasząco.

– Wiem, że w twoich oczach to wtrącanie się w nie swoje sprawy, ale ty nie chcesz przyjąć od nas grosza za to, że tu mieszkamy i cię objadamy.

– Dobrze już. – Podniosła rękę. – Już wałkowałyśmy ten temat. Nie będę ci więcej przemawiać do sumienia. – Próbowała przybrać surową minę. Na próżno. – Jeśli mam być całkiem szczerą, Nat, to ulżyło mi, kiedy to zrobiłaś. To była faktura, która najbardziej mi ciążyła. Nie mogłam jej opłacić od pół roku, a handlarz tylko dlatego w ogóle dostarczył paszę, że jesteśmy starymi przyjaciółmi, ale powoli i jego cierpliwość się kończyła. Dawniej pieniędzy wystarczyło, ale od jakiegoś roku wszystko idzie nie tak. Najpierw zepsuło się ogrzewanie, potem trzeba było położyć nowy dach nad stajnią, bo do środka lała się woda. – Potrząsnęła głową i zaśmiała się gorzko. – A potem mieliśmy epidemię pryszczycy. Odebrano nam całe bydło i trzodę chlewną, i owce, Nat. Wtedy trzymałam jeszcze owce, wiesz? Odnowiłam tylko pogłowie krów, na owce nie starczyło mi już pieniędzy. Sprzedałam wszystko, co się dało sprzedać, ale nie miałam nic, co przyniosłoby szczególnie dużo. Ten obraz w twoim pokoju...

– Z wodospadem?

Przytaknęła.

– Przykro mi. Wiem, jak bardzo byłaś do niego przywiązana, ale byłam kompletnie zdesperowana, a to był jedyny wartościowy przedmiot w całym domu. Dostałam za niego parę tysięcy funtów i przez jakiś czas wiązałam koniec z końcem, ale w końcu i tak byłam zmuszona założyć hipotekę na dom. I dlatego wyremontowałam stryszek. Chciałam wynajmować pokój turystom, naprawdę, próbowałam już chyba wszystkiego...

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Przecież bym ci pomogła.

– Nat, jeśli uszło to twojej uwadze, przez ostatnie szesnaście lat nie utrzymywałyśmy zbyt bliskich kontaktów. Czy ty zwróciłabyś się do mnie, gdybyś potrzebowała pomocy?

Nie odpowiedziałam.

– Widzisz. – Wzięła moje milczenie za „nie”.

– A hipoteka? Czy to dlatego dostajesz tyle korespondencji z banku?

Rzuciła mi ostre spojrzenie.

– Nic się przed tobą nie ukryje, prawda?
– Jestem dziennikarką – odpowiedziałam rzeczowo. – W tej chwili może nie najlepszą, ale dar obserwacji mi pozostał.
Laura przetarła zmęczone oczy.
– To niewielka hipoteka, ale mimo to z trudem spłacam zobowiązania. W tej chwili zalegam z ratami cztery miesiące. Bank grozi mi przejęciem hipoteki i przymusową licytacją.
– Mogę ci pomóc.
Laura dosłownie zerwała się z krzesła.
– Widzisz, i właśnie dlatego nic ci o tym nie mówiłam! – huknęła. – Nie chcę, żebyś czuła się zmuszona do wyciągnięcia mnie z tarapatów.
– Nie czuję się zmuszona, tylko chciałabym to zrobić.
– Pięknie. Ale ja bym tego nie chciała – wzbraniała się uparcie.
– Ale...
– Żadnego ale, Nattie. Przestań, proszę! – A potem dodała nieco łagodniej: – To nie jest tak, że nie jestem ci wdzięczna za twoją propozycję, ale to przecież nic nie da. Sama muszę znaleźć jakieś rozwiązanie. Rozumiesz to, prawda?
Skinęłam głową.
– Dobra. Jeśli naprawdę tego chcesz, to nie będę się wtrącać. Ale oddałabyś mi jedną przysługę?
– Jeśli będę mogła.
– Połóż się spać.
– Nie mogę, muszę to skończyć...
– Proszę cię, pozwól, żebym przynajmniej pomogła ci przy księgowości. Jutro. Zawahała się i w końcu uległa.
– Dobrze. Masz rację. Naprawdę jestem zmęczona. Prawdopodobnie nie wiedziałabym nawet, ile jest dwa i dwa. Przesuńmy to na jutro. Teraz to nic nie da.
Wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam do pokoju, żeby upewnić się, że naprawdę pójdzie spać.
Wycofałam się do swojego pokoju i odczekałam, aż usłyszę jej ciche pochrapywanie. Potem zakradłam się z powrotem do kuchni i zabrałam się za księgę rachunkową.
Do łóżka położyłam się dopiero około czwartej, mimo to następnego dnia wstałam pierwsza. Zadzwoiłam z gabinetu do Londynu.
Kiedy w słuchawce w nieskończoność rozbrzmiewał miarowy sygnał, usłyszałam, jak coś się rusza w pokoju Laury.
– No odbierz – szepnęłam. – Odbierz wreszcie.
W momencie, w którym zaczęłam się zastanawiać, czy już tak bardzo przywykłam do życia na wsi, że dzwonię poza godzinami biurowymi w wielkim mieście, usłyszałam w słuchawce lekko zdyszany głos.
– Freeland, Quinn i Joseph. Czym mogę służyć?
– Dzień dobry, mówi Natalie Dunne. Czy mogę rozmawiać z Anthonym Josephem?
Miałam pewien pomysł. Właściwie wpadłam na niego już w drugim tygodniu pobytu tutaj, ale wtedy była to raczej mrzonka niż konkretny pomysł, zaledwie myśl chodząca mi po głowie, kiedy nie mogłam spać. Myśl, której nie brałam na serio.
Ale z biegiem czasu coraz częściej nosiłam się z tą myślą, a nocna rozmowa z matką była ostatecznym impulsem, którego potrzebowałam, żeby konkretnie zabrać się za sprawę.
Nieźle byłoby mieć dom niedaleko matki. Bazę z dala od Londynu. Coś własnego. Domo-we ognisko. Cas i ja potrzebowałyśmy prawdziwego domowego ogniska.

Rozmowa telefoniczna przebiegła zadowolająco. Po niej udałam się na krótki spacer. Kiedy po godzinie wróciłam, matka siedziała przy kominku. Zdjęła buty, a w zasięgu ręki na stole stała whisky.

Wyglądała na zmęczoną. Na wycieńczoną psychicznie i fizycznie.

Niczego tak bardzo nie pragnęłam w tej chwili, jak tego, żeby zamienić jej zatroskane spojrzenie w uśmiech. I to tylko utwierdziło mnie w moim postanowieniu.

– Gdzie jest Cas? – zapytałam.

– Wyszła. Poszła z psami do wsi. Obiecałam, że pokażę jej, jak się robi knedle tymiankowe, ale nie miałyśmy w domu smalcu.

– To się dobrze składa, że jesteśmy same. Muszę z tobą porozmawiać.

Usiadłam tak, aby móc widzieć jej twarz.

Zmarszczyła czoło.

– To brzmi poważnie.

– Bo jest.

– Po raz drugi w życiu widzę cię tak zdeterminowaną, Nat. Za pierwszym razem oświadczyłaś tuż po swoich szesnastych urodzinach, że się wyprowadzasz. – Wyglądała na zasmuconą. Wzięła głęboki wdech, wyprostowała ramiona i popatrzyła na mnie. – No to wal. – Kiedy się zawałam, zapytała cicho: – Chcecie wracać, tak?

Pokręciłam głową i ucieszyłam się, kiedy zareagowała, wzdychając z ulgą.

– Nie. Przynajmniej jeszcze nie teraz. To znaczy, o ile się zgadzasz? Może chciałabyś już się nas pozbyć?

– Ani trochę. Dobrze mi tu z wami. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy wrócicie do Londynu. Dziwne, prawda? W końcu żyłam tu sama przez szesnaście lat. A teraz jesteście tu zaledwie od pięciu tygodni, a ja zastanawiam się, jak mam poradzić sobie bez was.

Matka wyjęła chusteczkę i osuszyła kąciki oczu.

– Wszystko w porządku?

– Coś mi wpadło do oka – oznajmiła mało przekonująco. – Rzęsa czy coś. Cholera. – Wycierała dalej. – Ach, Nat, jestem po prostu taka zmęczona, to wszystko. Zmęczona i cikliwa.

– To od stresu. I właśnie o tym chciałabym z tobą porozmawiać. Przemyślałam sobie twoje problemy z bankiem i przyszło mi do głowy rozwiązanie.

– Ach, tak? – Opuściła chusteczkę.

– Sprzedaję mieszkanie w Londynie. Powinnam sporo za nie wziąć.

Laura odrzuciła głowę do tyłu i jęknęła.

– Widzisz, Nattie, i właśnie dlatego nie chciałam ci mówić o swoich problemach. Nie chcę twoich pieniędzy.

– Nie mam zamiaru ci ich dawać – zapewniłam. – W każdym razie nie za darmo. Chciałabym je zainwestować.

Laura zaśmiała się tak hałaśliwie, że Meg aż podniosła łeb.

– To byłaby jedna z najgorszych inwestycji wszech czasów, Nattie. Nie zobaczyłabyś ani pensa. Chociaż, czekaj... dziesięć procent od sumy za roczną sprzedaż jajek, to daje... Hej, super! Całe dwadzieścia funtów!

Nie sposób było nie zauważyć jej sarkazmu.

– Nie mówię o tym.

Laura zebrała się, żeby zaprezentować mi kolejną niesłychaną kalkulację.

– I nie mówię o kozim serze, ceramice, warzywach ekologicznych i podobnych bzdurach – uprzedziłam ją. – Posłuchaj przez chwilę, dobrze? O nic więcej cię nie proszę. A jeśli to, co ci powiem, nie spodoba ci się ani trochę, to po prostu zapomnimy o całej sprawie, dobrze?

Laura wpatrywała się we mnie z napięciem. Wzięłam wdech.

– Nie zamierzam nic ci dawać. Chcę czegoś za coś.

Brak zrozumienia zastąpiła konsternacja.

– Chcę kupić Smuggler's Cottage.

Laura chciała coś powiedzieć, ale prędko ciągnęłam dalej.

– Mówię całkowicie poważnie. Długo nad tym myślałam i jeśli zechcesz mi go sprzedać, to naprawdę chętnie go od ciebie kupię.

– Ależ Nattie, ten dom to ruina!

– W tej chwili tak, ale to oznacza, że sprzedałabyś mi go po rozsądnej cenie, prawda? – Zaśmiałam się w nadziei, że mi zawtóruje, i rzeczywiście na jej twarzy zaczął malować się uśmiech.

– Za pieniądze, które dostanę ze sprzedaży mieszkania w Notting Hill, mogłabym zrobić ze Smuggler's Cottage coś wyjątkowego. Ten dom ma coś w sobie, dobrze o tym wiesz. To byłaby dobra inwestycja. Na pewno szybko by się zwróciła. A po remoncie mogłabym wynajmować dom letnikom. A tobie płaciłabym za zarządzanie – dodałam, puszczając do niej oko.

Wprawdzie nie patrzyła już na mnie z takim powątpiewaniem, ale mimo to pokręciła głową.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Nie mogę sprzedać ci domu, którego tak naprawdę nie chcesz. Kupiłabyś go tylko dlatego, żeby wyciągnąć mnie z kłopotów.

– Uwierz mi, naprawdę chcę go kupić.

– Ale to wszystko i tak kiedyś będzie twoje, gdy mnie już nie będzie. Jak mogłabym sprzedać ci coś, co w gruncie rzeczy i tak należy się tobie?

– Lauro – przemówiłam jej do sumienia. – Jeśli nie sprzedaż mi domku, to wkrótce nic już nie będzie należało do nas.

Chyba zaczęło do niej docierać.

Nie była z tego powodu szczęśliwa, ale widziałam, że dostrzegła logikę w moich słowach.

– A pomijając to, miałabym coś własnego, kiedy Cassie skończy osiemnaście lat i dom w Hampstead będzie oficjalnie należał do niej. Prawdopodobnie wyrzuci mnie wtedy na bruk.

– Ty naprawdę mówisz poważnie, prawda?

Przewróciłam oczami i klepnęłam się w czoło.

– No, wreszcie dotarło!

– I naprawdę chciałabyś mieszkać niedaleko matki? – zapytała cicho.

Popatrzyłyśmy po sobie.

W naszych spojrzeniach widniały wszystkie te uczucia, które wypierałyśmy i skrywałyśmy przez lata.

– Myślę, że tak – odparłam równie cicho.

– Podobałoby mi się to – wyszeptła, wzięła moją rękę i uścisnęła ją.

– Czy to znaczy, że umowa stoi?

Kiwnęła głową.

– Jeśli naprawdę jesteś pewna...

Wzięłam łyżeczek whisky i przyjrzałam się dobrze matce.

– Ze względu na sam widok domek jest warty ze sto trzydzieści tysięcy – zauważyłam mimochodem.

Miałam nadzieję, że matka nie od razu się zorientuje, iż wymieniona kwota to prawie dwa razy tyle, co jej hipoteka. Wówczas domyśliłaby się, że zaglądałam w nocy do jej ksiąg.

– To nie jest tyle warte, Nattie, i dobrze o tym wiesz – obruszyła się.

– Jestem niemal pewna, że tyle właśnie wynosi wartość rynkowa, a ja zapłacę ci oczy-

wiecie tyle, ile jest warta ta nieruchomość.

– Nie przyjmę tego.

– Ale ja tego chcę.

– Ach, i tylko dlatego, że ty tego chcesz, ja mam to przyjąć, tak?

– Nie, wcale nie. Ale nieruchomości w tej okolicy są horrendalnie drogie. Jeśli dobrze się zastanowić, to kupno domu za tę sumę byłoby absolutną okazją. Sto trzydzieści pewnie nie wystarczy. Co powiesz na sto trzydzieści tysięcy za dom i dodatkowe czterdzieści tysięcy za łąkę obok?

– Nawet się nie waż proponować mi tyle pieniędzy za tę ruinę, a o łące w ogóle nie było mowy.

– Więc nie chcesz mi sprzedać łąki? – drażniłam ją. – Ale ja chciałabym mieć wielki ogród. Ach, masz przecież tyle gruntów, których w ogóle nie wykorzystujesz. Mogłabyś mi odstąpić tę łączkę. Nie bądź skąpiradłem.

Moja taktyka zdawała się działać. Laura wyglądała na zmieszaną, ale skinęła głową.

– Dobrze, dobrze, skoro koniecznie chcesz, to niech będzie dom i łąka, ale nie wezmę za nie więcej, niż są warte. Poza tym przysługuje ci rabat rodzinny.

Z ulgą zauważyłam, że znowu się uśmiechała.

– Niech będzie. Co powiesz na to, żebym sprowadziła rzeczoznawcę, który oszacuje wartość rynkową? Zaakceptujesz cenę, którą poda?

Laura pomyślała chwilę i przytaknęła.

– Jeśli naprawdę poważnie myślisz o kupnie domku i przysięgniesz mi, że nie robisz tego, dlatego że...

– Nie robię tego, dlatego że masz długi! – wpadłam jej w słowo. – Chcę mieć dom. Ale jeśli mam być szczerą...

– Chcę, żebyś była szczerą! – upomniała mnie.

– Jeśli mam być szczerą, to pewnie nie myślałabym o tym na serio, gdybym nie dowiedziała się, w jakich tkwisz kłopotach. Już wcześniej chodziło mi to po głowie, ale teraz, kiedy zagłębiłam się w materię, jestem zupełnie pewna, że właśnie tego chcę. To nie jest jakiś poroniony pomysł. Naprawdę uważam, że to dobre rozwiązanie – dla mnie i dla Cas. Podoba jej się tu. Wichrowe Łąki dobrze na nią działają. Wiem, że w każdej chwili możemy tu przyjechać i mieszkać u ciebie, ale gdybyśmy miały własny dom... Cóż, wówczas mogłybyśmy spędzać w Kornwalii bardzo dużo czasu, nie przejmując się tym, że działamy ci na nerwy.

– Dobrze, w porządku. Jeśli obiecasz, że zaakceptujesz cenę, którą ustali rzeczoznawca.

– Chętnie. Obojętnie, ile powie – zapłacę. Zgoda?

Zawahała się chwilę i uśmiechnęła się.

– Zgoda.

Przypieczętowałyśmy porozumienie, trącając się ciężkimi, kryształowymi szklankami. Laura uśmiechała się błogo. Nie miała pojęcia, że tak czy siak zamierzałam dopilnować, żeby dostała dość pieniędzy na spłatę hipoteki i finansową niezależność. A jeśli zřęcznie to ustawię, to nawet więcej.

Wróciwszy z przechadzki do wsi, Cas nawijała bez chwili przerwy o balu sylwestrowym. Wyzbyła się początkowej szyderczej wyniosłości i naprawdę z radością wyczekiwała imprezy. Przeczuwałam, że ta zmiana ma coś wspólnego z pewną osobą płci męskiej. Byłam jednak przekonana, że nie chodziło o Connora, jak twierdziła matka, tylko o Luke'a.

Początkowo obawiałam się, że Luke może być trochę za stary dla Cas, ale w tym samym czasie doszłam do wniosku, że skoro umie doprowadzić ją do śmiechu, to niech mają moje błogosławieństwo. A Cas była na prostej drodze ku temu. Odkąd poznała Luke'a, częściej widziałam ją uśmiechniętą niż w ciągu wszystkich ostatnich lat. Luke miał chyba na nią dobry wpływ.

Oczywiście Connor też sporo dla niej znaczył, ale teza Laury, że niby Cas była w nim zardurzona, wydawała mi się coraz mniej prawdopodobna. Od czasu popołudnia spędzonego w jego atelier była o wiele spokojniejsza, nie tak wybuchowa, radośniejsza. Spędzała z nim sporo czasu.

Zrobiła się też przyjemniejsza w obejściu. Ustały docinki, przytyki i kąśliwe komentarze. Oczywiście od czasu do czasu napadała na mnie, ale z reguły z przymrużeniem oka.

Nieodwzajemniona miłość raczej nie mogła leżeć u podstaw tych zmian, prawda? Naturalnie Connor zajmował miejsce w sercu Cas, ale byłam przekonana, że raczej wypełniał ogromną wyrwę, jaką zostawił tam jej ojciec.

Luke z kolei odgrywał zupełnie inną rolę. Nie zastępował jej ojca, był kimś, kogo mogła obdarzyć nowym rodzajem uczucia.

Z pierwszym prawdziwym chłopakiem, obojętne, jak poważny czy luźny byłby to związek, po raz pierwszy przeżywa się miłość niemającą nic wspólnego z uczuciem do rodziny. Miłość niosącą z sobą inne, nowe emocje. Miłość dowodzącą, że może istnieć głęboka więź poza rodzicami, rodzeństwem czy przyjaciółmi.

Byłam przekonana, że dzięki Luke'owi Cassie, dotychczas mocno zakotwiczona w przeszłości, zdołała skierować wzrok naprzód i zaczęła myśleć o przyszłości. A to był dla niej wielki krok.

I dla mnie.

Przyszedł do nas Mac. Cały śnieg stopniał, pogoda była cudowna.

Siedziałam na schodku przed tylnym wejściem i karmiłam psa resztkami jedzenia. Kiedy zaczął się zbierać do powrotu, poszłam razem z nim. Na miejscu zdziwiłam się, zastawszy drzwi otwarte na oścież. Weszłam za psem do środka i zawołałam Connora.

Był w atelier i pracował nad obrazem przedstawiającym widok z okna, który tak bardzo zachwycił mnie podczas mojej pierwszej wizyty. Podczas mojej jedynej wizyty. W kominku buzował ogień.

Connor siedział bosy i w dżinsach na stołku, a jego sweter w kolorze kawy wzbogacił się o parę nowych plam. Obejrzał się i pojaśniał.

– Nattie! Fajnie cię widzieć. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Odprowadziłam Maca – powiedziałam, doskonale wiedząc, tak samo jak Connor, że pies bez problemu sam odnajdywał drogę do domu.

– A poza tym – dodałam prędko – przyszło mi do głowy, że jeszcze ci nie podziękowałam i chciałam to nadrobić.

– Podziękowałaś? Za co?

– Za obraz, który podarowałeś mi na święta.

– Ach, tak. Obraz. Podoba ci się?
Przytaknęłam, na co jego twarz nieco się odprężyła.

– Cieszę się. Nie byłem pewien, kiedy w ogóle nie zareagowałaś. Myślałem, że zrobiłem coś nie tak.

– Ani trochę. Sprawileś mi wielką radość.

– Cieszę się.

– Chciałam ci także podziękować za coś jeszcze.

– Dwa podziękowania jednego dnia? O rany. Wal śmiało.

– Dziękuję, że się troszczysz o Cas, że wzięłaś ją pod swoje skrzydła. Wywierasz na nią dobry wpływ.

Roześmiał się i odłożył pędzel.

– Chyba po raz pierwszy w życiu ktoś pochwalił mnie, że wywieram na kogoś dobry wpływ.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz. – Wzruszyłam ramionami.

– To banał, ale prawdziwy. – Uśmiechnął się. – Powiedz, skoro już tu jesteś, to może zrobiłabyś kawę facetowi, który wywiera taki dobry wpływ? Od dwóch godzin łaknę kofeiny, ale przywarłem do tego stołka i nie mogę się ruszyć.

– Ach tak? – Z niedowierzaniem uniosłam brwi.

– Tak. Pot geniusza – najlepszy klej na świecie.

– A ja myślałam, że najlepszym klejem na świecie są plamy ze schnącej farby olejnej...

Dobra, zrobię ci kawę.

– Dzięki. Wiesz, gdzie co jest.

Zaparzyłam dwie filiżanki neski i zaniósłam je do atelier.

– Twoja przyjaciółka już wyjechała? – zapytał Connor, przyjmąwszy z wdzięcznością kawę.

– Petra?

– Tak, Piekielna Petra.

Roześmiałam się, choć przydomek, jaki jej nadał, wydał mi się przerażający.

– Jesteś okropny! A z niej przecież taki serdeczny, dobrotliwy człowiek.

– Nie, Nattie. Serdecznym i dobrotliwym człowiekiem była Matka Teresa. Albo Mahatma Gandhi. Petra to *Tyrannosaurus rex* w designerskiej kiece. Myślałem, że mnie pożre.

– Na pewno by ci nie odmówiła, gdybyś ją ładnie poprosił – ironizowałam, pociągając łyk kawy. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że się jej bałeś?

– Wydała mi się bardzo... – Szukał odpowiedniego słowa.

– Rzutka? – podpowiedziałam.

– Tak, to dobre słowo. Nawet bardzo dobre.

– Dzięki, że udzieliłeś jej wywiadu. To było naprawdę miłe z twojej strony.

– Owszem, prawda? To było naprawdę miłe z mojej strony, że dla ciebie udałem się do gniazda węży. – Zamilkł nagle i popatrzył na mnie z niepokojem, oboje uświadomiliśmy sobie, do czego właśnie przyznał się przez nieuwagę.

– Sądzę, że jesteś mi winna niewielką przysługę. – Po raz kolejny udało mu się obrócić w żart powstałe między nami napięcie.

– Czyżby?

– Tak! Ciastka do kawy!

Poszłam do kuchni, a kiedy wróciłam z ciastkami, Connor stał wsparty rękoma o parapet i patrzył na morze. Usłyszał, że przyszedłam i nie odwracając się, wyszeptał:

– Nattie, choć tutaj prędko!

Nie pytając, o co chodzi podeszłam.

– Popatrz.

Pokazał na jakiś punkt w oddali na horyzoncie, gdzie połyskliwe morze całowało bladoniebieskie niebo.

– Co? Co tam jest?

I wtedy je zobaczyłam. Delfiny. Skakały ponad powierzchnię, obracały się, tańczyły i bawiły, pełne gracji i piękna. Wstrzymałam oddech zafascynowana.

Connor odwrócił się do mnie. Cały jaśniał, jego niebieskie oczy błyszczały z radości. Nasze spojrzenia stopiły się ze sobą, milcząco uśmiechaliśmy się do siebie i dzieliliśmy poczuciem wielkiego uprzywilejowania, że możemy być świadkami tak cudownego spektaklu.

A potem się pocałowaliśmy.

Delikatnie ujął w dłonie moją twarz i przyciągnął do siebie, przytrzymując mnie mocno i dając odczuć jego tęsknotę. Nie zamykaliśmy oczu. Patrzyliśmy na siebie intensywnie, tak intensywnie, że wydawało mi się, iż mogę zajrzeć w głąb niego. Miałam uczucie, że mogę odpłynąć.

Leżeliśmy obok siebie spleceni w uścisku nagich, ciepłych ciał. Moja głowa spoczywała na jego piersi, słuchałam bicia jego serca i czułam, jak oddycha. Jego pierś wznosiła się i opadała. Wydawało mi się, że oddycha za mnie. A potem uzmysłowiłam sobie wyraźnie, że to ja oddycham. Że żyję. Że odczuwam. Kotłowały się we mnie emocje, moje ciało mrowiło jak odrętwiała kończyzna, w której zaczyna na nowo krążyć krew.

Czułam się tak, jakby w moich żyłach rozlewało się nowe życie.

Było już dość późno, kiedy w końcu się zebrałam. Wzięłam prysznic i zeszłam na dół z mokrymi włosami. Connor czekał na mnie u stóp schodów z kawą, którą odstawił, żeby jeszcze raz wziąć mnie w ramiona i pocałować, długo i namiętnie. Wtuliłam policzek w jego szyję, wciągnęłam pożądliwie jego zapach i rozkoszowałam jego ciepłem.

Zaproponował, że odwiezie mnie do domu, ale odmówiłam. Wołałam się przejść. Ale zamiast obrać najkrótszą drogę na farmę, zdecydowałam pójść ścieżką wzdłuż wybrzeża. Zapadał zmrok, słońce zniżało się ku czarnym, zimnym przestworzom morza.

Było już całkiem ciemno, kiedy zobaczyłam światła Wichrowych Łąk ale nie skręciłam ku nim przez łąkę, tylko zrobiłam wypad w stronę klifów. Poszukałam suchego miejsca, usiadłam i zatopiłam wzrok w szarym morzu pode mną. Musiałam się pozbierać i uporządkować myśli, które krążyły mi po głowie jak wodny wir u moich stóp, wciągający w otchłań przedmioty unoszące się na powierzchni.

Miałam poczucie, że zdradziłam Roba. Porównywałam się do Judasza, który zdradził pocałunkiem tego, którego kochał najbardziej ze wszystkich. A jednocześnie... Jednocześnie czułam, że to właściwe, tak doskonale, takie ciepłe, takie prawdziwe.

Co, jeśli spotkałabym Connora za życia Roba? Czy wtedy... Czy choć przez chwilę przyszłoby mi do głowy...

Potrząsnęłam głową, żeby zatrzymać karuzelę myśli. Nie byłam pewna, czego doświadczałam. Ale byłam całkowicie pewna, że ani przez sekundę nie żałowałam, co się stało. Wiedziałam, że muszę gruntownie przeanalizować swoje uczucia do Connora. Nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim ze względu na niego.

Naprawdę znaczył dla mnie tyle, ile mi się wydawało w tej chwili, czy byłam tylko zaślepiona smutkiem i samotnością? Czy dałabym się pocieszyć komuś innemu? A może tylko Connorowi? Tylko jemu – temu, który zdołał cicho, a jednak na stałe wkraść się do mojego życia, do moich myśli – i do mojego serca?

Jeszcze nie skończyłam zadawać sobie tych pytań, kiedy odpowiedź dotarła do mnie tak jasno i nagle, że poderwałam się z miejsca.

Było już późno, gdy wróciłam na farmę. Na zewnątrz świeciło światło, co oznaczało, że ktoś przed chwilą był na podwórzu – choćby tylko jeden z psów.

Zapach kolacji czuć było aż na dworze. Laura właśnie nakrywała do stołu, Meg i Tuff drzemały przy kominku. Meg zaryzykowała uniesienie powieki i krótko machnęła ogonem. Za to Tuff otworzył oba ślepia, przeciągnął się i przydreptał do mnie, żeby się przywitać.

Sylwester. Szykowaaliśmy się na imprezę. Cas siedziała na łóżku Laury i przyglądała się z fascynacją, jak matka się maluje. Dokładnie tak samo jak ja, kiedy byłam dzieckiem. Dziewczyna przed chwilą wzięła prysznic i owinęła się grubym, białym szlafrokiem. Na głowie miała turban zwinięty z granatowego ręcznika. Nie zaszczyliła mnie spojrzeniem, kiedy weszłam.

Zbliżyłyśmy się do siebie w ciągu ostatnich tygodni, ale dziś znowu dzieliły nas mile. Cas nie odzywała się do mnie przez cały dzień i unikała mnie konsekwentnie. Próbowalam z nią porozmawiać, wyjaśnić jej, co czuję, dowiedzieć się, co ona czuje, ale ona nie chciała o tym wszystkim słyszeć.

Obawiałam się, że to mogło mieć coś wspólnego ze złożoną jej obietnicą, iż natychmiast powiem jej, jeśli między mną a Connorem zaistnieje coś więcej. Nadal o niczym jej nie powiedziałam. Wprawdzie do wczoraj na płaszczyźnie czysto fizycznej nie łączyło nas nic, o czym powinna wiedzieć, ale na płaszczyźnie emocjonalnej było jednak dość burzliwie. Cassie nie była głupia. Dostrzegała rosnące między nami uczucie, obojętne, jak bardzo ja sama starałam się temu zaprzeczyć.

Domyślała się pewnie, gdzie spędziłam wczorajsze popołudnie – a jej dzisiejsze fochy były zapłatą.

Laura skończyła się malować, włożyła sukienkę z purpurowego aksamitu i obróciła się wokół własnej osi.

– No, co powiecie?

– Wyglądasz o niebo lepiej niż w spodniach od dresu – zaśmiała się Cas.

Laura wygięła się, opierając ręce na biodrach i prosząc mnie wzrokiem o komentarz.

– Masz świetne nogi – zaryzykowałam komplement.

– A co z twarzą?

– No cóż, zęb czasu zostawia jednak pewne ślady...

Laurze opadła szczęka.

– Ty mała bestio! Poczekaj, aż ty będziesz miała czterdzieści osiem lat. Będziesz marzyć, żeby wyglądać tak jak ja!

– Nie sądzę. Ale nie miałabym nic przeciwko temu, żeby nadal tak wyglądać w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat.

– Masz już pięćdziesiąt osiem lat? – wtrąciła z niedowierzaniem Cassie.

Laura spojrzała na nią i skinęła niechętnie głową.

– Ale kobieta nigdy nie powinna zdradzać swojego wieku.

– Wow, nie miałam pojęcia, że jesteś aż tak stara.

– Eee... to chyba miał być komplement – zaśmiałam się, ale Laura tylko spoglądała ponuro. Obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów. Nadal miałam na sobie wyświechtane džinsy, a moje włosy domagały się pilnie umycia. – Może byś się zaczęła powoli szykować? – zapytała.

Zerknęłam na Cas.

– Jeszcze nie wiem, czy pójdę.

– Co proszę?!? – wykrzyknęła mama. – Oczywiście, że pójdiesz. Jest sylwester! Nie ma dyskusji! Już, idź się odświeżyć i załóż coś ładnego. Coś eleganckiego, jeśli łaska!

Pod posiadłość Charlesa wypadało podjechać powozem zaprzężonym w cztery konie, a nie samochodem. Szeroki, łukowaty podjazd nadawał Cardogan House majestatyczną aurę.

Byłyśmy trochę spóźnione, w środku kłębił się już tłum gości. Salę balową wypełniały

kobiety w drogich sukniach, w towarzystwie mężczyzn niewyglądających na takich, którzy dobrze by się czuli w wykrochmalonych koszulach i krawatach. Sala była ogromna, a mimo to goście byli stłoczeni jak w bydłącym wagonie. Śmiechy i rozmowy zagłuszały prawie dwunastuosobową orkiestrę na drugim końcu pomieszczenia.

Ubrana w czarne spodnie, kozaki i bluzkę bez ramion czułam się trochę nie na miejscu. W domu strój wyglądał sztywnie, ale tutaj, przy tych aksamitach i jedwabiach, sprawiał wrażenie zbyt skromnego.

Cassie już przy drzwiach została porwana przez Luke'a, który zdaje się czekał na nią już od jakiegoś czasu. Nie mogłam brać mu za złe, że tak się na nią rzucił – wyglądała fantastycznie. W swojej złotej sukience przypominała elfa. Kiedy u boku Luke'a przekroczyła próg sali, przyciągnęła wiele spojrzeń. Chłopak pękał z dumy, mając przy sobie tak cudowną istotę.

Zaprowadził ją na parkiet, a Laura i ja skierowałyśmy się prosto do baru. Matka pozwoliła sobie od razu na podwójną whisky dla uspokojenia nerwów, a potem udała się na poszukiwania Charlesa. Jego żona tańczyła z innym mężczyzną, więc szanse, że dorwie go gdzieś samego, były spore.

Nie mogłam odnaleźć wzrokiem Cassie, za to dojrzałam na parkiecie Orlaithe płaszącą z Hankiem. Była ubrana w sukienkę w kolorze lodowego błękitu, w której wyglądała po prostu oszałamiająco. Zauważywszy mnie, pomachała wesoło i dała znak, że napije się ze mną, kiedy skończy się taniec.

A potem zobaczyłam Connora. Stał na drugim końcu sali w grupce rozgadanych gości, milczący i trochę wyobcowany. Podobnie jak ja przeczesywał spojrzeniem tłum. Wiedziałam, że to mnie szuka.

Nie widziałam się z nim ani nie rozmawiałam, odkąd wczoraj byliśmy ze sobą w tak cudowny sposób. Laura wspomniała, że wpadł na chwilę przed południem. Próbował się do mnie dodzwonić, ale wykradłam się z domu, zanim Laura zdążyła poprosić mnie do telefonu. Wmawiałam sobie, że przejmowałam się Cassie, ale w gruncie rzeczy dobrze wiedziałam, że się bałam. Tego, że ten wspaniały dar, to magiczne popołudnie zostanie sprofanowane przez słowa.

Nie dlatego, że żałowałam naszego spotkania. Obawiałam się tylko turbulencji, jakie nasz związek mógłby wywołać w życiu Cassie.

Zetknęliśmy się spojrzeniami.

Connor odważył się na nieśmiały uśmiech. Kiedy go odwzajemniłam, zaczął przedzierać się w moją stronę.

Spojrzałam mu w oczy i poczułam pewność, że nasza szczególna więź, odróżniająca to, co nas łączyło, od zwykłej przyjaźni, jeszcze istniała.

– Co tu robisz tak sama w kącie?

– Obserwuję ludzi – powiedziałam cicho.

– Obserwowanie to za mało. Musisz wchodzić w tłum i się dobrze bawić.

– Uwierz mi, gdybym wchodziła się w tłum, to na pewno bym się dobrze nie bawiła.

– A dlaczego nie?

– Bo nie umiem tańczyć.

– I co z tego? Nikt z nich nie umie. – Wskazał na parkiet. – Żadne z nich nie ma pojęcia, jaki taniec akurat leci. Wywijają w co najmniej ośmiu rozmaitych stylach, ale kompletnie się tym nie przejmują, bo przyszli, żeby się bawić i przeżyć fajny wieczór. – Podkreślił słowo „bawić”, jakby chodziło o coś, co było mi obce.

– Jakoś trudno mi się przemóc.

– Jasne. Ale to całkiem proste. Po prostu poruszasz nogami i próbujesz nie przydeptać nikomu stopy.

Roześmiałam się.

To go zachęciło.

– Zatańczysz ze mną?

Nie odpowiedziałam.

– Chodź, Nattie. Zatańcz ze mną.

Wyciągnął do mnie rękę, a ja ujęłam ją wbrew woli. Natychmiast pociągnął mnie na parkiet, bojąc się, że się rozmyślę. Wylądowaliśmy pośród wielu roześmianych, zdyszanych par. I zatańczyliśmy.

Tańczyliśmy taniec za tańcem – same ludowe kawałki. Tańczyliśmy z Laurą i Davethem, z Hankiem i Orlaithe. Cas i Luke tłoczyli się wśród młodych na drugim końcu parkietu. Muzyka była tak głośna, a rytmy tak szybkie, że nie było jak rozmawiać, ale wzrok Connora, jego uśmiech i dotyk mówiły mi wszystko, co powinnam wiedzieć.

A potem, kiedy już myślałam, że nie jestem zrobić ani kroku więcej, zagrano coś innego. Samotny skrzypek zaintonował wolnego walca. Wydobywał ze swojego instrumentu przesłodkie dźwięki, delikatnie gładząc smyczkiem po strunach.

Connor przyciągnął mnie do siebie. Przywarłam policzkiem do jego piersi. Jego serce było prawie w rytm muzyki. Zamknęłam oczy i dałam się ponieść. Sunęliśmy po parkiecie jak stopieni ze sobą, jakbyśmy stanowili jedność, i doskonale rozumieliśmy, jak każdy, kto na nas patrzył w tym momencie, że jesteśmy parą.

Kiedy taniec się skończył, oderwaliśmy się od siebie. Promienna i szczęśliwa rozejrzałam się wokół. Skierowane na nas spojrzenia były przychylne – z wyjątkiem jednego. Nie było w nim ani śladu radości i życzliwości, tylko tak wielki ból, że moje szczęście w jednej chwili rozprysło się na kawałeczki.

Do smutnych oczu Cassie napłynęły łzy. Dziewczyna odwróciła się na pięcie i wybiegła.

Puściłam Connora i pobiegłam za nią. Przepychałam się ślepo przez tłum. Na drugim końcu pomieszczenia dostrzegłam matkę. Jej usta poruszały się, jakby mnie wołała. Nie słyszałam jej, biegłam dalej, wybiegłam przez imponujący portal i potykając się, zbiegłam po zewnętrznych schodach.

Zaczęło padać. Niebo nade mną zasnęło się czernią, w oddali grzmiało. Od morza nacierająca burza.

Ani śladu Cas.

Oparłam się o kamienną barierkę, dysząc ciężko. Uspokoiliam oddech i usłyszałam gdzieś niedaleko szlochanie.

Po drugiej stronie barierki kuliła się pogrążona w smutku Cas. Przechyliłam się przez poręcz.

– Cas?

Przestraszona podniosła wzrok i natychmiast puściła się biegiem przez podjazd, a potem dalej przez murawę.

– Cas! – zawołałam. – Zatrzymaj się, proszę!

Pobiegłam za nią, dogoniłam ją i położyłam rękę na ramieniu. Odwróciła się do mnie z wściekłością i zmierzyła pałającym, ciemnym i smutnym wzrokiem.

– Widziałam cię. Widziałem cię z... nim.

– Oczywiście że tak i...

– Tylko mi znowu nie wciskaj, że nic między wami nie ma! Widać jak na dłoni, że jest, widziała to cała sala! Wszyscy wiedzą! – Zacietrzewiła się. – Jak mogłaś? Powiedziałas, że kochasz tatę! Gdybyś naprawdę go kochała, nie mogłabyś... nie zrobiłabyś... Nigdy go nie kochałaś! Nie mówiąc o mnie. Obiecałaś, że dowiem się jako pierwsza, jeśli... jeśli ty z nim...

Obiecałaś! Wiem, że byłaś wczoraj u niego. Wiem to, ale ty nie powiedziałaś ani słowa! Okłamałaś mnie. W ogóle cię nie obchodzi! Masz mnie kompletnie w dupie!

– Jak możesz mówić coś takiego, Cas? Naprawdę w to wierzysz?

Uwolniła się z uścisku i odbiegła.

– Cassie! Zaczekaj!

Ale ona biegła dalej po grząskiej trawie, zapadając się obcasami, zaślepiona deszczem. Pełna niepokoju ruszyłam za nią, zagłębiając się coraz dalej w przyległy do posiadłości teren. Angielska murawa ustąpiła miejsca dzikiej trawie i chaszczom, a grunt opadał stromo ku huczącemu w dole morzu.

Krzyknęłam, żeby się zatrzymała, i zanim dobiegła do urwiska, posłuchała, ku mojej uldze.

Odwróciła się.

Jej twarz była mokra od deszczu i łez.

– Cassie, proszę! – Wyciągnęłam do niej ramiona. – Proszę, Cassie, nie rezygnuj z nas! Potrzebujemy cię przecież – ja cię potrzebuję. – Wzięłam głęboki wdech. – Kocham cię. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, żeby mi w tym przeszkodzić, ale ja cię kocham.

Jej oczy spoglądały na mnie smutno. Oddech miała nierówny, przerywany szlochem. Po chwili nieznośnie powoli wyciągnęła do mnie ręce.

– Nat, tak mi przykro. – Zrobiła krok do przodu.

Nasze palce dotknęły się i splotły ze sobą. Stała oddalona ode mnie o uderzenie serca. I raptem coś porwało ją w tył. Ziemia pod jej stopami ustąpiła i Cassie runęła w dół.

– Cas!

Mój krzyk poleciał za nią w otchłań, a ułamek sekundy później porwało mnie w dół. Uderzyłam płasko o podłoże, a upadek wycisnął mi z płuc powietrze. Z ulgą poczułam, że nasze dłonie wciąż są ze sobą splecione. Zacieśniłam uścisk, podczołgałam się parę centymetrów dalej i spojrzałam w mrok. Uwieszona do mojego ramienia i pobladła ze strachu Cassie wpatrywała się we mnie z szeroko otwartymi w panice oczami.

– Spokojnie – wydusiłam z siebie.

Przywarłyśmy do siebie spojrzeniami. Cassie nie miała niczego, na czym mogłaby oprzeć stopy, z wyjątkiem wąskiego na dwa centymetry skalnego występu. Trzymała się mojego ramienia. Z dołu dobiegał huk smaganego burzą morza, ale w ciemności nie widziałam nic poza białą z przerażenia twarzą dziewczyny.

Gorączkowo rozejrzałam się za czymś, co mogłoby nam pomóc, i zauważyłam karłowate drzewo rosnące bezpośrednio na krawędzi klifu. Przeczółgałam się w bok, zaklinałam stopę w rozgałęzieniu konarów i przesunęłam się nieco dalej poza krawędź urwiska.

– Nie bój się, Cassie. Musisz się podciągnąć do góry.

– Nie mogę – wyszlochała.

– Owszem, możesz. Musisz.

– Ale jak?

– Musisz podciągnąć się trochę na moim ramieniu, aż będziesz mogła chwycić mnie za pasek, a wtedy dźwigniesz się na krawędź.

– Nie, nie dam rady.

– Dasz radę.

Zamknęła oczy.

– Dasz radę to zrobić, wiem to – zaklinałam ją i w tym momencie jej lewa stopa ześliznęła się z wąskiej półki.

– Nie, nie dam rady.

– Musisz, Cas. Nie bój się, nie puszcę cię, obiecuję. Pomogę ci. – Nie było łatwo zachować na zewnątrz spokój i opanowanie, podczas gdy w środku paraliżowała mnie panika. Popatrzyłam jej głęboko w oczy. – Proszę. Zaufaj mi.

Zawahała się krótko, a potem najwyraźniej podjęła decyzję. Wysiłkiem woli zmusiła się do rozluźnienia palców prawej dłoni, którą przytrzymywała się skały.

Z całej siły zapałam się, kiedy chwyciła mnie za pasek i wciągnęła się na krawędź. W końcu puściła moją rękę i złapała za konar. Nie do wiary, jak ciężka mogła być tak filigranowa osóbką. Miałam wrażenie, że uduszę się pod jej ciężarem. Ale kiedy była już na górze, stoczyła się na bok, podała mi rękę i pomogła przesunąć się na twardej gruncie.

Drżąc, leżeliśmy obok siebie. Cas nie puszczała mojej ręki.

Wstałyśmy powoli.

– Dziękuję, Nat, stokrotne dzięki. Tak mi przykro. Dziękuję. – Cas szlochając zakryła dłonią usta, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co się przed chwilą stało.

– Ani mi się waży, kiedykolwiek przede mną uciekać! – nakrzyczałam na nią, a potem złapałam ją za ramiona, przyciągnęłam do siebie i przytuliłam tak mocno, że czułam, jak jej serce obija się o moją pierś.

– Nie chcę cię stracić, Cas – mruknęłam jej we włosy. – Nie mogę cię stracić.

Powoli uniosła do góry ramiona i objęła mnie mocno. Potem rozplakała się gorzko na moim ramieniu.

– Przykro mi – wymamrotała. – Jest mi tak strasznie przykro.

Żadna z nas nie chciała puścić drugiej i tak trwałyśmy w uścisku przez nieskończone długą chwilę. Błysnęło, a chwilę potem przetoczył się grzmot i deszcz zamienił się w rzęsistą ulewę.

Dobiegły nas pełne przejęcia głosy. Ktoś wołał nas po imieniu.

Moja matka. I Luke wołający Cas.

– Natalie! – krzyczał Connor.

Uwolniłyśmy się z uścisku.

– Tutaj – zawołałam w odpowiedzi, ale wiatr znosił wszystkie dźwięki ku morzu. – Chodźmy, wracajmy – rzuciłam do Cassie.

Skinęła głową i wyciągnęła rękę. Podeszłam o krok i w tym momencie ziemia ustąpiła pod moją lewą nogą. Dokładnie w tym miejscu zapadła się przed chwilą Cassie. Niestabilne podłoże ustąpiło przede mną i runęłam w dół.

Przeżyłam szok swobodnego spadku. Uderzyłam o coś, ale na szczęście nie o omywaną szalejącymi falami skałę trzydzieści metrów w dół, tylko o półkę skalną niecałe cztery metry poniżej krawędzi urwiska. Chyba tak musiał się czuć człowiek potrącony przez samochód. Uderzenie było tak silne, że ponownie wyparło mi całe powietrze z płuc.

Granit był jednak cholernie twardym podłożem.

Gdzieś w środku mnie coś pękło głośno i boleśnie. Z bólu chwytalam powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. I wtedy uderzyłam głową o ziemię. Nie wiedziałam, czy jasny błysk, który zobaczyłam, był błyskawicą, czy skutkiem nieludzkiego bólu. Był ostatnią rzeczą, którą zobaczyłam.

Ostatnią rzeczą, którą usłyszałam, był histeryczny krzyk Cassie.

– Natalie!

Leżałam w łóżku przytrzymywana ciepłymi ramionami Roba, jego ciało przywierało do mnie od tyłu jak druga skóra, jak ochronna powłoka. Czułam na szyi jego oddech, słyszałam jego łagodny, przepełniony miłością głos wypowiadający moje imię.

– Natalie.

– Nattie, słyszysz mnie?
– Natalie!
– Ostrożnie.
– Powoli.
– Rob? – Miałam sucho w ustach, nie mogłam wydobyć z siebie najmniejszego dźwięku.
– Ćśś. Spokojnie. Wszystko jest dobrze, Nattie. Zaraz będziemy cię mieli. Po prostu leż i się nie ruszaj.

Silne ramiona objęły mnie i trzymały... Łagodny, znajomy głos.

– Connor?

– Ćśś.

Ogarnęła mnie ciemność.

Powoli docierało do mnie, że nie byłam sama. Słyszałam w pobliżu szepty.

Kiedy otworzyłam oczy, ogarnęła mnie panika. Nic nie widziałam! Wszystko było białe.

Ale po chwili zaczęłam wyodrębniać zamglone kontury. Wyostrzały się powoli, aż rozpoznałam dwie osoby stojące w drzwiach. Znajdowałam się w pokoju, w którym wszystko było białe – ściany, sufit, pościel. I fartuch jednej z osób przy drzwiach. Nagle przypomniałam sobie, co się stało, i zrozumiałam, gdzie musiałam się znajdować. Postać w białym fartuchu odezwała się.

– Miała wielkie szczęście. Parę stłuczonych żeber, ale żadnych poważnych obrażeń.

Mimo to zatrzymamy ją na obserwacji. Prześwietlimy jeszcze to i owo, żeby upewnić się, że niczego nie pominęliśmy.

– Chcecie ją tu zatrzymać? Ale po co? Przecież sam pan powiedział, że dobrze się czuje. Chciałabym zabrać ją do domu.

– Wiem, ale nie możemy ryzykować.

– W domu będzie miała o wiele lepszą opiekę niż tu w szpitalu.

– Nie wątpię, ale w przypadku pacjentów z urazami zawsze lepiej wykazać się nieco większą ostrożnością. Chyba to pani rozumie.

– Ale ja nie chcę, żeby została w szpitalu. I ona z pewnością też. Nattie nie cierpi szpitali, w domu prędzej wydobrzeje.

– Mimo wszystko musimy mieć wzgląd na dobro pacjentki, a w tej chwili...

– Do jasnej cholery, to moja córka! Uważa pan, że nie interesuje mnie jej dobro?

Mężczyzna w bieli uśmiechnął się wyrozumiale i delikatnie dotknął ramienia mojej matki.

– Mamo? – wychrypiałam.

Laura natychmiast znalazła się przy mnie.

– Nattie! Obudziłaś się! Bogu dzięki! Wszystko z tobą dobrze? Jak się czujesz?

Mężczyzna w bieli wyrósł po drugiej stronie łóżka.

– Natalie. – Uśmiechnął się łagodnie. – Jestem doktor McCardale. Przeżyła pani poważny upadek, ale pomijając kilka stłuczonych żeber, wyszła pani z tego bez szwanku. Czy może mi pani powiedzieć, jak się pani czuje?

– Dobrze – powiedziałam, próbując usiąść.

– Pomału, pomału, proszę leżeć. Chciałbym zbadać panią jeszcze raz. – Opukał mnie długimi, smukłymi palcami. – Proszę powiedzieć, jeśli zabolę.

Uśmiechnęłam się z przymusem. Wszystko mnie bolało. Ale z pewnością nie zamierzałam się tym chwalić. Matka miała rację: nie cierpiałam szpitali. Ten zapach, ta atmosfera zagrożenia...

Mój ojciec spędził w szpitalu ostatnie dni swojego życia, a ja przysięgam sobie wtedy, że

do końca życia będę omijała te przybytki szerokim łukiem.

– Boli?

– Nie – skłamałam.

Matka mrugnęła do mnie krzepiąco, kiedy uciskał mi brzuch.

– A to?

Wyteżyłam wszystkie siły, żeby się nie skrzywić. Za nic w świecie nie chciałam zostać tu dłużej.

Doktor McCardale wyprostował się.

– Wszystko wygląda znakomicie. Zaraz po przywiezieniu pani wykonaliśmy parę zdjęć rentgenowskich. Pewnie pani nic z tego nie pamięta. – Uśmiechnął się do mnie trochę z góry. – Jak mówiłem, poza stłuczeniami nie odniosła pani żadnych poważniejszych obrażeń.

– Więc mogę iść do domu?

– Przeżyła pani groźny upadek – powtórzył, jakbym była niedorozwinięta. – Była pani nieprzytomna przez wiele godzin. Chcemy panią zatrzymać na obserwacji.

– Na obserwacji?

Potwierdził.

– Uderzyła pani głową.

– Moja matka może mnie poobserwować.

– Właśnie, mogę ją obserwować – zgodziła się skwapliwie Laura.

– Przykro mi, ale jestem zdania, że powinna pani zostać co najmniej na noc. Nagłe urazy są nieprzewidywalne. Przeworny zawsze ubezpieczony.

– Ale ja się dobrze czuję.

Podniósł rękę, żeby mnie uciszyć.

– Zostaje pani na noc. Porozmawiamy jutro.

Odwrócił się do Laury i obdarzył ją krótkim uśmiechem.

– Pacjentka potrzebuje teraz spokoju. Najlepiej będzie, jak wszyscy państwo pójdą do domu.

– Ale Cas, znaczy, jej córka, od wielu godzin czeka tam na zewnątrz i chciałaby ją zobaczyć... I jej przyjaciele. Czekali całą noc.

– No, skoro wykazali się taką cierpliwością, to z pewnością nie zrobi im różnicy, jeśli poczekają jeszcze jedną noc. Proszę im powiedzieć, że Natalie potrzebuje spokoju. – Wypchnął wzburzoną Laurę na zewnątrz i zostawił mnie samą w sterylnej sali.

Parę minut później drzwi otworzyły się znowu. Już się ucieszyłam, że zobaczę Laurę, ale to była tylko pielęgniarka, która z uśmiechem zmusiła mnie do połknięcia diazepam, chociaż dzielnie zapewniałam ją, że nie potrzebuję żadnych środków uspokajających.

Potem przez bite dwie i pół godziny nie zjawił się nikt! Ładna mi obserwacja!

Przyszło mi do głowy, że gdybym mogła iść o własnych siłach, mogłabym się wypisać na własne żądanie. Podjęłam ostrożną próbę wstania z łóżka. W tym momencie ktoś cicho zapukał do drzwi.

– Tak? – odezwałam się niepewna, czy dobrze usłyszałam.

Drzwi uchylły się i do środka zajrzała jasnowłosa głowa.

– Cas?

– W porządku, jest sama – usłyszałam czyjś szept na korytarzu.

Drzwi otworzyły się na całą szerokość i do środka wsunęła się Cassie. Zaraz za nią wszedł Luke. Pomachał do mnie, ale przystanął w progu, gdzie nieustannie zerkał na prawo i lewo, jakby przypatrywał się grze w tenisa.

– Co się dzieje?

– Zabieramy cię stąd – wyszeptła z nadzwyczaj zdeterminowaną, konspiratorską miną. Drzwi zamknęły się, a do łóżka podeszła Cas.

– Laura powiedziała, że tamten stary skurczybyk nie chce cię wypuścić do domu, chociaż wyraziłaś taką wolę i zapewniłaś, że czujesz się dobrze. Naprawdę nic ci nie jest, prawda?

Zapewniłam ją, że wszystko w porządku. Stwierdziłam przy tym, że mogłam już kiwać głową bez piekielnego bólu.

– No to już. Zabieramy cię.

Podskoczyłyśmy wystraszone, kiedy drzwi otworzyły się na nowo, ale to był tylko Luke. Pchał wózek inwalidzki.

– Nie potrzebuję żadnego wózka! – Zaprotestowałam.

– Ale potrzebujemy go z Cas, jeśli nasz plan ma się powieść. Uwierz mi.

Pomogli mi wstać, potem Luke zaczął się na korytarzu, podczas gdy ja zamieniłam zielony szpitalny kitel na ubranie, które Cassie przyniosła mi w plastikowej siatce. Trochę uginały mi się kolana, czułam też ucisk obolałej klatki piersiowej, ale radość, że mogę stąd wyjść, była najlepszym lekarstwem. Bez słowa skargi usiadłam na wózku i nie mogłam powstrzymać figlarnego uśmiechu na myśl o zuchwałej akcji wyzwoleniczej.

Kiedy dotarliśmy do końca korytarza, czyjś surowy głos zawołał mnie po imieniu. Był to niezaprzeczalnie doktor McCardale.

Cas nie zatrzymała się, tylko przyspieszyła kroku, dopóki nie zostawiła za sobą podwójnych drzwi.

Podekscytowani, bez tchu, popędziliśmy na złamanie karku na parking, gdzie ostrożnie usadzili mnie w samochodzie na tylnym siedzeniu. Cas usiadła obok mnie, Luke odstawił wózek na skraj parkingu i wskoczył za kierownicę.

– James, do domu! – zawołała Cas, wzięła mnie za rękę i ścisnęła.

Luke popatrzył na nią skonsternowany.

– No już, Luke, gazu, zanim ktoś nas dogoni.

– Powiedźcie, czy wyście kompletnie zgłupieli? – Laura starała się przybrać surową minę, a jej próby skończyły się kompletną porażką.

– Dlaczego? – rozpromieniła się Cassie. – Powiedziałaś przecież, że ona chce iść do domu, więc ją stamtąd wyciągnęliśmy, kiedy nie było w pobliżu lekarza.

– Ale trzeba było zaraz stosować takie kryminalne metody? – zbeształa ją Laura. – Chociaż, jak to się pięknie mówi: cel uświęca środki...

– To może zostać? – zapytała Cas, spoglądając błagalnym wzrokiem, jakbym była przybłąkanym kotem.

– To się okaże. Dzwonię do szpitala.

– Nie, w żadnym razie! – oburzyła się Cas.

– Muszę, Cassie.

W napięciu zaczekaliśmy, aż Laura wróci z gabinetu.

– Rozmawiałam z doktorem McCardalem. Chce, żebyśmy cię przywieźli z powrotem – oznajmiła, spoglądając ponuro.

– Och. – Całej trójce zrzedły miny.

– Powiedziałam mu, że wypisałaś się na własną odpowiedzialność. – Rozpromieniła się nagle. – Nie był zachwycony, ale nie miał wyjścia. Mam cię dokładnie obserwować. Bardzo dokładnie. – Przywarła czołem do mojego i popatrzyła mi głęboko w oczy. – Kocham cię – wypowiedziała bezgłośnie jej wargi. Pocałowała mnie w policzek i objęła ostrożnie. – Szczęśliwego Nowego Roku, Nattie.

– Słucham?

- Mamy pierwszy stycznia, kochanie.
- Więc wszystko przegapiłam?
- Jakie znowu wszystko? Sylwestra w szpitalnej poczekalni w towarzystwie pijaczków? Niewiele straciłaś. No, a teraz powiedz mi, zanim cię posłę do łóżka: czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?
- Tak. Poproszę szampana.
- Szampana?
- Chyba mówię wyraźnie? Nic już nie zostało?
- Owszem, w lodówce powinna jeszcze być jedna butelka z tych od Petry, ale Nat...
- W takim razie chcę, żebyśmy ją teraz otworzyły, mamó. Wznieśmy toast za Nowy Rok.
- Ale czy tobie wolno pić alkohol? No wiesz, ze względu na leki?
- Pewnie nie, ale wolałabym codziennie pić lampkę szampana niż łykać diazepam.

A poza tym...

– ...tata też wznosił toast za Nowy Rok pierwszego stycznia – dokończyła Cas i sięgnęła po moją dłoń.

– Właśnie. I myślę, że powinniśmy zacząć ten rok tak, jak on by chciał.

Luke pojechał do domu, a ja się położyłam, żeby nieco wypocząć. Ale nie było mi to dane. Laura przyniosła do mojego pokoju przenośny telewizor i po raz pierwszy, odkąd tu byłam, napaliła w kominku. Psy ułożyły się wygodnie na podłodze przy ogniu, Laura w fotelu obok, a Cas w nogach łóżka. Dziewczynie nie zamykały się usta.

– Właściwie to był mój pomysł, żeby cię stamtąd wyciągnąć, ale bez Luke'a nie dałabym rady, bo przecież nie umiem prowadzić. Mam nadzieję, że to w porządku, że wzięliśmy twój samochód bez pytania, ale w końcu to było coś w rodzaju sytuacji awaryjnej, prawda? Jak myślisz, mogłabym wziąć parę lekcji jazdy? Wiem, że dopiero za rok skończę siedemnaście lat, ale Luke zaproponował, że pojeździ ze mną land roverem po polnych drogach, jeśli Laura się zgodzi. Jeśli nie jeździ się po drogach publicznych, to jest to całkiem legalne.

Z błogim uśmiechem słuchałam i przypatrywałam się jej. Była jak odmieniona. Zupełnie nowa Cas.

– Wprawdzie nie jest jakimś wielkim bystrzykiem – trajkotała dalej – ale jest strasznie miły i ma poczucie humoru. Nie uważasz, że jest po prostu fajny?

– No pewnie. Strasznie fajny – odparłam z miną pokerzysty.

– I więcej mi na razie nie potrzeba. Jestem o wiele za młoda, żeby poważnie się zastanawiać nad stałym związkami, ale chyba mam prawo trochę się zabawić, prawda?

Jej słowa zabrzmiały tak staro i poważnie, że aż się uśmiechnęłam. Nagle urwała i zerknęła na Laurę.

Widząc, że matka zasnęła w fotelu, Cas, zasłaniając usta ręką, szepnęła:

– Słuchaj, Nat, jeśli chodzi o ciebie i Connora...

– Ach, Cas, tak mi przykro. Próbowałam ci to wytłumaczyć. Przykro mi, że dowiedziałaś się w ten sposób. Ale nie okłamałam cię, w tamtym momencie naprawdę nie byliśmy ze sobą. Dopiero tamtego popołudnia, które spędziłam u niego... Wiem, powinnam była z tobą o tym pogadać, ale po prostu brakowało mi odwagi.

Przerwała mój tok słów i zadała mi pytanie, które mnie zmroziło:

– Mogę zadać ci jedno pytanie na temat taty?

Kiwnęłam głową.

– Naprawdę go kochałaś, prawda?

Znowu przytaknęłam i tak mocno przygryzłam wargę, że aż zabolęło.

– Nadal go kocham.

Zamyśliła się.

– Cieszy mnie to. Przepraszam, że nie akceptowałam tego, kiedy jeszcze żył. Teraz to do mnie dotarło, tylko że teraz jest już za późno.

– Za późno? – powtórzyłam z ulgą. – Nigdy nie jest za późno. Moja miłość do Roba nie umarła wraz z nim. Nadal jest żywa, głęboko we mnie, tak samo intensywna jak w dniu naszego ślubu. I wspaniale jest wiedzieć, że wreszcie mi wierzysz.

Pomyślała chwilę. Ale na jej twarzy wymalowało się coś innego.

– Myślisz, że ty i Connor... pewnego dnia... No wiesz, czy mogłabyś znowu pokochać kogoś tak jak tatę?

– Może. Pewnego dnia – odpowiedziałam ostrożnie, szukając w jej wzroku najmniejszych oznak złości albo rozczarowania. – Nie sądziłam, że to możliwe, ale... – Zamilkłam.

Czy w jej niebieskich oczach widać było niepewność, czy lęk? Czy obawiała się, że w moim sercu nie będzie miejsca dla niej, bo zawładnął nim Connor?

Bo naprawdę zawładnął, jakże mogłabym temu zaprzeczyć! Dał mi nową nadzieję, wiarę w to, że możliwa jest szczęśliwa przyszłość – ale zdawałam sobie sprawę, że zanim wolno mi będzie zwrócić się ku własnemu szczęściu, musiałam najpierw zatroszczyć się o inne zbolełe serce. Już wystarczająco wiele razy zawiodłam Cas – nie zrobię tego jeszcze raz.

– Może ja i Connor moglibyśmy... – urwałam, szukając właściwych słów. Słów, które mogłaby zrozumieć. – Może pewnego dnia moglibyśmy zostać parą, przeżywać wspólnie rozmaite rzeczy. Może i więcej... Ale myślę, że to nie jest właściwy moment. W moim życiu są na razie inne sprawy, które muszę uporządkować. – Zamilkłam.

Obawiałam się, że nie wyraziłam się zbyt dobrze.

Cas namyślała się w milczeniu.

– Cas?

Z ociąganiem obróciła się w moją stronę. Na jej twarzy nie było śladu uśmiechu. Wręcz przeciwnie: dziewczyna powstrzymywała łzy.

– Co się dzieje, Cas?

Próbowałam usiąść, ale trochę zbyt szybko. Poczułam przeszywający ból stłuczonych żeber.

Cas usłyszała, jak wciągam z sykiem powietrze, i zobaczyła, jak się krzywię.

– Wszystko w porządku, Nattie?

– Tak, tak.

– Na pewno? – I zaszlochała głośno, wybuchając płaczem. – Och, Nat... myślałam, że stracę i ciebie... – Sięgnęła po moją rękę, spłotła palce z moimi i ścisnęła tak mocno, jak wtedy, gdy próbowałam uchronić ją przed zsunieniem się ze skarpy.

– Wszystko będzie dobrze, Cassie, nie musisz się już obawiać. Nie odejdę. Nie stracisz mnie. Nigdy. Pewnie kiedyś zatęsknisz, żeby wreszcie się mnie pozbyć, ale na razie musisz ze mną wytrzymać, dobrze?

Ścisnęła moją rękę jeszcze mocniej.

– Będę przy tobie. Tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebować. Obiecuję.

Kiedy następnego ranka otworzyłam oczy, słońce zalewało pokój światłem. Mój wzrok padł na ścianę na wprost łóżka i przez moment wydawało mi się, że mam halucynacje. Upłynęła dobra chwila, zanim przekonałam się, że to nie ułuda. Że naprawdę tam wisi.

Obraz z wodospadem.

Laura siedziała w fotelu obok łóżka i spała. Odkąd wróciłam ze szpitala, opuściła fotel tylko na parę minut, żeby przynieść mi coś do jedzenia i picia. Poruszyła się, kiedy usiadłam, żeby przyjrzeć się lepiej obrazowi.

– Obraz. Odzyskałaś go.

Laura przetarła oczy i uśmiechnęła się.

– Tak. Miałam szczęście, że udało mi się go sprzedać Charlesowi. Myślę, że kupił go tylko dlatego, żeby wyciągnąć mnie z tarapatów, a nie dlatego, że szczególnie mu się podobał. W końcu nie ma na nim psów ani bażantów – wyjaśniła, widząc moje niedowierzające spojrzenie. – Nie było zbyt trudno namówić go, żeby mi go zwrócił. Ale wisi tu tylko przejściowo.

– Tylko mi nie mów, że wypożyczyłaś go, żeby przyspieszyć mój powrót do zdrowia? I że musisz go oddać, kiedy znów będę w formie?

Potrząsnęła głową.

– Nie, skarbie, odkupiłam go od niego. Ale to jest prezent, i to prezent dla ciebie, żebyś co rano patrzyła na niego go po przebudzeniu, obojętne, gdzie będziesz.

– To zostanie tutaj.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Ale przecież za parę dni wracasz do Londynu.

Nie śpieszyłam się z odpowiedzią.

– Nigdy nie mogłam pojąć, co ty widzisz w tej okolicy... Dlaczego koniecznie chciałaś zostać tutaj – wyjaśniłam. – Ale teraz rozumiem. Kiedy umarł Rob, Cas i ja straciłyśmy nie tylko ukochanego człowieka, ale i dom. I nie mam na myśli budynku z cegieł i betonu. Connor powiedział kiedyś, że dom nie jest tam, gdzie człowiek się urodził, ale tam, gdzie czuje się jak u siebie. Wraz z Robem utraciłyśmy nasz dom, nasze domowe ognisko, a teraz wy wszyscy – ty, Hank, Orlaithe, Luke i Connor – podarowaliście nam nowy dom. Londyn nie jest naszym domem. Wichrowe Łąki są naszym domem – wy jesteście naszym domem. Odtąd zawsze będziemy w pobliżu.

Mój pokój tonął w kwiatkach. Orlaithe i Hank odwiedzili mnie po śniadaniu i przynieśli ze sobą największy bukiet narcyzów, jaki kiedykolwiek widziałam.

– Splądrowaliśmy Projekt Eden – wyznała ze śmiechem Orlaithe. – Pruliśmy przez szklaną kopułę jadownicę różowym samochodem i pozrywaliśmy dla ciebie najpiękniejsze kwiaty!

Petra przysłała mi przepiękną orchideę, do której dołączyła kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia i rysunkiem lekarza, który trochę za bardzo zbliża się do jędrnej pacjentki. Oprócz tego dostałam kartkę od pani z poczty. Charles przysłał bukiet zimowych róż, a zdumiewająco trzeźwy Daveth przyniósł kartkę podpisaną przez stałych bywalców Ship. Nawet Luke złożył mi wizytę, uzbrojony w bukiet astrów. Podejrzewałam, że odwiedziny były tylko pretekstem do spotkania z Cas. Oboje umówili się na spacer i poszli na wybieg dla koni, gdzie Szansa miała pozbyć się zbędnych kilogramów po tym, jak Cassie nie jeździła na niej od Nowego Roku.

Brakowało tylko jednej osoby. Cassie opowiadała, że to Connor mnie uratował, to on bez namysłu szedł po ścianie klifu i zadbał o moje bezpieczeństwo.

Po południu nie mogłam już wytrzymać w łóżku.

– Wstaję i nie obchodzi mnie, co ty na to – oświadczyłam protestującej Laurze. – Mam wprawdzie stłuczone żebra i sfatygowane poczucie własnej wartości, ale pomijając to, czuję się znakomicie.

Weszłam do wanny i namoczyłam się w pachnącej lawendą wodzie. Wreszcie pozbyłam się szpitalnego zapachu, który lepił się do mnie jak tanie perfumy. Wróciwszy do pokoju, założyłam na siebie wygodne ubranie. W tym momencie do środka wetknęła głowę Laura.

– Masz gościa.

– Znowu? Momencik, chciałam się ubrać do końca – powiedziałam i wciągnęłam przez głowę sweter, trochę za szybko, jak stwierdziłam, zdjęta nagłym z bólem.

– Od kiedy jesteś taka wstydliva? Przy naszym pierwszym spotkaniu zaprezentowałaś mi już swój goły zadek.

Sama się zdumiałam, jak ciepło zrobiło mi się na sercu na dźwięk jego głosu. Jednocześnie wcale mnie to nie zdziwiło.

Tak bardzo starałam się nie myśleć o Connorze, a jednak to on, obok Cassie, był człowiekiem, który najbardziej absorbował moje myśli, kiedy leżałam w łóżku.

Uzmysłowiłam sobie, jaką byłam egoistką. Brałam za pretekst wrogość Cassie, żeby jej nie wspierać, kiedy najbardziej tego potrzebowała. Obiecałam sobie, że to się więcej nie powtórzy. Tym razem to nie ja będę na pierwszym miejscu. Wiedziałam już dobrze, co czuję do Connora. Ale wolałam zadać sobie ból, niż kiedykolwiek znowu zranić Cassie.

Kwiaty, które przyniósł mi Connor, były namalowane.

– Dłużej przetrwają – powiedział. – No i nie trzeba szukać wazonu po całym domu. – Rozejrzał się po pokoju. – Masz tu całą kwiaciarnię.

– Mam wielu przyjaciół.

– Jak się czujesz? – Usiadł przy mnie na łóżku. Laura wycofała się dyskretnie.

– Całkiem dobrze.

– Zapewne już się zastanawiałaś, dlaczego nie odwiedziłem cię wcześniej, co?

Zauważyłam, że wyglądał, jakby nie czuł się dobrze we własnej skórze. Spojrzenie, którym zawsze spoglądał na mnie tak śmiało, błędziło po pokoju.

– Skłamałabym, gdybym powiedziała nie.

– A ty nie chcesz mnie okłamywać, Natalie, mam rację? Tak jak ja nigdy nie okłamałbym ciebie. Nigdy.

Zmieszana popatrzyłam na niego.

– O czym ty mówisz?

Wreszcie przeniósł wzrok na mnie. Zwykle tak otwarte, szczere spojrzenie wyglądało na niepewne i zmęczone.

– Nie odwiedziłem cię wcześniej, bo nie byłem pewien, czy chcesz mnie widzieć. Nie było niczego, co zrobiłbym chętniej, uwierz mi. Tak długo czekałem w szpitalu, aż tamten głupi lekarz odesłał nas wszystkich do domu. Gdyby nie wyciągnęła cię stamtąd Cassie, to ja bym to zrobił. Kiedy Laura zadzwoniła do mnie z wiadomością, że jesteś w domu, chciałem przyjechać natychmiast, ale... coś mnie powstrzymało. Chcę być wobec ciebie całkiem szczery... – Oderwał na chwilę wzrok ode mnie, a po chwili popatrzył na mnie stanowczo, ale jednocześnie bezbronnie. – Boję się, Nat. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek czuł do kogoś to, co czuję do ciebie. Jestem zupełnie pewien, że moje uczucia nie są przelotne i że ich sobie nie uroiłem. Ale nadal tak naprawdę nie wiem, czym jest to wszystko, kim jestem ja. Dla ciebie. Wiem, że w ciągu ostatnich dwóch lat przeszłaś wiele złego. Wiem, że ty też się boisz. I że ten lęk był powodem, dlaczego nie umiałyście z Cassie nawiązać ze sobą więzi. Lęk przed tym, że ponownie doświadczycie tego bólu. Lęk przed utratą kogoś, za kogo oddałoby się życie. Z tego, co opowiadała mi Laura, wiem, że kochałaś swojego męża ponad wszystko, że nadal go kochasz i będziesz kochać zawsze. Jednocześnie wyraźnie czuję tutaj – dotknął pięścią piersi – że coś dla ciebie znacę.

– Oczywiście, że znacysz. – Otoczyłam dłonią jego pięść, która natychmiast rozluźniła się i otuliła moją. – Nawet bardzo dużo. I niestety mam z tego powodu wyrzuty sumienia.

Connor przyciągnął moją dłoń do swoich ust i musnął ją ustami.

– Myślisz, że Rob kochał cię mniej, bo kochał przed tobą inną kobietę? Tak bardzo, że poślubił ją i miał z nią dziecko?

– Nie.

– A gdyby było na odwrót, gdybyś to ty zginęła w wypadku, czy chciałabyś, żeby resztę

życia spędził sam? Samotny i nieszczęśliwy? Tylko dlatego, że odeszłaś?

– Nie – wyszeptalam.

– Natalie – powiedział tak cicho, że ledwie go słyszałam. – Myślę, że mógłbym cię pokochać całym sercem, gdybym sobie na to pozwolił – gdybyś ty mi na to pozwoliła...

Omam nie zmięklam. Omam nie porzuciłam swojego postanowienia. Ale potem pomyślałam o Cas i o tym, jak bardzo mnie potrzebowała. O bólu w jej oczach, kiedy tak niezręcznie mówiłam jej o sobie i Connorze.

– Nie chodzi o Roba – zaczęłam ostrożnie i cofnęłam dłoń. – W każdym razie już nie. Wiem już, że chciałby, abym żyła dalej. Żyła i kochała. Jeśli mam być do końca szczerą, to w gruncie rzeczy wiem to już od dawna, tylko nie potrafiłam tego zaakceptować. I nie chodzi mi o ciebie, Connor, ani o nas. Musisz wiedzieć, co do ciebie czuję – to samo, co ty do mnie. Ale musisz też zrozumieć, że na pierwszym miejscu jest u mnie Cassie. Nie umiałaby zaakceptować naszego związku, nie teraz. I dlatego nie mogę jej tego zrobić. Ona mnie potrzebuje – dość już ją zawiodłam. Musi wiedzieć, że jest w tej chwili najważniejsza w moim życiu. – Wzięłam głęboki wdech, popatrzyłam na niego i nie miałam już nadziei, że mnie zrozumie. – Kiedy nadejdzie właściwy czas...

Kiedy nadejdzie właściwy czas. Zbyt dobrze wiedziałam, jak nieobliczalny bywa czas, że jedno mrugnięcie wystarczy, żeby się skończył. Gnana tęsknotą tak silną jak przyływ oceanu, wzięłam w dłonie jego twarz. Poczulałam, jak wzdycha, i pozwoliłam, żeby zamiast rozsądku przemówiło serce.

– Nie chcę cię stracić.

– Ależ nie musisz.

– Muszę myśleć o Cassie. Ona musi wiedzieć, że...

– Ale ona może to wiedzieć i tak, zresztą i tak już wie... Będziemy wspierać ją oboje.

My, we dwoje, razem.

– Nie mogę dopuścić, żeby jeszcze raz została zraniona, Connor. A co, jeśli nam ze sobą nie wyjdzie? To ją zaboli tak samo, jak nas.

– Nie musimy się śpieszyć.

– Nie musimy? – Odjęłam dłonie od jego twarzy i położyłam mu na ramionach.

– Tak. Moglibyśmy już teraz umówić się na pierwszą randkę. Co powiesz na Boże Narodzenie? Moglibyśmy pójść razem na przyjęcie do Treloarów.

Odetchnęłam z ulgą i uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością.

– Dobrze, będę miała rok, żeby się zastanowić, co na siebie włożyć.

– Więc się zgadzasz? Jesteśmy umówieni?

– Absolutnie.

Uśmiechnął się. Z tęsknotą.

– Przykro mi, Connor.

– Nie musi ci być przykro. Nie masz powodu. W każdym razie jeszcze nie. Przyszłość leży przed nami, Nat. Ty ją masz, ja ją mam. I jestem całkiem pewien, że my też będziemy mieli wspólną przyszłość, kiedy nadejdzie właściwy czas.

– Jesteś naprawdę dobrym przyjacielem, Connor.

– Jestem wdzięczny i szczęśliwy, że mogę być dla ciebie przyjacielem, Nattie. – Wziął mnie za rękę.

Nasze palce się skrzyżowały. Przytuliłam się do niego, oparłam głowę na jego ramieniu i cieszyłam się poczuciem bezpieczeństwa, jakie mi dawał. Oboje wiedzieliśmy, że to musiało na razie wystarczyć.

Epilog

W dniu naszego wyjazdu do Londynu wstałyśmy z Cas wcześniej i udałyśmy się na spacer ku klifom. W milczeniu przemierzałyśmy Stormy Meadows – było to dobre milczenie, zgodne i przyjazne.

To było zupełnie nowe, cudowne uczucie. Zagorzała wrogość między nami znikła – byłyśmy teraz przyjaciółkami. Uwolniłyśmy się z narzuconej sobie izolacji, nabrałyśmy pewności siebie i pokonałyśmy mur zranionych uczuć.

Byłyśmy już prawie przy domku huera, kiedy Cas zaczęła mówić.

– Nattie, ja nie chcę wracać do Cheal.

– Tak, ale...

– Żadnych ale – ucieła. – Nie chcę dłużej chodzić do tej szkoły.

– A co z przyjaciółkami?

– Emily i tak się będzie ze mną przyjaźnić.

– Ale co z twoim tańcem?

– W tym właśnie problem, Nattie. To nie jest mój taniec. Chcę z tym skończyć. Uświadomiłam sobie, że nie tańczę dla siebie, że nigdy nie robiłam tego dla siebie. A powinnam, prawda? Właściwie o niczym innym nie powinnam marzyć, jak znowu znaleźć się na sali i kręcić piruety. Ale nie marzę. – Mówiła powoli, jakby dopiero teraz uświadamiała sobie niektóre rzeczy. – Taniec to pasja, owszem. Ale nie moja. Chciałam naśladować matkę i koniecznie jej dorównać. Ale wiesz co? Taniec nie sprawia mi najmniejszej radości. Wręcz odwrotnie. Nienawidzę go. Nienawidzę tańczyć.

Wypuściła powietrze z płuc i roześmiała się, jakby poczuła ulgę.

– No wreszcie! Powiedziałam to! Wypowiedziałam to na głos! Nienawidzę tańczyć! – wykrzyknęła nagle i wyrzuciła ramiona w górę.

Wiatr poniosł jej słowa ku nieskończonemu niebu. Wirowała z rozpostartymi ramionami, jakby uwolniona od wielkiego ciężaru. Kiedy się wreszcie zatrzymała, miała policzki zaróżowione od wiatru i wysiłku.

Patrzyła na mnie promiennie.

– Jesteś teraz na mnie zła?

– Dlaczego miałabym być na ciebie zła? Nie jestem.

– Więc się zgadzasz? Nie muszę wracać do Cheal?

– Naprawdę sądzisz, że odesłałabym cię tam, wiedząc, jaka byłabyś tam nieszczęśliwa?

Pokręciła głową.

– Nie. Nigdy byś tego nie zrobiła. – Zmrużyła oczy, jakby dopiero teraz uzmysłowiła sobie, ile dla mnie znaczy.

– Ale to nie będzie proste, Cas. Co z egzaminami?

– No cóż, nie przykładałam się zbyt do nauki po śmierci taty... Jeśli musiałabym przystąpić do egzaminów w tym roku, to chyba bym je zawałiła... Dlatego pomyślałam, że może mogłabym zrobić sobie przerwę? Żeby się pozbierać. Poszukać nowej szkoły. A od nowego roku wszystko zaczęłabym od początku.

– Niezły pomysł.

– Tak myślisz?

– Tak. – Otoczyłam ją ramieniem i poszłyśmy dalej. – Myślę, że to bardzo dobry pomysł.

W niedalekiej odległości za domkiem huera piętrzyły się skały ochraniające moją małą

kryjówkę. Podczas gdy Cas rozglądała się wokół, błyskawicznie skryłam się między nimi i wrzuciłam do szczeliny ostatnią pocztówkę do Roba. Moje ostateczne pożegnanie, po którym miałam wreszcie zaznać spokoju. Słowa, w których wspominałam dobre czasy i spoglądałam w lepszą przyszłość. Moja wiadomość była krótka, ale miałam pewność, że właśnie to chciał usłyszeć ode mnie Rob.

Straciliśmy Ciebie, ale odnalazliśmy siebie nawzajem.

Około południa pojechaliśmy do Sennen Cove i poszliśmy na spacer po plaży. Wstąpiliśmy do starej gospody, usiadliśmy na tarasie w zimowym słońcu i zgrabiętymi z zimna palcami jadaliśmy świeże małże. Maczałyśmy w sosie czosnkowym świeżo upieczoną bagietkę. Rozglądałyśmy się za delfinami, których Cas jeszcze nigdy nie widziała.

I rozmawialiśmy.

Rozmawialiśmy, jakbyśmy właśnie nauczyły się nowego języka, początkowo z ociąganiem, ostrożnie dobierając słowa, żeby wyrazić to, co miałyśmy na myśli, żeby nie doszło do nieporozumień.

I podejmowałyśmy decyzje.

Dotyczące nas. Naszego życia. Naszej przyszłości. Bo wreszcie uświadomiłyśmy sobie, że przyszłość należała do nas obu. I że była tutaj. Postanowiłyśmy zostać. Wyremontujemy Smuggler's Cottage, żeby móc zamieszkać niedaleko Laury.

My.

Cassie i ja.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, po raz pierwszy od ponad dwudziestu miesięcy miałam ciepłe stopy. Cassie przyszła do mnie w nocy i przytuliła się do moich pleców jak mała srebrna łyżeczka, przylegająca do starej siermiężnej łyżki w szufladzie na sztućce. Objęła mnie ręką w pasie i ułożyła nogi równolegle do moich. Dokładnie jak jej ojciec. Leżałam i wsłuchiwałam się w jej równy oddech. Łzy wsiąkały w białą, lnianą powłoczkę poduszki. Zraszały moją twarz jak deszcz i schły w uśmiechniętych kącikach moich ust, zostawiając na wargach słony smak.

Nasze walizki były już spakowane i spoczywały w bagażniku samochodu. Zwykle w drodze powrotnej były wypełnione bardziej niż podczas podróży w tamtą stronę, ale w tym wypadku wracały prawie puste, ponieważ większość rzeczy zostawiłyśmy tam, gdzie było ich miejsce: w Stormy Meadows.

Na farmie Wichrowe Łąki.

Mimo to matka siłą powstrzymywała łzy. Wzięłam ją w ramiona, przytuliłam mocno i pozwoliłam, żeby jak dziecko wytarła łzy o moje ramię.

– Nie wyjeżdżamy na zawsze – zapewniłam ją. – Za parę tygodni będziemy z powrotem. Kiedy tylko ureguluję sprawy w Londynie, przyjedziemy.

– Wiem, wiem. – Pociągnęła nosem, kiedy ją puściłam. – Wariatka ze mnie, prawda? Stara, szurnięta pudernica... Przecież wiem, że wkrótce wrócicie, ale będę strasznie za wami tęsknić.

– Nie będziesz miała na to czasu. Będę do ciebie dzwonić co pięć minut w sprawie sprzedaży domku. Twój telefon nie umilknie ani na chwilę, aż oszalejesz. W końcu przestaniesz odbierać.

Zadziałało. Uśmiechnęła się. Chusteczka powędrowała z powrotem do kieszeni spodni.

– Luke już odjechał? – zapytałam.

Mama pokiwała głową.

– Wreszcie. Żegnali się, jakby się rozstawali na zawsze. – Pociągnęła nosem.

Rzuciłam jej surowe spojrzenie, które skwitowała głupawym uśmiechem.

– Tak, wiem. Nie tylko ja będę tęsknić. – Uniosła ręce w obronnym geście. – I niedługo wrócicie.

Cas siedziała na furtce prowadzącej na pastwisko za stodołą i patrzyła na Szansę, która śmigła po łące w blasku słońca. Na dźwięk moich kroków obejrzała się, przywitała mnie szerokim uśmiechem i zeskoczyła z ogrodzenia.

– Gotowa? – zapytałam.

– Jak nigdy przedtem – odparła, nie bez pewnego smutku w głosie.

– To nie jest pożegnanie na zawsze. Wkrótce tu wrócimy, przecież wiesz.

– Tak, wiem.

– Poradzi sobie. – Ruchem głowy wskazałam Szansę. – Matka będzie ją hołubić, dopóki nie wrócimy.

– Wiem. – Cas utkwiała nieruchomy wzrok gdzieś w oddali. Coś ją trapiło.

Może chodziło o Tuffa. Ze strachu, że w Londynie zostanie przejechany, postanowiłyśmy zostawić go tutaj.

– Jeśli nie chcesz rozstawać się z Tuffem, to możemy zmienić zdanie i go zabrać. Jakoś się przyzwyczai do chodzenia na smyczy.

Cas słyszała, że coś mówię, ale nie dotarł do niej sens moich słów. Zwróciła się do mnie:

– Muszę z tobą porozmawiać, Nat.

– Wszystko w porządku? – zapytałam z niepokojem.

Pokiwała zdecydowanie głową, ale nic nie powiedziała i dalej gapiała się w dal. Stanęłam obok niej, a ona przysunęła się bliżej, aż zetknęłyśmy się ramionami. Wsunęła dłoń w moją rękę. Ścisnęłam ją.

– O czym chciałabyś porozmawiać? – zagaiłam, kiedy nadal milczała.

Zawahała się, przygryzła wargę, jakby obawiała się mojej reakcji.

– Może się przejdziemy? – zapytała w końcu. – Mamy jeszcze czas?

– Oczywiście, Cas, mamy mnóstwo czasu. Jesteśmy obie wolne i niezależne. Zapomniałaś już? Nie mamy pracy, nie mamy szkoły.

Uśmiech przemknął jej po twarzy.

Przemierzyłyśmy Wichrowe Łąki i leżące za nimi pastwiska i skierowałyśmy się do Smuggler's Cottage. Chciała jeszcze raz zobaczyć chatę, która wkrótce będzie naszym domem? Ale ledwie domek znalazł się w zasięgu wzroku, Cassie skręciła w prawo.

Poszłam za nią.

– Co się dzieje, Cas? Coś jest nie tak, mam rację? Jeśli zmieniłaś zdanie, nie ma problemu, nie musimy tu się sprowadzać. W ogóle nie musimy robić niczego, czego nie chcesz.

– Nie, nie, to nie to.

– Na pewno?

– Na pewno. Chcę tu wrócić jak najszybciej. A ty?

– Ja też.

– A twoja praca? – Najwyraźniej nie mogła uwierzyć, że tak po prostu zrezygnowałam z pracy, która przedtem była całym moim życiem.

– Pewnie będzie mi jej trochę brakować. Nie nawykłam do takiej ilości wolnego czasu, ale mam zamiar zatroszczyć się o dom, co pewnie zajmie trochę czasu, a poza tym chyba znowu zacznę pisać... Ale tym razem dla siebie. – Pomyślałam o manuskrypcie, który czekał, aż się za niego wezmę.

Cas zmarszczyła czoło.

– Właśnie to chciałabym robić – zapewniłam ją.

Kiwnęła głową.

Usiadłam na ziemi.

Uklucie w piersi przypomniało mi, że niedawno miałam wypadek.

– A ty? – zapytałam. – Co poczniesz z taką ilością czasu? Do września, kiedy pójdziesz do szkoły w Truro, jeszcze daleko.

– Wiem – powiedziała, a na samą myśl o tym uśmiech na jej twarzy poszerzył się nagle. – Zgadnij, co będę robić! Chcę jeździć na koniu! – Przypatrywała mi się bacznie z ukosa. – I chcę malować. Malowanie jest super. Uwielbiam to. Mogłabym zostać artystką. Connor mówi, że mam talent. Mówi, że mam oko do detali.

– Też mi to mówił. – Uśmiechnęłam się.

Ukucnęła na wprost mnie, wzięła mnie za rękę i popatrzyła głęboko w oczy.

– Connor jest fantastycznym facetem, Nat.

– Wiem.

Więc o to chodziło.

– Connorem nie musisz się przejmować, Cassie – zaczęłam, ale przerwała mi.

– Nie byłam w porządku w stosunku do ciebie, Nattie, nigdy. Byłam wredna przez cały czas, a ty... Ty robiłaś wszystko, żeby uczynić mnie szczęśliwą. Obojętne, jak beznadziejnie się zachowywałam, jaka podła była wobec ciebie, jak zatruiwałam ci życie – ty wszystko przyjmowałaś. A teraz ja chcę, żebyś była szczęśliwa!

– Z Connorem? – zapytałam ostrożnie.

– Tak, z Connorem. Myślę, że by się ucieszył. Nie, ja wiem, że by się ucieszył. On jest wspaniały, Nat. Jest miły i zabawny i po prostu super. Uczyniłby cię szczęśliwą.

– Nas obie uczyniłby szczęśliwe – poprawiłam ją i pogłaskałam ją po policzku. – Ciebie i mnie, Cas. Istniejemy tylko w dwupaku.

– Ach, więc jestem teraz czymś w rodzaju takiego nadbagażu?

Już otwierałam usta, żeby sprostować, kiedy dotarło do mnie, że żartowała.

– Proszę cię, Nat. Przecież wiem, że nie potrzebujesz mojego pozwolenia, ale jeśli tylko ja cię powstrzymuję, to jest to idiotyczne. Nie chcę stawać na drodze do twojego szczęścia.

– Ale ja...

Położyła mi palec na ustach.

– Żadnych ale. Już wiem, co chcesz powiedzieć. Chcesz, żebyśmy spędzały razem czas. Ja też tego chcę, zupełnie szczerze, i będziemy, obiecuję, ale to przecież nie znaczy, że z tego powodu musisz skreślać Connora. Przecież będę miała też inne rzeczy do roboty. Mam Szansę i Tuffa, chcę spędzać czas także z Laurą i z Lukiem... – W jej uśmiechu pojawiło się coś konspiratorskiego. – Może moglibyśmy się spotkać na podwójnej randce.

Patrzyła na mnie promiennie, z nadzieją w oczach. W jej spojrzeniu była tak głęboka ufność, że moje wątpliwości ulotniły się w ciągu sekundy.

– Naprawdę chciałabym, żebyś z nim była, Nattie, jeśli tego chcesz.

– Na pewno?

– Na sto procent. Ty też tego chcesz, prawda?

Skinęłam głową.

– Więc na co czekasz? Leć, wyjaśnij to, zanim jakaś inna sprzątnie ci go sprzed nosa. Baby stoją do niego w kolejce. Nawet Laura.

Cmoknęłam ją w czoło.

– Dziękuję – szepnęłam.

Objęła mnie w talii. Trzymałyśmy się mocno.

Znalazłam Connora na białej plaży w Sennen.

Przywiodła mnie tu intuicja. Jakbym podążała za niewidzialną nicią łączącą nasze myśli i serca. Stał nad wodą, wpatrzony w szare morze, które delikatnie obmywało jego stopy. Na czerwonym niebie wisiało nisko słońce ślące złote promienie ku bladym chmurom.

Bezszelestnie podeszłam do niego po miękkim piasku i chociaż mnie nie słyszał, odwrócił się do mnie, jakby wiedziony tą samą nicią, która mnie tutaj przyprowadziła.

– Natalie! – zawołał zaskoczony i podbiegł do mnie z radością.

Już nie stapałam powoli i ostrożnie. Biegłam. Aż padliśmy sobie w ramiona.

¹ Freddie Davies (ur. 1937) – brytyjski komik i aktor (przyp. tłum.).

